www.polska-zbrojna.pl

Polska Zbrojna

NR 3 (827) MARZEC 2015 INDEKS 337 374 ISSN 0867-4524
CENA 6,50 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NIEZBĘDNIK PORADY PRAWNE

KTÓRĘDY DO KOMANDOSÓW?

PLUSY I MINUSY ZMIAN W SYSTEMIE REKRUTACJI DO JEDNOSTEK SPECJALNYCH

PIOTR ANDRUSIECZKO, MICHAŁ ZIELIŃSKI,
czyli reporterzy na pierwszej linii frontu

WIKTOR BATER
tłumaczy Rosję

STRZELCY NA CELOWNIKU

CZY POLSKIEJ ARMII POTRZEBNI SĄ SNAJPERZY?

ISSN 08674524 03
9 770867 452502

TargiKielce
EXHIBITION & CONGRESS CENTRE

Patronat honorowy Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej

Wystawa Narodowa Norwegii

MSPO

XXIII Międzynarodowy Salon Przemysłu Obronnego

1-4.09.2015

Kielce

ufi Approved Event

www.mspo.pl

WOJCIECH KISS-ORSKI

HISTORIA JUŻ DAWNO UDOWODNIŁA, JAK WAŻNĄ I CZĘSTO KLUCZOWĄ ROLĘ SNAJPERZY ODGRYWALI W TRAKCIE BITEW I WOJEN.

Kiedy więc termin „snajper", po latach nieistnienia w powojennym Wojsku Polskim, prawie dekadę temu znów pojawił się w języku wojskowym, w redakcji „rzuciliśmy się" ochoczo na opisywanie nowej i cennej inicjatywy gen. Mirosława Różańskiego. Na początku było pod górę, ale później poszło nieźle z jej urzeczywistnianiem. Potem ktoś zaciągnął hamulec ręczny. Niedługo dziesiąta rocznica pomysłu wprowadzenia snajperów w największym rodzaju sił zbrojnych – wojskach lądowych. Tymczasem okazuje się, że do dziś nie udało się uporządkować nawet kwestii związanej z nazewnictwem i stanowiskami, o czym po raz kolejny, z uporem godnym lepszej sprawy, pisze w głównym artykule „Polski Zbrojnej" Bogusław Politowski. Sam pomysłodawca dyplomatycznie stwierdza w wywiadzie, że „wszystko łączy się z przyjętą pragmatyką oraz brakiem konsekwencji w kwestii stanowisk dla snajperów, że brakowało odpowiedniej motywacji i determinacji w nadrzędnych sztabach i dowództwach. Teraz do dowódców należy inicjatywa przygotowania wniosków organizacyjno-etatowych". Kto należy do tego tajemniczego kręgu dowódców władnych podjąć te proste decyzje – nie dociekamy, ale może w okrągłą rocznicę pomysłu dwugwiazdkowego generała zrobią jakiś krok we właściwym kierunku, tym bardziej że specjalny zespół powołany przez szefa resortu obrony przed wprowadzeniem nowego systemu dowodzenia zadbał o to, by „snajper" był w wykazie specjalności wojskowych. Mark Spicer, który jak na ironię dziesięć lat temu wydał „Podręcznik strzelca wyborowego", pisał w nim:

> „nie ulega wątpliwości, że w pewnych sferach albo nie rozumie się w pełni, jak wiele różnorodnych zastosowań może mieć snajper, albo woli się to ignorować w nadziei, że nikt nie użyje snajperów przeciwko ich siłom".

Więcej o strzelcach wyborowych i snajperach na stronach 12–33

rejestr

USMC

peryskop

nr 3 (827) luty 2015

Zdjęcie na okładce: **Michał Wajnchold /Klub Dowództwa Sił Specjalnych**

BOGUSŁAW POLITOWSKI
12 | Strzelcy na celowniku
Czy w wojskach lądowych znajdą się etaty dla snajperów?

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER
20 | Wilk czy anioł?
Kulisy szkolenia strzelców wyborowych w toruńskim centrum.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER
23 | Licencja na niewidzialność
Mł. chor. Przemysław Wójtowicz o swoich doświadczeniach – z dystansem.

EWA KORSAK, MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK
25 | Łagodny jak snajper
O strzelcach GROM-u opowiada ppłk rez. Michał Pycio.

TADEUSZ WRÓBEL
28 | Siła w zespole
Wykorzystanie snajperów w armiach świata.

ARTUR BARTKIEWICZ
30 | Historia jednego strzału
Mistrzowie precyzyjnego osiągania celu.

A. DWULATEK/CC DORSZ

armia

PIOTR BERNABIUK, JAROSŁAW RYBAK
34 | Którędy do komandosów?
System naboru do wojsk specjalnych.

PAULINA GLIŃSKA
42 | W kolejce do NSR-u
Coraz więcej chętnych do włożenia munduru.

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK
46 | Kolos w powietrzu
Por. pil. Piotr Adamiec dzieli się swoimi doświadczeniami z międzynarodowej bazy lotniczej Pápa.

DARIUSZ DEMSKI
50 | Dzień w bazie Gamberi
Służba naszych żołnierzy w afgańskiej misji „Resolute Support”.

NORBERT BĄCZYK
54 | Orki na Bałtyku
Kiedy do marynarzy trafią nowe okręty podwodne?

PAULINA GLIŃSKA, MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK
58 | Projekt Afgan
Dzięki tym badaniom będzie można poprawić bezpieczeństwo załóg wozów transportowych.

JAROSŁAW RYBAK
65 | Kryzys sprzyja piarowcom
Efektywnie czy efektownie, czyli jak budować wizerunek armii?

TITAN MISSILE MUSEUM

arsenał

ADAM GWIAZDA
72 | Nuklearna iluzja
Przegląd arsenałów broni atomowej.

strategie

TOMASZ OTŁOWSKI
84 | Islamiści u bram Europy
Walka z ekstremizmem to problem nie tylko odległych zakątków świata.

ROBERT CZULDA
89 | W imię Dżundallah
Irańskie zmagania z żołnierzami Boga.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER
91 | Rosyjski oksymoron
Obraz rosyjskiego człowieka według Wiktora Batera.

MICHAŁ ZIELIŃSKI
95 | Nic do stracenia
Nasz dziennikarz w ukraińskiej Popasnej, gdzie już kilka razy przetoczył się front.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER
100 | Na pierwszej linii
Wojenne refleksje Piotra Andrusieczki.

MICHAŁ STANIUL
103 | Lokalna masakra
Krwawe zamieszki w Nigerii.

TADEUSZ WRÓBEL
106 | Malijski klincz
Chaos po rewolcie Tuaregów.

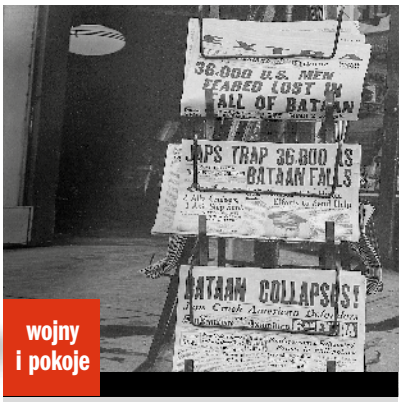

wojny i pokoje

NARA

TADEUSZ WRÓBEL
110 | Spisani na straty
Największa klęska Amerykanów w czasie II wojny światowej.

ANDRZEJ FAFARA
116 | Przypadki generała Pershinga
Obalamy mit „pogromcy terrorystów".

TADEUSZ WRÓBEL
122 | Uskrzydlone olbrzymy
Czy czołgi mogą latać?

horyzonty

NAC

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER
126 | Historia bez kompleksów
Jak powstaje Muzeum II Wojny Światowej?

EWA KORSAK
132 | Zdobywcy stratosfery
Rekordowy skok gromowca.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER
136 | Spełniona obietnica
Stypendia dla dzieci poległych żołnierzy.

WOJSKOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

DYREKTOR WOJSKOWEGO INSTYTUTU WYDAWNICZEGO
płk Dariusz Kacperczyk,
sekretariat@zbrojni.pl;
tel.: 261 845 365, 261 845 685, faks: 261 845 503;
Al. Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa

REDAKTOR NACZELNY POLSKI ZBROJNEJ
Wojciech Kiss-Orski,
tel.: 261 840 222; wko@zbrojni.pl

SEKRETARZ REDAKCJI
Aneta Wiśniewska, tel.: 261 845 213

ZASTĘPCY SEKRETARZA REDAKCJI
Katarzyna Pietraszek, tel.: 261 840 227;
Joanna Rochowicz, tel.: 261 845 230;
polska-zbrojna@zbrojni.pl

TEKSTY
Piotr Bernabiuk, **Anna Dąbrowska**, **Paulina Glińska**, **Małgorzata Schwarzgruber**, **Tadeusz Wróbel**,
tel.: 261 845 244, 261 845 604;
Magdalena Kowalska-Sendek, tel.: 725 880 221;
Artur Bartkiewicz, **Norbert Bączyk**, **Robert Czulda**, **Dariusz Demski**, **Jerzy Eisler**, **Andrzej Fąfara**, **Adam Gwiazda**, **Włodzimierz Kaleta**, **Ewa Korsak**, **Andrzej Kozłowski**, **Wojciech Lorenz**, **Jakub Nawrocki**, **Tomasz Otłowski**, **Bogusław Politowski**, **Jarosław Rybak**, **Michał Staniul**, **Krzysztof Wilewski**, **Łukasz Zalesiński**, **Michał Zieliński**

DZIAŁ GRAFICZNY
Marcin Dmowski (kierownik), **Paweł Kępka**, **Monika Siemaszko**,
tel.: 261 845 170

FOTOEDYTOR
Andrzej Witkowski, tel.: 261 845 170

REDAKCJA TEKSTÓW
Renata Gromska, **Barbara Szymańska**, **Urszula Zdunek**,
tel.: 261 845 502

BIURO REKLAMY I MARKETINGU
Adam Niemczak (kierownik), **Anita Kwaterowska** (tłumacz), **Aneta Rosiak**, **Małgorzata Szustkowska**, **Piotr Zarzycki**,
tel. 261 845 387, 261 845 180,
Elżbieta Toczek, tel. 261 840 400,
faks: 261 845 503; reklama@zbrojni.pl

KOLPORTAŻ I REKLAMACJE
TOPLOGISTIC, ul. Skarbka z Gór 118/22, 03-287 Warszawa,
tel.: 22 389 65 87, 500 259 909,
faks: 22 301 86 61; biuro@toplogistic.pl

Numer zamknięto: 23.02.2015 r.

DRUK
ARTDRUK ul. Napoleona 4, 05-230 Kobyłka, www.artdruk.com

PRENUMERATA
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7.00–17.00. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

PARTNER
NAC Narodowe Archiwum Cyfrowe.
170 tysięcy zdjęć online na www.nac.gov.pl

Treść zamieszczanych materiałów nie zawsze odzwierciedla stanowisko redakcji. Tekstów niezamówionych redakcja nie zwraca. Zastrzega sobie prawo do skrótów.
Egzemplarze miesięcznika w wojskowej dystrybucji wewnętrznej są bezpłatne. Informacje: 261 840 400

Zasady przekazywania redakcji miesięcznika „Polska Zbrojna" materiałów tekstowych i graficznych opisuje regulamin dostępny na stronie głównej portalu polska-zbrojna.pl.

1 BRABANCKI BATALION CZOŁGÓW z 34 Brygady Kawalerii Pancernej podczas szkolenia na żagańskim poligonie. Żołnierze mieli możliwość wykorzystania w terenie niedawno pozyskanych z Niemiec czołgów Leopard 2A5, dla których był to pierwszy test bojowy.

RAFAŁ MNIEDŁO
11 LDKPANC
ŻAGAŃ

ARKADIUSZ DWULATEK / CAMERA DORSZ

Obywatelska obrona

Proobronne organizacje elementem bezpieczeństwa państwa.

Elementem wzmacniania militarnego bezpieczeństwa państwa jest zwiększenie w tym roku o 30% liczby ćwiczeń wojskowych, a od 2016 roku wzrost wydatków na obronność do 2% PKB. Jedna czwarta tych środków zostanie przeznaczona na modernizację armii. „Zwiększamy też liczbę szkolonych rezerwistów. W tym roku planujemy powołać na ćwiczenia 12 tys. osób, a od następnych lat po 38 tys.”, wyliczał minister Tomasz Siemoniak.

Jednocześnie budowaniu bezpieczeństwa będzie służyć współdziałanie z organizacjami proobronnymi. Powołany został pełnomocnik resortu obrony do spraw współpracy z tymi podmiotami. 20 marca 2015 roku w Warszawie odbędzie się ogólnokrajowa konferencja organizacji proobronnych. PZ, AD ■

Kontrakty w Redzikowie

Polskie firmy staną do przetargów na budowę tarczy antyrakietowej.

Do 2018 roku na terenie byłego lotniska w Redzikowie niedaleko Słupska zacznie działać amerykańska baza, stanowiąca element tarczy antyrakietowej, która zostanie wyposażona w nowoczesne rakiety SM-3 typu Block-2A. Amerykanie dostarczą sprzęt i wyposażenie, ale na prace budowlane będą organizować otwarte przetargi. „Stany Zjednoczone przeznaczyły miliard dolarów na zwiększenie możliwości obronnych NATO. W Polsce będą sfinansowane projekty budowlane zwiększające jej zdolność do przyjmowania wojsk sojuszu”, podał Stephen Mull, ambasador USA, podczas spotkania z przedstawicielami polskiego biznesu zainteresowanymi zdobyciem kontraktów na budowę elementów tarczy.

Jak zapowiedział dyplomata, Amerykanie zapłacą za zbudowanie w naszym kraju kilku obiektów logistycznych. Prawdopodobnie będą to ulokowane w pobliżu poligonów składy, magazyny oraz miejsca noclegowe. Polskie firmy budowlane mają szanse zawalczyć o te kontrakty. Do przetargów na świadczenie usług dla przyszłego personelu bazy, w tym na dostawy żywności czy wywóz nieczystości, mogą też stanąć firmy usługowe. Jeżeli polscy biznesmeni chcą walczyć o kontrakty zawierane z US Army, muszą poznać obowiązujące tam przepisy, w czym pomoże im Ministerstwo Gospodarki.

Projekt budowy tarczy zakłada, że główną część systemu do zwalczania rakiet krótkiego i średniego zasięgu utworzą instalacje AEGIS BMD umieszczone na okrętach US Navy oraz trzy bazy lądowe – w Polsce, Rumunii i Turcji. W naszym kraju będzie stacjonować 200 amerykańskich wojskowych. P Z, K W ■

Trójnarodowa jednostka

Brygada LITPOLUKRBRIG może powstać jeszcze w 2015 roku.

Głównym zadaniem wspólnej litewsko-polsko-ukraińskiej brygady będzie prowadzenie operacji pod auspicjami ONZ, NATO i Unii Europejskiej, w tym w misjach stabilizacyjnych, takich jak w Kosowie. Formacja ma też służyć wsparciu armii ukraińskiej w reformach, żeby mogła ona dostosować się do standardów zachodnich. Jak zapowiedział minister Tomasz Siemoniak w Wilnie podczas spotkania z szefem litewskiego MON Juozasem Olekasem, jednostka może osiągnąć gotowość do działania jeszcze w 2015 roku.

Umowa w sprawie powołania brygady została podpisana przez ministrów obrony trzech państw we wrześniu 2014 roku. Pododdziały wydzielane do niej pozostaną w dotychczasowych miejscach i będą podporządkowane jej dowódcy na czas ćwiczeń i misji. Na kwaterę główną dowództwa jednostki wyznaczono Lublin. Funkcjonuje tam już polska część dowództwa.

Szefowie resortów obrony mówili też o wsparciu dla Litwy, którym jest udział Polski w misji „Air Policing". Nasz kraj uczestniczy w niej po raz szósty. „Gotowi jesteśmy do równie intensywnego udziału w tej operacji w przyszłości", obiecywał minister Siemoniak.

Na Litwie stacjonuje teraz 120 żołnierzy i cztery myśliwce MiG-29 z 23 Bazy Lotnictwa Taktycznego z Mińska Mazowieckiego. Pozostaną tam do maja, żeby pilnować przestrzeni powietrznej Litwy, Łotwy i Estonii, które nie mają własnego lotnictwa bojowego. Przez miesiąc myśliwce wykonały ponad 50 lotów. Piloci szkolili się w powietrzu oraz latali podczas dyżurów bojowych. W trakcie jednego z lotów przechwycili rosyjski samolot Ił-78, który poruszał się zbyt blisko litewskiej granicy. PZ, AD, MKS ■

BUZDYGANY 2014

Znamy tegorocznych laureatów.

Siedmiu wspaniałych

W tym roku do nagrody „Polski Zbrojnej" przedstawiciele resortu obrony, szefowie dowództw, inspektoratów, jednostek i instytucji oraz czytelnicy zgłosili 50 kandydatów. Kapituła, składająca się z osób, które rok wcześniej uhonorowano tym wyróżnieniem, wybrała sześciu laureatów Buzdyganów.

Podczas gali 27 marca 2015 roku posrebrzaną replikę XVI-wiecznej oznaki godności rotmistrzowskiej odbiorą: gen. bryg. Rajmund Andrzejczak, zastępca dowódcy 12 Szczecińskiej Dywizji Zmechanizowanej; płk dr n. med. Robert Brzozowski, szef Zakładu Medycyny Pola Walki Wojskowego Instytutu Medycznego; kpr. Tomasz Ciach, dowódca drużyny szturmowej w 7 Batalionie 25 Brygady Kawalerii Powietrznej; kmdr por. Piotr Sikora, dowódca 13 Dywizjonu Trałowców; „Sojers", żołnierz Jednostki Wojskowej Komandosów z Lublińca; oraz płk Marcin Szymański, szef Sztabu Centrum Operacji Specjalnych Dowództwa Komponentu Wojsk Specjalnych.

Po raz trzeci swojego kandydata wybrali także czytelnicy portalu polska-zbrojna.pl. W tym roku zdecydowali, że Buzdygana internautów otrzyma fotograf Bartosz Bera, miłośnik lotnictwa wojskowego i wojsk specjalnych.

„Polska Zbrojna" przyznaje swoją nagrodę od 21 lat. Dotychczas odebrało ją niemal 200 osób zasłużonych dla wojska, nietuzinkowych, które dzięki pasji i zaangażowaniu wpływają na rozwój sił zbrojnych. PZ, MM ■

Naczelny wódz

Rząd zaopiniował projekt zmian dotyczących dowodzenia w czasie wojny.

Prezydencki projekt nowelizacji ustawy o powszechnym obowiązku obrony, dotyczący dowodzenia w czasie konfliktu zbrojnego, jest konsekwencją reformy systemu dowodzenia. Wprowadziła ona zasadę, że w czasie wojny wojskami kieruje naczelny dowódca, a kandydata na to stanowisko wyznacza prezydent na wniosek rządu. Prezydencki projekt precyzuje, że kandydat ten w czasie pokoju ma brać udział w ćwiczeniach i grach strategicznych oraz uczestniczyć w przygotowaniach wojennego systemu dowodzenia. Naczelny dowódca ma podlegać bezpośrednio prezydentowi i dowodzić tylko tymi wojskami, które biorą udział w obronie, a nie całą armią. W projekcie znalazła się także definicja terminu „czas wojny" oraz zasada, że to prezydent ogłasza jego początek i koniec.

Rząd chce też wprowadzenia kilku zmian w projekcie, w tym zapisu doprecyzowującego, że szef Sztabu Generalnego Wojska Poskiego jest organem pomocniczym prezydenta w procesie kierowania obroną państwa. Rada Ministrów postuluje także pozostawienie zapisu o tym, że w trakcie stanu wojennego stosuje się te same przepisy, które obowiązują w czasie wojny. Projektem zajmie się teraz sejm. PZ, JT ■

GRZEGORZ PAŁASZ

Powrót do domu

Nasi żołnierze zakończyli misję w Afryce.

W drugiej zmianie Polskiego Kontyngentu Wojskowego EUFOR w Republice Środkowoafrykańskiej uczestniczyło 50 żołnierzy. Trzon zmiany stanowił pluton manewrowy Żandarmerii Wojskowej wydzielony z Oddziału Specjalnego Żandarmerii z Mińska Mazowieckiego. W skład kontyngentu weszli też specjaliści z 1 Brygady Logistycznej, 9 Brygady Wsparcia Dowodzenia, 6 Brygady Powietrznodesantowej, Dowództwa Generalnego Sił Zbrojnych i Inspektoratu Wsparcia SZ.

Ich zadaniem było umożliwienie niesienia pomocy humanitarnej przez organizacje rządowe i pozarządowe oraz stworzenie warunków do przejęcia obowiązków przez misję ONZ. Prowadzili też czynności dochodzeniowo-śledcze i doradzali policji oraz żandarmerii.

Była to kolejna operacja polskich żołnierzy w Afryce. Ostatnia, w Republice Środkowoafrykańskiej, zakończona 1 maja 2014 roku, była realizowana przez personel z 8 i 33 Bazy Lotnictwa Transportowego. A D ■

Wspólne działania

Mimo napiętej sytuacji na wschodzie, Polacy mogą się czuć bezpiecznie.

Zapewnił o tym prezydent Bronisław Komorowski podczas posiedzenia Rady Bezpieczeństwa Narodowego. W czasie obrad rozmawiano o walkach na Ukrainie, które toczą się mimo podpisanych w Mińsku porozumień. Minister Tomasz Siemoniak stwierdził, że konflikt w tym kraju można zakończyć jedynie na drodze negocjacji dyplomatycznych. Zapewnił także, że Polska wspiera Kijów politycznie, ale nie zamierza sprzedawać Ukrainie broni.

„W wypadku Ukrainy najważniejsze jest, aby Unia Europejska i NATO działały jednomyślnie, na przykład w sprawie sankcji nakładanych na Rosję. I to udało się osiągnąć", zaznaczył prezydent i podkreślił, że Polacy nie powinni czuć się zagrożeni. Szef MON dodał, że dla bezpieczeństwa Polski najważniejsza jest obecność na wschodzie naszego państwa wojsk sojuszu. Tomasz Siemoniak spodziewa się, że wschodnia flanka zostanie znacznie wzmocniona jeszcze przed zaplanowanym na przyszły rok szczytem NATO w Warszawie. P Z , J T ■

Wizyta zza oceanu

Doskonalenie umiejętności planowania i użycia wojsk amerykańskich w operacjach połączonych i wielonarodowych to cel kursu generalskiego Capstone, prowadzonego w Narodowym Uniwersytecie Obrony w Waszyngtonie. 18 jego uczestników odwiedziło Polskę. Goście zza oceanu, którzy objęli niedawno stanowiska w Stanach Zjednoczonych, Europie oraz Korei Południowej, chcieli zapoznać się z funkcjonowaniem nowego systemu kierowania i dowodzenia naszymi siłami zbrojnymi, a także z działalnością operacyjną i szkoleniową polskiej armii. A D ■

Pani Janinie Jarockiej-Tabor

wyrazy serdecznego współczucia z powodu śmierci

Męża

składają Tomasz Siemoniak
wicepremier, minister obrony narodowej
i pracownicy Sekretariatu MON.

Panu Dyrektorowi
Pawłowi Markusowi

wyrazy współczucia
oraz słowa wsparcia w trudnych chwilach po stracie

Mamy

składają Tomasz Siemoniak
wicepremier, minister obrony narodowej
oraz kadra i pracownicy Sekretariatu MON.

Januszowi Grochowskiemu

wyrazy szczerego współczucia z powodu śmierci

Taty

składają koleżanki i koledzy
z Wojskowego Instytutu Wydawniczego.

|DO PEWNEGO STOPNIA|

PIOTR BERNABIUK

Marzenia o służbie

Na „giełdzie” przed WKU wrze. Część ludzi zna się już bardzo dobrze, zdecydowanym liderem jest Weteran. Dziś, w przypływie dobrego humoru, wychodzi z inicjatywą założenia związku zawodowego oczekujących w kolejce do wojska. W sumie jest jednak wkurzony: „Czekam od wieków, a co pójdę pogadać, to pytają, czy mam kategorię C”. Blondynka nie chwyta, bo ma „A” i też czeka… Chłopaki jej tłumaczą, że nie chodzi o kategorię zdrowia, lecz prawo jazdy, bo wygląda na to, że armia formuje brygadę kierowców. Mały, który do armii stara się dostać dopiero od roku, twierdzi, że z tym „C” to jedynie taki wybieg: „Najpierw mi poradzili, żebym poszedł na studia. A jak już rozpocząłem naukę, to kręcili głowami, że jako szeregowy przeinwestowałem…”. Delikwenci na „giełdzie” są przekonani, że jak się nie ma w rodzinie kogoś o odpowiedniej szarży, wujka, który wszystko by załatwił, to trzeba sobie miejsce wychodzić: „Trzeba nękać ich na okrągło, pytać o robotę w wojsku, aż wymiękną”. Komandos, który wzbudził sensację, przychodząc na rozmowy w niemalże kompletnym mundurze, ostrzega przed „szukaniem roboty”: „Gościu, starasz się dostać do służby, a roboty to szukaj gdzie indziej”. Zdaniem giełdowego towarzystwa, Komandos nie powinien się sadzić, bo chociaż pokończył wszystkie możliwe kursy, łącznie ze spadochronowym, zaliczył jakieś obozy militarne, selekcje to… niewiele mu to dało. Nawet na kucharza się nie dostał! A ten się odcina, że już nie będzie się pętał po żadnych służbach przygotowawczych czy eneserach, tylko pójdzie prosto do specjalsów: „Ogłosili, że będą przyjmować najlepszych z najlepszych. Pół roku szkolenia i spoko, jestem w Nilu, Formozie albo…”.

Wszyscy, oprócz Komandosa, wybuchają śmiechem. Na szczęście w tym momencie do grupy dołącza Licealista. W tym roku zdaje maturę i chce zostać żołnierzem. Chłopaki pytają go: „Małolat, gdzie ty tak naprawdę się wybierasz?”. „No, do wojska…”. „Rany, chłopie, ale kim chcesz zostać? Szeregowym? Oficerem? Komandosem? A może do piechoty?”. Małolat mruży oczy, jakby patrzył pod słońce: „Do piechoty to nie, bo nie lubię chodzić. Może do komandosów”. „Chłopie, piechota jeździ zawsze jakimś wózkiem, a komandosi napierają z buta. Więc co?”. „No, ogólnie to chciałbym sobie postrzelać i żeby się coś działo… Pojechać na wojnę na przykład”. Weteran z litością patrzy na Licealistę i rzuca konkretną propozycję: „A co powiedziałbyś na partyzantkę? Lasów u nas nie brakuje. Założymy oddział, wyszkolimy się i będziemy czekali na wroga”. Licealista zaskakuje nagle wszystkich niezwykłą lotnością umysłu: „A z czego będziemy żyli?”. „No, jak to z czego?”, usłyszał w odpowiedzi. „Chłopie, przecież MON takich rangersów to na pniu kupi”.

W tym momencie objawia się Poważny, który do tej pory trzymał spory dystans: „Nie drzyjcie z chłopaka łacha, bo jak chce iść do wojska, to pójdzie. Jak nie w swoim kraju, to w innym. Kumpel mojego ojca nie mógł się dostać do naszych komandosów, więc kupił bilet do Marsylii. Odsłużył swoje w Legii Cudzoziemskiej i wrócił. Do końca życia ma co opowiadać”. Komandos próbuje być dowcipny: „Dziś jak chcesz powojować, też możesz sobie kupić bilet na Bliski Wschód. Blondynka ma zdwojone możliwości, bo mogłaby walczyć z wrogiem albo urodzić bohatera”. Blondynce uśmiech zamiera na twarzy: „Uważaj, co mówisz! To wcale nie jest śmieszne”. Żarty się skończyły, więc każdy rusza w swoją stronę z niespełnionymi marzeniami o służbie wojskowej. ■

GOŚCIU, STARASZ SIĘ DOSTAĆ DO SŁUŻBY. **ROBOTY TO SZUKAJ GDZIE INDZIEJ**

SNAJPERZY

BOGUSŁAW POLITOWSKI

STRZELCY NA CELOWNIKU

Czy armii są potrzebni snajperzy? Odpowiedź wydaje się oczywista. W naszych wojskach lądowych nie ma jednak takich stanowisk i chyba długo nie będzie.

USMC

W liczących się armiach świata istnieją dobrze wyszkoleni snajperzy – specjaliści od precyzyjnego strzelania. W naszych pododdziałach zmechanizowanych i zmotoryzowanych mamy jedynie strzelców wyborowych. Czy różnica między nimi sprowadza się tylko do nazwy? Czy nasi strzelcy są tak samo wyszkoleni i wyposażeni, jak ich koledzy z innych armii NATO i różni ich tylko nazwa? Czy armia dostatecznie dba o specjalistów uważanych w innych krajach za elitę wojska? Sprawdziliśmy to. Reformy w tej dziedzinie przeprowadza się u nas już od dekady. I ciągle dużo zostało do zrobienia.

W 2006 roku wydawało się, że zmieni się sposób wykorzystania specjalistów od precyzyjnego strzelania. Na wniosek gen. Mirosława Różańskiego, który dowodził wówczas 17 Wielkopolską Brygadą Zmechanizowaną, zaczęto przeprowadzać zmiany organizacyjno-etatowe mające na celu usamodzielnienie strzelców wyborowych. Chciano zmienić nie tylko ich wyposażenie i metody szkolenia, lecz także wykorzystanie na polu walki.

W jednostkach zmechanizowanych i zmotoryzowanych żołnierzy tych specjalności wyłączono ze składów drużyn piechoty. Na szczeblu batalionów utworzono drużyny strzelców wyborowych, złożone z czterech czteroosobowych sekcji (osiem par strzeleckich), dowódcy oraz dwóch kierowców. Inicjator tych zmian chciał, aby w dalszym etapie reform w tych drużynach stworzyć stanowiska także dla par snajperskich – wysokiej klasy specjalistów, mogących działać samodzielnie, z dala od sił własnych.

SZKOŁA DUCHÓW

Gen. Różański nie poprzestał tylko na zmianach struktur, lecz także postanowił od podstaw stworzyć bazę szkoleniową dla snajperów. W 2007 roku zainicjował powołanie do życia w Wędrzynie pierwszego w historii naszej armii ośrodka szkolenia specjalistów od strzelania precyzyjnego. Inicjatywę ówczesnego dowódcy 17 WBZ zaakceptował gen. broni Waldemar Skrzypczak. Nowa placówka powstawała w bólach. Z trudem wywalczone etaty dla kierownictwa i instruktorów ośrodka sztabowcy z Warszawy omyłkowo przydzielili komendzie wędrzyńskiego poligonu. Upłynęło sporo czasu zanim ten błąd naprawiono.

Z braku doświadczeń nowy ośrodek szkoleniowy wzorował się na programach i sposobach przygotowania snajperów w innych armiach NATO. Instruktorzy z wędrzyńskiej placówki najwięcej kontaktów mieli z kadrą szkoły strzelców kanadyjskich. W Wędrzynie od samego początku rozpoczęto szkolenie snajperów, a nie strzelców wyborowych. Stwierdzono bowiem, że dobrze wyszkolony snajper szybko może się przekwalifikować na strzelca wyborowego, proces odwrotny wymaga natomiast znacznie więcej czasu i wysiłku.

Ośrodek wędrzyński, nazwany szkołą snajperów, a przez nich samych ochrzczony szkołą duchów, merytorycznie wspomagało wielu doświadczonych instruktorów nie tylko z kraju. Wszystko było dobrze poukładane. Szybko zauważono, że szkolenie przynosi oczekiwane efekty. Aby przyszłym snajperom dać możliwość sprawdzania swoich umiejętności, wymiany doświadczeń i poglądów z innymi fachowcami od dalekiego strzelania, w 2008 roku w Międzyrzeczu zaczęto przeprowadzać międzynarodowe zawody w strzelaniu na długie odległości Longshot.

BRAK PRZEPISÓW

W trakcie intensywnej reorganizacji specjaliści od strzelania precyzyjnego dostali nową broń. Z pododdziałów większości jednostek operacyjnych wycofano SWD (Snajperskaja Wintowka Draganowa). Ich miejsce zajęły fińskie karabinki Sako TRG-21 i 22 kalibru 7,62 mm. Z czasem do sekcji strzelców wyborowych dotarły także rodzimej produkcji wielkokalibrowe karabiny 12,7-milimetrowe Tor.

W styczniu 2011 roku ośrodek przestał jednak istnieć jako wyodrębniona wyspecjalizowana placówka. Został przeniesiony do Torunia do tamtej-

USMC

DOBRZE WYSZKOLONY SNAJPER SZYBKO MOŻE SIĘ PRZEKWA--LIFIKOWAĆ NA STRZELCA WYBOROWEGO

szego Centrum Szkolenia Artylerii i Uzbrojenia. Stał się jednym z cyklów tego centrum.

Od tego momentu machina zmian w dziedzinie snajperstwa zaczęła zwalniać. W dawnym Dowództwie Wojsk Lądowych ustały prace na stworzeniem dla żołnierzy tych specjalności odrębnych stanowisk. Minęły ponad dwa lata, zanim powstał program szkolenia pododdziałów strzelców wyborowych oraz regulamin działań taktycznych. O nowych dokumentach doświadczeni strzelcy i ich dowódcy mówią jednak, że są opracowaniami zbyt ogólnikowymi, nie na miarę nowoczesnej armii. I chociaż na mocy odpowiednich rozkazów zaczęły obowiązywać od 1 stycznia 2014 roku, cały czas są krytykowane.

„Zadecydowano, że mamy odbywać między innymi ponadstugodzinne szkolenia inżynieryjno-saperskie, w tym o budowie fortyfikacji, obronie przeciwlotniczej, zajęcia na temat ochrony środowiska i przeciwpożarowej czy szkolenie ekonomiczne, a zapomniano o szkoleniu w pomiarach odległości, stalkingu (skrytego podchodzenia do obiektu) czy maskowaniu", mówi jeden z dowódców drużyn strzelców wyborowych. Podoficer dodał, że do dzisiaj nie pomyślano o odpowiednim umundurowaniu dla żołnierzy tej specjalności. Nie unormowano także nazewnictwa w tej dziedzinie.

Tematem precyzyjnego strzelania zajmowaliśmy się w 2012 roku oraz rok później. Dociekaliśmy, dlaczego w unowocześnianej i reformowanej armii ciągle nie ma stanowiska snajperów. Opisywaliśmy, jak ówczesne Dowództwo Wojsk Lądowych odsyła w tej sprawie do Sztabu Generalnego WP i odwrotnie. W maju 2013 roku w Szefostwie Wojsk Pancernych i Zmechanizowanych ówczesnego Dowództwa Wojsk Lądowych poinformowano nas, że: „trwają prace nad ostateczną wersją koncepcji funkcjonowania strzelców wyborowych i snajperów. Mają być unormowane między innymi rola i miejsce strzelców wyborowych oraz snajperów w strukturze i ugrupowaniu pododdziału, wyposażenie, system szkolenia, taktyka działania, jak również model służby snajpera. Tworzona koncepcja zakładała podobno, że w pododdziałach (batalionach) zmechanizowanych i zmotoryzowanych nie będzie drużyn strzelców wyborowych, za to jeden strzelec znajdzie się w każdym plutonie. Na szczeblu brygady powstanie zaś pluton snajperów". Opisaliśmy to w artykule „Urzędnicza paralaksa" („Polska Zbrojna" 5/2013).

Kilka tygodni temu z podobnymi pytaniami zwróciliśmy się do Oddziału Szkolenia w Zarządzie Wojsk Pancernych i Zmechanizowanych Inspektoratu Wojsk Lądowych Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych. Tym razem poinformowano nas, że: „koncepcja snajperów nie wpisuje się w program rozwoju i budowy zdolności wojsk lądowych. Misja i zadania stojące przed pododdziałami ogólnowojskowymi możliwe są do realizacji w oparciu o istniejące struktury oraz specjalnie przygotowanych i wyszkolonych strzelców wyborowych". Co się zmieniło w tak krótkim czasie? Co zadecydowało, że nastąpiła tak radykalna zmiana stanowiska?

SUMA PARADOKSÓW

Z nadesłanej informacji dowiedzieliśmy się także, że „W obowiązującej nomenklaturze polskiej pojęcie »snajper« odnosi się do żołnierza korpusu sił specjalnych, grupy osobowej wykonującej lądowe działania specjalne (rozporządzenie MON z 11.12.2009 r. w sprawie korpusów osobowych, grup osobowych i specjalności wojskowych). Jednocześnie dla korpusu wojsk lądowych – przypisana jest nazwa »strzelec wyborowy«".

Dziwi sformułowanie o „obowiązującej nomenklaturze polskiej". Czy nie powinna być przyjęta raczej międzynarodowa terminologia wojskowa? Jeśli pójść takim tokiem rozumowania, to w tej samej „nomenklaturze", czyli słowniku języka polskiego, słowo „działonowy" określa dowódcę działonu. Dlaczego więc w wojskach pancernych, w załogach czołgów i transporterów są jeszcze działonowi?

Wyjaśnienia przesłane z Inspektoratu Wojsk Lądowych DGRSZ tym bardziej zastanawiają, że w czasie przygotowywania dokumentów wewnątrzresortowych przed wprowadzeniem nowego systemu dowodzenia, specjalna grupa organizacyjna powołana przez ministra zadbała o to, aby „snajper" znalazł się w wykazie specjalności wojskowych. Cała reszta należała do odpowiedniej rangi dowódców i oficerów sztabów, którzy powinni przygotować stosowne wnioski organizacyjno-etatowe.

Od zapoczątkowania reorganizacji strzelectwa precyzyjnego minęła dekada. Nie udało się w tym czasie uporządkować nawet kwestii związanej z nazewnictwem i stanowiskami. Nie powstał żaden model służby strzelca wyborowego czy snajpera. →

Nie przeprowadzono obiecanych zmian strukturalnych.

W toruńskim centrum odbywają się co prawda kolejne kursy dla strzelców wyborowych, ale instruktorzy cyklu cały czas borykają się z wieloma problemami. „Żołnierze z jednostek często są wysyłani na szkolenie z bronią, którą poznają, wyczuwają, a po powrocie z kursu otrzymują inny karabin. Adepci precyzyjnego ognia uczą się strzelać ze snajperskiego wielkokalibrowego karabinu wyborowego Tor kalibru 12,7 mm. Przy okazji się dowiadują, że mogą go używać tylko w dzień, bo brak w nim podświetlenia skali w celowniku oraz szyny pod przystawkę noktowizora, o termowizyjnych przyrządach do obserwacji czy tłumikach nie wspominając", mówi nam były instruktor toruńskiej placówki.

W trakcie szkolenia w Toruniu żołnierze strzelają z dwóch rodzajów karabinów. Do każdego z nich jest kilka rodzajów celowników, a instruktorzy długo się zastanawiają, jak ocenić strzelców, gdyż szanse celnych trafień z każdego rodzaju są diametralnie różne. Instruktorzy radzą też swoim podopiecznym, żeby sami kupili sobie dobrej klasy wiatromierz i kalkulator, bo te przydziałowe są miernej jakości. Zachęcają też do nabycia porządnego dalmierza i kilku innych drobiazgów, których nie ma w wojsku. Efekty ich starań często idą na marne. Do udziału w kursie są wyznaczani często przypadkowi ludzie, niemający odpowiednich predyspozycji. Dramatem jest, że szkoleni z takim wysiłkiem żołnierze po powrocie do macierzystych jednostek po jakimś czasie bywają wyznaczani na inne stanowiska, zupełnie niezwiązane ze strzelaniem precyzyjnym. Personel toruńskiej placówki ma też problem, by podołać potrzebom ilościowym żołnierzy zgłaszanych do przeszkolenia.

Tymczasem dobrze wyszkoleni żołnierze, świadomi swoich umiejętności, pytają, gdzie i jak mają przewozić broń wyposażoną w bardzo delikatne i czułe przyrządy optyczne, skoro w BWP czy rosomakach brakuje miejsca na wyposażenie, broń i amunicję żołnierzy piechoty. „Jedno uderzenie lunetą karabinu Sako o jakiś element pancerza sprawia, że broń staje się niecelna i powinno się ją natychmiast przystrzelać na nowo", argumentuje doświadczony specjalista.

Niektórzy z nich nie rozumieją też decyzji dowódców, którzy uważają, że oni powinni się poru-

Żołnierz specjalnie wyszkolony do eliminowania ważnych celów z dużych odległości. Zadania wykonuje zazwyczaj w ugrupowaniu drużyny lub plutonu wojsk własnych, podczas działań symetrycznych. Charakter jego działań nie wymaga stosowania kamuflażu. Może się posługiwać różnymi rodzajami broni, w tym wielkokalibrowymi karabinami o dużej wadze. Oddając strzały, zazwyczaj nie używa tłumików.

MILITARIUM STUDIO PK

szać razem z nacierającymi żołnierzami, dźwigając ze sobą w tyralierze (oprócz wyposażenia osobistego) wielkokalibrowy karabin wyborowy Tor, razem z zapasem amunicji ważący około 20 kg, i z przystanków celnie strzelać.

Strzelcy wyborowi pytają również, kiedy będą mogli przestać wyposażać się za własne pieniądze? Owszem, otrzymali część potrzebnego sprzętu, ale niektóre rodzaje, jak na przykład środki łączności, są miernej klasy. „W drużynie utworzyliśmy fundusz. Każdy z nas co miesiąc rzuca tam określoną kwotę. Gdy się sporo nazbiera, kupujemy sobie niezbędny sprzęt dobrej jakości. Niedawno nabyliśmy małe, ale o dużej mocy radiotelefony. Teraz zbieramy na termowizyjne urządzenia obserwacyjne", przyznaje dowódca jednej z drużyn strzelców wyborowych.

OKO SNAJPERA

Do specjalistów od precyzyjnych trafień różne podejście mają ich dowódcy. Jedni oficerowie chcą mieć w batalionach dobrze wyszkolonych strzelców wyborowych i snajperów. Innym jest to obojętne. Ci pierwsi wiedzą, jak można ich wykorzystać na polu walki i udowadniali to podczas misji. Inni twierdzą, że skoro nie uczono ich tego w szkołach, to nie muszą się wychylać, szczególnie, że wykorzystanie specjalistów z tej dziedziny normują zbyt ogólnikowe instrukcje i nie ma konkretnych przepisów prawnych odnoszących się do użycia broni.

„W Afganistanie było wiele sytuacji, w których para snajperska mogła zrobić kawał dobrej roboty dla ochrony naszej bazy lub żołnierzy w czasie patroli. Kilka razy współpracowaliśmy z zespołami snajperskimi z wojsk specjalnych, ale nie mogłem ich wykorzystywać zbyt często", wspomina jeden z dowódców zgrupowania bojowego misji w Afganistanie.

„Swoich strzelców wyborowych nie mogłem wysyłać na zasadzki poza bazę, z dala od własnych wojsk. Oni prosili o takie zadania, ale odmawiałem. Gdyby podczas akcji coś im się stało, odpowiadałbym przed prokuratorem. Przecież wiadomo, że strzelec wyborowy to nie snajper i nie może działać w dużym oddaleniu od wojsk własnych. Oprócz tego, aby wysyłać ich na samodzielne akcje, jest potrzebne znacznie lepsze wyposażenie w odpowiedni sprzęt łączności i obserwacyjny", komentuje oficer.

St. szer. Artur Kowalski (nazwisko zmienione) – strzelec wyborowy z wieloletnim stażem – był na misji w Afganistanie. Wspomina, że byli tam dowódcy, którzy chętnie stawiali mu zadania snajperskie, oraz tacy, dla których właściwie nie istniał, a w patrolu działał jako zwykły piechociniec: „Kiedy jako snajper, odpowiednio zamaskowany, lokowałem się w dobrym punkcie, skąd jak na dłoni miałem wioskę, która miała być przeszukana, chłopaki z patrolu czuli się pewniej. Dowódca też, bo wiedział, że widzę więcej, a w razie kontaktu wesprę ich skutecznym ogniem. Bywało, że do tego dochodziło. Po akcji dziękowano mi za wsparcie i za to, że byłem ich okiem", wspomina Artur.

„Innym razem obserwowałem pewne osiedle. W którymś momencie zauważyłem człowieka dziwnie zachowującego się w zarośniętym terenie. Zameldowałem o tym dowódcy. Zapytałem, czy mam mieć na niego oko, czy w razie potrzeby mogę chociaż postraszyć go strzałem w pobliże miejsca, gdzie się skrył. W odpowiedzi usłyszałem przez radio, że mam nie zawracać tyłka jakimś facetem, który wyszedł do sadu za potrzebą. Zmieniłem więc sektor obserwacji. Po chwili chłopaki zostali ostrzelani z moździerzy. Jestem przekonany, że tamten mężczyzna nie wyszedł za potrzebą, lecz był obserwatorem terrorystów", opowiada strzelec.

Artur Kowalski pełni służbę w jednej z drużyn strzelców wyborowych. Niedługo żegna się z wojskiem. Jego stanowisko, tak jak innych członków drużyny, nie jest podoficerskie. Kończy mu się kontrakt. W podobny sposób, ze względu na brak etatów podoficerskich dla strzelców wyborowych, każdego roku opuszcza armię wielu doskonałych i doświadczonych specjalistów od precyzyjnego strzelania. Na wyszkolenie nowych potrzeba będzie wiele czasu i pieniędzy.

DUŻE EFEKTY MAŁYM KOSZTEM

Wydawać by się mogło, że pytanie, czy w naszych jednostkach wojskowych potrzebni są snajperzy, jest retoryczne. Niepodważalnymi argumentami „za" są chociażby doświadczenia naszych sojuszników oraz relacje na ten temat z różnych aren współczesnych konfliktów zbrojnych.

„Maksymalnie pięciu snajperów separatystów utrzymywało w szachu bataliony »Azow« i »Szachtiorsk«. Trzystu ludzi zatrzymali kilometr przed Iłowajskiem. Nikt nie mógł podnieść głowy. […] Ciężkiej broni nam brakowało. Automatem nie można ich było dosięgnąć. Myśmy ich po prostu nie widzieli! Nasi snajperzy – patrioci walili ze swoich karabinów snajperskich jak z karabinów maszynowych, ale one biją celnie na około 800 metrów. Oni utrzymywali nas na co najmniej 1000 metrów", oto relacja jednego z ukraińskich żołnierzy walczących na wschodzie kraju.

Jedyna optymistyczna informacja z Inspektoratu Wojsk Lądowych DGRSZ jest taka, że: „Inspektorat Uzbrojenia prowadził prace analityczno-koncepcyjne dotyczące pozyskania karabinów wyborowych wraz z systemem celowników i amunicją. W 2014 roku trwał dialog techniczny. Planowane dostawy nowych karabinów i innego sprzętu dla strzelców wyborowych karabinów przewidziane są w bieżącym i następnym roku". ■

SNAJPER

Jest przygotowywany do przenikania na teren przeciwnika, długotrwałego ukrywania się przy zastosowaniu środków kamuflujących, następnie niszczenia wyznaczonych celów. Działa zazwyczaj w parze z obserwatorem. Para snajperska może być wykorzystywana do długotrwałej obserwacji, wskazywania ważnych celów dla atakujących samolotów, kierowania wsparciem artylerii lub lotnictwa. W razie potrzeby precyzyjnie naprowadzi śmigłowce z pomocą medyczną. Snajperzy stosują powtarzalne karabinki, dlatego mogą być znaczącym wsparciem dla konwojów lub patroli w trakcie potyczek ogniowych.

Z generałem dywizji Mirosławem Różańskim

o tym, czy w pododdziałach wojsk lądowych snajperzy są niezbędni, rozmawia Bogusław Politowski.

SUMA RÓŻNIC

Na różnych szczeblach dowodzenia trwają dyskusje, czy w armii powinniśmy mieć strzelców wyborowych, czy snajperów. Jaka jest Pana opinia?

Nie mam żadnych wątpliwości, że w armii, w wojskach lądowych, w pododdziałach zmechanizowanych, zmotoryzowanych rozpoznawczych powinny być stanowiska dla snajperów. I nie chodzi o zmiany kosmetyczne, mające wymiar PR-owy. Wraz z nowymi stanowiskami powinna się zmienić taktyka wykorzystania tych ludzi w działaniach zbrojnych. Ponadto, w obliczu naszych doświadczeń z operacji poza granicami kraju, redefinicji wymaga prawo użycia broni. Wszystko to nie są wymysły generała, lecz wnioski, które razem z moimi podwładnymi, żołnierzami, aspirującymi do tego, by zostać snajperami oraz instruktorami, wypracowaliśmy już na początku, kiedy zaczęliśmy się zajmować tym zagadnieniem, czyli w 2006 roku.

Był Pan wówczas pomysłodawcą zmian dotyczących liczby, umiejscowienia oraz roli strzelców wyborowych w strukturach batalionów zmotoryzowanych. Co było powodem tej inicjatywy?

Zaangażowanie w misje w Iraku, Afganistanie czy, wcześniej, w krajach bałkańskich zmieniło nasze postrzeganie współczesnego środowiska walki, a co więcej, pozwoliło skonfrontować dotychczasowe szkolenie czy taktykę z realnymi warunkami działania. W 2006 roku w 17 Wielkopolskiej Brygadzie Zmechanizowanej, której byłem dowódcą, przygotowywałem skład brygadowej grupy bojowej, która miała lecieć do Iraku. Nie chciałem powielać utartych schematów oraz sięgających II wojny światowej koncepcji wykorzystywania snajperów w działaniach bojowych. Wówczas do przygotowań oraz pomocy w szkoleniu włączyliśmy byłego policjanta, snajpera antyterrorystę, instruktora strzelectwa Zbyszka Świerczka.

Później zrodził się pomysł utworzenia w Wędrzynie specjalnego ośrodka szkoleniowego dla strzelców wyborowych. Był Pan jego współtwórcą?

W tej chwili ojców może znalazłoby się więcej. Niemniej jednak był to projekt realizowany przeze mnie i moich podwładnych z brygady ze wsparciem ówczesnego dowódcy wojsk lądowych gen. Waldemara Skrzypczaka. Pomysł był świetny. Udało się sprowadzić najlepszych instruktorów z Kanady, która ma ogromne doświadczenia w strzelaniu precyzyjnym z dużych odległości.

WIZYTÓWKA

MIROSŁAW RÓŻAŃSKI

Jest jednym z najbardziej doświadczonych dowódców naszej armii. Dowodził m.in. 17 Wielkopolską Brygadą Zmechanizowaną oraz 11 Lubuską Dywizją Kawalerii Pancernej. Był dowódcą Brygadowej Grupy Bojowej podczas misji w Iraku. Pełnił obowiązki zastępcy szefa Zarządu Planowania Strategicznego – P5 Sztabu Generalnego WP oraz obowiązki dyrektora Departamentu Strategii i Planowania Obronnego MON. Obecnie jest radcą koordynatorem w pionie sekretarza stanu w MON.

SZCZEPAN GŁUSZCZAK

***Strzelec wyborowy** od snajpera różni się nie tylko samym działaniem i taktyką. Różnice są dostrzegalne przede wszystkim we wsparciu logistycznym i wyposażeniu indywidualnym*

Był to czas, kiedy zaczęliśmy postulować, by jednoznacznie rozróżniać strzelców wyborowych od snajperów, w naszym projekcie wskazywanych jako niezbędnych na współczesnym polu walki.

Czy to, co obecnie dzieje się ze szkoleniem strzelców precyzyjnych, jest zgodne z dawną ideą, która kiedyś Panu przyświecała?

Niestety, w późniejszym etapie funkcjonowania kursu strzelców wyborowych brakowało odpowiedniej motywacji i determinacji w nadrzędnych sztabach i dowództwach, żeby usystematyzować nazewnictwo, stworzyć odpowiednie narzędzia etatowo-organizacyjne, a przede wszystkim zainicjować zmiany mentalne. Szkołę następnie przeniesiono do Torunia, zmieniła się kadra, nastawienie, filozofia… Ówczesny pion szkolenia wojsk lądowych zdawał się robić wszystko, by entuzjazm i zaangażowanie żołnierzy związanych z ideą utworzenia w Wojsku Polskim formacji snajperów legły w gruzach.

Jako jeden z nielicznych dowódców wykorzystywał Pan w Iraku strzelców wyborowych do samodzielnych zadań. Wielu dowódców twierdzi, że żołnierze ci nigdy nie powinni działać samodzielnie, lecz w ugrupowaniu wojsk własnych…

W Iraku robiłem wszystko, aby zapewnić swoim żołnierzom bezpieczeństwo oraz umożliwić skuteczne wykonywanie zadań operacyjnych. Generał, dowódca może być mało obiektywy. Proszę zapytać o to moich podwładnych z tamtego okresu. Jestem przekonany, że potwierdzą moje słowa, iż zmiany w sposobie wykorzystania specjalistów, nie jako strzelców, lecz właśnie snajperów, przyczyniły się do zwiększenia bezpieczeństwa w prowincji Wasit, za którą jako 1 Brygadowa Grupa Bojowa byliśmy odpowiedzialni. Nasze przygotowanie do wykonywania zadań snajperskich oceniali koledzy z jednostki wojskowej 2305, którzy ze względu na sytuację wokół bazy Echo zostali ściągnięci z kraju do Ad-Diwaniji. Gratulowali umiejętności, wskazując, że jeszcze dużo pracy przed moimi podwładnymi. Ta ocena to dla nich najważniejsze wyróżnienie. Przyszedł czas zmian ISAF. Po akceptacji ówczesnego dowódcy wojsk lądowych gen. Tadeusza Buka, przy pomocy kolegów z Kanady, przeprowadziliśmy dla żołnierzy przygotowujących się do ósmej zmiany typowy kurs dla snajperów. Obejmował on nie tylko treningi strzeleckie, lecz także taktykę snajperską. Na temat przydatności tych żołnierzy mogą wypowiadać się koledzy, którzy później dowodzili nimi w Afganistanie.

Do dziś strzelcy wyborowi sami, za własne pieniądze zaopatrują się w wiele akcesoriów potrzebnych do wykonywania zadań. Często do treningów brakuje im specjalistycznej amunicji. Z czego to wynika?

Wszystko to łączy się z przyjętą pragmatyką oraz brakiem konsekwencji w kwestii stanowisk dla snajperów. Nie trzeba być znawcą tematu, aby wiedzieć, że strzelec wyborowy od snajpera różni się nie tylko samym działaniem i taktyką. Różnice są dostrzegalne przede wszystkim we wsparciu logistycznym i wyposażeniu indywidualnym. Od umundurowania, poprzez broń snajperską i osobistą, optykę, amunicję, aż po łączność i znacznie szersze wsparcie, które wykracza poza poziom pododdziału. Inaczej się sprawy mają w naszych wojskach specjalnych – to pozytyw, który należy zauważyć. Nie zmienia to faktu, że snajperzy są niezbędni dla dowódców pododdziałów wojsk lądowych.

Jest Pan doświadczonym dowódcą liniowym, a także doskonale poznał Pan specyfikę pracy w najważniejszych strukturach kierowania armią. Na czym polega, Pana zdaniem, trudność w unormowaniu sytuacji w wypadku snajperów?

Po zakończeniu dowodzenia dywizją pracowałem na różnych stanowiskach, ale sprawa snajperów nie przestała być mi obojętna. Kontestujący w przeszłości ten projekt zwracali uwagę na to, że w wykazie specjalności wojskowych nie ma snajpera. Gdy dostosowywaliśmy dokumenty wewnątrzresortowe do nowego systemu dowodzenia, dopilnowaliśmy, by ta specjalność znalazła się w wykazie. Teraz do dowódców należy inicjatywa przygotowania wniosków organizacyjno-etatowych. ■

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Wilk czy anioł

Major ma niewiele czasu na rozmowę. Trwa kurs strzelców wyborowych, a on odpowiada za to, aby w tej maszynerii nie zaciął się żaden trybik. Szkolenie ma przebiegać zgodnie z planem.

Tylko bez nazwisk", zastrzega Major. Tłumaczy, że nie chce, aby ktoś powiedział jego dziecku, że ojciec szkoli morderców. Nie podamy też ani liczby uczestników, ani organizowanych kursów, aby nie ujawniać informacji, ilu strzelców wyborowych ma polska armia. Możemy porozmawiać natomiast o tym, jaki jest cel kursu. „Aby każdy kończący go żołnierz potrafił ochronić kolegów z plutonu", mówi Major. Zgodnie ze starym żołnierskim porzekadłem: im więcej potu na ćwiczeniach, tym mniej krwi w boju. Bo w tej robocie wcale nie chodzi o zabijanie.

Kiedyś była tu brygada artylerii. Nieco na uboczu, z dala od miejskiego zgiełku. Potem, gdy armia przechodziła kurację odchudzającą, część budynków wojsko przekazało miastu, w pozostałych mieści się dziś jeden z kompleksów Centrum Szkolenia Artylerii i Uzbrojenia. Za ogrodzeniem zaczyna się poligon. To właśnie ten rozległy teren zdecydował o tym, że instruktorzy armii kanadyjskiej wskazali Toruń jako najlepsze miejsce do szkolenia strzelców wyborowych. Dziś na toruńskim poligonie są prowadzone strzelania z TRG-21/22 SAKO kalibru 7,62 mm, kbw Bor/Alex oraz 12,7-milimetrowego

ARKADIUSZ DWULATEK/COMBAT CAMERA DORSZ

ŻOŁNIERZ, KTÓRY DOBRZE STRZELA, ALE SŁABO SIĘ MASKUJE, BĘDZIE ŻYŁ KRÓCEJ NIŻ TEN, KTÓRY MASKUJE SIĘ DOBRZE, ALE GORZEJ STRZELA

wkbw Wilk/Tor na odległość do 1200 m. O historii Centrum opowiada oficer prasowy kpt. Tomasz Kisiel. „W 2008 roku, po doświadczeniach 17 Wielkopolskiej Brygady Zmechanizowanej w Iraku, z inicjatywy ówczesnego dowódcy brygady gen. Mirosława Różańskiego powołano do życia kurs strzelców wyborowych. W roku 2011 przeformowano go na Ośrodek Szkolenia Strzelców Wyborowych. Zmieniono wówczas nie tylko nazwę, lecz także lokalizację: z Wędrzyna na Toruń", wspomina kpt. Kisiel.

Ośrodek szkolący strzelców zyskał nie tylko dostęp do toruńskiego poligonu, lecz także nowych instruktorów, którzy ukończyli jeden z najtrudniejszych kursów wojsk lądowych kanadyjskiej armii – Basic Sniper Course w szkole piechoty w Gagetown. Obecnie siedmiu instruktorów ma kanadyjskie kwalifikacje snajperskie, a dwaj oficerowie (kierownik cyklu oraz wykładowca) wielokrotnie byli obserwatorami kanadyjskich szkoleń i zawodów snajperskich.

„Ośrodek Szkolenia Strzelców Wyborowych wchodzi w skład Centrum Szkolenia Artylerii i Uzbrojenia w Toruniu", tłumaczy komendant kpt. Arkadiusz Żuchowski. To on czuwa nad tym, aby zapewnić kursantom zakwaterowanie, sprzęt czy pojazdy. Szkoleniem zajmują się Major i Kapitan. „Kurs jest ciężki", przyznaje komendant. Średnio odpada co drugi kandydat na strzelca.

TEORIA I PRAKTYKA

Szkolenie trwa dziewięć tygodni. Każdy dzień jest dokładnie opisany. Program jest tak ułożony, że kolejne zadanie wymaga umiejętności z poprzedniego. Rozpoczął się dopiero drugi tydzień kursu, więc przeważają zajęcia teoretyczne. Przez najbliższe dwa miesiące żołnierze będą się uczyć podstaw balistyki, obsługi broni wyborowej, taktyki, maskowania i skrytego podchodzenia przeciwnika w terenie, tropienia, budowania ukryć oraz celnego prowadzenia ognia z posiadanej broni. Na zajęciach z obserwacji instruktor każe im wykryć rozrzucone w terenie przedmioty, a podczas ćwiczeń z zapamiętywania zapyta o liczbę okien w budynku, obok którego niedawno przeszli. „Żołnierz ma większe szanse na przeżycie, jeśli jest spostrzegawczy", wyjaśnia Major.

Na korytarzu pod ścianą leżą w rzędzie karabiny uczestników kursu – Alex, SAKO-TRG 21, FN SCAR H, większość pomalowana w zielono-brązowe maskujące wzory. W sali wykładowej trwa szkolenie z balistyki. Temat: ściąganie języka spustowego. „Strzał oddajemy na wydechu", tłumaczy Kapitan. On prowadzi zarówno zajęcia ze strzelania z amunicją bojową na poligonie, jak i te teoretyczne dotyczące strzelania. „Na wydechu", powtarza Kapitan. „Zapiszcie to czerwonymi literami", mówi i omawia najczęściej popełniane błędy w momencie, gdy żołnierz naciska na spust: niestabilna postawa, hiperwentylacja płuc powodująca zawrót głowy, zbyt szybkie spuszczanie języka spustowego. W trzech rzędach siedzą kursanci, jedni notują, drudzy słuchają. Są wśród nich dwaj funkcjonariusze Biura Ochrony Rządu. W następnym tygodniu sprawdzą zdobytą wiedzę na strzelnicy.

Zajęcia na poligonie rozpoczynają się od strzelania na celność i skupienie na odległość 100 m. Kapitan tłumaczy, że pięć →

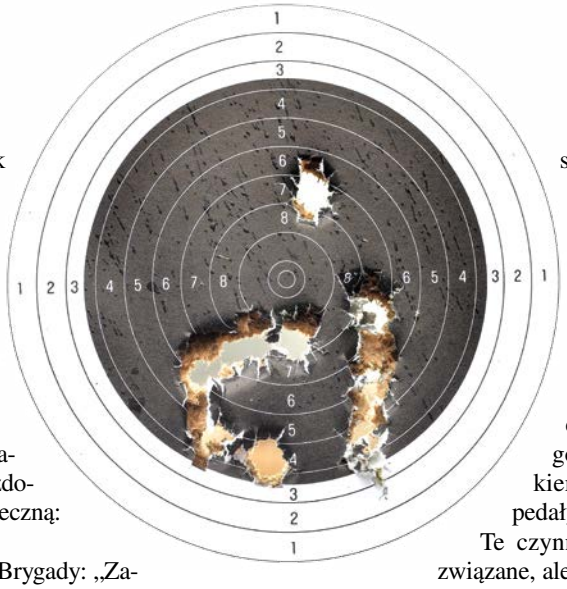

kolejnych strzałów ma się znaleźć jak najbliżej siebie. „Wyrabiamy u żołnierza powtarzalność strzału", mówi. „Najpierw ustawiamy się na dystansie od 100 do 600 m, a potem przechodzimy do strzelań na nieokreśloną odległość. Osiem tarcz jest ustawionych w oddaleniu od 200 do 600 m. Zadaniem żołnierza jest zmierzyć odległość i oddać do każdej tarczy po pięć strzałów. Na ocenę bardzo dobrą trzeba zdobyć minimum 36 punktów, na dostateczną: od 28 do 31.

St. szer. Rafał K. przyjechał z 12 Brygady: „Zawsze pociągało mnie strzelanie wyborowe, wiele na ten temat czytałem. Na kursie konfrontuje wiedzę teoretyczną z praktyką. Podczas marszów z kompasem w terenie na przykład doskonalił operowanie mapą. Gdy uda się zaliczyć kurs, ma nadzieję, że przyda się w brygadzie jako instruktor, chociażby podczas zajęć na strzelnicy. Na razie jednak o tym nie myśli, bo jutro rozpoczynają się zajęcia dotyczące stroju maskującego.

Każdy kursant dostaje małą książeczkę – poradnik strzelca wyborowego. To nie tylko kompendium wiedzy, lecz także dziennik z rejestrem oddanych strzałów. Wszyscy żołnierze wpisują tu swoje wyniki.

Po krótkiej przerwie rozpoczyna się kolejne szkolenie. Do sali wchodzi Sierżant. Temat: pomiar odległości. Sierżant zarządza klasówkę. Chce sprawdzić, czy żołnierze opanowali wiedzę, jaką im dotychczas przekazał. Wykładowca podaje dane potrzebne do wyliczenia odległości do celu: wysokość celu i jego wysokość kątową. Czas na wykonanie zadania: cztery minuty. Nie wszyscy wyliczyli poprawnie, a za kilka dni pierwsze zajęcia ze strzelania. „Każdy z was widzi, na jakim jest etapie", podsumowuje instruktor.

„Skryte podejście do celu to najtrudniejsze ćwiczenie do zaliczenia", przyznaje Major. „Stopniujemy trudności. Pierwsze ćwiczenia odbywają się w terenie zalesionym, gdzie się łatwiej ukryć. Oddaleni o 150 m obserwatorzy wypatrują przez lornetki zamaskowanych kursantów. Major wspomina żołnierza, który miał wyjątkowy talent do maskowania, taki siódmy zmysł. Był jednak tak dokładny, że nie mieścił się w wyznaczonym czasie. Odpadł, ale wrócił na poprawkę".

BUSZUJĄCY W ZBOŻU

Snajper zlokalizowany to snajper martwy. Dlatego tak ważny jest kamuflaż. Na kursie żołnierze dowiadują się, że musi on być dopasowany do pory roku, szaty roślinnej i warunków terenowych. Strój maskujący trzeba uzupełnić roślinnością z terenu, po którym przemieszcza się strzelec, na przykład koniczyną, zbożem, trawą, liśćmi. Major przyznaje, że to trudna sztuka. Żołnierz, który dobrze strzela, ale słabo się maskuje, będzie żył krócej niż ten, który maskuje się dobrze, ale gorzej strzela.

Kurs nie kończy się egzaminem. Z ćwiczeń, jakie dają im do wykonania instruktorzy, żołnierze muszą zaliczyć co najmniej połowę. Inaczej odpadają. Czasem nie z własnej winy. Wtedy wystawiona przez Majora pozytywna opinia ratuje im skórę w macierzystej jednostce. Jak na przykład żołnierzowi, który został wykryty przez obserwatora i nie zaliczył ćwiczenia, bo przed nim leżała zbita butelka, której nie widział, a odbite w szkle słońce zdradziło jego pozycję.

Kapitan porównuje szkolenie do jazdy samochodem: pierwszego dnia kursant uczy się kręcić kierownicą, drugiego obsługiwać pedały, trzeciego zagląda pod maskę. Te czynności pozornie nie są ze sobą związane, ale każda umiejętność jest potrzebna. „Podczas kończących kurs trwających dwie doby zajęć taktycznych wsadzamy kursantów do samochodu i każemy im jechać do miasta, czyli poskładać wszystko, czego się nauczyli", tłumaczy obrazowo Kapitan. Działają w polu jako sekcja strzelców wyborowych: dostają do wykonania zadanie, przemieszczają się, zakładają punkty obserwacyjne, przekazują informacje do stanowiska dowodzenia", wyjaśnia Kapitan.

„Zaliczenie kursu to jednak początek drogi strzelca", uważa Major. Żołnierz musi rozwijać zdobyte umiejętności. „Mam 24 lata służby, a nadal się uczę i zdobywam nowe doświadczenia", mówi.

NIEKTÓRZY UWAŻAJĄ, ŻE STRZELCY WYBOROWI I SNAJPERZY TO SAMOTNE WILKI

DIABEŁ NA CELOWNIKU

Major nie rozumie, dlaczego w polskich wojskach lądowych są tylko strzelcy wyborowi, a nie ma snajperów. 90% roboty jednych i drugich polega na obserwacji. „Faktycznie szkolimy snajperów, którzy są w pododdziałach batalionów zmechanizowanych i zmotoryzowanych, w drużynie strzelców wyborowych", mówi.

Kandydatów na strzelców typują dowódcy. „To oni muszą mieć pewność, czy żołnierz ma odpowiednie predyspozycje i cechy charakteru, które są ważne w służbie strzelca wyborowego", tłumaczy jeden z instruktorów Cyklu Szkolenia Strzelców Wyborowych w Centrum Szkolenia Artylerii i Uzbrojenia w Toruniu, który także chce zachować anonimowość.

Jakie cechy powinien mieć strzelec wyborowy? „Podobnie jak snajper musi być cierpliwy, odporny na stres i spostrzegawczy", twierdzą zgodnie Major i Kapitan. Jego praca to długie godziny spędzone na obserwowaniu, w ciągłym napięciu, skupieniu i poczuciu niebezpieczeństwa. Strzelcy widzą więcej, strzelają dalej i celniej niż „normalny" żołnierz. Ważna jest odporność fizyczna, ale też psychiczna. „Strzelec wyborowy nie może się zastanawiać nad tym, kim jest jego cel, czy ma rodzinę, gdzie mieszka. Inaczej zwariuje, bo już sam strzał do człowieka jest olbrzymim obciążeniem", podkreśla instruktor.

Jedni uważają, że strzelcy wyborowi i snajperzy to samotne wilki. Drudzy widzą w nich członków zespołu, którzy niczym anioł stróż wspierają kolegów z pewnej odległości. Są też tacy, którzy dopatrują się u nich czarcich cech. Nie bez przyczyny oznaką rozpoznawczą Cyklu Szkolenia Strzelców Wyborowych jest diabeł, którego twarz znajduje się w krzyżu celownika. ■

RAFAŁ MIEDŁO/11 LDKPANC

ARCH. PRZEMYSŁAWA WÓJTOWICZA

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Licencja na niewidzialność

Ostatnia rzecz w robocie snajpera to strzał.

SNAJPER MUSI UMIEĆ niepostrzeżenie wejść na teren nieprzyjaciela, dowiedzieć się, jak są rozmieszczone jego siły, a potem równie niepostrzeżenie się wycofać.

Nie zapytam, ilu ludzi zabił, bo takich pytań snajperom się nie zadaje. O niektórych sprawach nie będziemy rozmawiać. Nie dowiem się, co czuje strzelec, gdy w krzyżu celownika widzi cel, obserwuje go, widzi twarz. Takiego obrazu nie ma przed oczama pilot śmigłowca czy celowniczy karabinu maszynowego, którzy także zabijają. Człowiek, który strzelił do innego człowieka, wcześniej czy później musi zmierzyć się ze swoim sumieniem, bo przekroczył linię niedostępną dla tych, co zostali po drugiej stronie.

W polskim wojsku zamiast słowa „snajper" używa się określenia „strzelec wyborowy", chociaż obaj wykonują takie same zadania. W powszechnym odczuciu snajper budzi skojarzenie z mordercą, który naciska spust i zabija. Mł. chor. Przemysław Wójtowicz, starszy instruktor w pionie szkolenia 1 Warszawskiej Brygady Pancernej z Wesołej, nie zgadza się z takim zaszufladkowaniem, bo jak mówi: „strzał to ostatnia rzecz w tej robocie". W negatywnym świetle opisał środowisko amerykański snajper Chris Kyle, który publicznie przyznawał się, że zabił 255 osób. Przemek nie rozumie, jak z tego powodu mógł on czuć się bohaterem.

Mł. chor. Wójtowicz szkoli żołnierzy – strzelców wyborowych, przygotowuje ich do działania w warunkach bojowych. Pomaga też rannym weteranom w rehabilitacji, organizuje dla nich rajdy rowerowe i obozy sportowe. Jest jednym z najlepszych strzelców wyborowych w Polsce. W ubiegłym roku podczas zawodów strzeleckich organizowanych przez Stowarzyszenie Rannych i Poszkodowanych w Misjach poza Granicami Kraju na 70 możliwych punktów zdobył 70.

DOBRE OKO TO ZA MAŁO

Wyszkolenie dobrego snajpera zajmuje minimum pięć lat. „Chodzi o to, aby oddać jak najcelniejszy strzał, z jak najdalszej odległości i w jak najtrudniejszych warunkach", tłumaczy Przemek.

Do celnego strzelania na dużą odległość nie wystarczy tylko dobre oko. Strzelec musi znać matematykę i fizykę, wiedzieć, co się dzieje z pociskiem podczas strzału (to balistyka wewnętrzna), po opuszczeniu przewodu lufy (balistyka zewnętrzna) oraz gdy dotknie on celu (balistyka końcowa). Te obliczenia są ważne, bo przy strzale na odległość kilometra wiatr może kilkakrotnie zmienić tor lotu kuli. „Lot pocisku zależy też od jego wagi, temperatury i wilgotności powietrza. Im cięższy pocisk, tym bardziej płaski lot. Lżejszy najpierw wznosi się do góry, a potem opada. Gdy jest cieplej, pocisk leci dalej", tłumaczy Przemek. Uważa, że dziś jest łatwiej o takie obliczenia, bo strzelcowi pomagają także stacje meteorologiczne, komputery i dalomierze, a wiele karabinów ma wkomponowane w lunetę komputery balistyczne.

Od 2003 roku Przemek prowadzi dziennik, w którym zapisuje każdy oddany strzał – ten →

przy minus 22 stopniach, oraz te przy plus 50. Tak powstała mapa karabinów i amunicji, która dziś przydaje się w obliczeniach: wystarczy odnaleźć w zeszycie podobny strzał, porównać warunki atmosferyczne i można przewidzieć tor lotu pocisku.

Ale nie tylko na oddaniu celnego strzału polega praca strzelca wyborowego. Dziś jest on głównie zwiadowcą, który musi rozpoznać i namierzyć nieprzyjaciela. Strzelcy dysponują sprzętem fotograficznym, nawigacyjnym, meteorologicznym, kierują ogniem, wskazują cele lotnictwu czy artylerii. Strzał, jeśli w ogóle pada, jest na końcu. Zadanie nie zawsze musi polegać na likwidowaniu żołnierzy przeciwnika, można zniszczyć celownik czołgu czy anteny nadajników.

Snajper musi być mistrzem kamuflażu, wtopić się w tło. Zdemaskować może go najmniejszy ruch lub cień. W byciu niewidocznym pomagają siatki maskujące oraz mundury we wzorze MultiCam – łączące siedem różnych odcieni zieleni, brązu i beżu. Kształt i kolory mają oszukiwać mózg ewentualnego obserwatora i wtopić osobę w otoczenie. „Człowiek w MultiCamie, siedzący w bezruchu, między skalami jest niewidoczny", zapewnia Przemek.

Snajper musi umieć niepostrzeżenie wejść na teren nieprzyjaciela, dowiedzieć się, jak są rozmieszczone jego siły (gdzie znajdują się pojazdy, a gdzie magazyny czy stanowiska dowodzenia), a potem równie niepostrzeżenie się wycofać. Wtedy do akcji mogą przystąpić regularne oddziały, uzbrojone także w wiedzę o siłach przeciwnika.

W POLSKIM WOJSKU ZAMIAST SŁOWA „SNAJPER" UŻYWA SIĘ OKREŚLENIA **„STRZELEC WYBOROWY"**, CHOCIAŻ OBAJ WYKONUJĄ TAKIE SAME ZADANIA

SKRYTE PODEJŚCIE

W 2009 roku Przemek ukończył sześciotygodniowy kanadyjski kurs strzelców wyborowych. Jego instruktorem był między innymi snajper armii kanadyjskiej, który brał udział w wielu operacjach w Mogadiszu, Iraku, Afganistanie i na Arktyce.

Przemek opowiada o ćwiczeniach nazywanych stalking exercises, skrytym podejściu i oddaniu strzału. Polegają one na tym, że strzelec musi się przemieszczać w terenie, dotrzeć z punktu wyznaczonego, w którym ma oddać strzał, do punktu obserwacyjnego, gdzie znajdują się instruktorzy, próbujący go wychwycić.

W Wędrzynie grupę strzelców wywieziono w nieznanym kierunku, podano im współrzędne punktu obserwacyjnego oraz boksu, do którego mieli dotrzeć w ciągu trzech godzin. Boks był otwartym terenem o wymiarach 100x200 m. Strzelcy (każdy maskował się indywidualnie) mieli się tam niepostrzeżenie wślizgnąć i oddać dwa strzały. Działo się to pod czujnym okiem obserwatorów, którzy znajdowali się 100 m dalej. Ich zadanie polegało na wypatrzeniu strzelców, których mógł zdradzić błysk wylatującej łuski lub jakikolwiek wstrząs. „Udało mi się wykonać to zadanie za siódmym razem", przyznaje Przemek.

„Zazwyczaj strzelcy wyborowi nie podchodzą na tak krótki dystans, ale gdy nauczymy ich podejścia do celu na 200 m, to potem na polu walki podejście na 600 m nie będzie żadnym wyzwaniem, bo zdobyli już licencję na niewidzialność", mówi Przemek. „Dzięki temu w Afganistanie wiedziałem, co mnie może zdemaskować i jaki kamuflaż mam dobrać do zadania", dodaje.

W KURORCIE TALIBÓW

Dwukrotnie w 2010 roku Przemek wyjeżdżał na misję do Afganistanu. Jak wspomina, najcięższa była siódma zmiana, która przypadała na czas wyborów. Zginęło wówczas siedmiu żołnierzy, ponad 120 zostało rannych.

„Nasza sekcja strzelców wyborowych była oczami grupy bojowej", mówi Przemek. Nie zawsze byli potrzebni. Na odkrytej przestrzeni, gdzie stały niskie budynki, wystarczały rosomaki, które mają doskonałe przyrządy celownicze i termowizję. „Nasze zadania polegały głównie na rozpoznaniu, wychodziliśmy nocą z bazy, zajmowaliśmy stanowisko w wiosce, zazwyczaj w dwóch punktach, z których była dobra widoczność. Mogliśmy wskazać do TOK-u [tactical operations center] cel, podać jego koordynaty i potem, w razie potrzeby, pokierować atakiem artylerii lub lotnictwa – naprowadzić pilota śmigłowca na cel. Kto mógł być celem? Na przykład grupa ludzi z bronią".

Wypadek wydarzył się w 2010 roku pod koniec zmiany. Dostali zadanie, aby wesprzeć posterunek afgański w Adżiristanie. Było to wyjątkowo paskudne miejsce, 160 km od Ghazni, otoczone przez wysokie na 5000 m góry. Polscy żołnierze nazywali je kurortem dla talibów, bo to głównie oni tam mieszkali i robili, co chcieli. Tam zginął kpt. Daniel Ambroziński.

Na tym posterunku, czyli w budynku (90x100 m) bez wody i kanalizacji, spędzili zamiast zaplanowanych czterech dni – 12. „Cały czas trwała wymiana ognia. Wszyscy byliśmy ranni. Dziesiątego dnia skończyły się woda i jedzenie. Gdyby nie przyleciały amerykańskie apache i black hawki, nie rozmawialibyśmy dzisiaj", wspomina Przemek.

Po tym wydarzeniu pozostała mu „pamiątka": pięć odłamków w nodze, które dają o sobie znać po dłuższym biegu lub gdy jest zimno. „Ale i tak miałem szczęście. Gdybym dostał 2 cm dalej, miałbym porozrywane ścięgna i więzadła".

RAMBO ODPADA

Nie każdy żołnierz może zostać strzelcem wyborowym. Dawniej wyznaczano do tej roli tych, którzy dobrze strzelali. Dziś są sprawdzane też predyspozycje psychiczne. Nie wystarczy dobre przygotowanie fizyczne i orientacja na polu walki. Potrzebna jest zimna krew.

Przemek podkreśla, że strzelcy powinni być spokojnymi i pogodnymi ludźmi, mieć poukładane życie prywatne. Nie nadają się palacze, bo zapach tytoniu może zdradzić pozycję strzelca i jest nienaturalny na przykład w lesie, a brak nikotyny dekoncentruje. Odpadają też żołnierze, którym marzy się kariera Rambo, a także pieniacze i osoby mało odpowiedzialne.

Słyszałam o snajperze, który w cywilu został myśliwym. Wrócił jednak na wojnę, bo polowanie na grubego zwierza nie zapewniało wystarczającej dawki adrenaliny. „W naszym szkoleniu chodzi o to, żeby nie było jak u Ernesta Hemingwaya – kto raz zapoluje na człowieka, nie będzie mógł o tym zapomnieć i zechce to zrobić ponownie", dodaje Przemek. ■

ŁAGODNY JAK SNAJPER

Z Michałem Pycią

o celach, z jakimi musiał się zmierzyć, rozmawiają Ewa Korsak i Magdalena Kowalska-Sendek.

O szkoleniu snajperów w GROM-ie i innych jednostkach specjalnych krążą legendy. Czy prawdą jest, że instruktorzy zaszczepiają w młodych strzelcach przekonanie o tym, że są bogami?

Być może, ale ja nigdy tego nie słyszałem. Domyślam się, że tego rodzaju sformułowania padają po to, by zmotywować ludzi do ciężkiej pracy. Na pewno nikt nikomu nie wmawia, że ma jakieś nadludzkie moce. Faktem jest natomiast, że żołnierze, którzy trafiają do jednostki na szkolenie podstawowe, potrzebują specjalnej motywacji. Muszą uwierzyć w siebie i być w 100% pewni, że chcą zostać snajperami.

Snajper – bohater filmów i książek ma w sobie coś z herosa. Czy kiedykolwiek poczułeś się jak taki bohater, dysponujący supermocami?

Ciężko powiedzieć facetowi, który na misjach spędził niemal 30 miesięcy, że jest bogiem i że ma jakąś supermoc. Mam swoje problemy, jak każdy. Boli mnie noga i kręgosłup. Zdecydowanie nie czuję się herosem (śmiech).

Ale w szkoleniu operatorów od samego początku zwraca się uwagę na budowanie wysokiego morale.

Pielęgnowanie w żołnierzach poczucia wyjątkowości jest stosowane w wielu armiach i wielu specjalnościach, nie tylko u snajperów. Ale u nas rzeczywiście jest to silne przekonanie. Nie strzelamy do celu oddalonego o kilkanaście kilometrów, jak na przykład artylerzyści. Zawsze widzimy przeciwnika, obserwujemy jego ruchy, starannie analizujemy wszystko, co robi. Dlatego trzeba mieć olbrzymią wiedzę, umiejętności oraz pewność w działaniu. Może tu pasowałoby to porównanie do nadludzkich, boskich mocy. Choć ja nigdy się na taki poziom abstrakcji nie wspiąłem.

➔

ARCH. MICHAŁA PYCI

Zacznijmy od początku. Dlaczego zostałeś snajperem?

Ukończyłem Wyższą Szkołę Oficerską Wojsk Zmechanizowanych. Po „Zmechu" przez rok służyłem w jednej z jednostek, a później spróbowałem swoich sił w selekcji do GROM-u. Po rocznym kursie podstawowym dla wszystkich operatorów instruktorzy zapytali, kto chciałby zostać snajperem. Wielu miało wątpliwości…

Ty nie?

Nie była to miłość od pierwszego wejrzenia. Początkowo miałem obawy, nie uświadamiałam sobie w pełni szczególnego charakteru tej pracy. Oprócz tego, podobnie jak większość moich kolegów z kursu podstawowego, chciałem zostać szturmowcem. „Bazówka" daje elementarną wiedzę na temat specyficzności działania snajperów. Potem zrozumiałem, że przecież snajper musi zachować umiejętności szturmowca. Wtedy ten pomysł zaczął mi się coraz bardziej podobać. Po kursie podstawowym snajperów w jednostce rozpocząłem służbę w sekcji strzelców wyborowych – bo tak to się kiedyś w GROM-ie nazywało.

Ile lat potrzeba, by dojść w tym fachu do perfekcji?

Trudno powiedzieć. Myślę, że około czterech. Zanim rozpocznie się służbę, trzeba zaliczyć trzymiesięczny kurs podstawowy dla snajperów. Dobrze jest jednak, jeśli do tej specjalności trafiają ludzie po kilku latach służby w sekcji szturmowej.

Jaki jest koszt wyszkolenia snajpera?

Olbrzymi. Jeden z tańszych karabinów z celownikiem kosztuje około 40 tys. zł, a specjalistyczny termowizor około 300 tys. Do tego trzeba doliczyć zużywalność sprzętu, specjalistyczne kursy i lata treningu.

Snajper jest integralną częścią zespołu czy raczej indywidualistą?

We współczesnych konfliktach nie ma już miejsca na samotne wyczyny. Snajper musi dobrze odnajdywać się w zespole bojowym. To żołnierze, którzy nie działają w oderwaniu od reszty operatorów. Są częścią starannie zaplanowanej operacji.

Czy snajper, zwłaszcza ten z GROM-u, musi mieć jakieś szczególne cechy charakteru, które predestynują go do tej pracy?

Niezbędne umiejętności są weryfikowane już na kursie podstawowym. Sprawdza się przede wszystkim cechy psychofizyczne, na przykład zdolność koncentracji w każdych warunkach terenowych i klimatycznych. Snajperami zostają przeważnie ludzie spokojni, o nieco łagodniejszym niż inni temperamencie. To jednak nie oznacza, że snajper jest samotnikiem. Powinien umieć się wyciszyć, tak by oddać precyzyjny strzał, skupić uwagę na jednym celu, a przy tym świetnie obserwować otaczającą rzeczywistość.

Wiele osób rezygnuje podczas szkolenia?

Nie. Zwykle jeśli już ktoś czegoś bardzo chce, to ciężko pracuje, by to osiągnąć.

Brandon Webb, który szkolił snajperów w SEAL, opowiadał o ich morderczym treningu. Amerykańscy operatorzy szkolili się przez trzy miesiące, siedem dni w tygodniu, 24 godziny na dobę. Jak kurs podstawowy snajperów wygląda w GROM-ie?

Kiedy służyłem w GROM-ie, było podobnie. Chociaż nie szkoliliśmy żołnierzy przez siedem dni bez przerwy. Trzeba pamiętać, że w GROM-ie mamy do czynienia z dorosłymi ludźmi, mężczyznami, nierzadko po trzydziestce. Trudno oczekiwać od nich, że na kilka miesięcy odizolują się od domu i rodziny. Ale zapewniam, że nasz kurs nie tracił przez to na intensywności.

Od czego zaczynało się takie szkolenie?

Od podstaw. Najpierw praca z karabinem bez celownika optycznego. Wtedy instruktorzy mówili nam o roli snajperów w operacjach specjalnych. Następnie ćwiczyło się taktykę i poszczególne zadania, które czekają strzelców. O szczegółach nie mogę mówić. Oprócz tego trzeba pamiętać, że każdy kurs jest inny, bo program szkolenia dostosowuje się do wyzwań, jakie stoją przed snajperami.

Z jaką bronią pracowałeś?

Na początku miałem karabin Remington 700 w wersji wojskowej, z ciężkimi lufami. Później korzystałem z karabinów samopowtarzalnych. Naszą broń zmieniły też misje. Po operacji w Iraku dostaliśmy nowe taktyczne karabiny snajperskie kalibru 338 mm. Żołnierze GROM-u używają najlepszych światowych konstrukcji.

Jakie znaczenie dla snajpera ma rozwój nowoczesnych technologii?

Dla mnie najważniejszy zawsze będzie człowiek i jego umiejętności. Nie ma jednak co się oszukiwać. Dobry sprzęt zwiększa szanse w walce. Odpowiednio dobrany daje możliwość prowadzenia działań w dzień i w nocy. Kiedyś mówiło się, że jedzenie jagód poprawia zdolność widzenia w ciemności, ale dziś wiemy, że skuteczniejsza jest jednak termo- lub noktowizja (śmiech).

Z jakich odległości mierzyłeś do celu?

WIZYTÓWKA

PPŁK REZ. MICHAŁ PYCIO

Jest byłym żołnierzem Jednostki Wojskowej GROM. Był snajperem, szefem sekcji snajperów. Uczestniczył w pięciu misjach zagranicznych. Ogółem spędził na nich 28 miesięcy. Nie zawsze wyjeżdżał jako snajper. W Afganistanie był zastępcą dowódcy task force. Dwa lata temu zakończył służbę w GROM-ie. Jest właścicielem firmy szkoleniowej oraz współorganizatorem konferencji dotyczącej snajperstwa.

SZCZEGÓLNIE WAŻNA BYŁA DLA MNIE **SŁUŻBA W IRAKU W 2004 ROKU**. ZA WCZEŚNIE JEDNAK, BY O TYM MÓWIĆ PUBLICZNIE

Zwykle w dzień i w nocy odległości nie przekraczają 2 tys. m. Żeby jednak oddać precyzyjny strzał, trzeba zwracać uwagę na wiele różnych aspektów. Między innymi na warunki atmosferyczne. Szczególnie istotny jest wiatr, który może się szybko zmienić. Trzeba brać też pod uwagę temperaturę powietrza i ciśnienie. Przydaje się wiedza matematyczna. Strzelając na długie dystanse, potrzeba sporo obliczeń. Dziś jednak snajperzy mają świetne komputery, które wykonują część tej roboty.

Podobno snajperów najbardziej denerwują pytania…

O liczbę trafień? Mnie to akurat nie złości, najczęściej pytają o to osoby zupełnie niezwiązane ze służbą.

Więc z kim rozmawiacie o pracy?

Na gorąco po akcji omawiamy wykonane zadania w swoim, wąskim gronie. Po latach już się do tego nie wraca. Przychodzą kolejne operacje, dochodzą nowe wspomnienia, zacierają się stare. Są oczywiście takie historie, których nigdy nie zapomnę. Szczególnie ważna była dla mnie służba w Iraku w 2004 roku. Za wcześnie jednak, by o tym mówić publicznie.

Byłeś na pięciu misjach…

Tak. Spędziłem na nich w sumie 28 miesięcy. Nie zawsze jednak jechałem jako snajper. Na ostatniej swojej zmianie w Afganistanie byłem zastępcą dowódcy naszego task force. Dowodziłem też zespołem bojowym. Ale karabin cały czas miałem przy sobie (śmiech).

Do kin wchodzi film „Snajper", opowiadający o najlepszym strzelcu Navy SEAL. Jest w nim scena, w której Chris Kyle podczas obserwacji dzwoni do żony i omawia z nią domowe spawy. Czy to możliwe?

Jasne. To może dziwić, ale naprawdę tak można. Obserwacja czasami trwa kilka dni. Snajper nie działa sam, tylko zmienia się z kolegą, bo musi odpocząć. Czasami to jedyne chwile, by zadzwonić do domu i powiedzieć: „Żyję, jestem zdrowy".

Snajperzy działają w grupie uderzeniowej czy zabezpieczają działania kolegów gdzieś z boku?

Scenariusze mogą być różne. Najczęściej jednak snajperzy pierwsi zajmują pozycje i ubezpieczają swoich żołnierzy.

Czy wszystkie akcje, w których brałeś udział, przeprowadzono zgodnie z wcześniej ułożonym planem?

Niestety nie. Musimy dostosowywać się do przeciwnika, więc nie raz przyszło nam modyfikować scenariusz akcji. Ale to nie jest problem. Przed każdą akcją oceniamy ryzyko i przygotowujemy się na różne ewentualności. Potrafimy reagować na niespodzianki.

Czułeś realne zagrożenie życia?

Za każdym razem, kiedy żołnierze jadą na misję, muszą liczyć się z zagrożeniem. Nie tylko my strzelamy. Przeciwnicy też mają broń i co więcej, oni nie są ograniczeni żadnym prawem.

Dowodziłeś snajperami GROM-u i jednym z zespołów bojowych. Przez trzy lata walczyłeś na misjach. Jakie wartości przekazywałeś swoim podwładnym?

Najważniejsza jest wiedza i umiejętności. Oprócz tego zawsze powtarzałem snajperom, by nigdy nie zaklinali rzeczywistości, nie oszukiwali samych siebie. Każdy operator musi samodzielnie podejmować decyzje. Powinien wyprzedzać niektóre zdarzenia, by nigdy nikt go nie zaskoczył. W tej profesji niezbędny jest też zdrowy rozsądek i szacunek dla innych.

Amerykańscy snajperzy mówią o swojej służbie tak: „Tak, zabijam ludzi, ale dzięki temu ratuję życie moich rodaków". Jakie jest Twoje podejście?

Po pierwsze, nigdy nie strzelałem do przypadkowych osób. Wiedziałem do kogo celuję, znałem historię tego człowieka i całą listę jego przewinień. Celem są uzbrojeni ludzie, którzy prowadzą działania przeciwko żołnierzom koalicji, zwykłym obywatelom. Likwidujemy tych, którzy są zagrożeniem dla nas i naszych kolegów. Taka jest rola snajperów.

Jak żołnierze wojsk konwencjonalnych oceniali pracę operatorów GROM-u na misjach?

Różnie z tym bywało. Co ciekawe, szczególnie podczas naszej służby w Afganistanie staraliśmy się wspierać działania żołnierzy całego kontyngentu. Często jednak nie wiedzą oni, jaki wpływ na ich bezpieczeństwo ma nasza praca. Nawet jeśli nie braliśmy udziału w akcjach bezpośrednich, osłaniając ich w walce, to wielokrotnie zatrzymywaliśmy terrorystów, którzy im zagrażali, albo likwidowaliśmy składy materiałów wybuchowych. A przecież rebelianci nie atakowali nas, lecz wojska konwencjonalne. Kiedy schwytaliśmy kogoś, zdarzyło się parę razy, że podchodzili do nas żołnierze wojsk lądowych i dziękowali za wsparcie. ■

USMC

TADEUSZ WRÓBEL

Siła w zespole

Przez lata w wielu armiach NATO snajperzy byli zorganizowani w zespoły dwuosobowe. Na podstawie doświadczeń z działań bojowych w Afganistanie i Iraku, liczebność niektórych z nich zwiększono.

W wyniku wojny z terroryzmem, która rozpoczęła się po zamachach z 11 września 2001 roku w USA, nastąpił renesans snajperów. Do tego czasu w jednostkach wojsk lądowych traktowano ich jako element pomocniczy. Niekonwencjonalne działania w Afganistanie czy Iraku w pełni pokazały walory strzelców potrafiących, często z odległości setek metrów, wyeliminować wroga jednym strzałem.

ROZBUDOWA I KUMULACJA

Na kilka lat przed 11 września amerykańscy wojskowi, przygotowujący struktury dla nowych brygad wyposażonych w kołowe wozy bojowe Stryker, postanowili umieścić snajperów w dwóch miejscach w strukturze batalionu zmechanizowanego. Dwa zespoły miały tworzyć siedmioosobową drużynę w kompanii dowodzenia batalionu. Pozostałe trzy przydzielili, po jednym, do kompanii zmechanizowanych.

Nowością były trzyosobowe zespoły, które składały się z dowódcy, snajpera i żołnierza osłony. Zespół zamierzano wyposażyć w dwa różne typy broni do strzelania precyzyjnego. W przypadku snajpera był to karabin powtarzalny z zamkiem czterotaktowym M24 SWS, którego konstrukcję oparto na Remingtonie 700. W wersji pierwotnej broń była przystosowana do strzelania standardową amunicją NATO 7,62x51 mm. Potem opracowano nową odmianę, z dłuższą komorą, która umożliwia strzelanie silniejszym nabojem

.300 Winchester Magnum (7,62x67 mm), znacząco zwiększając skuteczny zasięg ognia. Jako drugą broń precyzyjną zespołu snajperów wskazano przyszły, wielkokalibrowy karabin na nabój 0.50 BMG (12,7x99 mm). Trzeci członek grupy miał zostać wyposażony w karabinek automatyczny z podwieszanym granatnikiem 40-milimetrowym.

Na początku minionej dekady w innych jednostkach piechoty US Army były zespoły dwuosobowe, złożone ze strzelca i obserwatora. W etacie batalionu powietrznodesantowego i lekkiej piechoty przewidziano trzy takie grupy, a batalionu zmechanizowanego na bojowych wozach piechoty Bradley – cztery. Wtedy zespoły snajperów były w składzie kompanii piechoty.

Działania w Afganistanie i Iraku spowodowały, że szybko podwojono liczebność zespołu snajperów. Dodano żołnierza z karabinem 12,7 mm oraz kolejnego do ochrony. Zwiększono też liczbę samych zespołów. W książce „Ultimate Sniper: Updated & Expanded Edition" mjr John Plaster podał jako przykład 7 Dywizję Piechoty, której każdy batalion miał w 2004 roku 18 zespołów snajperów. Ponadto snajperów przesunięto z kompanii piechoty do kompanii dowodzenia, tworząc z nich jeden z jej pododdziałów. Poprzednio takie rozwiązanie – plutony snajperów złożone z siedmiu dwuosobowych zespołów – działały w US Army podczas wojny wietnamskiej.

SNAJPERZY POTRAFIĄ BYĆ ZABÓJCZO SKUTECZNI, A ICH DZIAŁANIA MIEWAJĄ **DEMORALIZUJĄCY WPŁYW NA ŻOŁNIERZY WROGA**

U MARINES INACZEJ

Korpus Piechoty Morskiej od dawna miał inne niż US Army rozwiązania organizacyjne dotyczące snajperów. W materiale z 2006 roku „A needed change for the scout sniper platoon" podano, że przed wybuchem wojny z terroryzmem pluton zwiadowców-snajperów składał się z oficera, sierżanta-szefa oraz ośmiu dwuosobowych zespołów. Autor artykułu proponował, by w nowej strukturze pluton miał trzy dziesięcioosobowe zespoły. Każdy z nich dysponowałby dwoma karabinami snajperskimi M40 (podobnie jak M24, oparty na konstrukcji Remingtona 700) na amunicję 7,62x51 mm i jednym M82A3 SASR 12,7 mm oraz karabinem maszynowym M240 kalibru 7,62 mm.

Według „Introduction to crew served weapons B3M4078 student handout", materiału przygotowanego przez dowództwo szkolenia korpusu marines, pluton zwiadowców-snajperów liczy 26 żołnierzy: dowódca, sierżant i cztery sześcioosobowe zespoły. Pododdział ten jest częścią kompanii broni wsparcia (weapons company). Pluton jest uzbrojony w osiem karabinów snajperskich M40 i cztery M82A3 SASR. Przed kilku laty pojawiła się koncepcja, by wyłączyć plutony zwiadowców-snajperów z batalionów piechoty i stworzyć z nich batalion na szczeblu dywizji.

WŁASNE ROZWIĄZANIA

Podobnych zmian jak US Army dokonali Kanadyjczycy. W artykule „Canadian Army snipers gain from Afganistan experience", który ukazał się w 2004 roku, podano, że kanadyjskie wojska lądowe przeszły z dwu- na czteroosobowe zespoły snajperów. Jednak w późniejszym materiale, „DiManno: Canadian snipers are a high-valued asset" z 2011 roku, znalazła się informacja, że w Afganistanie działały zespoły pięcioosobowe.

Po doświadczeniach afgańskich i irackich reorganizacja nie ominęła też snajperów w armii brytyjskiej. Ponownie, jak w czasach I wojny światowej, zgrupowano ich w plutony w kompaniach wsparcia batalionów piechoty. Pluton snajperów tworzą dwie drużyny, z których każda ma cztery zespoły dwuosobowe. W 2006 roku w artykule „After 90 years, Army sets its sights on new sniper platoons", zamieszczonym w dzienniku „The Telegraph", pojawiła się informacja, że pododdział ten miał liczyć 18 żołnierzy.

Z myślą o snajperach we wszystkich rodzajach sił zbrojnych brytyjskie ministerstwo obrony złożyło zamówienie na 580 karabinów L115A3. Broń ta jest przystosowana do naboju .338 Lapua Magnum (8,59x70 mm). W listopadzie 2009 roku uzbrojony w L115A3 brytyjski snajper wyeliminował dwóch talibów strzelających z karabinów maszynowych znajdujących się 2475 m od niego.

W ostatnich latach misji ISAF w Afganistanie w brytyjskiej drużynie piechoty jeden z żołnierzy był uzbrojony w karabin wyborowy L129A1 z 20-nabojowym magazynkiem i dwójnogiem. Broń na amunicję 7,62x51 mm zapewnia dużą precyzję ognia do 800 m. Tym samym był to strzelec wyborowy (sharpshooter).

DOŚWIADCZENIA Z MISJI

Również w armii francuskiej rozróżnia się strzelców wyborowych (tireurs de precision) i snajperów (tireurs d'elite), którzy są w pułkach i batalionach piechoty. Pierwsi z nich zostali ulokowani, po dwóch, w grupie dowodzenia plutonu piechoty. Ich bronią jest karabin piechoty FR F2 na standardową amunicję 7,62x51 mm. Z kolei snajperzy tworzą pluton (section) w kompanii rozpoznania i wsparcia. Pierwsze takie pododdziały zaczęto tworzyć już w 2001 roku, a wpływ na to miały doświadczenia z operacji w Libanie w latach 1982–1984 oraz Bośni Hercegowinie w latach 1992–1995. Francuska sekcja ma dowództwo i cztery pięcioosobowe grupy (czasami może być dodany szósty żołnierz do ochrony). Każda z nich składa się z dowódcy i dwóch zespołów (dowódca-obserwator i strzelec z karabinem Hekate II 12,7 mm). Dowódca zespołu ma karabinek automatyczny FAMAS oraz karabin FR F2. Ulokowanie snajperów w jednostkach francuskich wynika z przeznaczenia broni kalibru 12,7 mm, która służy częściej do niszczenia sprzętu wojskowego niż siły żywej. Francuzi uwzględniają współpracę snajperów z obsługą 20-milimetrowych armat automatycznych.

Wojna z terroryzmem, po 11 września 2001 roku, to działania asymetryczne, w których ogromne znaczenie ma znalezienie wroga i zlikwidowanie go z bezpiecznego dystansu. Wyeliminowanie liderów zawsze osłabia wszelkie rebelie. Niemniej jednak, jak udowodniła historia obu wojen światowych, snajperzy – jeśli są rozsądnie wykorzystani – potrafią być zabójczo skuteczni, a ich działania miewają demoralizujący wpływ na żołnierzy wroga. Dlatego ich liczba w batalionach została zwiększona. Każda armia ma jednak własne rozwiązania, jeśli chodzi o liczebność plutonów i zespołów snajperów oraz ich umiejscowienie w strukturze jednostek. ■

Ninja Sugitani Zenjubō był prawdopodobnie pierwszym w historii strzelcem wyborowym. Został wynajęty przez przywódcę jednego z japońskich klanów, Rokkaku Yoshisuke, a jego celem miał być Oda Nobunaga, stojący na czele konkurencyjnego klanu, który w tym czasie wyrastał na pierwszą siłę w Japonii. Zenjubō postanowił zlikwidować Nobunagę z broni palnej – uzbrojony w dwa arkebuzy ukrył się przy drodze, którą miał przejeżdżać jego cel. Zadanie nie było proste, bowiem maksymalny zasięg ówczesnej broni palnej wynosił zaledwie około 100 m, a już po pierwszym strzale łatwo można było zlokalizować strzelca ze względu na unoszący się nad lufą dym (efekt używania czarnego prochu). Mimo to Zenjubō zdołał oddać dwa celne strzały i nie pozwolił się złapać eskorcie Nobunagi. Jego misja nie zakończyła się jednak powodzeniem, ponieważ żadna z dwóch kul nie przebiła zbroi, którą nosił japoński przywódca. Ostatecznie cała historia okazała się dla strzelca tragiczna. Kilka lat po nieudanym zamachu został złapany i skazany na śmierć, którą zadano mu w wyjątkowo brutalny sposób: ninję zakopano w ziemi po szyję, po czym… przez kilka dni (sic!) obcinano mu głowę bambusową piłą.

Pierwszym konfliktem zbrojnym, w którym strzelcy wyborowi zaczęli odgrywać znaczącą rolę, była amerykańska wojna o niepodległość. W czasie bitwy pod Saratogą walczący z mającymi przewagę w wyszkoleniu i uzbrojeniu Brytyjczykami koloniści organizowali zasadzki – ukryci wśród drzew i zarośli strzelcy wyborowi „polowali" na oficerów przeciwnika. Najskuteczniejszy okazał się wówczas Timothy Murphy.

Ten sierżant eksperymentalnej jednostki strzelców wyborowych, dowodzonej przez gen. Daniela Morgana, podobno był w stanie trafić w cel wielkości 15 cm z odległości ponad 200 m. Jak na możliwości ówczesnej broni, było to nie lada osiągnięcie. Snajperskiego kunsztu dowiódł właśnie w czasie bitwy pod Saratogą.

Kiedy brytyjscy żołnierze zaczęli wycofywać się pod naporem kolonistów, ich odwrót starał się powstrzymać gen. Simon Fraser. Widząc to, amerykański gen. Benedict Arnold, zwróciwszy się do gen. Morgana, wskazał brytyjskiego dowódcę i stwierdził, że ten jeden oficer jest wart więcej niż cały pułk. Gen. Morgan przywołał do siebie Murphy'ego, pokazał mu gen. Frasera i powiedział: „Podziwiam go, ale musi zginąć. Czyń swoją powinność". Murphy wykonał rozkaz – wspiął się na drzewo, przymierzył i oddał cztery strzały z odległości ponad 250 m. Pierwszy był chybiony, drugi zabił konia pod brytyjskim

ARTUR BARTKIEWICZ

„Z tej odległości nie trafiliby słonia" – miał powiedzieć gen. John Sedgwick w czasie jednej z bitew amerykańskiej wojny secesyjnej na kilka chwil przed tym, nim dosięgła go kula sierż. Bena Powella, strzelca wyborowego konfederatów.

HISTORIA JEDNEGO

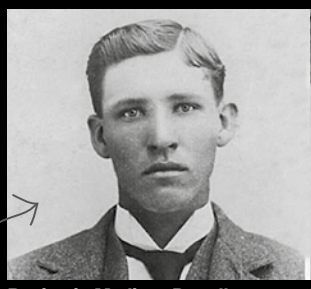
Benjamin Medicus Powell

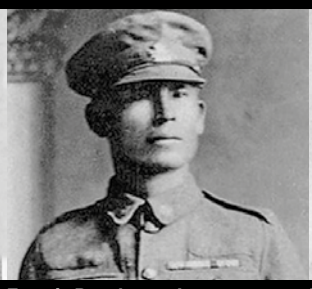
Francis Pegahmagabow

Billy Sing

Simo Häyhä

Sierżant Powell zapisał się w historii jako jeden z tych, którzy precyzyjnymi strzałami potrafią zmieniać losy bitew, a nawet całych wojen.

generałem, a trzeci okazał się śmiertelny. Czwarty strzał zabił na miejscu adiutanta gen. Johna Burgoyne'a (głównodowodzącego brytyjskimi siłami pod Saratogą), który próbował przyjść z pomocą gen. Fraserowi. Celne strzały Murphy'ego sprawiły, że Brytyjczykom nie udało się przejść do kontrataku, a bitwa pod Saratogą zakończyła się ich klęską, która w dużej mierze przesądziła o amerykańskim zwycięstwie w wojnie.

Co ciekawe, niewiele brakowało, by o rozstrzygnięciu brytyjsko-amerykańskiej wojny o niepodległość zadecydowało trafienie z broni brytyjskiego strzelca wyborowego. W czasie bitwy pod Brandywine kpt. Patrick Ferguson wziął na cel pewnego amerykańskiego oficera. Nie zdecydował się jednak oddać strzału w plecy. Jak się potem okazało, tym oficerem był George Washington, pierwszy prezydent USA, a w tamtym czasie głównodowodzący tzw. armią kolonialną.

Znacznie mniej szczęścia miał słynny brytyjski adm. Horatio Nelson, który w czasie morskiej bitwy pod Trafalgarem zginął z rąk jednego z francuskich strzelców wyborowych. W tym wypadku jednak precyzyjny strzał nie miał wpływu na losy bitwy – Brytyjczykom udało się rozbić francuską flotę i tym samym uniemożliwić Napoleonowi inwazję na Wielką Brytanię.

OKRĄŻENI PRZEZ… STRZELCA

Strzelcy wyborowi odegrali niepoślednią rolę w czasie amerykańskiej wojny secesyjnej. W armii Unii sformowano dwa pułki, dowodzone przez płk. Hirama Berdana, w których skład wchodzili jedynie strzelcy wyborowi. W czasie całego konfliktu zadały one konfederatom straty większe niż jakakolwiek inna jednostka wojsk Unii. Z kolei konfederaci mieli w swoich szeregach Johna Hinsona, plantatora z Tennessee. Hinson początkowo nie zamierzał brać udziału w wojnie domowej. Kiedy jednak dwaj jego synowie zostali schwytani przez żołnierzy Unii i straceni za przynależność do jednostek partyzanckich, rozpoczął swoją prywatną wojnę. Uzbrojony w przerobioną przez siebie strzelbę, rozpoczął „polowanie" na żołnierzy Unii korzystających z transportu na rzece Tennessee. Hinson, według różnych źródeł, zastrzelił od 36 do 100 unionistów. Robił to tak celnie, że pewien kapitan barki przewożącej dużą grupę uzbrojonych żołnierzy uznał, że został otoczony przez konfederatów i… chciał się poddać wraz z całym oddziałem.

W KONTRZE DO TRÓJPRZYMIERZA

Dla strzelców wyborowych przełomowe było zastąpienie prochu czarnego bezdymnym pod koniec XIX wieku. Sprawiło to, że wreszcie mogli stać się całkowicie niewidzialni dla przeciwnika. Poza tym karabiny, z których korzystali, coraz częściej były wyposażane w celowniki optyczne, co umożliwiało skuteczne rażenie celu z większej odległości.

W czasie I wojny światowej pionierami, jeśli chodzi o wykorzystanie karabinów z celownikami, byli Niemcy – ich strzelcy wyborowi siali postrach wśród Brytyjczyków i Francuzów. Najskuteczniejszym strzelcem wyborowym w I wojnie światowej był jednak Francis Pegahmagabow – kapral armii kanadyjskiej (walczącej po stronie ententy), który miał zabić 378 niemieckich żołnierzy, a 300 kolejnych wziąć do niewoli.

Pegahmagabow, Indianin z plemienia Odżibwejów, wstąpił do kanadyjskiej armii tuż po rozpoczęciu I wojny światowej. Brał udział w bitwach pod Ypres, Sommą, a w czasie tzw. ofensywy stu dni, kiedy jego kompanii kończyła się amunicja i groziło jej okrążenie, żołnierz, mimo ciężkiego ostrzału z broni maszynowej, przebiegł przez pas ziemi niczyjej po dodatkową amunicję, czym ocalił swoją jednostkę.

STRZAŁU

Wasilij Zajcew | Ludmiła Pawliczenko | Matthäus Hetzenauer | Josef „Sepp" Allerberger

W szeregach Armii Czerwonej służyły także kobiety strzelcy wyborowi.

Innym znanym strzelcem wyborowym z tego okresu był Australijczyk Billy Sing, który w czasie bitwy o Gallipoli zabił od 150 do 300 tureckich żołnierzy. Sing stał się między innymi bohaterem snajperskiego pojedynku. Turcy, którym zadawał poważne straty, wysłali przeciwko niemu swojego czołowego snajpera, nazywanego przez żołnierzy ententy strasznym Abdulem. Turecki strzelec wyborowy po długiej obserwacji zdołał ustalić pozycję Australijczyka. Z relacji dotyczącej przebiegu tego niezwykłego pojedynku wynika, że Sing mniej więcej w tym samym czasie zauważył turec- →

DLA STRZELCÓW WYBOROWYCH PRZEŁOMOWE BYŁO ZASTĄPIENIE **PROCHU CZARNEGO** BEZDYMNYM POD KONIEC XIX WIEKU

kiego strzelca. Obaj snajperzy zaczęli mierzyć do siebie równocześnie, ale Australijczyk strzelił pierwszy.

FIN A ARMIA CZERWONA

Najsłynniejsi strzelcy wyborowi byli bohaterami II wojny światowej. Za najlepszego snajpera w historii przez wielu jest uznawany Fin Simo Häyhä, legenda wojny zimowej, nazywany przez żołnierzy radzieckich „Biała Śmierć". W czasie trwającego niespełna 100 dni konfliktu miał zabić od 505 do 542 żołnierzy Armii Czerwonej, a to oznacza, że codziennie jego ofiarą padało pięciu żołnierzy przeciwnika. Co ciekawe, Fin nie był zwolennikiem celownika optycznego i znacznie chętniej korzystał z mechanicznego. Dlaczego? Tłumaczył, że strzelec używający celownika optycznego musi unosić głowę nieco wyżej (przez co staje się łatwiejszym celem). Poza tym musi liczyć się z zaparowaniem soczewek. Mogą one też odbijać promienie słońca, zdradzając pozycję snajpera.

Häyhä swój sukces zawdzięczał doskonałemu wtapianiu się w otoczenie. Aby w zimę, ubranego na biało, nie zdradzał oddech, wkładał do ust śnieg. Ponadto powierzchnię wokół swojej pozycji strzeleckiej polewał wodą, tak aby po wystrzale nie podnosił się śnieżny kurz, zdradzający jego kryjówkę. Sam Häyhä, pytany o źródło swojego sukcesu, odpowiadał krótko: „Praktyka". A komentując liczbę zabitych przez siebie wrogów, stwierdził: „Robiłem to, co mi kazano – najlepiej, jak mogłem".

Häyhä stanowił tak poważne zagrożenie dla żołnierzy Armii Czerwonej, że dowództwo radzieckiej armii próbowało wyeliminować strzelca, wykorzystując… artylerię i lotnictwo. Próby te spełzły jednak na niczym. Sowietom udało się jedynie… uszkodzić płaszcz fińskiego kaprala. Wojna skończyła się dla niego 6 marca 1940 roku, kiedy został postrzelony w szczękę. Po zakończeniu konfliktu marszałek Carl Mannerheim w uznaniu zasług snajpera awansował go ze stopnia kaprala do podporucznika.

I DO WILKÓW, I DO NIEMCÓW

Armia Czerwona, która w Finlandii nie mogła poradzić sobie z „Białą Śmiercią", kilka lat później sama doczekała się legendarnych strzelców wyborowych, którzy siali popłoch w niemieckich szeregach. Kpt. Wasilij Zajcew strzelania uczył się jako dziecko, polując z dziadkiem i młodszym bratem na wilki i jelenie. W latach trzydziestych wstąpił do radzieckiej marynarki wojennej. Kiedy Niemcy najechali na ZSRR, Zajcew poprosił o przeniesienie do jednostek lądowych i został przydzielony do 284 Dywizji Strzelców, która jako część 62 Armii brała udział w obronie Stalingradu.

Strzelec zwrócił na siebie uwagę przełożonych, kiedy pewnego dnia trafił z bardzo dużej odległości trzech łączników niemieckich, jednego po drugim. W nagrodę dostał karabin snajperski i stał się jednym z 48 strzelców wyborowych służących w pułku. W czasie bitwy o Stalingrad Zajcew, stale zmieniający pozycje, kryjąc się za zniszczonymi elementami infrastruktury miasta, miał zabić od 125 do 242 żołnierzy niemieckich, w tym kilku strzelców wyborowych wysłanych przez dowództwo Wehrmachtu w celu likwidacji sowieckiego bohatera. Źródła radzieckie podawały, że z Zajcewem zmierzył się wówczas (i przegrał) szef berlińskiej szkoły snajperów mjr Erwin Köning, ale brak jest dowodów świadczących o tym, że ktoś taki rzeczywiście istniał. W styczniu 1943 roku w czasie ostrzału moździerzowego Zajcew został poważnie ranny, wkrótce jednak wrócił na front. Do końca wojny mógł zabić nawet około 500 żołnierzy wroga.

Z kolei 500 ofiar zapisano na koncie mjr. Iwana Sidorenki, jednego z bohaterów bitwy o Moskwę z 1941 roku. Był on na tyle skutecznym strzelcem wyborowym, że dowództwo Armii Czerwonej zdecydowało, iż będzie uczył innych strzelania do odległych celów (do końca wojny wyszkolił ok. 250 snajperów). Wraz ze swoimi uczniami bardzo często brał udział w misjach bojowych (w czasie jednej z nich udało mu się nawet zniszczyć czołg dzięki użyciu amunicji zapalającej). Najwięcej celnych trafień, bo 702, w czasie II wojny światowej radziecka propaganda przypisywała z kolei Michaiłowi Iliczowi Surkowowi, ale prawdopodobnie wynik ten został znacznie zawyżony.

W szeregach Armii Czerwonej służyły także kobiety strzelcy wyborowi (było ich ok. 2 tys.). Najsłynniejszą z nich była Ludmiła Pawliczenko. Przed II wojną światową zdobywała medale na zawodach strzeleckich, a po inwazji Niemiec na ZSRR jako ochotnik zaciągnęła się do Armii Czerwonej. W czasie obrony Odessy zabiła 187 żołnierzy wroga, a w walkach o Sewastopol zapisała na swoim koncie kolejnych 70 celnych trafień. Ranna Pawliczenko została ewakuowana z oblężonego miasta, po czym wysłano ją do Wielkiej Brytanii, USA i Kanady, gdzie wygłaszała odczyty zachęcające do większego zaangażowania się tych państw w wojnę z Niemcami.

Najskuteczniejszym niemieckim strzelcem wyborowym w czasie II wojny światowej był pochodzący z Austrii Matthäus Hetzenauer. Ten żołnierz 3 Dywizji Górskiej w czasie walk na froncie wschodnim miał zabić 345 żołnierzy Armii Czerwonej (w tym jednego z imponującej, jak na owe czasy, odległości 1100 m). W jednostce Hetzenauera służył inny z najskuteczniejszych niemieckich strzelców wyborowych – Josef „Sepp" Allerberger, który zapisał na swoim koncie 257 celnych trafień. ■

ANNA DĄBROWSKA

Diabeł z winchesterem

Film o najskuteczniejszym snajperze USA może budzić kontrowersje.

Nie zrobiłem nic, czego mógłbym się wstydzić. Zabijałem tylko tych, którzy chcieli zabić mnie lub moich kolegów. Każdy, kogo zastrzeliłem, był zły", mówi Chris Kyle w najnowszej amerykańskiej produkcji „Snajper". Film opowiada historię najskuteczniejszego snajpera armii Stanów Zjednoczonych, który, jak sam mówi, zabił 255 osób. Pentagon potwierdził z tego oficjalnie ponad 150 (poprzedni amerykański rekord wynosił 109).

LEGENDA SNAJPERA

Wyreżyserowany przez Clinta Eastwooda („Wzgórze rozdartych serc", „Tylko dla orłów") obraz pokazuje widzom, co ukształtowało przyszłego supersnajpera, poczynając od jego dzieciństwa w Teksasie. Ojciec wpajał mu prosty kanon wartości: Bóg, kraj, rodzina. Uczył też o trzech rodzajach ludzi: drapieżnikach, ofiarach i obrońcach, zaznaczając, że rolą jego syna jest bycie obrońcą. Poczucie obowiązku wobec kraju sprawiło, że w 1999 roku, po zamachach na amerykańskie ambasady w Afryce, Chris zaciągnął się do SEALs, elitarnych oddziałów specjalnych marynarki wojennej USA. Po atakach 11 września zdecydował się na wyjazd na misję do Iraku. „USA to najwspanialszy kraj i chcę go chronić", tłumaczył. Przez dziesięć lat służby w armii Chris był w Iraku czterokrotnie. Służył w 3 Oddziale SEAL jako snajper. Ochraniał amerykańskich marines. Tam też po raz pierwszy zastrzelił wroga – irakijską kobietę, która z granatem zamierzała się na nadciągających żołnierzy armii USA.

Jason Hall, scenarzysta „Snajpera", korzystał z autobiografii Kyle'a „Cel snajpera". Książka ukazała się w 2012 roku i szybko weszła na szczyt listy bestsellerów „New York Timesa". Sprzedano ponad milion egzemplarzy tych wspomnień. W Polsce wydało je Wydawnictwo Znak. W blisko dwugodzinnym filmie śledzimy walkę snajpera w Iraku, kolejnych zabitych przez niego wrogów i zwycięski pojedynek z syryjskim strzelcem wyborowym Mustafą.

CLINT EASTWOOD NIE ZASTANAWIA SIĘ NAD POCZUCIEM WINY U CZŁOWIEKA, KTÓRY ZABIŁ PONAD 200 OSÓB

Bradley Cooper

Wśród amerykańskich żołnierzy, którym celnymi strzałami ratował życie, Chris szybko zyskał miano legendy. Jego umiejętności obawiali się przeciwnicy, nazywając go „Diabłem". Irakijscy bojownicy wyznaczyli nawet nagrodę za jego głowę.

Po dziesięciu latach służby Kyle opuścił US Navy i z rodziną przeniósł się do Teksasu. Szkolił tam snajperów Naval Special Warfare i opracował pierwszy podręcznik instruktażowy dla snajperów SEAL. Zaangażował się też w pomoc byłym żołnierzom cierpiącym na zespół stresu pourazowego. Zginął w lutym 2013 roku od kuli jednego z nich.

WOJENNA TRAUMA

Po wydaniu książki Kyle stał się popularny w USA, ale jego dokonania były różnie postrzegane. Film także budzi kontrowersje. Clint Eastwood nie roztrząsa w nim moralnych dylematów, nie zastanawia się też nad poczuciem winy u człowieka, który zabił ponad 200 osób. Reżyser swoim filmem przekonuje widzów, że Chris wypełniał tylko obowiązek, broniąc kraju i kolegów. Przedstawiając swoją filozofię, główny bohater tłumaczy, że nie postrzega osób, do których strzela, jako ludzi. „Tak patrzą na to psychopaci. Ja patrzę na nich jak na cel, który chce zabić moich kolegów. Nie zabijam ludzi, ja ich chronię", wyjaśnia filmowy Chris. Przyznaje też, że żałuje, iż zastrzelił zbyt mało wrogów, bo zabijając ich więcej, mógł ocalić kolejnych amerykańskich żołnierzy. Dla części widzów takie jednostronne spojrzenie na zabijanie, nawet na wojnie, może być trudne do przyjęcia.

Niewątpliwą zaletą filmu jest pokazanie piekła, przez jakie przechodzą najbliżsi żołnierzy służących na misjach. „Opowieść dotyczy zarówno dokonań Chrisa na polu walki, jak i jego życia osobistego i piętna, które wojna odciska na człowieku, ale także tego, jak odbija się na całej rodzinie", tłumaczy w filmowych materiałach Eastwood.

„Snajper" to też opowieść o dramacie weteranów. Widać, jak z każdą misją bohaterowi coraz trudniej przystosować się do „normalnego życia" i zapomnieć o wojennych przeżyciach. „Wojna cię zmieniła. Wróciłeś z misji, ale myślami cały czas jesteś w Iraku", mówi żona Chrisa grana przez Siennę Miller. Obraz doceniło środowisko filmowe, przyznając mu nominacje do Oscara aż w sześciu kategoriach (ostatecznie przyznano mu nagrodę za najlepszy montaż dźwięku). ■

PIOTR BERNABIUK

KTÓRĘDY DO KOMANDOSÓW?

Wojska specjalne powinny mieć możliwość pozyskiwania kandydatów do służby zarówno z wojska, jak i z cywila.

ARKADIUSZ DWULATEK/COMBAT CAMERA DORSZ

Rok 2015 rozpoczął się dla kandydatów na komandosów dobrą wiadomością. Już w styczniu wojska specjalne zapowiedziały nabór do służby w swych szeregach ochotników prosto z cywila. Trochę może z wyprzedzeniem, gdyż jeszcze bez formalnych zatwierdzeń, na etapie pisania programu szkolenia dla „poborowych", niemal tuż po oficjalnym otwarciu Ośrodka Szkolenia Wojsk Specjalnych. Sensacyjna z pozoru wieść nie dla wszystkich była zaskoczeniem, jako że znacznie wcześniej, w planach wykorzystania powstającego ośrodka przewidywano szkolenie żołnierzy „służby kandydackiej". Ponadto taką właśnie zmianę w podejściu do naboru zawierały także zalecenia pokontrolne Najwyższej Izby Kontroli.

Dlaczego zdecydowano się na planowaną wprawdzie wcześniej, ale dość przecież radykalną zmianę podejścia do rekrutacji? Pierwszą przyczyną jest brak wystarczającej liczby odpowiednich kandydatów do służby rekrutowanych z wojska. Następna, powtarzana od lat, to drenowanie jednostek, głównie wojsk lądowych, przez „wybierających im miód z pasieki" komandosów. Kolejna, najbardziej przekonująca, stanowi w gruncie rzeczy przekorne pytanie: a dlaczego wojska specjalne nie miałyby sobie dobierać ludzi z cywila? Czwarta, dotyczy kwestii pełnego wykorzystania dopiero co powstałego pod Lublińcem ośrodka.

PROSTO Z CYWILA

Należy więc oczekiwać, że jesienią ruszy alternatywna forma naboru ochotników z cywila na żołnierzy jednostek specjalnych. Nietrudno sobie wyobrazić emocje wśród potencjalnych kandydatów. Z pewnością już rozpoczęli przygotowania. Dowództwo komandosów spodziewa się sporego zainteresowania nową formułą, jako że „droga na skróty" do służby w tak renomowanej formacji z pewnością przyciągnie wielu chętnych.

Ilu? Na to pytanie dziś jeszcze nikt nie odpowie. Jeśli zgłoszeń będzie bardzo dużo, a spośród ochotników chociażby setka spełni oczekiwania, powstanie spory kłopot, bo miejsc na turnusie jest tylko 30. I również po 30 w kolejnych półroczach. Czyli już na wstępie może się utworzyć spory korek oczekujących, spełniających odpowiednie kryteria, zarówno pod względem psychiki, jak i sprawności fizycznej.

Dwa pytania do ppłk. Artura Goławskiego

z Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych

Czy występuje w wojsku problem drenowania jednostek, głównie wojsk lądowych, poprzez przechodzenie z nich żołnierzy do służby w wojskach specjalnych?

Zgodnie z przepisami pragmatycznymi żołnierze mają prawo do wnioskowania o przeniesienie służbowe między jednostkami i rodzajami sił zbrojnych, między innymi w celu rozwoju zawodowego oraz pełnego wykorzystania ich kwalifikacji. I faktycznie mamy do czynienia z takim zjawiskiem, którego nie należy traktować w kategoriach problemu, lecz szansy na doskonalenie potencjału naszych ludzi. W obecnym systemie kierowania i dowodzenia wojskiem łatwiej jest rozpatrzyć wnioski żołnierzy zainteresowanych przenosinami, gdyż wszystkie rodzaje sił zbrojnych podlegają dowódcy generalnemu rodzajów sił zbrojnych. Wojska lądowe są największe, więc stamtąd przenosi się do wojsk specjalnych najwięcej żołnierzy – jeśli przejdą selekcję i spełnią wymogi zapisane w kartach opisu stanowiska służbowego.

Jak jest uzasadniany nabór kandydatów z cywila do służby w wojskach specjalnych?

SZKOŁA POLSKICH KOMANDOSÓW

NA POLIGONIE DRAWSKIM POWSTAJE, PLANOWANY OD DAWNA, OŚRODEK SZKOLENIA POLIGONOWEGO WOJSK SPECJALNYCH.

Naturalnym miejscem na utworzenie stacjonarnej bazy szkoleniowej wydawała się początkowo jednostka Agat. Jeszcze w Dowództwie Wojsk Specjalnych rozważano taki wariant, ale znajdowała się ona dopiero na etapie osiągania pełnych zdolności operacyjnych i nie miała wystarczającego zaplecza szkoleniowego. Podjęto więc decyzję usytuowania ośrodka w Jednostce Wojskowej Komandosów, gdzie znaleziono odpowiednie warunki terenowe, techniczne, a nadto pełnią tam służbę weterani misji irackiej i afgańskiej, mogący być znakomitymi instruktorami.

Z miejscem i obiektem łączą się dalej idące plany. Między innymi uruchomienia szkoły podoficerskiej wojsk specjalnych. W dalszych projektach jest również zgłoszenie lublinieckiej placówki do grupy baz szkoleniowych sił specjalnych NATO.

Na razie trzeba będzie jeszcze wielu starań, by zgrać działanie ośrodka z planami szkoleniowymi poszczególnych jednostek specjalnych. I nie chodzi tu o żadne animozje między nimi, lecz o ich specyfikę, a tym samym oczekiwania. Przykładowo, trudno sobie wyobrazić, by Jednostka Wojskowa GROM powierzyła komukolwiek przeprowadzenie selekcji. Trudno też dziś sobie wyobrazić, żeby miały działać planowane mobilne zespoły treningowe, czyli wyjazdowe grupy szkoleniowe, swoista usługówka dla innych jednostek. Dopiero czas i praktyka pokażą, czy z planów i ambicji powstanie emanująca na świat, a przynajmniej na armie sojuszu, szkoła polskich komandosów.

Drugą, równie ważną kwestią będzie to, ilu z każdej trzydziestki dobrnie do mety. Idąc tym tropem, należałoby też zapytać, ilu przejdzie selekcję. Z doświadczenia wynika, że odsiew w tego typu sprawdzianach wynosi około 80%.

Przyjmijmy jednak, że 30 ochotników zakwalifikuje się na półroczny kurs szkoleniowy Commando (nawiązujący nazwą do tradycji 1 Samodzielnej Kompanii Commando) i zostanie skoszarowanych w Ośrodku Szkolenia Wojsk Specjalnych. W pierwszym etapie kandydaci, już ze statusem żołnierzy, zostaną objęci przygotowaniem ogólnowojskowym, czyli odbędą pewnego rodzaju unitarkę. Po jej zaliczeniu przejdą trzyipółmiesięczne szkolenie indywidualne. W trzeciej fazie, pod okiem instruktorów i operatorów Jednostki Wojskowej Komandosów, będą się uczyli taktyki stosowanej w operacjach specjalnych, z użyciem broni i środków używanych przez specjalsów, z wyrzutnią Carl Gustaw włącznie. Odbędą również zajęcia poligonowe. Według powstających projektów szkolenie będzie bardzo intensywne, o czym świadczy chociażby przewidywane zużycie ponad 2 tys. sztuk amunicji. Planuje się zatem naprawdę imponującą inwestycję w tych ludzi. Jeśli jednak adept nie sprosta wymaganiom i odpadnie podczas kursu lub nie zda egzaminów końcowych, środki nie będą tak całkiem stracone, gdyż niedoszły specjals zostanie przeniesiony do rezerwy, a więc, w razie potrzeby, pozostanie „do użycia".

Jeśli natomiast zakończy półroczne szkolenie sukcesem, będzie mógł starać się o miejsce służby w jednej z jednostek specjalnych. Operatorem w zespole bojowym zostanie jednakże najwcześniej po trzech latach służby w zespołach pomocniczych, po odbyciu szkolenia, a zarazem po poddaniu się kolejnej weryfikacji.

Następnie przyjdzie mu jeszcze ukończyć pomyślnie selekcję, bo tu już żadnej drogi na skróty nie ma. Adepci półrocznego kursu nie będą mogli się ubiegać w początko- →

Jednym z wymogów formalnych, który musi być spełniony przez kandydata do służby w wojskach specjalnych, jest uregulowany stosunek do służby wojskowej. Tworząc ośrodek szkolenia, otwieramy drzwi dla osób, które z różnych względów nie mogły spełnić tego podstawowego warunku. W środowisku cywilnym jest wiele zmotywowanych, wykształconych, mających deficytowe w wojsku umiejętności i kwalifikacje osób, którym ten wymóg zamykał drogę do specjalsów. Stanowią oni doskonały materiał na przyszłych komandosów i warto ten potencjał odpowiednio wykorzystać. Nie bez znaczenia jest również to, że dzięki naborowi z cywila w pozostałych rodzajach sił zbrojnych pozostanie więcej wartościowych żołnierzy, którzy dotychczas byli jedynym źródłem kandydatów do służby w wojskach specjalnych. Stąd pomysł na szukanie kandydatów również w środowisku cywilnym. Liczymy, że nasza oferta spotka się ze sporym zainteresowaniem i będziemy mogli wybrać najlepszych z najlepszych. ■

wym etapie jedynie o służbę w Jednostce Wojskowej GROM, gdzie, upraszczając sprawę, szeregowych się nie przyjmuje. Zdaniem specjalsów, pozostałe jednostki „będą konkurować między sobą o zdobycie najlepszych kandydatów do służby".

CIERPLIWIE OCZEKUJĄCY

A co po wprowadzeniu tego systemu stanie się z żołnierzami służby czynnej, wybierającymi się do wojsk specjalnych? Pozornie nic się nie zmieni, nadal będą mogli składać aplikacje, przystępować do selekcji i zasilać szeregi specjalsów. Jak dotychczas, acz ze świadomością nacisku konkurencji „cywilów", którzy po szkoleniu w lublinieckim ośrodku, służąc w zespołach wsparcia, będą również „czyhali" na możliwość przebicia się do świata operatorów. Znając środowisko instruktorskie, można śmiało postawić tezę, iż podczas selekcji nikt nie będzie „swojakom" dawał forów… Niemniej, starającym się o „awans" z wojska coś tam w psychice z pewnością siądzie. Bo już słychać głosy pełne obaw, jak zwykle przy okazji zmian.

Rozpatrzmy dwa wzięte z życia przykłady. W pierwszym, młody człowiek od dzieciństwa nie tylko marzył o byciu komandosem, lecz także starannie się do tego przygotowywał. A więc trenował fizycznie, hartował charakter, zgłębiał specjalistyczną literaturę, uczestniczył we wszelkich możliwych wydarzeniach zbliżających go do celu. Gdy otrzymał świadectwo dojrzałości, według własnego wyobrażenia był już w zasadzie komandosem, tyle że jeszcze bez przydziału. Poszedł więc do wojskowej komendy uzupełnień, gdzie mu doradzono, by wszedł na „wojenną ścieżkę", a więc najpierw służba przygotowawcza, potem NSR, następnie służba w zwyczajnej jednostce, po paru latach ukończenie szkoły podoficerskiej… A potem już prosta droga!

I ten chłopak tak zrobił. Spotkaliśmy go na Selekcji, ale jeszcze cywilnej, nie tej do wymarzonej jednostki. Był w świetnej formie, już po szkole, w stopniu kaprala, dowodził paroma żołnierzami w jednostce bojowej, wkrótce miał zamiar startować do… Tu oczywiście zrobił tajemniczą minę. W sumie, jak policzyliśmy, zainwestował pięć lat służby i miał nadzieję, że spełnią się jego marzenia. Wreszcie zaliczył pomyślnie również tę właściwą selekcję i od bardzo dawna czeka na wezwanie do służby w nowej formacji.

I drugi przypadek, również kapral, także z drugorzutowej jednostki, ale nieco starszy. Pod każdym względem idealny! Małe kłopoty miał jedynie przez fanatyczny stosunek do szkolenia. Koledzy patrzyli na niego krzywym okiem, przełożeni za to stawiali za wzór, dopóki im nie zameldował, że właśnie wybiera się na selekcję do wojsk specjalnych. W efekcie, w ciągu kilku miesięcy zdawał sprawdzian z odporności psychicznej na szykany. Zdał! Selekcję również. Od pewnego czasu jest już tam, gdzie chciał trafić.

DRENOWANIE JEDNOSTEK

Gen. dyw. Piotr Patalong, inspektor wojsk specjalnych, zwraca uwagę, że obecnie, po reformie struktur dowodzenia, gdy jest wspólna podległość Dowództwu Generalnemu, łatwiej jest specjalsom pozyskiwać żołnierzy z innych jednostek, głównie z wojsk lądowych. Niemniej sprawa nieustannie wraca, a dowódcy kandydatów na komandosów od lat narzekają na drenowanie ich jednostek.

KOMENTARZ

PIOTR PATALONG

Szukamy kandydatów o ściśle określonym profilu psychologicznym, walorach psychofizycznych oraz inteligencji. Doświadczenia i statystyka pokazują, że najlepszymi żołnierzami wojsk specjalnych stają się nie tzw. killerzy, lecz osoby mocno zdeterminowane, rozsądne, inteligentne, głęboko wierzące w sens swojej służby i zdolne do wyrzeczeń. Mamy takich wielu w naszych szeregach i to jest powód mojej największej dumy.

[Gen. dyw. **Piotr Patalong** jest szefem Inspektoratu Wojsk Specjalnych DG RSZ.]

Armia liczy mniej więcej 90 tys. żołnierzy, więc trudno uwierzyć, że nie znajdzie się w szeregach garstki chętnych o odpowiednich predyspozycjach do służby w jednostkach specjalnych. Jeśli zaś tacy są, to jeszcze trudniej dać wiarę, że odchodząc, rozłożą na łopatki swoją dywizję czy spowodują upadek zdolności bojowej brygady.

Dla żołnierzy służących w „drugoligowych" jednostkach, przynajmniej dla ich części, przejście, przykładowo, do brygady aeromobilnej jest sukcesem i życiowym awansem. Nie dla wszystkich, gdyż można być naprawdę dumnym również ze służby w piechocie, niezależnie od tego, czy w wyposażeniu jednostki są BWP, czy rosomaki. Jednakże części młodych ludzi, tym, szukającym ciągle nowych wyzwań, z czasem zaczyna czegoś brakować. Chcą zatem skakać ze spadochronem i latać śmigłowcem! Z kolei temu, który się już nalatał i naskakał, śni się służba w szeregach specjalsów. Wydawać by się mogło, że w ten właśnie sposób powinna przebiegać naturalna ścieżka rozwoju.

Brygada czy batalion, rotując w ten sposób część żołnierzy z aspiracjami, mogłyby się chlubić ich awansami i szkolić następnych. W zawodowej armii jest to jedyny sposób na „odświeżanie krwi". Boli, że trzeba wyszkolić następnych? Jednostka wojskowa, w czasie pokoju, jest przecież głównie pewnego rodzaju firmą szkoleniową! Oczywiście nie wszyscy „normalsi" chcą zostać operatorami GROM-u, część z nich rozwija się jako pancerniacy, saperzy czy szturmani. Niektórzy też przychodzą tam po prostu do roboty, a wszelką zmianę sytuacji uważaliby za zbędną komplikację.

CHOĆBY Z KSIĘŻYCA

Wojska specjalne powinny mieć możliwość pozyskiwania kandydatów do służby z każdego możliwego źródła. Wynika to z charakteru formacji, z potrzeby wychodzenia w działaniach bojowych poza przyjęte w regularnych wojskach schematy. Dlatego również dobór ludzi nie jest werbowaniem żołnierzy na sztuki, lecz dobieraniem tych wyjątkowych. Specjalsi twierdzą przecież, że potrzebują „najlepszych z najlepszych". Tak, bezsprzecznie, tylko należy sprecyzować, pod jakiem względem najlepszych.

USMC

KOMENTARZ

ADAM JOKS

Przechodzenie żołnierzy z jednostek powietrznodesantowych do wojsk specjalnych jest procesem naturalnym, zauważalnym w wielu armiach świata. Obie formacje potrzebują ludzi o podobnych cechach psychofizycznych, wysoce zmotywowanych i potrafiących zmierzyć się z niełatwą służbą wojskową. Wojska specjalne powszechnie są uważane za elitę, w której służą najlepsi z najlepszych. Zapotrzebowanie z ich strony na spadochroniarzy świadczy więc także o jakości i wysokim poziomie szkolenia w 6 Brygadzie Powietrznodesantowej, powodującym, że nasi żołnierze w większości bez problemu przechodzą selekcje czy kwalifikacje do specjalsów. Oczywiście taki ubytek wymaga z jednej strony uzupełniania miejsc po odchodzących specjalistach, ale z drugiej zapewnia rozwój zawodowy tym, którzy w wyniku tego procesu awansują i nabywają nowych umiejętności. Nie bez znaczenia jest też fakt, że w wyniku ruchów kadrowych zwalniają się stanowiska podoficerów młodszych, na które mogą zostać awansowani najlepsi spośród szeregowych.

[Gen. bryg. **Adam Joks** jest dowódcą 6 Brygady Powietrznodesantowej.]

Po uformowaniu Jednostki Wojskowej GROM, dokładnie w okresie, gdy już zaczęto o niej publicznie mówić i pisać, lansowano rozliczne cechy operatorów, oprócz przygotowania fizycznego – stabilność życiową i dojrzałość emocjonalną. Powstawał wzorzec, model człowieka, który już coś przeszedł, czegoś doświadczył. Powinien być bystry, rozsądny, dobrze kojarzący, czyli niegłupi, by na każdym etapie działania mógł błyskawicznie i samodzielnie podejmować decyzje. Przestrzegano jednakże przed typem filozofa i intelektualisty, indywidualisty i introwertyka. Bo działania specjalne to także gra zespołowa. Dlatego od początku, od pierwszych naborów do dziś, już w całych wojskach specjalnych kładzie się nacisk na testy psychologiczne.

Z tych wszystkich prób i badań oraz selekcji z pewnością nie wychodzi model „cięty z metra". Operatorzy nigdy nie byli podobni jeden do drugiego. Ba, zdarzają się wśród nich indywidualności. Widać to często, gdy odchodzą do cywila i mogą się dość swobodnie „upublicznić", pokazać z fantazją i odreagować lata służby w utajeniu. ■

WSPÓŁPRACA: JAROSŁAW RYBAK

TADEUSZ WRÓBEL

Zostać specjalsem

Chociaż w większości państw przy wyborze kandydatów do wojsk specjalnych są preferowane osoby z doświadczeniem wojskowym, to zdarzają się też rozwiązania pozwalające wstępować do nich cywilom.

W Stanach Zjednoczonych, które mają najbardziej rozbudowane w świecie zachodnim wojska specjalne, generalną zasadą jest to, że specjalsami zostają wyłącznie mężczyźni mający obywatelstwo amerykańskie. Od 1988 roku w jednostkach US Army jako kandydaci byli akceptowani tylko żołnierze w służbie czynnej, w wieku 22–30 lat. Wcześniej, od 1952 roku, przyjmowano też ochotników z cywila. W 2014 roku pojawiła się informacja o przywróceniu takiej metody werbunku.

Zanim jednak cywil zostanie „zielonym beretem", musi przejść około dwuletnie szkolenie. Bardziej wyostrzone kryteria przewiduje się dla chcących wstąpić do elitarnej Delta Force. Przyjmowane są zgłoszenia tylko podoficerów starszych, w wieku co najmniej 22 lat, mających za sobą minimum 4,5 roku służby w wojsku. Jeśli chodzi o morską jednostkę specjalną – SEAL – akceptowani są tylko chętni służący w US Navy. Przy czym ochotnicy nie mogą mieć więcej niż 28 lat.

BRYTYJSKA WSPÓLNOTA

W Wielkiej Brytanii dla każdej jednostki specjalnej jest przewidziana inna metoda naboru. Do najbardziej elitarnego 22 Pułku Special Air Service (SAS) mogą aplikować tylko wojskowi ze wszystkich rodzajów sił zbrojnych w wieku do 34 lat, mający za sobą co najmniej dwa lata służby. Oprócz obywateli Zjednoczonego Królestwa akceptowani są kandydaci z państw Brytyjskiej Wspólnoty Narodów, takich jak Australia czy Nowa Zelandia. Do dwóch rezerwowych pułków SAS (21 i 23) mogą zaś wstąpić cywile bez doświadczenia wojskowego, cieszący się dobrym zdrowiem mężczyźni w wieku 18–32 lata. W wypadku osób, które wcześniej były żołnierzami, granica wieku została podniesiona do 34 lat. Rezerwiści są szkoleni do wykonywania innych zadań niż koledzy z Dwudziestego Drugiego.

Do operacyjnych szwadronów innej elitarnej brytyjskiej jednostki specjalnej – Special Boat Service (SBS) – trafiają wyłącznie wojskowi, po przynamniej 18 miesiącach służby. Do rezerwy SBS są przyjmowane tylko osoby z doświadczeniem wojskowym. Zainteresowani wstąpieniem do niej muszą zgłosić to w ostatnich sześciu miesiącach czynnej służby. Rezerwiści uzupełniają raczej regularne zespoły bojowe niż tworzą odrębne.

W Kanadzie cywile nie są przyjmowani do jednostek specjalnych. Chętni do wstąpienia do nich wojskowi służby czynnej muszą mieć za sobą minimum dwa lat służby wojskowej w jednym z rodzajów sił zbrojnych. Rezerwistów obowiązuje wymóg służby trzyletniej.

Dwie równoległe ścieżki naboru do wojsk specjalnych istnieją od około dziesięciu lat w Australii – przyjmowani są ochotnicy z wojska i cywila. W pułkach komandosów jako wymagany wiek jest podawane 19–30 lat, ale preferowani są mężczyźni (od 1 października 2015 roku do jednostek specjalnych będą też przyjmowane kobiety) w wieku 23–29 lat, mający obywatelstwo australijskie. Przy czym zanim ochotnicy z cywila zostaną dopuszczeni do wieloetapowej selekcji, muszą przejść 80-dniowe szkolenie piechoty. Jeżeli żołnierz nie zaliczy selek-

cji, powraca do jednostki macierzystej, a kandydat z cywila może być przeniesiony do jednego z batalionów piechoty.

Cywile mogą się też zgłaszać do australijskiego pułku SAS, ale według dość powszechnej opinii mają oni niewielkie szanse na przetrwanie selekcji. Jeśli chodzi o tę jednostkę, to procentuje wcześniejsza kilkuletnia służba w wojsku. Podobnie jest w wypadku zgłaszających się do nowozelandzkiego 1 Pułku SAS – większość z nich to żołnierze służby czynnej lub rezerwy, którzy mają za sobą przynajmniej dwa lata w mundurze. Jednak formalnie cywile mogą wstępować do SAS. Kandydat musi mieć 17 lat lub więcej, być obywatelem Nowej Zelandii, spełniać wymagania wynikające z zasad bezpieczeństwa. Musi też się wykazać bardzo dużą motywacją do służby w siłach specjalnych.

W morskiej jednostce specjalnej SEAL akceptowani są tylko chętni służący w US Navy. Ochotnicy nie mogą mieć więcej niż 28 lat.

MODEL ZACHODNIOEUROPEJSKI

W podobnym kierunku poszły zmiany u zachodniego sąsiada Polski, w Niemczech. Początkowo do jednostki Kommando Spezialkräfte (KSK) mogli się zgłaszać tylko wojskowi – oficerowie i podoficerowie. W 2005 roku dano jednak możliwość wstępowania do niej szeregowym i cywilom. Cywil zanim zostanie dopuszczony do selekcji do KSK musi ukończyć 18-miesięczny kurs. Nie ma zakazu przyjmowania do jednostek specjalnych kobiet, ale zainteresowane taką służbą muszą sprostać wysokim wymaganiom pod względem sprawności fizycznej.

We Francji sytuacja jest bardziej skomplikowana. Do brygady sił specjalnych armii (Brigade des forces spéciales Terre) są przyjmowani ochotnicy – oficerowie i podoficerowie – służący w innych jednostkach wojsk lądowych. Istnieje też wstępna selekcja kandydatów z cywila. W ogłoszeniu rekrutacyjnym 13 Pułku Dragonów Spadochroniarzy z 2012 roku jako wymagany wiek kandydatów podano 18–25 lat. Ci z nich, którzy odpadają w trakcie szkolenia, przechodzą do innych rodzajów wojsk. Do jednostek specjalnych marynarki wojennej przyjmuje się natomiast wojskowych będących w służbie czynnej. I tak komandosami morskimi zostają osoby wywodzące się najczęściej z korpusu strzelców morskich (corps des fusiliers marins). Jeśli cywil chce być komandosem w Marine nationale, wcześniej musi wstąpić do tej formacji. W siłach powietrznych jedną z jednostek specjalnych jest Commando parachutiste de l'air numéro 10. Do niego też są przyjmowani tylko wojskowi, głównie z dwóch innych komand – 20 i 30 (do nich mogą też trafiać osoby z cywila). ■

US NAVY

PAULINA GLIŃSKA

W kolejce do NSR

Zainteresowanie młodych ludzi służbą przygotowawczą nie słabnie. Tylko w latach 2010–2014 odbyło ją ponad 22,5 tys. ochotników.

Turnusy służby przygotowawczej są prowadzone od pięciu lat. Są przeznaczone dla ochotników, którzy nigdy nie pełnili służby wojskowej, ale chcą odbyć przeszkolenie i uzyskać tytuł żołnierza rezerwy. Zainteresowanie młodych ludzi nimi jest bardzo duże. O jedno miejsce na wojskowym przeszkoleniu ubiega się średnio niemal 20 kandydatów. Ze względu na limity nie każdy jednak może liczyć na natychmiastowe wcielenie. Wielu nie rezygnuje i ponawia wnioski o powołanie do służby. W praktyce bramy koszar mogą dla niektórych otworzyć się dopiero za kilka lat.

„Z ochotnikami do służby przygotowawczej spotykamy się co tydzień podczas organizowanych przez nas tzw. obiadów czwartkowych. Odwiedza nas wtedy 30–40 osób. Odpowiadamy na tysiące pytań, doradzamy, jak zwiększyć swoje kwalifikacje. Efektem tych spotkań jest ponad 300 złożonych na każdy turnus wniosków, wśród nich są także dokumenty tych, którzy niezrażeni wcześniejszymi niepowodzeniami ponawiają swoje aplikacje", tłumaczy mjr Sławomir Roman, szef Wydziału Rekrutacji Wojskowej Komendy Uzupełnień w Poznaniu.

Wojsko może zatem wybierać najlepszych kandydatów do przeszkolenia. Teraz nie wystarczy już spełnienie wymogów podstawowych: wiek co najmniej 18 lat, niekaralność i kategoria zdolności do czynnej służby „A". Preferowane są znajomość języków obcych, doświadczenie zawodowe, dodatkowe umiejętności. I choć w szkoleniu na szeregowych jest wymagane wykształcenie co najmniej gimnazjalne, tacy kandydaci niemal

KRZYSZTOF WILEWSKI

W 2014 ROKU SŁUŻBĘ PRZYGOTOWAWCZĄ ODBYŁO W SUMIE PONAD 5 TYS. OCHOTNIKÓW (KORPUS SZEREGOWYCH I PODOFICERÓW)

się już nie zdarzają. „Obecnie wśród 400 ochotników z powiatów administrowanych przez naszą WKU nie ma żadnej osoby z wykształceniem gimnazjalnym. 70% młodzieży to ludzie po studiach, w tym na przykład prawnicy. Zdarzyła się nawet jedna kobieta z doktoratem. Spośród kandydatów z wykształceniem średnim wybieramy tych z technicznym, elektronicznym, mechanicznym, czyli takim, które może się przydać w armii", mówi mjr Zbigniew Stakun, szef Wydziału Rekrutacji Wojskowej Komendy Uzupełnień w Olsztynie.

Dla wojska liczy się też wiedza związana z takimi dziedzinami, jak obronność czy bezpieczeństwo państwa. Kandydaci są na przykład pytani o urzędującego ministra, o to, z jakich elementów składa się system obronny państwa i jakie rodzaje wojsk wchodzą w skład Sił Zbrojnych RP. „Osoba, która chce włożyć mundur, powinna wiedzieć takie rzeczy", kwituje major z olsztyńskiej komendy.

O tym, który z kandydatów się zakwalifikuje, decyduje też motywacja. To dla wojska szczególnie ważny aspekt. „Miejsc na turnusach jest bardzo mało. Nasza komenda oferuje rocznie około 50. Bolączką jest więc, kiedy kandydat w trakcie szkolenia rezygnuje. Dlatego zainteresowani muszą nas przekonać, że ich motywacja jest na tyle duża, że się nie wycofają, jeśli nie będą mieli ku temu poważnych powodów. Wtedy możemy w nich zainwestować", podkreśla mjr Stakun.

Kpt. Jarosław Barczewski, rzecznik prasowy Centrum Szkolenia Sił Powietrznych w Koszalinie, przyznaje, że na etapie starań o wcielenie chęć odbycia służby przygotowawczej deklarują wszyscy. „Pierwsze dni pobytu w wojsku dość często jednak weryfikują oczekiwania i wyobrażenia młodych ludzi o służbie wojskowej. Wszystko jest zhierarchizowane, ktoś wydaje rozkazy, potem je egzekwuje. Nie każdemu to pasuje", dodaje.

Najwięcej osób wykrusza się na początku szkolenia. Najtrudniejszy dla ochotników okazuje się pierwszy miesiąc. „Dla nich pobyt w wojsku to zupełna nowość. Muszą przestawić się na zupełnie inny tryb życia, wejść w nieznane dotąd środowisko. Dla wielu z nich to czas próby. Niektórym doskwiera rozłąka z rodziną i przyjaciółmi, inni odczuwają fizyczne trudny służby, gdy na przykład kilkanaście godzin dziennie muszą ćwiczyć elementy musztry. Gdy żołnierz wytrwa miesiąc, jest mu później znacznie łatwiej funkcjonować", mówi mjr Dariusz Wyrzykowski, komendant Ośrodka Szkolenia Podstawowego w poznańskim Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych.

Powody „wykruszeń" są różne. „Jako ciekawostkę podam, że z osób zarejestrowanych w naszej komendzie nie zrezygnowała nigdy dotąd żadna kobieta. Ostatnio zrobił to jeden mężczyzna, bo okazało się, że jego córka będzie miała przeszczep nerki. Bywają jednak sytuacje, gdy ochotnik rezygnuje niemal od razu, po umundurowaniu i zakwaterowaniu w koszarach", przyznaje mjr Stakun.

W pierwszym tegorocznym turnusie w Centrum Szkolenia Sił Powietrznych w Koszalinie z 230 osób rozpoczynających służbę przygotowawczą zrezygnowało 12. „Powody były najczęściej rodzinne, ale zdarzyła się też sytuacja, że ktoś, poszukujący pracy przed przyjściem do nas, właśnie ją znalazł", mówi mjr Marek Pawłowski, komendant Ośrodka Szkolenia Podstawowego w CSSP w Koszalinie. Oficer prowadzi właśnie 16. turnus służby przygotowawczej do NSR.

W poznańskim Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych z kolei już w pierwszym tygodniu zrezygnowało sześć osób. To dla oczekujących w kolejce sytuacja komfortowa – gdy ochotnik rezygnuje w ciągu pierwszych dziesięciu dni szkolenia, jego miejsce może zająć kolejna osoba zainteresowana służbą przygotowawczą. Przy rezygnacji w późniejszym terminie miejsce pozostaje wolne – szkolenie jest już na tyle zaawansowane, że dana osoba nie byłaby w stanie nadrobić zaległości. „Podczas tego turnusu braki od razu uzupełniliśmy kolejnymi ochotnikami. Na 246 przyjętych osób zrezygnowało w sumie 16 z nich. To normalny odsetek", tłumaczy mjr Wyrzykowski.

MUNDUR NA DŁUŻEJ

Powodów, dla których młodzi ludzie chcą odbyć służbę, jest wiele. Dla jednych to kontynuowanie tradycji, dla innych chęć spróbowania czegoś nowego. „Trudno uogólniać, ale chyba najczęstszym powodem, przynajmniej w naszym regionie, jest sytuacja na rynku pracy. W powiecie olsztyńskim bezrobocie wynosi około 10%, w nidzickim 18%, a w szczycieńskim blisko 26%. Robimy zestawienia porównawcze i zazwyczaj zainteresowanie wojskiem niemal idealnie pokrywa się ze strukturą bezrobocia", mówi oficer z WKU w Olsztynie.

Według danych Sztabu Generalnego WP łącznie w latach 2010–2014 z ponad 22,5 tys. osób, które odbyły szkolenie w ramach służby przygotowawczej, kontrakty na wykonywanie obowiązków w NSR podpisało 19,5 tys. żołnierzy. „Nie każdy marzy o zawodowstwie. Znam osoby, które postawiły na rozwój, będąc właśnie w rezerwie. Ukończyły odpowiednie kursy i teraz w gablotach swoich firm, na biurkach w gabinetach dumnie ustawiają patent podporucznika rezerwy", mówi mjr Roman.

→

PAKIET OBOWIĄZKÓW

Ochotnicy szkolący się na oficerów, podoficerów i szeregowych NSR, którzy zdadzą egzaminy końcowe, mogą podpisać kontrakt na wykonywanie obowiązków w ramach Narodowych Sił Rezerwowych. Będą wtedy pozostawać w dyspozycji w razie realnych zagrożeń militarnych i niemilitarnych, zarówno w kraju, jak i poza granicami państwa. Jednym z ich obowiązków jest między innymi udział w organizowanych przez jednostkę wojskową ćwiczeniach (do 30 dni w roku). W tym czasie dostają uposażenie, umundurowanie, zakwaterowanie, a ich pracodawca może liczyć na rekompensatę kosztów wynikających z ich nieobecności w pracy.

ŁUKASZ KERMEL
17 WBZ

Kilka miesięcy w mundurze

Wojskowi przyznają jednak, że kariera zawodowca to cel, który przyświeca zdecydowanej większości odbywających służbę przygotowawczą. „Gdybym miał porównać turnus pierwszy, który prowadziłem, i ten, który teraz się kończy, to różnica jest diametralna. W pierwszym nikt do końca nie wiedział, w jakim kierunku służba przygotowawcza pójdzie. Mieliśmy sporo osób, które nie do końca uświadamiały sobie, po co do wojska przyszły. Dziś trafiają do nas ludzie z konkretnymi planami na przyszłość. Nie chcą, aby ich przygoda z mundurem zakończyła się po czterech miesiącach", przyznaje mjr Pawłowski.

Wojsko nie prowadzi jednak szczegółowych statystyk dotyczących liczby absolwentów służby przygotowawczej, którzy wstąpili do armii zawodowej. „Żołnierze po zakończeniu szkolenia w ramach służby przygotowawczej są przenoszeni do rezerwy i uzyskują status żołnierza rezerwy. Powołanie ich do służby zawodowej odbywa się za zgodą Departamentu Kadr MON na zasadach ogólnych, dotyczących wszystkich żołnierzy rezerwy, czyli takich samych, jak żołnierzy, którzy odbyli inne formy czynnej służby wojskowej", mówi ppłk Sławomir Ratyński z Biura Prasowego SGWP. Wiadomo natomiast, ilu eneserowców zasiliło szeregi żołnierzy zawodowych – od 2011 roku prawie 13 tys.

Plany włożenia munduru na stałe ma szer. rez. Alina Górska, ratownik medyczny. Pod koniec 2014 roku ukończyła służbę przygotowawczą na potrzeby korpusu podoficerów w koszalińskim Centrum Szkolenia Sił Powietrznych. „O wcielenie starałam się od dwóch lat. To była największa przygoda w moim życiu, ale też czas, który pozwolił mi ostatecznie zweryfikować plany związane z wojskiem. Wiem już na pewno, że chcę służyć w armii. Wcześniej planowałam być ratownikiem w mundurze, teraz, gdy zdobyłam nową specjalność przeciwlotniczą, gdy lepiej poznałam wojsko, wiem, że nic nie jest za trudne, by się tego nauczyć. Na każdym stanowisku w armii może być ciekawie. To tylko kwestia podejścia i determinacji", mówi szeregowy rezerwy.

Podobne plany ma Andrzej Przybyś z Dęblina, który służbę przygotowawczą na pierwszym tegorocznym turnusie odbywa w Centrum Szkolenia Wojsk Inżynieryjnych i Chemicznych we Wrocławiu. „Czekałem na to dwa lata. Wierzę, że sobie poradzę, bo dla mnie to pierwszy krok do zostania

SZEREGOWI

Najwięcej turnusów służby przygotowawczej armia organizuje na potrzeby korpusu szeregowych. To zazwyczaj trzy czteromiesięczne takie szkolenia w roku. W ciągu trzech pierwszych miesięcy ochotnicy przechodzą przygotowanie ogólnowojskowe. Uczestniczą wtedy w zajęciach ze szkolenia ogniowego, uczą się taktyki i obsługi specjalistycznego sprzętu, trenują kondycję. Pod nadzorem instruktorów odbywają też między innymi szkolenie medyczne i saperskie. Po trzech miesiącach elewi zaliczają pierwsze egzaminy – między innymi z regulaminów, zagadnień inżynieryjno-saperskich, strzelania, nawiązywania łączności oraz test sprawnościowy. Dopiero potem przychodzi czas na szkolenie specjalistyczne. W wypadku korpusu szeregowych NSR trwa ono miesiąc. Jego program jest uzależniony od specyficzności danego centrum. Ochotnicy w Centrum Szkolenia Marynarki Wojennej w Ustce szkolą się między innymi z obsługi: stacji radiolokacyjnych, artylerii okrętowej, urządzeń nawigacyjnych i hydroakustycznych, elewi z Koszalina zdobywają praktyczne umiejętności na stanowiskach związanych z obroną przeciwlotniczą, a ci szkolący się w Toruniu – z artylerii.

PODOFICEROWIE

W wypadku kandydatów na podoficerów rezerwy przygotowanie ogólnowojskowe wygląda tak samo jak sze-

O JEDNO MIEJSCE NA WOJSKOWYM PRZESZKOLENIU UBIEGA SIĘ ŚREDNIO NIEMAL **20 KANDYDATÓW**

zawodowcem. Interesuję się wojskiem, jestem aktywny fizycznie. Liczę, że te cztery miesiące będą efektywne, że zdobędę nowe umiejętności", mówi ochotnik.

Szansę na odbycie służby przygotowawczej dostali też w tym roku ci, którzy we wnioskach o przyjęcie do wojska wskazywali chęć zostania podoficerem lub oficerem rezerwy. „Bardzo się cieszę, że udało mi się dostać do służby przygotowawczej. Zainteresowanie było bardzo duże – o jedno miejsce ubiegało się kilkanaście osób. Być może przekonałem komisję moim doświadczeniem zawodowym, ogromną determinacją i kwalifikacjami. Mam między innymi uprawienia elektryczne Stowarzyszenia Elektryków Polskich, ukończyłem studia z wyróżnieniem, działałem jako senator Politechniki Koszalińskiej", mówi Grzegorz Sobolewski z Ustki, absolwent studiów na kierunku elektroniki i telekomunikacji. Razem z 24 innymi osobami przechodzi właśnie służbę przygotowawczą w poznańskim centrum szkolenia. To drugi taki jednolity pięciomiesięczny turnus w historii służby przygotowawczej. W pierwszym, organizowanym w 2011 roku, uczestniczyło ponad 45 osób.

W ostatnich dwóch latach podobne turnusy odbywały się też w Centrum Szkolenia Łączności i Informatyki w Zegrzu. Były one jednak organizowane tylko dla studentów i na nieco innych zasadach. W pierwszym roku, w okresie wakacji, studenci przechodzili wyłącznie szkolenie ogólnowojskowe. Umiejętności specjalistyczne zdobywali po roku przerwy – także podczas miesięcy wolnych od nauki.

Po raz pierwszy w pięcioletnim okresie funkcjonowania służby przygotowawczej wojsko uruchomiło też turnus służby przygotowawczej na potrzeby korpusu oficerskiego. W styczniu 2015 roku w Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Lądowych we Wrocławiu szkolenie rozpoczęło 40 ochotników.

Choć wojsko zdaje sobie sprawę z dużego zainteresowania, nie planuje na razie zwiększyć limitów. „Nie możemy brać pod uwagę wyłącznie oczekiwań społecznych. Musimy realnie patrzeć na nasze potrzeby oraz możliwości, zarówno szkoleniowe centrów, jak i finansowe resortu obrony. Obowiązujący limit powołań w kontekście uzupełnień kryzysowych i mobilizacyjnych wynika właśnie z potrzeb sił zbrojnych i został określony rozporządzeniem Rady Ministrów w sprawie liczby osób, które w 2015 roku mogą być powołane do czynnej służby wojskowej", wyjaśnia płk Lech Matyszczyk, szef Oddziału Uzupełnień Pokojowych i Służby Wojskowej Zarządu Organizacji i Uzupełnień – P1 SGWP. Oficer podkreśla jednak, że wszyscy ochotnicy są rejestrowani w bazach danych właściwych wojskowych komend uzupełnień. Jeśli tylko ich predyspozycje lub szczególne umiejętności spełniają oczekiwania wojska, są zapraszani do WKU, by rozpocząć procedury powołania.

Oficerowie zajmujący się rekrutacją do wojska przyznają, że mimo dużego zainteresowania armia nie może rezygnować z promocji służby przygotowawczej i Narodowych Sił Rezerwowych. „To musi być proces ciągły. Czasem jakieś wydarzenie na arenie międzynarodowej czy zmiana ekonomiczna, jak na przykład spadek bezrobocia, mogą sprawić, że ochotników z dnia na dzień zabraknie. Dlatego cały czas musimy o nich zabiegać", mówi mjr Stakun. ■

regowych. Dłuższe o miesiąc jest za to szkolenie specjalistyczne. Ochotnicy z trwającego właśnie turnusu będą się szkolić w trzech specjalnościach: zmechanizowanej, łączności i artylerii. W tym czasie odbędą też tygodniową praktykę dowódczą w jednostkach wojskowych. W ostatnich dwóch latach podobne turnusy miały też miejsce w Centrum Szkolenia Łączności i Informatyki w Zegrzu. Były one jednak organizowane tylko dla studentów i na nieco innych zasadach. W pierwszym roku, w okresie wakacji, studenci przechodzili wyłącznie szkolenie ogólnowojskowe. Umiejętności specjalistyczne zdobywali po roku przerwy – także podczas miesięcy wolnych od nauki.

OFICEROWIE

Służba przygotowawcza na potrzeby korpusu oficerów NSR trwa pół roku. Szkolenie ogólnowojskowe jest identyczne jak w wypadku dwóch pozostałych korpusów. Kandydatów na oficerów rezerwy czeka trzymiesięczne szkolenie specjalistyczne. 40 ochotników, którzy służbę przygotowawczą odbywają teraz we wrocławskiej szkole oficerskiej (pierwszy taki turnus), będzie się kształcić między innymi w specjalnościach: prawnej, finansowej i logistycznej. Ta część szkolenia obejmie także dwutygodniową praktykę dowódczą w jednostkach wojskowych. Ochotnicy będą tam pełnić funkcję dublerów dowódców plutonów.

KOLOS W POWIETRZU

Z por. pil. Piotrem Adamcem

o możliwościach jednego z największych samolotów transportowych i służbie w międzynarodowej bazie lotniczej z pierwszym polskim dowódcą załogi C-17 Globemaster rozmawia Magdalena Kowalska-Sendek.

VILLE TUOKKO/OFICER PRASOWY BAZY PAPA

Jest Pan jednym z siedmiu Polaków, którzy służą obecnie w międzynarodowej bazie lotniczej Pápa na Węgrzech.

To prawda, jest tam trzech polskich pilotów, technik pokładowy, technik naziemny oraz oficer sztabowy i logistyk. Polscy żołnierze na Węgrzech służą na podstawie trzyletnich kontraktów.

Mówiąc Pápa, myślimy o 1 Skrzydle Ciężkiego Transportu Lotniczego. Proszę opowiedzieć o tej jednostce. Jak jest zorganizowana praca w bazie?

W skrzydle służy ponad 100 osób. W większości Amerykanie, ale są też Węgrzy, Holendrzy, Szwedzi, Finowie, Bułgarzy, Rumuni i Litwini. Tak naprawdę swoich żołnierzy mogą delegować wszystkie kraje, które przystąpiły do programu strategicznego transportu lotniczego [Strategic Airlift Capability – SAC]. Strukturę bazy można porównać do eskadr F-16. Jednostkę tworzą różne sekcje. Są na przykład sekcje odpowiadające za trening, za ewaluację i za planowanie.

Zgodnie z zapotrzebowaniem poszczególnych państw, na pokładzie C-17 przewozimy pojazdy, części wymienne do samolotów, różnego rodzaju sprzęt wojskowy i oczywiście ludzi. Zdarzyło mi się już transportować śmigłowce i pojazdy opancerzone. Wielokrotnie na pokładzie miałem także polskich żołnierzy, którzy lecieli na misję do Afganistanu.

Polska partycypuje w tym programie od 2008 roku.

W sierpniu 2006 roku państwa członkowskie NATO oraz Szwecja i Finlandia zdecydowały o konieczności zwiększenia możliwości transportu powietrznego Europy. Opracowano wówczas SAC. Kraje członkowskie NATO zawarły porozumienie z firmą Boeing i na jego mocy zdecydowano o zakupie trzech samolotów C-17. Koszty ich nabycia, szkolenia załóg i eksploatacji rozłożono na wszystkie państwa biorące udział w programie. Rzeczywiście, Polska przystąpiła do niego w 2008 roku. Oprócz Polaków, porozumienie o zakupie i utrzymaniu trzech ciężkich transportowców podpisały Stany Zjednoczone, Węgry, Bułgaria, Estonia, Litwa, Holandia, Rumunia i Słowenia oraz Finlandia i Szwecja.

Jak ten program sprawdza się w praktyce?

Samoloty C-17 z Pápy od początku istnienia programu wykonały kilka tysięcy misji lotniczych, w powietrzu spędziły ponad 14 tys. godz. Na pokładzie przewieźliśmy przeszło 44 tys. t ładunków i ponad 60 tys. pasażerów.

Zdarzają się nagłe wezwania? Pełnicie dyżury?

Loty transportowe odbywają się w międzynarodowej przestrzeni powietrznej. Nie da się więc latać w trybie nagłym. Są kraje, które wydają zgodę na przelot C-17 w ciągu doby. Są i takie, które czekają z tym 21 dni roboczych.

Tylko raz w Pápie samoloty poderwały się bez żadnej zwłoki. W 2010 roku na pokładzie globemasterów do Polski transportowano trumny z ofiarami katastrofy lotniczej prezydenckiego samolotu pod Smoleńskiem.

Zanim usiadł Pan za sterami C-17, pilotował Pan mniejsze transportowce – M-28 B/PT Skytruck i C-295M CASA. Jak się Pan znalazł na Węgrzech?

W powietrzu spędziłem przeszło 2500 godz. W 2000 roku ukończyłem Wyższą Szkołę Oficerską Sił Powietrznych w Dęblinie i rozpocząłem służbę w 7 Eskadrze Lotnictwa Taktycznego w Powidzu. Po siedmiu latach, ze względów rodzinnych i zdrowotnych, z Su-22 przesiadłem się na transportowce. Rozpocząłem służbę w 13 Eskadrze Lotnictwa Transportowego w podkrakowskich Balicach [dzisiejsza 8 Baza Lotnictwa Transportowego]. Tam szkoliłem się początkowo na skytrucku, a później, jako drugi pilot, na casie. Jako pilot C-295M latałem głównie po Europie. Służyłem też na jednej zmianie w Afganistanie w komponencie lotniczym polskiego kontyngentu wojskowego na stanowisku oficera do spraw bezpieczeństwa lotów.

Szkolenia na C-295M jednak Pan nie ukończył i nie został dowódcą załogi.

Kiedy byłem w Afganistanie, nie mogłem latać, bo nie byłem przeszkolony w lotach taktycznych. Później w kraju wyszkoliłem się w pełni jako drugi pilot, ale rzeczywiście nie przesiadłem się na lewy fotel. Paradoksalnie to właśnie na C-17 udało mi się odbyć szkolenie do końca i zostać dowódcą załogi.

Globemaster to spełnienie marzeń pilota? Kiedy pierwszy raz usiadł Pan za sterami tej maszyny?

Dla pilota transportowego na pewno tak. W moim typie lotnictwa to takie marzenie, jak dla pilota myśliwców usiąść za sterami F-16. Kiedy w 2010 roku dowiedziałem się, że Pápa poszukuje jeszcze jednego pilota, długo się nie zastanawiałem. Już wówczas w bazie na Węgrzech służyło kilku Polaków. Zdałem egzaminy językowe i kurs przetrwania SERE [Survival, Evasion, Resistance, Escape] na poziomie C. Później, w 2011 roku, Amerykanie skierowali mnie na kurs dla drugich pilotów w Oklahomie. Pilotażu globemastera mogłem spróbować dopiero po ukończeniu jego części teoretycznej.

Jak Pan wspomina szkolenie?

Szkoliłem się w bazie Altus w Oklahomie. To taki nasz Mirosławiec. Nie ma tam nic oprócz statków powietrznych, tankowców C-135 oraz samolotów Globemaster C-17. Szkolenie było ułożone tak, aby dwie strony na tym korzystały. My uczyliśmy się tankowania w powietrzu, a koledzy z C-135 szkolili się z podawania tego paliwa.

Na początek była teoria. Przeszedłem interaktywny kurs budowy i eksploatacji samolotu, a później spędziłem 120 godz. w symulatorze. Na koniec był egzamin. Każdy z kursantów musiał wykonać lot wirtualny, zrobić precyzyjne i nieprecyzyjne podejście oraz sprawdzić się w szczególnych sytuacjach w powietrzu, czyli na przykład okazywało się, że silnik jest niesprawny albo uszkodzona mechanizacja skrzydła.

Po zdanym egzaminie rozpocząłem loty. W powietrzu spędziłem 20 godz. Wykonałem trzy loty dzienne i jeden nocny z wykorzystaniem noktowizji na wysokości 150 m. Część praktyczną również zakończył sprawdzian. W moim przypadku to był lot na małej wysokości, zajścia taktyczne do lądowania z wykorzystaniem małowymiarowego pasa startowego.

Później było jeszcze szkolenie z desantowania?

Żeby podtrzymać uprawnienia, wziąłem później udział w szkoleniu symulatorowym w USA, a w międzyczasie ukończyłem dwumiesięczny kurs uprawniający do desantowania i wykonywania lotów grupowych. Umiejętności te wykorzysta- →

Globemastery z naszej bazy latają praktycznie w każdy zakątek świata. Nie przypominam sobie tylko lotu do Australii

łem już wiele razy w praktyce. Na przykład w ubiegłym roku desantowałem niemieckich spadochroniarzy w Holandii i w Polsce. Zrzucałem też hummery, zasobniki, tarę desantową i czołgi.

W 2014 roku przeszkolił się Pan na dowódcę załogi. W listopadzie ubiegłego roku został Pan pierwszym Polakiem, który ma takie uprawnienia.

Szkolenie praktyczne dowódcy załogi jest niczym innym, jak powtórką szkolenia drugiego pilota. Różnica polega na tym, że jako dowódca odpowiadam za wszystkie aspekty planowania i prowadzenia misji w powietrzu. To także dowodzenie wieloosobową załogą, między innymi pilotami, loadmasterami i inżynierami pokładowymi. Najwięcej uwagi poświęca się właśnie planowaniu lotów. Trzeba studiować mapę, sprawdzać wszystkie zgody na przelot. Trzeba skoordynować naszą obecność w powietrzu z innymi statkami. Dokładność musi być 100-procentowa. Nie wszędzie jest pokrycie radarowe, więc loty opierają się na separacji czasowej. Nie możemy się spóźnić o więcej niż minutę.

Kurs dla dowódców załóg też składał się z dwóch części: teoretycznej, którą zrobiłem w Stanach Zjednoczonych, i praktycznej, w bazie Pápa. Przez dwa tygodnie latałem z instruktorem, który oceniał moje umiejętności. W sumie w powietrzu byłem oceniany przez 100 godz. Kosztowało mnie to mnóstwo nerwów, bo misje, które musiałem wykonać, były bardzo wymagające. Latałem do Afganistanu, Afryki i po Europie.

Lot egzaminacyjny był szczególny. Dlaczego?

Podczas lotu egzaminacyjnego po raz pierwszy w historii programu C-17 start i lądowanie wykonali dwaj Polacy. Ja, jako dowódca załogi, oraz por. Grzegorz Paterek, jako drugi pilot.

Czy szkoląc się i służąc w Pápie, latał Pan po całym świecie?

Globemastery z naszej bazy latają praktycznie w każdy zakątek świata. Nie przypominam sobie tylko lotu do Australii. Ale były Azja, Afryka, ostatnio nawet Hawaje. Zdarzało się i tak, że jednego dnia lecieliśmy w stronę Afganistanu, przesuwając się o sześć stref czasowych. Drugiego dnia byliśmy już w Stanach Zjednoczonych, pokonując znowu sześć stref, ale w przeciwną stronę. W Pápie nikt nie pyta o porę dnia. Zwykle zastanawiamy się, jaki jest dzień tygodnia. Zupełnie można się natomiast pogubić, kiedy przez dwa tygodnie lata się po świecie niemal bez przerwy. Długa nieobecność w bazie wynika z tego, że mamy dłuższy niż w Polsce czas startowy. Od przyjścia do pracy do lądowania mogą minąć 24 godz. i 45 min. A po odpoczynku znowu jesteśmy gotowi do lotu.

Czy C-17 to samolot wymagający?

Tak, to skomplikowana maszyna. Wymaga wielu godzin intensywnej nauki. W trakcie szkolenia na drugiego pilota instruktorzy dali nam „marchewkę". Każdy kursant mógł zobaczyć, do jakiego poziomu może się wyszkolić i do jakich umiejętności powinien dążyć. Jako pasażer leciałem w czasie lotu egzaminacyjnego amerykańskiego instruktora. To było coś! Pilot wykonał tankowanie w powietrzu, zajścia taktyczne, lot na małej wysokości. I jeszcze jedno… podczas lotu włączył rewers, czyli zmianę ciągu silnika. To był dynamiczny manewr, bo samolot zaczął spadać 100 m/s.

Taka poglądowa lekcja dała mi siłę i poprawiła motywację. „Marchewka" była potrzebna, bo w szkolenie na C-17 trzeba włożyć mnóstwo wysiłku umysłowego i fizycznego. Przez trzy miesiące siedzi się po kilkanaście godzin dziennie nad książkami i w symulatorze.

Czy globemastera można porównać do jakiegokolwiek innego samolotu?

Wszystko zależy od tego, jakich cech to porównanie miałoby dotyczyć. W lotach na małych wysokościach ta maszyna przypomina mi bardzo Su-22. Globemaster to największy samolot transportowy, który może latać jak myśliwiec na wysokości lotu koszącego, przewożąc przy tym 70 t ładunku. To kolos, który można lekko prowadzić, maszyna, która z obciążeniem może lądować i startować z trawy, a pilotować ją można w goglach noktowizyjnych. Co ciekawe, trzeba pamiętać, że przy przechyleniu C-17 o 45 stopni dolna krawędź skrzydła jest 20 m niżej niż kadłub. To istotne, zwłaszcza kiedy leci się 100 m nad ziemią.

Czy globemaster doczekał się jakiegoś przezwiska?

Piloci na C-17 mówią „łoś". Nazwa bierze się od tego, że dźwięk awaryjnie zrzucanego paliwa ze zbiorników bardzo przypomina ryk tego zwierzęcia. ■

WIZYTÓWKA

POR. PIL. PIOTR ADAMIEC

Nalot życiowy około 2500 godz. W 2000 roku ukończył Szkołę Oficerską Sił Powietrznych w Dęblinie. Służył w 7 Eskadrze Lotnictwa Taktycznego w Powidzu, 13 Eskadrze Lotnictwa Transportowego oraz w 8 Bazie Lotnictwa Transportowego. Od 2012 roku służy w 1 Skrzydle Ciężkiego Transportu Lotniczego. Jest dowódcą załogi samolotu Globemaster C-17.

ST. SZER. ANDRZEJ KUPIDURA

W wojsku służy od: 2005 roku.

Data i miejsce urodzenia: 3 lutego 1979 roku, Strzelno.

Tradycje wojskowe: dziadek walczył w II wojnie światowej.

Jednostka wojskowa: 1 Batalion Piechoty Zmotoryzowanej Ziemi Rzeszowskiej, 17 Wielkopolska Brygada Zmechanizowana.

Misje i ćwiczenia: w 2011 roku służyłem na IX zmianie kontyngentu wojskowego w Afganistanie. W Polsce brałem udział w wielu różnych ćwiczeniach. Szczególnie pamiętam wyjazd w Góry Sowie, gdzie całą kompanią szkoliliśmy się z przetrwania w trudnych warunkach, oraz szkolenie w Ustce, gdzie odpowiadaliśmy za obronę brzegu morskiego.

Moje największe osiągnięcie: wyjazd na IX zmianę PKW do Afganistanu. Jako żołnierz chciałem sprawdzić swoje umiejętności w walce i się udało.

Niezwykle dumny jestem z tego, że otrzymałem tytuł Szeregowego 2014 roku. To uhonorowanie mojej dotychczasowej służby w wojsku.

Moja książka życia: „Krzyżacy" Henryka Sienkiewicza.

Zajmowane stanowisko: *obsługa granatnika automatycznego* ***MK-19.***

W umundurowaniu polskiego żołnierza podobają mi się: krój munduru oraz to, że tak wiele jest w nim odniesień do tradycji i historii Wojska Polskiego.

Edukacja wojskowa: właśnie jestem na kursie w Szkole Podoficerskiej Wojsk Lądowych w Poznaniu.

Przełomowe wydarzenie w życiu: dostanie się na kurs podoficerski po dziesięciu latach służby.

Najlepsza broń: AKM Kałasznikow.

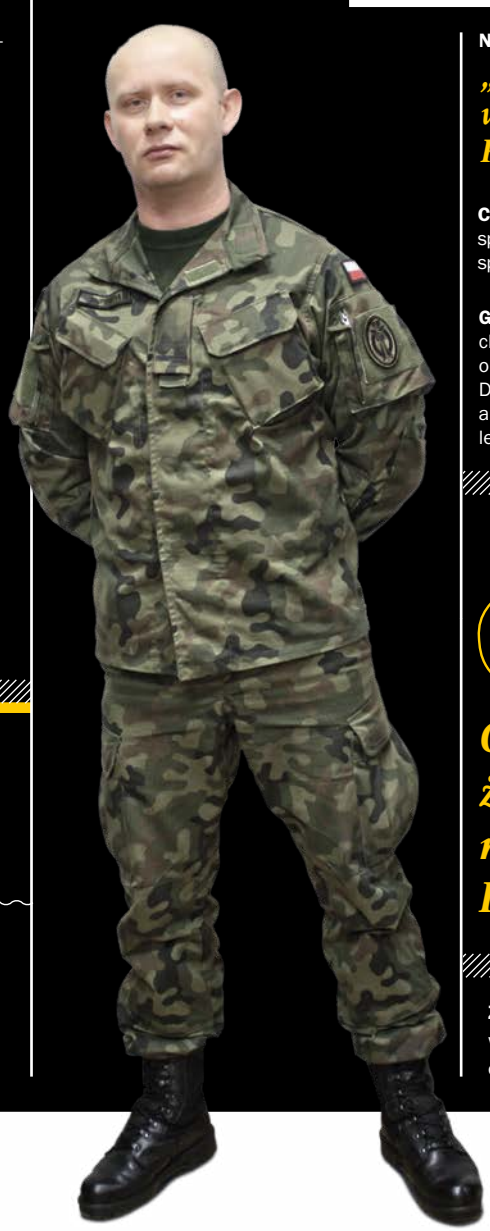

Niezapomniany film: *„Helikopter w ogniu" w reżyserii Ridleya Scotta.*

Co robię po służbie: staram się aktywnie spędzać czas. Uprawiam różne dyscypliny sportu, czasami gram też w paintball.

Gdybym mógł zmienić coś w wojsku: chciałbym, aby każdy żołnierz miał jasno określoną ścieżkę rozwoju zawodowego. Dzięki temu zwłaszcza szeregowi zawodowi angażowaliby się bardziej w służbę i byli lepiej zmotywowani.

Gdybym nie został żołnierzem, na pewno nosiłbym inny mundur. Być może policjanta.

Zostałem żołnierzem, bo: cenię sobie takie wartości, jak Bóg, honor i ojczyzna. Poza tym o służbie w armii marzyłem od dziecka.

OPRAC. MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK
FOT. ARTUR DENEKA

MISJE

DARIUSZ DEMSKI, AFGANISTAN

DZIEŃ W BAZIE GAMBERI

W Afganistanie służy około 150 polskich żołnierzy i pracowników wojska.

DARIUSZ DEMSKI

Po męczącym dniu w gorącym słońcu przychodzi czas na odpoczynek.

DARIUSZ DEMSKI (5)

Uzbrojenie w stałej gotowości, załadowane i zabezpieczone. Żołnierze muszą być pewni, że sprzęt ich nie zawiedzie. Codziennie dokładają wszelkich starań, aby wszystko działało jak w szwajcarskim zegarku.

Siły NATO na zaproszenie władz afgańskich od 1 stycznia 2015 roku prowadzą w Islamskiej Republice Afganistanu misję o charakterze szkoleniowym i doradczym. W ten sposób wspierają tamtejsze siły bezpieczeństwa. Polscy oficerowie pełnią obowiązki doradców w kwaterze głównej misji „Resolute Support" (HQ RS), a także w Dowództwie Doradczo-Szkoleniowym „Wschód". Ochronę polskich doradców powierzono plutonowi żołnierzy z 21 Brygady Strzelców Podhalańskich w bazie Gamberi.

Każdy dzień rozpoczyna się porannym wyjściem doradców oraz żołnierzy z plutonu ochrony do sztabu 201 Korpusu ANA. Oficerowie biorą udział w odprawie wraz ze swoimi afgańskimi odpowiednikami. Przed wyjściem z bazy dowodzący konwojem oficer US Army przeprowadza obowiązkowy instruktaż. Sam przemarsz do miejsca spotkania również odbywa się z zachowaniem szczególnej ostrożności. W Afganistanie żołnierze koalicji nie biorą już bezpośredniego udziału w operacjach zbrojnych, ale zagrożenie nie zmalało i należy się liczyć z niebezpieczeństwem, gdy opuszcza się bazę.

Nie tylko doradzaniem zajmują się żołnierze. Polski pluton odpowiada także za bezpieczeństwo, zarówno w bazie, jak i na zewnątrz. Wojskowi są zatem w ciągłej gotowości do działania. Mimo pozornego spokoju w rejonie kwaterowania plutonu, podhalańczycy mają co robić. 24 godziny na dobę siły szybkiego reagowania (Quick Reaction Forces – QRF) wystawiane przez polskich żołnierzy stanowią pierwszą linię obrony w bazie. Żołnierze są gotowi natychmiast przystąpić do działania wspólnie z amerykańskimi kolegami. ■

KPT. NAWIG. DARIUSZ DEMSKI JEST INSPEKTOREM BEZPIECZEŃSTWA LOTÓW W CENTRUM OPERACJI MORSKICH – DOWÓDZTWO KOMPONENTU MORSKIEGO. W PKW AFGANISTAN RSM (RESOLUTE SUPPORT MISSION) OFICER ŁĄCZNIKOWY WKŁADU NARODOWEGO PRZY GRUPIE DORADCÓW TACTICAL BASE GAMBERI.

POLSKO-AMERYKAŃSKIE GRUPY DORADCÓW UZUPEŁNIAJĄ SIĘ, TWORZĄC ZGRANE ZESPOŁY. WSPÓLNE ZADANIA ORAZ RYZYKO ZBLIŻAJĄ ŻOŁNIERZY KOALICJI ORAZ UTRWALAJĄ ZNAJOMOŚCI

NORBERT BĄCZYK

Orki na Bałtyku

Na uruchomienie postępowania w sprawie dostawy nowych okrętów podwodnych trzeba jeszcze trochę poczekać. Wynika to z potrzeby uzbrojenia tych jednostek w pociski manewrujące dalekiego zasięgu.

Marynarka wojenna ma pięć okrętów podwodnych – jeden średniej wielkości, radziecki projektu 877E, czyli ORP „Orzeł" z 1985 roku, oraz cztery małe typu 207 (Kobben), wyprodukowane w Niemczech w połowie lat sześćdziesiątych XX wieku dla Norwegii, a przekazane Polsce w latach 2002–2003. Jak widać z metryki, najnowocześniejszy i największy „Orzeł" ma już 30 lat, natomiast kobbeny liczą po 50 lat, co czyni je jednymi z najstarszych na świecie jednostek w swej klasie, wciąż pozostającymi w służbie. Jeśli chodzi o typ 207, to pływające muzeum jest utrzymywane bardziej w celu zachowania podwodnej kadry niż jako realna siła uderzeniowa. Choć trzeba też zauważyć, że na takim morzu jak Bałtyk, nie należy lekceważyć tych podwodnych „liliputów".

GORĄCE DYSKUSJE

Według planów sprzed kilku lat kobbeny miały zostać wkrótce wycofane (ok. 2017 roku), a marynarka wojenna otrzymać w ich miejsce trzy nowoczesne okręty podwodne. Program ich wdrożenia nosi kryptonim „Orka". Na pierwszej

MBDA

FRANCUZI kończą prace nad pociskiem manewrującym MdCN, który będzie się znajdował w uzbrojeniu fregat i okrętów podwodnych.

OKRĘT PODWODNY UZBROJONY W **POCISKI MANEWRUJĄCE** DALEKIEGO ZASIĘGU TO BROŃ ARMII WIELKICH I BOGATYCH, MAJĄCYCH INTERESY STRATEGICZNE O ZASIĘGU GLOBALNYM

z tych jednostek biało-czerwona bandera miała być podniesiona do 2018 roku, na drugiej do 2022 roku, a na trzeciej do końca trzeciej dekady wieku, finalizując tym samym założenia „Koncepcji rozwoju marynarki wojennej do roku 2030". W pewnym uproszczeniu można powiedzieć, że etaty dla załóg z kobbenów zostałyby wówczas przeniesione na dwie orki (każda z nich obsługiwana przez około 30 marynarzy), a kilka lat później załoga „Orła" przeniosłaby się na ostatni z serii nowych okrętów, których trójka na kolejne kilkadziesiąt lat stanowiłaby o sile naszej floty podwodnej.

Od początku zakładano, że orka będzie technicznie zaawansowaną jednostką, ale opartą na już sprawdzonym typie zagranicznym. Z konwencjonalnym napędem niezależnym od powietrza (AIP), wyposażona w zaawansowane systemy rozpoznania, łączności, przygotowana do współdziałania z siłami specjalnymi, uzbrojona w nowoczesne środki bojowe, w tym torpedy, miny i opcjonalnie w przeciwokrętowe pociski rakietowe.

Nasi wojskowi planiści mieli przy tym ograniczone możliwości co do tworzenia parametrów przyszłych jednostek, ponieważ jeśli chodzi o konwencjonalne okręty podwodne średniej wielkości, o wyporności do około 2000 t, dziś liczą się tylko projekty niemieckie i francuskie, które z powodzeniem są sprzedawane na cały świat, a często powstają na licencji w stoczniach docelowego użytkownika. Trzeci gracz to Szwedzi, ale w odróżnieniu od swych konkurentów z państw NATO jej konstrukcje nie są tak rozpowszechnione. O okrętach rosyjskich lub chińskich nie ma co wspominać, z oczywistych względów.

Przez ostatnie lata toczyła się więc dyskusja, czy za lepszą uznać ofertę na okręty niemieckie, czy na francuskie. Zresztą nadal się o tym rozmawia, często w dość gorącej atmosferze, pełnej zarzutów o nielegalny lobbing i stronniczość. Kolejne opóźnienia w ogłoszeniu przetargu oraz niejawność szczegółowych wymagań technicznych są oczywiście doskonałym paliwem dla takiego „dyskursu". Nie ma się czemu dziwić – jeden okręt tego typu, nieważne, czy będzie to niemiecki typ 212 lub typ 214, czy francuski Scorpène, ewentualnie →

jego daleki krewny, hiszpański S-80, kosztuje przecież kilka miliardów złotych. Cena zależy w dużym stopniu nie tylko od „gołej" jednostki, lecz także od specjalistycznego wyposażenia, które zamawiający sobie zażyczy. Im bardziej naszpikowana nowinkami technicznymi, im bardziej musi spełniać wymóg przenoszenia awangardowych środków walki, tym jest droższa. Co równie istotne, opracowanie danego wariantu projektu pod kątem wymagań klienta będzie dłużej trwało, a ryzyko komplikacji technicznych będzie większe. Tymczasem wszystko wskazuje na to, że polskie orki będą naprawdę skomplikowane technicznie i bardzo drogie, wyzwania zaś związane z ich przyjęciem do służby operacyjnej przewyższą wszystko, czego do tej pory nasza armia doświadczyła w tej dziedzinie, nie wyłączając programu F-16. A to za sprawą wyboru uzbrojenia.

Już od kilku lat trwa bowiem dyskusja o tym, czy przyszłe polskie okręty uzbroić w pociski manewrujące dalekiego zasięgu. Do 2014 roku toczyła się ona równolegle do prac nad wymogami dla orki, jako ewentualna opcja. Na początku 2015 roku wiceminister Czesław Mroczek, przy okazji zainaugurowania działań komitetu offsetowego przy ministrze obrony, poinformował jednak, że opcja stała się wymogiem. Ministerstwo w jednym postępowaniu chce kupić okręty podwodne i pociski dalekiego zasięgu do nich (mogące razić cele lądowe oddalone nawet o 800 km). Z tego powodu rozpoczęcie postępowania na orki ponownie się opóźni.

Planowano, że przetarg zostanie uruchomiony w styczniu, ale obecnie mówi się o sierpniu tego roku. I to jest wariant optymistyczny. Opóźnienie jest spowodowane oczywiście koniecznością uzupełnienia dokumentacji przetargowej o wymóg rażenia przez okręt celów z użyciem wspominanych pocisków. Być może zakończony rok temu dialog techniczny z oferentami trzeba będzie podjąć jeszcze raz. Bardzo ważnym elementem rozmów będzie oczywiście offset, realizowany już w nowej formule, czyli pod większą kontrolą Ministerstwa Obrony Narodowej i lokowany wyłącznie w zakładach związanych z przemysłem obronnym. Okręty formalnie mają bowiem zostać dostarczone przez polską firmę z pomocą strategicznego, zagranicznego partnera.

Umowa, po rozstrzygnięciu przetargu, zostanie podpisana zapewne nie wcześniej niż na przełomie 2016 i 2017 roku. Przygotowanie dokumentacji wykonawczej może zająć kolejny rok. Budowa jednego okrętu trwa zaś około pięciu lat. Nie wydaje się zatem możliwe, aby przed 2022 rokiem podniesiono polską banderę na pierwszej z takich jednostek. O osiągnięciu gotowości bojowej nawet nie wspomnę. Do tego czasu nie będzie już kobbenów, „Orzeł" zbliży się do „czterdziestki", a według planów nadejdzie też termin jego szybkiego wycofania. Dla marynarzy to nie są najlepsze wiadomości.

Dla budżetu zresztą też nie. Opóźnienie procedury zakupu orek oznacza, że pieniądze przeznaczone na ten cel w 2015 czy 2016 roku, a mowa o setkach milionów złotych, muszą zostać skierowane na inne projekty. Zaburza to długoterminowe plany programu modernizacji technicznej z rozpisaniem kwot na określone typy uzbrojenia.

UDERZYĆ ZNIKĄD

Okręt podwodny uzbrojony w pociski manewrujące dalekiego zasięgu to ogólnie broń armii wielkich i bogatych, mających interesy strategiczne o zasięgu globalnym. Użycie takiego uzbrojenia ma sens w dwóch wypadkach: w warunkach tzw. konfliktu pełnoskalowego oraz w razie agresywnego uderzenia na słabsze państwa, które nie mogą odpowiedzieć niczym równoważnym (przykładami takiego użycia są działania US Navy i Royal Navy przeciw Jugosławii, Irakowi, Libii, afgańskim talibom czy siłom fanatyków islamskich w Syrii).

Nie bez przyczyny dzisiejsze działania USA określa się czasem jako „politykę tomahawków" (w ostatnim ćwierćwie-

POCZĄTKOWO ORKA MIAŁA MIEĆ UZBROJENIE KLASYCZNE, TERAZ SIĘ TO ZMIENIŁO

SAAB

Szwedzka oferta firmy SAAB z okrętem A-26 pojawiła się stosunkowo niedawno i nie wydaje się mieć tak mocnej pozycji jak oferty z Niemiec i Francji. Z drugiej strony Szwedzi mają olbrzymie doświadczenie w projektowaniu okrętów specjalnie na Bałtyk.

czu odpalono bojowo ok. 2000 tych pocisków), co jest nawiązaniem do XIX-wiecznego określenia „polityka kanonierek", kiedy to imperium brytyjskie strzegło swych globalnych interesów przez liczne lokalne projekcje siły swej floty. Amerykański pocisk UGM/RGM-109 SLCM Tomahawk to broń, której obawiają się wszyscy przeciwnicy Waszyngtonu. Wystrzelony z okrętu, lecąc z prędkością poddźwiękową na małej wysokości i manewrując, głowicę bojową ważącą blisko 500 kg może przenieść nawet 1000 km i więcej od miejsca odpalenia, by precyzyjnie spaść na wskazany obiekt. A to oznacza, że okręt strzelający z Morza Północnego koło Norwegii może razić cele na terytorium Białorusi.

Pocisk manewrujący dalekiego zasięgu to broń jednoznacznie ofensywna. Nasza armia nigdy nie miała w wyposażeniu środka walki o takim zasięgu, choć w czasach Układu Warszawskiego, gdyby strona radziecka udostępniła nam taktyczne ładunki jądrowe, dysponowalibyśmy większą siłą rażenia. Teraz oczywiście nikt nie mówi o takich ładunkach – pociski tego typu mają dziś konwencjonalne głowice burzące. Niemniej i tak ich użycie każdorazowo wymaga autoryzacji przez głowę państwa, a skuteczność broni wiąże się z koniecznością posiadania zaawansowanej sieci dowodzenia, łączności i nadzoru (w tym aktualizowania katalogów celów stacjonarnych), z elementami systemu satelitarnego oraz rozpoznania agenturalnego włącznie.

Jeśli chodzi o pocisk Tomahawk, to każde jego użycie jest możliwe wyłącznie po wcześniejszej zgodzie Amerykanów i z ich pomocą techniczną, nawet jeśli należy na przykład do Brytyjczyków (tylko okręty podwodne tych dwóch flot mają taką broń; Hiszpanie również planowali uzbroić w nią swe S-80, ale ze względu na koszty nie zostanie to zrealizowane).

Tymczasem nas, przynajmniej na etapie obecnych deklaracji, interesuje wyłącznie broń z możliwością użycia autonomicznego. Alternatywą dla UGM-109 jest najnowszy, dopiero kończący próby i – co oczywiste – nigdy niewykorzystany w walce, francuski morski pocisk manewrujący (Missile de Croisière Naval – MdCN), w który w najbliższym czasie mają zostać uzbrojone fregaty FREMM, a docelowo również okręty podwodne. Ma on nieco mniejszą głowicę bojową niż tomahawk i mniejszy zasięg, ale w zupełności wystarczający, gdyż spełnia wymóg 800 km. Strona francuska zapowiada przy tym wspomnianą przed chwilą możliwość autonomicznego jego użycia, co teoretycznie stawiałoby jej ofertę na pierwszym miejscu. Teoretycznie, gdyż oczekiwania dotyczącego autonomiczności nie należy raczej traktować zbyt dosłownie – broń tego rodzaju stosuje się wyłącznie w ramach systemu sojuszniczego i w zrozumiałej od niego zależności.

SKUTECZNE ODSTRASZANIE?

Według deklaracji, polskie okręty podwodne uzbrojone w pociski manewrujące dalekiego zasięgu mają być elementem sił odstraszania. To kolejny, po NSM (200 km zasięgu), JASSM (360 km) i rakietach do artyleryjskiej wyrzutni rakietowej Homar (300 km zasięgu), system rażenia tego typu. Ta broń może zapewnić nam możliwość niszczenia odległych centrów dowodzenia, ważnych obiektów na szlakach komunikacyjnych, kluczowych obiektów przemysłowych czy energetycznych (np. elektrownie atomowe) na terenie państwa-agresora. Być groźbą i ostrzeżeniem, że zaatakowany może odpowiedzieć daleko od własnych granic.

Bez wątpienia na poziomie strategicznym jest to broń pożądana. Jej skuteczność, jak zresztą każdego uzbrojenia konwencjonalnego, zależy jednak od skali dostępności i okoliczności użycia. Jeden okręt podwodny odpali maksymalnie od kilku do kilkunastu takich pocisków. Wystrzelenie 30 rakiet może spowodować pewne zniszczenia w szczególnie wrażliwej infrastrukturze przemysłowej czy porazić istotne cele militarne, ale nie będzie to miało większego przełożenia na duże zgrupowania wojsk lądowych lub rozśrodkowane lotnictwo nieprzyjaciela (co innego okręty). Wszystko zatem sprowadza się do dyskusji nad relacją koszt–efekt. Można ważyć, czy w wypadku konfliktu pełnoskalowego z przeważającym liczebnie przeciwnikiem kilkadziesiąt takich rakiet odegra rzeczywiście istotną rolę. I czy ich nosiciele będą mieli szansę przetrwać wystarczająco długo.

Już sam okręt podwodny sporo kosztuje, ale po uzbrojeniu pociskami manewrującymi staje się bronią bardzo drogą. Nawet jeśli za sam pocisk nominalnie nie płaci się aż tak wiele, to wraz z obsługą, serwisem, aktualizacją oprogramowania, cena robi się już spora. Jest to jednocześnie broń technicznie skomplikowana i jej integracja z okrętem, a następnie osiągnięcie zdolności do działania przez ten tandem, będzie poważnym wyzwaniem i niestety raczej spowoduje pewne opóźnienia. Jeśli zatem decydujemy się na orkę o aż tak długich zębach, musimy już dziś przyzwyczaić się do myśli, że te zęby będą rosły dość długo. ■

PAULINA GLIŃSKA, MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

PROJEKT AFGAN

Weterani, którzy mieli wypadek z udziałem KTO Rosomak na misji w Afganistanie, przechodzą badania lekarskie. Ich wyniki naukowcy wykorzystają w modernizacji transporterów, tak aby wozy były odporniejsze na eksplozje min.

Zakładane przy drogach i odpalane pod wojskowymi transporterami improwizowane urządzenia wybuchowe (IED) zawsze były największym zagrożeniem dla żołnierzy służących poza granicami kraju. Większość poległych i rannych straciła życie lub zdrowie właśnie po wybuchu ajdika. W przyszłości ma się to jednak zmienić. Polscy naukowcy pracują nad rozwiązaniami, które zminimalizują skutki eksplozji min pod pojazdami.

W tym celu w 2013 roku powołano specjalne konsorcjum. W jego skład weszli specjaliści z Wojskowego Instytutu Medycznego, Wojskowej Akademii Technicznej, Akademii Obrony Narodowej, Wojskowego Instytutu Techniki Pancernej i Samochodowej oraz Politechniki Śląskiej. W projekt zaangażowali się także pracownicy AMZ-Kutno przy wsparciu firmy Rosomak SA (wcześniej Wojskowe Zakłady Mechaniczne z Siemianowic Śląskich).

TRANSPORTERY POD LUPĄ

„Ten projekt to dla nas wyzwanie. Nigdy wcześniej nie prowadziliśmy badań na tak szeroką skalę, z tyloma specjalistami. Nie mieliśmy też dostępu do tak wielu rodzajów materiałów. Po raz pierwszy prowadzimy testy na rzeczywistych konstrukcjach", mówi dr Grzegorz Sławiński, kierownik zespołu badawczego z ramienia Wojskowej Akademii Technicznej.

Specjaliści chcą pokazać, w jaki sposób należy zmodyfikować wyposażenie transporterów opancerzonych (np. rosomaków, MRAP-ów) lub jak je dopancerzyć, by przy najechaniu na minę pasażerowie pojazdu byli lepiej chronieni. „Chodzi na przykład o mobilne struktury energochłonne czy propozycje rozwiązań do uzupełnienia konstrukcji pojazdów o elementy, które będą w stanie rozproszyć energię eksplozji i ograniczą jej negatywne skutki dla człowieka", dodaje dr Sławiński.

Przy tej pracy eksperci korzystają z własnych baz danych, które powstały po atakach na KTO Rosomak i pojazdy typu MRAP w czasie misji w Afganistanie. Analizowane są między innymi informacje dotyczące wielkości ładunków, sposobu

MOCNĄ STRONĄ PROJEKTU JEST TO, ŻE SĄ W NIEGO ZAANGAŻOWANI SPECJALIŚCI Z RÓŻNYCH DZIEDZIN

ich użycia i skutków, jakie w ludziach i w sprzęcie spowodował wybuch. Żeby właściwie ocenić możliwości transporterów opancerzonych specjaliści z WAT-u pojechali także pod Hindukusz. W Afganistanie przeprowadzili praktyczne testy uszkodzonego przez IED rosomaka. Pod kadłubem pojazdu umieszczali ładunki wybuchowe, a potem obserwowali reakcję konstrukcji na eksplozje. Zwracano uwagę na przykład na obciążenia działające na transporter, ciśnienie fali uderzeniowej oraz deformacje kadłuba.

Wyniki wszystkich dotychczasowych analiz pozwoliły ekspertom z WAT-u na stworzenie modeli przestrzennych, odzwierciedlających rzeczywistą konstrukcję pojazdu. „Przeprowadziliśmy analizy tych modeli pod kątem sił działających na człowieka. W badaniach symulacyjnych brano pod uwagę usytuowanie ładunku oraz miejsce, jakie w pojeździe w chwili wypadku zajmował żołnierz. To wszystko pozwoli zidentyfikować skutki oddziaływania fali czy innych pochodnych detonacji na człowieka", mówi dr Sławiński.

Oprócz testów w Afganistanie oraz analiz laboratoryjnych już wiosną są planowane kolejne testy poligonowe. „Zdobyliśmy skorupę kadłuba KTO Rosomak. To egzemplarz, który służył w Afganistanie, ale w wyniku wypadku nie nadaje się

ADAM ROTK/COMBAT CAMERA DORSZ

już do dalszej eksploatacji", zapowiada dr Sławiński i dodaje: „Ze względu na większą dostępność do bardzo zaawansowanej aparatury badawczej w Polsce wykonamy badanie w szerszym zakresie". W eksperymentach zostaną wykorzystane specjalne fantomy.

Niezależnie od testów kadłuba transportera specjaliści z WAT-u, używając innowacyjnych materiałów, pracują nad zaawansowanymi strukturami energochłonnymi. Z najlepszych materiałów powstanie konstrukcja hybrydowa wykorzystująca „strukturę sandwiczową", której warstwy będą się składać z zaawansowanych technologicznie materiałów (np. na bazie pian metalicznych, pianek różnego typu, elastomerów, ceramiki czy materiałów auksetycznych) lub same w sobie będą zawierały efektywne konstrukcje rozpraszające energię wybuchu. W kolejnych etapach eksperci sprawdzą, czy te struktury w połączeniu z konstrukcją pojazdu przynoszą zadowalające efekty.

Modyfikacje, nad którymi pracują specjaliści, dotyczą także wnętrza pojazdu: układu siedzeń, mocowania oparć i siedzisk, montażu paneli wyścielających podłogę kabiny. „Zdajemy sobie sprawę, że nie da się stworzyć konstrukcji, która będzie całkowicie odporna na wybuch. Chcemy jednak, poprzez użyte materiały i zastosowane rozwiązania, ograniczyć skutki eksplozji do takich wartości, które ludzki organizm jest w stanie znieść bez większego szwanku", wyjaśnia kierownik zespołu badawczego z WAT-u.

Z danych Dowództwa Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych wynika, że w czasie misji w Afganistanie ponad 800 żołnierzy zostało poszkodowanych, w tym 350 było rannych (tzn. hospitalizowanych powyżej siedmiu dni). W zdarzeniach, w których doszło do wybuchu ładunku pod pojazdem, według danych WIM-u, jako pasażerowie uczestniczyło około 300 żołnierzy.

MEDYCZNE SKUTKI WYPADKÓW

Równocześnie z pracami technicznymi swoje analizy prowadził także Wojskowy Instytut Medyczny. „Opieraliśmy się na własnych danych o obrażeniach i urazach żołnierzy, które zbieramy od początku naszych misji w Iraku, a teraz w Afganistanie. Szczegółowo analizowaliśmy przypadki żołnierzy, którzy ucierpieli właśnie w wyniku eksplozji, i którzy po powrocie do kraju byli leczeni u nas", tłumaczy gen. bryg. dr hab. n. med. Grzegorz Gielerak, dyrektor WIM-u. Jak podkreśla generał, pod uwagę brano nie tylko miejsca i rodzaje urazów żołnierzy, lecz także informacje o tym, które miejsce w transporterze zajmował żołnierz w czasie wypadku, czy miał zapięte pasy i hełm na głowie. Dzięki takim danym było możliwe wskazanie tych miejsc w pojazdach, które wymagają dodatkowej ochrony.

Na początku lutego 2015 roku rozpoczął się następny etap badań. Tym razem wiedzę pochodzącą z analizy dokumentacji medycznych lekarze uzupełnią o badania żołnierzy. Testom medycznym poddano ofiary wypadków, gdy pojazd opancerzony, którym jechały, został uszkodzony przez ładunek wybuchowy. Lekarze z WIM-u chcą przebadać zarówno osoby poszkodowane, jak i te, które z wypadku wyszły bez szwanku. Program medyczny o roboczej nazwie „Afgan" jest tylko dla ochotników.

Gen. Gielerak podkreśla, że udział w projekcie będzie korzystny także dla weteranów. „Podczas badań dokładnie sprawdzimy ich stan zdrowia. Pozwoli to ocenić, czy na przykład urazy wynikające z udziału w misji nie pogłębiły się albo czy nie pojawiły się jakieś nowe niepokojące objawy. Gdy w trakcie badań zostanie wykryte schorzenie mające związek z wybuchem ładunku pod transporterem, chętnie takie osoby obejmiemy specjalistyczną opieką medyczną", mówi dyrektor WIM-u. Zgłaszający się na badania będą mogli ustalić dogodny termin wizyty w placówce. „To badania nieinwazyjne. W ciągu czterech dób ochotnicy zostaną przebadani przez specjalistów chirurgii, laryngologii, ortopedii, dermatologii, psychiatrii i stresu bojowego".

Pierwsi chętni już są. Na badania zgłaszają się żołnierze z 1 Warszawskiej Brygady Pancernej w Wesołej. „Jako pomocnik dowódcy do spraw rannych i poszkodowanych wiem, który z żołnierzy ma za sobą wypadek z udziałem rosomaka. Poinformowałem więc żołnierzy o programie. Pierwszych ośmiu chętnych już rozpoczęło badania, a kolejnych dziewięciu czeka w kolejce. To głównie żołnierze z VII zmiany PKW w Afganistanie", mówi mł. chor. Przemysław Wójtowicz z 1 Brygady.

Badania zakończył już jeden z szeregowych z 1 Brygady. Żołnierz został ranny podczas VII zmiany w Afganistanie. „Zaproponowano mi udział w projekcie i długo się nie zastanawiałem", opisuje. „Blisko pięć lat po wypadku nadal odczuwam bóle pleców i kręgosłupa, dlatego zgłosiłem się do szpitala na Szaserów. Przeszedłem kompleksowe badania i jestem z tego bardzo zadowolony. Miałem między innymi EKG, tomografię i ogólne badania internistyczne".

Mł. chor. Wójtowicz przyznaje, że program jest ważny dla wszystkich wojskowych: „Żołnierze wracają z misji, potem po urlopie spieszą się do pracy, a komisja wojskowa nie jest w stanie od razu ocenić ich stanu zdrowia. Zwłaszcza młodzi ludzie bagatelizują pojawiające się dolegliwości".

POTRZEBNA DIAGNOSTYKA

W trakcie patrolu 27 lipca 2010 roku, kilkanaście kilometrów od bazy Warrior, jeden z rosomaków najechał na minę.

ADAM ROIK/COMBAT CAMERA DORSZ

Zostało rannych sześciu żołnierzy. Jednym z nich był plut. Mariusz Saczek. Samego wypadku nie pamięta. Wie jedynie, że zaraz po zdarzeniu przeszedł operację w szpitalu polowym w Ghazni, a kolejne dwie w amerykańskim szpitalu niedaleko bazy Ramstein. Mimo szybkiej pomocy medycznej był sparaliżowany od klatki piersiowej w dół. Dopiero miesiąc po wypadku ruszył palcem u prawej nogi. Obecnie, po wielu godzinach rehabilitacji, porusza się o kulach. „Uczestniczę w projekcie, bo sama idea bardzo mi się podoba. Jeśli ma on służyć poprawie budowy rosomaka, to jestem jak najbardziej za", mówi sierż. rez. Mariusz Saczek. „Oczywiście chciałbym też kompleksowo sprawdzić swój stan zdrowia. Niedługo minie pięć lat od wypadku. Uważam, że każdy powinien się przebadać", dodaje weteran. Żołnierz pobyt w szpitalu rozpoczął od diagnostyki psychiatrycznej w Klinice Psychiatrii i Stresu Bojowego. „Miałem obrażenia neurologiczne i wewnętrzne, więc mam nadzieję, że zostanę przebadany i pod tym kątem", mówi Saczek.

Z podobnych powodów na badania do WIM-u zgłosił się także sierż. Grzegorz Jasiurski. Podczas VII zmiany w Afganistanie służył jako ratownik medyczny i wspólnie z innymi żołnierzami jeździł na patrole. W trakcie jednego z nich rosomak najechał na minę. Szczęśliwie dla żołnierzy podróżujących pojazdem, wstrząs nie był zbyt silny. Jasiurski nie odniósł większych obrażeń. „Mieliśmy naprawdę dużo szczęścia. Miałem złamany ząb i byłem mocno potłuczony. Ale już po kilku dniach odzyskałem siły. Komisja lekarska w kraju orzekła, że jestem zdrowy i mogę dalej służyć w armii", opisuje weteran. Żołnierz przyznaje, że od niedawna dokuczają mu bóle stawów, ale nie wie, czy powinien wiązać je z wypadkiem w Afganistanie. „Zdecydowałem się na badania, bo dzięki nim po kilku latach od wypadku mam okazję sprawdzić swój stan zdrowia. Mam też nadzieję, że badania wpłyną na poprawę bezpieczeństwa żołnierzy", mówi sierż. Jasiurski. Podoficer opowiada, że w amerykańskich pojazdach typu MRAP od dawna na ścianach wewnętrznych pojazdów wiszą informacje producenta wozów, które zachęcają żołnierzy do sygnalizowania wad i sugerowania nowych, poprawiających komfort i bezpieczeństwo rozwiązań.

Z informacją o programie badawczym lekarze z WIM-u starają się też dotrzeć do pacjentów leczonych w innych wojskowych szpitalach. „Chcemy przekonać niezdecydowanych, że nasze badania są nastawione po pierwsze na kontynuację leczenia żołnierzy, a po drugie na zadbanie o bezpieczeństwo kolejnych", mówi dyrektor WIM-u. Uspokaja jednocześnie, że zarówno same badania, jak i ich wyniki zostaną objęte tajemnicą lekarską.

JAK W AMERYCE

Testy medyczne w WIM-ie będą prowadzone do końca 2015 roku. Zebrane wyniki pozwolą ekspertom precyzyjnie określić wpływ wybuchu na obecny stan zdrowia żołnierzy, a w perspektywie opracować także nowe wytyczne dotyczące sposobów przeciwdziałania skutkom oddziaływania fali uderzeniowej na żołnierzy przebywających w transporterze opancerzonym Rosomak lub MRAP-ie.

Podobne analizy od lat prowadzi armia amerykańska. W ich wyniku ulepszono pancerze oraz wzmocniono między innymi podłogi w transporterach. „Problem odporności na wybuch miny czy IED jest analizowany w różnych krajach, ale my poprzeczkę postawiliśmy sobie wyjątkowo wysoko. Nasze badania są bardzo zaawansowane, a w kręgu naszych zainteresowań są nie tylko pojazdy, ale przede wszystkim ludzie i ich zdrowie", mówi dr Sławiński.

Gen. Gielerak podkreśla z kolei, że mocną stroną projektu jest to, że są w niego zaangażowani specjaliści z różnych dziedzin. „Pozwala nam to na jednoczesną analizę zagadnienia pod kątem medycznym, operacyjnym i technicznym z równoczesnym zastosowaniem najnowszych technik diagnostycznych i obliczeniowych", mówi dyrektor WIM-u.

Prace nad projektem będą trwać pięć lat. Ambicją naukowców jest, aby opracowane przez nich rozwiązania były uniwersalne i mogły być w praktyce stosowane w pojazdach niezależnie od ich modelu czy konstrukcji. Koszt projektu to około 30 mln zł. Większość, bo aż 28 mln zł, sfinansuje Narodowe Centrum Badań i Rozwoju, pozostałe 2 mln wnoszą do projektu jego uczestnicy. ■

Informacje o programie można znaleźć na stronie Wojskowego Instytutu Medycznego (www.wim.mil.pl). Zainteresowani mogą kontaktować się z koordynatorkami programu: Urszulą Marszałkowicz-Flis (tel. 665-707-829, e-mail: umarszalkowiczflis@wim.mil.pl) oraz Ewą Bogusławska-Ziółkowską (tel. 665-707-781, e-mail: eboguslawska-ziolkow@wim.mil.pl). Na podane numery telefonów można też wysłać SMS-y z hasłem „Afgan".

KRZYSZTOF WILEWSKI

Koniec amunicyjnej odysei

Na przełomie marca i kwietnia ma zostać ogłoszony pierwszy z czterech przetargów na sprzedaż przez Agencję Mienia Wojskowego 100-milimetrowej amunicji czołgowej.

Wejście naszego kraju w 1999 roku do sojuszu północnoatlantyckiego oprócz korzyści niosło także ogromne koszty. Wojsko Polskie musiało bowiem jak najszybciej dostosować swoje wyposażenie i uzbrojenie do wymogów sojuszniczej interoperacyjności. Co to oznaczało w praktyce? W ogromnym skrócie – konieczność wymiany tych typów broni, do których nie pasowała amunicja używana przez inne armie NATO.

Jeśli chodzi o żołnierzy wojsk lądowych, wycofana musiała być w zasadzie cała broń osobista. Zgodnie bowiem z przyjętymi pod koniec lat siedemdziesiątych XX wieku wytycznymi radzieckimi, ich podstawowym uzbrojeniem były karabinki automatyczne kalibru 5,45 mm, zasilane amunicją 5,45x39 mm. W wypadku pistoletów była to broń kalibru 9 mm, zasilana amunicją 9x18 mm Makarowa.

W NATO zaś rekomendowanym kalibrem karabinków automatycznych było 5,56 mm (taki miał m.in. amerykański M16), a amunicji do nich – 5,56x45 mm. Podobnie sytuacja przedstawiała się w wypadku pistoletów. Choć żołnierze sojuszu również korzystali z broni 9-milimetrowej, była ona zasilana zupełnie inną amunicją – 9x19 mm Parabellum.

Tymczasem polska armia musiała kupić nie tylko dziesiątki tysięcy nowych karabinów i pistoletów oraz tony amunicji. Przystępując do NATO, zobowiązaliśmy się również do modernizacji: artylerii, czyli wprowadzenia do służby dział o natowskim, 155-milimetrowym kalibrze; wojsk pancernych, czy-

AGENCJA MIENIA WOJSKOWEGO 93% ZYSKÓW POCHODZĄCYCH Z GOSPODAROWANIA MIENIEM PRZEKAZUJE NA FUNDUSZ MODERNIZACJI SIŁ ZBROJNYCH I FUNDUSZ MODERNIZACJI BEZPIECZEŃSTWA PUBLICZNEGO. OD POCZĄTKU SWOJEJ DZIAŁALNOŚCI ODPROWADZIŁA NA TEN CEL 1,69 MLD ZŁ

JAKUB CZERMIŃSKI

li wycofania przestarzałych czołgów T-55, w których miejsce miały się pojawić kolejne PT-91, oraz unowocześnienia lotnictwa, czyli zakupu trzech eskadr nowoczesnych maszyn wielozadaniowych.

AGENCJA DO ZADAŃ SPECJALNYCH

Kiedy jednak pod koniec lat dziewięćdziesiątych (czyli jeszcze przed formalnym wejściem Polski do NATO) rozpoczęła się kosztowna operacja wymiany uzbrojenia i środków bojowych, wojsko, zajęte szukaniem środków na zakupy, raczej specjalnie nie przejmowało się tym, co zrobi z wycofywanymi ze służby sprzętem, bronią oraz rozmaitymi pociskami, rakietami, grantami i bombami. Dopiero gdy należące do naszej armii magazyny i składy zaczęły się, na początku ubiegłej dekady, w coraz szybszym tempie zapełniać zbędnym „towarem" (a nowe zapasy też gdzieś trzeba było trzymać), sprawie nadano nieco większe znaczenie. Niestety, powołana do sprzedaży zbędnych armii nieruchomości, uzbrojenia i sprzętu wojskowego oraz środków bojowych Agencja Mienia Wojskowego skoncentrowała się przede wszystkim na sprzedaży wycofanej broni. Łatwiej było bowiem znaleźć chętnych na karabiny, działa i pojazdy, niż na zalegającą w składach amunicję. W efekcie w połowie ubiegłej dekady AMW dysponowała prawie 60 tys. zbędnych wojsku środków bojowych, z czego przeważającą część, około 52 tys. t (czyli około 100 mln sztuk) stanowiła amunicja kalibru od 5,45 mm do 203 mm. W magazynach najwięcej – bo 23 tys. t, czyli blisko milion sztuk – było 100-milimetrowych pocisków czołgowych typu A-44.

Dlaczego mieliśmy ich na stanie aż tyle? Bo była to amunicja do najpowszechniejszego w latach sześćdziesiątych w Układzie Warszawskim czołgu, czyli modelu T-54/T-55, którego na całym świecie – przez 23 lata produkcji – wytworzono prawie 100 tys.! Żaden inny powstały po II wojnie światowej nie może pochwalić się tak imponującym wynikiem. Polska armia dysponowała tak dużymi zapasami amunicji do T-55, bo musiała mieć pociski nie tylko na potrzeby własne, lecz także spore rezerwy dla bratnich sił, które miały przecież maszerować – przez nasze terytorium – na Europę Zachodnią.

Po wycofaniu T-55 ze służby w polskim wojsku w 2002 roku, armia jeszcze przez trzy lata zwlekała z przekazaniem Agencji 100-milimetrowej amunicji. Kiedy jednak to zrobiła, AMW dość aktywnie rozpoczęła przygotowania do jej sprzedaży. Sukces można było odtrąbić w 2006 roku.

PUSZKA PANDORY

24 czerwca 2006 roku AMW podpisała z firmą Wtórplast z Bielska-Białej umowę, na której mocy przedsiębiorstwo zobowiązało się zapłacić 900 tys. zł za 900 tys. sztuk 100-milimetrowych pocisków. Ówczesne szefostwo Agencji podkreślało, że przelicznik złotówkę za nabój był korzystny dla wojska. „Nie musimy jej utylizować, bo zrobi to za nas firma, jeszcze płacąc nam prawie milion złotych", argumentował wówczas jeden z dyrektorów AMW. Umowę dość szybko aneksowano. W lecie 2007 roku nasz rząd postanowił bowiem przekazać Libanowi partię 100 tys. pocisków A-44 i AMW o taką liczbę pomniejszyła kontrakt.

Zgodnie z zapisami umowy 100-milimetrowa amunicja miała zniknąć z wojskowych składów (dokładnie z dziesięciu) do 31 stycznia 2008 roku. Niestety, do tego terminu firma z Bielska-Białej odebrała z magazynów jedynie 230 tys. t i w listopadzie 2008 roku agencja wypowiedziała kontrakt.

Szef Wtórplastu, Władysław Binda, między innymi na łamach „Polski Zbrojnej" [Artur Goławski, „Okrakiem na bombie", PZ 3/2009, „Sprzedaj albo zniszcz", PZ 12/2012] bronił się, że opóźnienie w wykonaniu umowy nastąpiło z winy AMW. Agencja, w ocenie Bindy, zataiła fakt, że 100-milimetrowa amunicja nie miała wszystkich aktualnych certyfikatów kwalifikacyjnych ADR [dotyczących międzynarodowego przewozu drogowego materiałów niebezpiecznych] i kart oceny pod względem bezpieczeństwa, umożliwiających jej bezpieczny transport i przechowywanie. Brak dokumentacji spowodował zaś, że Wtórplast musiał sam zlecić wykonanie badań, co spowodowało opóźnienie, a w konsekwencji zerwanie umowy.

Przedstawiciele Agencji Mienia Wojskowego mają zdecydowanie odmienne zdanie.

„Wprawdzie pracę w agencji rozpocząłem rok po wypowiedzeniu umowy z Wtórplastem, ale bardzo dobrze znam jej wszystkie szczegóły, gdyż ostatnie pięć lat spędziliśmy w sądach, do których pozywał nas Wtórplast, żądając realizacji umowy z 2006 roku i wydania amunicji", komentuje Andrzej Pilucik, dyrektor Zespołu Gospodarki Mieniem Ruchomym i Obrotu Specjalnego AMW. „Możemy się oczywiście spierać, w jakim stopniu Wtórplast był w momencie podpisywania umowy logistycznie przygotowany do jej realizacji, czy miał odpowiedni sprzęt i ludzi, miejsce do składowania amunicji. Jednak bezsporne jest, i zostało to udowodnione sądownie, iż umowa jasno stanowiła, że to na firmie spoczywał obowiązek wykonania badań amunicji niezbędnych do jej bezpiecznego →

OD 2009 DO 2012 ROKU **AGENCJI MIENIA WOJSKOWEGO** UDAŁO SIĘ SPRZEDAĆ PONAD 22 TYS. ZBĘDNYCH ŚRODKÓW BOJOWYCH

transportu i przechowywania", opowiada dyrektor. Rozsądnie brzmi również wytłumaczenie, dlaczego Agencja zerwała umowę dopiero jesienią 2008 roku, skoro wiedziała doskonale, że Wtórplast nie przejmuje kupionej amunicji.

„Brak działań związanych z wywozem amunicji był podstawą do rozwiązania umowy", wyjaśnia Pilucik.

Na marginesie trzeba dodać, że w czasie trwania umowy wyszły na jaw również jej inne „słabe" strony. Ponieważ do Libanu popłynęło jedynie 50 tys. sztuk 100-milimetrowych pocisków, Agencja mogła znów sprzedać 50 tys. Zagraniczny kontrahent zapłacił za nie w 2010 roku 2,5 mln zł (50 zł za sztukę)!

SĄDOWA BATALIA

Latem 2008 roku sprawa amunicji do armaty czołgowej 100 mm trafiła do Sądu Okręgowego w Warszawie. Ten rozstrzygnął ją na korzyść Agencji Mienia Wojskowego w 2012 roku. Później kolejny sąd, do którego odwołał się Wtórplast, również podzielił argumenty AMW. Podobnie uczynił w 2013 roku Sąd Apelacyjny. Następnie sprawa trafiła do Sądu Najwyższego, który odmówił przyjęcia skargi kasacyjnej do rozpoznania. W grudniu 2014 roku zapadł ostateczny (w systemie krajowego sądownictwa) wyrok.

Władysław Binda zapowiada, że odwoła się do trybunału w Strasburgu, ale wraz z odrzuceniem kasacji AMW odzyskała kontrolę nad znajdującą się pod sądowym zastawem 100-milimetrową amunicją. Plan AMW jest bardzo prosty – chce ją sprzedać. Tym razem pociski będą już miały wyrobione certyfikaty kwalifikacyjne ADR i karty oceny pod względem bezpieczeństwa.

Na zlecenie AMW stosowne badania pierwszej partii wykonuje czeska firma Poličské Strojírny a.s. Za badania i wydanie certyfikatów dla całej, liczącej 570 tys. sztuk amunicji, Agencja zapłaci jej niecałe 2 mln zł.

Andrzej Pilucik podkreśla, że przygotowanie sprzedaży 23 tys. t amunicji przechowywanej w dziesięciu składach to ogromne zadanie logistyczne. Pociski trzeba skatalogować i odpowiednio oznaczyć, gdyż istniejąca wojskowa dokumentacja nie zawiera wszystkich informacji – na przykład o rodzaju łuski. A to ona jest clou umowy, gdyż może być albo stalowa, mało wartościowa, albo mosiężna, bardzo cenna (przy obecnych cenach metali kolorowych jedna łuska od A-44 jest warta około 80–90 zł). „Aby uporać się z przygotowaniem dokumentów, zatrudniliśmy w składach 32 ludzi", podkreśla Pilucik.

KRES PROBLEMÓW?

Pierwszy przetarg na sprzedaż 100-milimetrowych pocisków czołgowych A-44 ma zostać ogłoszony na przełomie marca i kwietnia. Łącznie, jak oceniają przedstawiciele AMW, powinny być cztery takie konkursy (jeden w tym roku, dwa w przyszłym i jeden w 2017), i wszystkie będą się cieszyły bardzo dużym zainteresowaniem. Jeśli rozstrzygną się pozytywnie, AMW może zarobić na sprzedaży „setki" nawet kilkadziesiąt milionów, a jednocześnie uwolnić ogromne przestrzenie magazynowe składów wojskowych.

„Z naszych analiz wynika, że większość firm zainteresowanych pociskami chce je w całości wyeksportować za granicę. Może u nas to staroć, ale nie brakuje krajów, w których przydadzą się do ciągle używanej broni", komentują urzędnicy, zastrzegając anonimowość. Jeśli plan AMW się powiedzie i w 2017 roku pociski znikną z wojskowych składów, to podczas fetowania nie powinniśmy zapominać, że odyseja A-44 trwała 11 lat. Cztery lata dłużej niż podróż Odyseusza. ■

JAROSŁAW RYBAK

Kryzys sprzyja piarowcom

Nie warto inwestować w superfilmiki na YouTube, wypasione strony internetowe czy zaawansowane projekty komunikacyjne. Na razie to zmarnowane pieniądze. Jeśli się myśli o skutecznym naborze najlepszych kandydatów, najpierw trzeba zadbać o strategiczny element procesu komunikowania się wojska z zainteresowanymi włożeniem munduru. Chodzi o osoby odbierające telefony i e-maile z rubryki „Kontakt" na stronie internetowej jednostki. Skupiając się na formie, najczęściej zapominamy, że zachęcony reklamą w końcu zadzwoni lub napisze z prośbą o szczegóły. A po drugiej stronie słuchawki będzie pani Krysia lub pan Zdzisio, którzy mają ochotę na wszystko, ale nie na odpowiadanie na trywialne pytania. E-maila przeczyta zaś zmęczony służbą kapitan, zaczynający dzień od sprawdzenia, ile jeszcze musi się męczyć do czasu, aż zdejmie mundur.

Często dostaję e-maile z pytaniami od zainteresowanych kamaszami: o sprawy zdrowotne, zatargi z prawem czy tatuaże. Odsyłam do jednostek, do których chcą trafić. Zwykle po jakimś czasie pytający wraca, pisząc, że „odbił się od betonu". Kandydat nr 1 żali się, że dwa razy kazano mu wysłać CV, ale nie dostał żadnej odpowiedzi. Nr 2 opowiada, że po kilku zdaniach przerwano mu i usłyszał, że „absolutnie nie ma szans na dostanie się do tej jednostki". Nr 3 po kilku rozmowach odniósł wrażenie, że „nie ważne, czy ma się ręce, nogi, czy jakieś osiągnięcia. Ważne, że ma się plecy". Gdy spojrzeć przez pryzmat komunikacji społecznej – problem jest poważny. Pytający nie mogą znaleźć informacji u źródła, więc szukają dalej. To tak, jakby chorzy szli do znachorów, bo lekarze odesłali ich z kwitkiem.

Od lat odnoszę wrażenie, że wojsko przywiązuje większą wagę do spektakularności niż efektywności. Teraz obowiązuje trend „wykorzystania potencjału organizacji społecznych na rzecz obronności". Decydenci puszczają oko do młodych ludzi. Z całą sympatią do pasjonatów munduru, patrzę na ich działania sceptycznie. Dysponują głównie karabinami na plastikowe kulki. A mamy Polski Związek Łowiecki, liczący około 100 tys. członków, każdy ma po dwie, trzy sztuki broni. Dlaczego tylu, znających leśne ostępy, uzbrojonych ludzi nie budzi zainteresowania decydentów?

Kolejny problem to lekceważące traktowanie kandydatów. Piotr Bernabiuk pisze o naborze cywilów do wojsk specjalnych. Mają szybko trafiać do służby. Świetnie. Ale teraz na takie powołanie żołnierze czekają po pięć lat. Zmotywowani, po misjach, selekcji, przez lata nie układają sobie życia, bo chcą włożyć multicam. Czekają i widzą, że jakiś żółtodziób zrobi to szybciej. Wojsko otwiera nowe, boczne drzwi, nie porządkując zagraconej klatki schodowej przy głównym wejściu.

Wojskowym piarowcom sprzyja kryzys gospodarczy. Dlatego chętnych do armii nie brakuje. Można więc inwestować w niedopracowane przedsięwzięcia. Na razie życie ich nie weryfikuje. Pytanie: kiedy wyjdziemy z kryzysu? ■

TERAZ OBOWIĄZUJE **TREND** „WYKORZYSTANIA POTENCJAŁU ORGANIZACJI SPOŁECZNYCH NA RZECZ OBRONNOŚCI"

JAROSŁAW RYBAK JEST PUBLICYSTĄ ZAJMUJĄCYM SIĘ PROBLEMATYKĄ BEZPIECZEŃSTWA. AUTOREM KSIĄŻEK O POLSKICH JEDNOSTKACH SPECJALNYCH. BYŁ RÓWNIEŻ RZECZNIKIEM PRASOWYM MON I BBN.

Zderzenia z paragrafem

Nasi eksperci rozwiązują Wasze problemy z interpretacją przepisów prawnych. Zachęcamy do zadawania pytań: niezbednik@zbrojni.pl

Wykup mieszkania

PODSTAWY PRAWNE: ustawa z 22 czerwca 1995 roku o zakwaterowaniu Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej (DzU 2010 nr 206 poz. 1367 z późn. zm.) – art. 58 ust. 2.; ustawa z 10 czerwca 2014 roku o zmianie ustawy o zakwaterowaniu Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej (DzU 2014 poz. 930) – art. 1 pkt 3, art. 2–3.

Jestem szeregowym zawodowym. Moje pytanie dotyczy wykupu mieszkania wojskowego. Od tego roku wróciła 95-procentowa bonifikata przy wykupie wojskowych „M". Co z żołnierzami, którzy lokale nabyli w 2014 roku, korzystając z mniejszego, bo 30-procentowego upustu? Jest nas kilku i czujemy się poszkodowani takim obrotem sprawy. Czy jest jakaś szansa na częściowy zwrot lub choćby anulowanie rat, które spłacamy za mieszkanie?

➔ **Rzeczywiście, zgodnie z ustawą z 10 czerwca 2014 roku o zmianie ustawy o zakwaterowaniu Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej (obowiązuje od 1 stycznia 2015 roku) przy wykupie mieszkania przysługuje odpowiednio 95% i 90% pomniejszenia.** Należy podkreślić, że przepisy przewidujące większą bonifikatę są stosowane do spraw wszczętych po 1 stycznia 2015 roku. Zgodnie z przepisami przejściowymi, do spraw dotyczących sprzedaży lokalu mieszkalnego i niezakończonych przed dniem wejścia w życie tej ustawy stosuje się natomiast regulacje dotychczasowe (vide art. 2 ustawy o zmianie ustawy o zakwaterowaniu Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej). W ocenie sporządzającego opinię nie ma możliwości zastosowania, zarówno dla Pana, jak i dla żołnierzy, o których mowa w pytaniu, bonifikaty korzystniejszej. To samo dotyczy częściowego zwrotu lub anulowania rat. ■

Aplikant radcowski AGATA SADOWSKA
Kancelaria Radców Prawnych SC
K. Przymęcka & J.P. Przymęcki

Problem z dyscypliną

PODSTAWA PRAWNA: ustawa o dyscyplinie wojskowej z 9 października 2009 roku (DzU 2009 nr 190 poz. 1474 z późn. zm.) – art. 3 pkt. 4, art. 16 ust. 1–2 oraz art. 17 ust. 1; „Regulamin ogólny Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej" (Warszawa 2014) – art. 3, 10, 29.

Mam problem z podwładnym, który dość często podważa, w obecności moich przełożonych, mój autorytet. Ponadto w sposób mało zadowalający (terminowość i jakoś pracy) wypełnia stawiane przeze mnie zadania. Jakie mam możliwości (oprócz oceny w czasie opiniowania) reakcji dyscyplinarnej na takie zachowania?

➔ **Podważenie autorytetu to stwierdzenie dość ogólne,** a zatem udzielenie odpowiedzi na tak zadane pytanie może nie do końca zadowolić autora pytania. To sam przełożony musi dokonać analizy zachowania swojego podwładnego w kontekście przepisów „Regulaminu ogólnego Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej".

W jego artykule 3 zapisano między innymi, że podwładny jest zobowiązany do wykonywania rozkazów, poleceń i wytycznych przełożonego. W artykule 29 z kolei mówi się, że: „Żołnierze w stosunku do innych żołnierzy i do osób cywilnych są zobowiązani do przestrzegania zasad etycznych, norm współżycia społecznego oraz powinni zachowywać się z godnością, uprzejmie i taktownie".

W przedmiotowej sprawie należałoby się zatem zastanowić, czy podważanie autorytetu przełożonego (o ile takie wystąpiło) można uznać za naruszające zasady etyczne, uprzejme i taktowne zachowanie się podwładnego wobec przełożonego, w szczególności w obecności innych żołnierzy zawodowych, może nawet niższych rangą. Jeżeli tak, to zostaną spełnione podstawy faktyczne do wszczęcia postępowania dyscyplinarnego – żołnierz dopuścił się naruszenia przepisów regulaminu, ponieważ, zwracając się do przełożonego, powinien to czynić taktownie, z poszanowaniem jego godności, nie wyrażając krytycznych uwag (opinii) w obecności niższych od niego stanowiskiem oraz osób postronnych. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

Pieniądze na szkolenie NSR

Słyszałem, że żołnierze Narodowych Sił Rezerwowych będą się mogli kształcić na koszt armii. Proszę o bliższe szczegóły, jakie warunki trzeba będzie spełnić, aby otrzymać z wojska pieniądze na przykład za odbyty kurs?

➔ **Żołnierzom Narodowych Sił Rezerwowych, którzy wykonywali obowiązki na stanowiskach służbowych lub pełnili funkcje wojskowe odpowiadające ich kwalifikacjom nabytym przed zawarciem kontraktu lub w jego trakcie przez co najmniej trzy lata, wypłaca się ekwiwalent pieniężny z tytułu poniesionych kosztów, związanych z uzyskaniem kwalifikacji przydatnych w siłach zbrojnych.** Podstawą do wypłaty pieniędzy jest umowa zawarta między wojskowym komendantem uzupełnień a żołnierzem rezerwy, w której żołnierz zobowiązał się do uzyskania przed zawarciem kontraktu określonych kwalifikacji.

Pieniądze są wypłacane po trzech latach wykonywania obowiązków w ramach NSR. Na wniosek żołnierza rezerwy ekwiwalent można jednak wypłacić przed upływem tego okresu, gdy żołnierz zobowiąże się do jego zwrotu w razie uchylenia przydziału kryzysowego z przyczyn niezależnych od organów wojskowych.

Żołnierz rezerwy, który zawarł kontrakt na wykonywanie obowiązków w ramach NSR i zobowiązał się do posiadania przydziału kryzysowego przez okres nie krótszy niż trzy lata, może być skierowany, w celu uzyskania koniecznych kwalifikacji, przez wojskowego komendanta uzupełnień lub na wniosek dowódcy jednostki wojskowej (za zgodą żołnierza rezerwy) na odpowiedni kurs lub szkolenie. Jeżeli jest jednocześnie pracownikiem, skierowanie następuje za zgodą pracodawcy. Ponadto żołnierzowi rezerwy mającemu przydział kryzysowy można przyznać – na podstawie umowy żołnierza rezerwy z dowódcą jednostki wojskowej – dofinansowanie kosztów studiów lub nauki albo stażu, kursu lub specjalizacji.

Należy wspomnieć, że w wypadkach określonych w art. 132g ust. 4 oraz w art. 132i ust. 3 ustawy, żołnierz rezerwy jest zobowiązany do zwrotu kosztów kształcenia. Chodzi tu między innymi o przerwanie kształcenia, nieukończenie kursu lub szkolenia, nieuzyskanie kwalifikacji przydatnych w wojsku, uchylenie przydziału kryzysowego z przyczyn niezależnych od organów wojskowych przed upływem trzech lat posiadania przydziału kryzysowego (z wyjątkiem orzeczenia o niezdolności do czynnej służby wojskowej, orzeczenia psychologa stwierdzającego przeciwwskazania do pełnienia tej służby, powołania do zawodowej służby wojskowej albo przyjęcia do służby wojskowej w charakterze kandydata na żołnierza zawodowego). ■

Aplikant radcowski DAMIAN MAZANOWSKI
Kancelaria Radców Prawnych SC
K. Przymęcka & J.P. Przymęcki

PODSTAWA PRAWNA:
ustawa z 21 listopada 1967 roku o powszechnym obowiązku obrony Rzeczypospolitej Polskiej (DzU 2012 poz. 461 z późn. zm.) – art. 132f, 132g ust. 1 i 4, 132i ust. 1–3.

Wzrok a służba

Mam dość dużą wadę wzroku – 6.5 oraz 8 dioptrii. Jestem zainteresowany służbą wojskową, ale obawiam się, że moja wada jest zbyt duża. Czy mam szansę na mundur?

➔ **Niestety, nie.** Przy orzekaniu o zdolności do pełnienia zawodowej służby wojskowej i zaliczeniu do jednej z kategorii zdolności fizycznej i psychicznej do zawodowej służby, wojskowe komisje lekarskie uwzględniają wykaz chorób i ułomności, znajdujący się w załączniku nr 1 do rozporządzenia ministra obrony narodowej. W rozdziale IV w pozycjach od 7 do 14 są wymienione wszelkie wady i ułomności narządu wzroku. Pana wada, według tego załącznika, dyskwalifikuje Pana do uznania za zdolnego do zawodowej służby wojskowej w charakterze kandydata do tej służby. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

PODSTAWA PRAWNA:
rozporządzenie ministra obrony narodowej w sprawie orzekania o zdolności do zawodowej służby wojskowej oraz właściwości i trybu postępowania wojskowych komisji lekarskich w tych sprawach z 8 stycznia 2010 roku (DzU 2010 nr 15 poz. 80 z późn. zm.) – § 16, załącznik nr 1 rozporządzenia, poz. 7–14.

Porady zamieszczane na łamach „Polski Zbrojnej" mają charakter informacyjno-doradczy i nie stanowią wiążącej interpretacji i wykładni prawa.

Nowe przepisy „mundurowe”

Rezygnacja z zasad noszenia umundurowania w zależności od pory roku to jedna z kilku zmian rozporządzenia dotyczącego między innymi zestawów i wzorów wojskowego ubioru.

Rozporządzenie ministra obrony narodowej jest aktem wykonawczym do ustawy pragmatycznej. Dokument określa rodzaje, zestawy i wzory umundurowania, a także okoliczności i sposób jego noszenia przez żołnierzy zawodowych i kandydatów na żołnierzy.

Nowe przepisy likwidują obowiązek wkładania określonego munduru w zależności od tego, czy jest okres letni, zimowy, czy pora przejściowa. Dzięki temu żołnierze, bez obaw o karę dyscyplinarną, teraz będą mogli sami decydować, jaki mundur włożyć, by było im wygodnie.

Znowelizowane rozporządzenie ujednolica też techniki wykonania oznak stopni wojskowych, między innymi na naramiennikach. W wypadku umundurowania polowego, ćwiczebnego czy specjalnego oznaki stopni będą wykonywane techniką haftu komputerowego. Do tej pory były gumowane. Jeśli chodzi o umundurowanie wyjściowe, będzie zastosowany tzw. bajorek, czyli srebrna nić metalizowana.

Zamiast dwóch płaszczy: letniego i sukiennego, żołnierz otrzyma jeden – całoroczny. Jako nowość, do należności zostały wprowadzone kurtki dla pilotów, peleryny podhalańskie letnie oraz bluzy ocieplające.

Zgodnie z nowymi przepisami żołnierze zawodowi otrzymają też mundur galowy nowego wzoru – o innej barwie, strukturze i materiale (nowo powoływani żołnierze dostaną mundur, a ci już służący – coroczną „mundurówkę”). Będzie on miał ciemniejszy kolor niż mundur wyjściowy. W komplecie znajdą się też nowe buty.

Wymiana umundurowania ma trwać do 2018 roku. PG/PZ ■

Korzystniejsze rozliczenia

Rezerwiści odbywający w wojsku obowiązkowe ćwiczenia będą otrzymywać wyższe rekompensaty za zarobki utracone w cywilu.

Przepisy zmieniające zasady ustalania i wypłacania pieniężnych rekompensat dla żołnierzy rezerwy odbywających wojskowe ćwiczenia wprowadziła obowiązująca od 1 sierpnia 2014 roku ustawa o powszechnym obowiązku obrony RP. Teraz przygotowane zostały szczegółowe przepisy w tej sprawie.

Zgodnie z nazwą świadczenie ma zrekompensować rezerwiście utracone w cywilu zarobki za czas, gdy bierze on udział w ćwiczeniach. Pieniądze są jednak wypłacane tylko w sytuacji, gdy żołnierz za okres pobytu w wojsku nie otrzyma wynagrodzenia od swojego pracodawcy.

Projekt doprecyzowuje, że do czasu ćwiczeń nie będą wliczane dni, w których żołnierz między innymi samowolnie opuści jednostkę, odmówi udziału w szkoleniu lub nie będzie w stanie wykonać swoich obowiązków – na przykład z powodu spożycia alkoholu.

Projekt zakłada też inny niż dotąd sposób ustalania wysokości rekompensat. Na świadczenie to będzie się składać kwota wynagrodzenia otrzymanego przez żołnierza ze stosunku pracy lub stosunku służbowego za ostatnie trzy miesiące pełnego wymiaru czasu pracy poprzedzające ćwiczenia podzielona przez 63 i następnie pomnożona przez liczbę dni odbytych ćwiczeń. Do tej pory ta kwota była mniejsza, bo dzielona przez 90 dni.

Z WOJSKOWEJ WOKANDY

Dodatkowe badania

Żołnierz, wobec którego komisja lekarska wydała orzeczenie, może wnosić o przeprowadzenie dodatkowych badań.

Sprawa dotyczyła oficera pilota, który z powodu czasowych dolegliwości zdrowotnych został skierowany przez przełożonych do komisji lekarskiej. Ta uznała go za niezdolnego do służby w charakterze pilota, pomimo pozytywnej dokumentacji medycznej oraz wyników badań specjalistycznych przeprowadzonych podczas lotu w symulatorze.

Wojewódzki Sąd Administracyjny w Warszawie zgodził się z argumentami skarżącego. Uznał, że aby proces orzeczniczy został przeprowadzony w sposób prawidłowy, właściwa komisja lekarska powinna wykorzystać wszelkiego rodzaju dostępne narzędzia administracyjne, w szczególności dopuścić i przeprowadzić specjalistyczne badania lekarskie, bez względu na ich koszt.

Ma to znaczenie szczególnie wtedy, gdy o przeprowadzenie badań wnosi żołnierz, przedkładając jednocześnie wyniki badań specjalistycznych przeprowadzonych przez lekarzy leczących go na co dzień, które przeczą ostatecznej diagnozie komisji.

10 lutego 2015 roku (sprawa o sygn. akt II SA/Wa 1863/14) przed Wojewódzkim Sądem Administracyjnym w Warszawie zapadł wyrok, na którego mocy uchylono w całości zaskarżone orzeczenie Centralnej Wojskowej Komisji Lekarskiej w Warszawie w przedmiocie ustalenia niezdolności żołnierza zawodowego do służby w charakterze pilota samolotów transportowych, łączników i śmigłowców względnie w przedmiocie zdolności do służby wojskowej w charakterze członka załogi wieloosobowej.

Wyrok nie jest prawomocny. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

Więcej dostaną też ci, którzy stawią się na ćwiczenia w wojsku, a w cywilu prowadzą własną działalność gospodarczą. W tym wypadku rekompensatę będzie stanowiła kwota dochodu za ostatni rok podatkowy poprzedzający okres ćwiczeń podzielona przez 252 i następnie pomnożona przez liczbę dni spędzonych w wojsku. W skali miesiąca będzie dzielona przez 21, a nie jak dotychczas 30 dni.

Gdy żołnierz utrzymuje się wyłącznie z działalności rolniczej, świadczenie będzie równe kwocie najniższego wynagrodzenia (ustalonego na podstawie odrębnych przepisów) obowiązującego w okresie odbywania ćwiczeń podzielonego przez 21 i następnie pomnożonego przez liczbę dni odbytych ćwiczeń wojskowych.

O wypłatę rekompensaty rezerwista będzie mógł się starać po zakończeniu ćwiczeń. Na złożenie wniosku (do wójta, burmistrza lub prezydenta miasta) wraz z otrzymanym od dowódcy jednostki wojskowej zaświadczeniem będzie miał 30 dni. Potem w ciągu siedmiu dni otrzyma należne pieniądze.

PZ/PG ■

Z WOJSKOWEJ WOKANDY

Zwrot za dojazdy

Pracujący poza miejscem zamieszkania żołnierz domagał się zwrotu kosztów codziennych dojazdów.

Dowódca jednostki wojskowej odmówił przyznania skarżącemu żołnierzowi prawa do zwrotu kosztów codziennych dojazdów z miejsca zamieszkania do miejsca pełnienia służby i z powrotem. Organ tłumaczył, że skarżący może skorzystać ze służbowego pokoju noclegowego na terenie składu wojskowego. Podkreślono również, że żołnierzowi został przyznany dodatek za rozłąkę.

Odwołując się, żołnierz udowodnił, że sam dojeżdżał z miejsca zamieszkania do miejsca pełnienia służby i z powrotem, dołączając wymagane dokumenty, potwierdzające spełnienie warunków do uzyskania świadczenia. Rozstrzygnięcie dowódcy jednostki wojskowej oraz organu drugiej instancji stało się przedmiotem oceny sądu administracyjnego.

Wojewódzki Sąd Administracyjny w Bydgoszczy uznał, że skarga jest uzasadniona. 10 grudnia 2014 roku (sprawa o sygn. akt II SA/Bd 1234/14) sąd uchylił w całości decyzję szefa Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych. W uzasadnieniu swojego stanowiska stwierdził, że zwrot kosztów codziennych dojazdów z miejsca zamieszkania do miejsca służby i z powrotem jest swego rodzaju rekompensatą za brak zakwaterowania, a celem ustawodawcy było zwolnienie żołnierza zawodowego z ponoszenia kosztów zakwaterowania w takim miejscu, które pozwala na codzienne stawienie się w miejscu pełnienia służby.

Za słuszne uznał również uwagi żołnierza dotyczące błędnej interpretacji przepisów ustawy z 22 czerwca 1995 roku o zakwaterowaniu Sił Zbrojnych RP. Ponadto rozstrzygając sprawę, sąd uznał, że organ powinien się zastosować do powyższego stanowiska. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

Siódme podejście

W całej Polsce trwa kwalifikacja wojskowa. Przed komisjami musi się stawić blisko 270 tys. osób.

Kwalifikacja została ogłoszona 16 stycznia. Rozpoczęła się 2 lutego i potrwa do 30 kwietnia. Na terenie 16 województw przeprowadzają ją wojewodowie przy współudziale szefów wojewódzkich sztabów wojskowych, wojskowych komendantów uzupełnień oraz starostów, wójtów, burmistrzów (prezydentów miast). W sumie w całe przedsięwzięcie jest zaangażowanych między innymi 16 wojewódzkich i około 400 powiatowych komisji lekarskich, 16 wojewódzkich sztabów wojskowych i 86 wojskowych komend uzupełnień.

W ciągu 63 dni trwania kwalifikacji przed komisjami lekarskimi musi się stawić blisko 270 tys. młodych osób. To głównie 19-latkowie oraz mężczyźni w wieku od 20 do 24 lat, którzy nie mają orzeczonej kategorii zdolności do czynnej służby wojskowej. Wezwanie dostały także tegoroczne absolwentki szkół medycznych, weterynaryjnych i psychologicznych.

Przed komisją mogą też stanąć 18-letni ochotnicy, zarówno kobiety, jak i mężczyźni, którzy planują podjąć służbę wojskową.

Celem kwalifikacji jest zebranie informacji o stanie zdrowia młodych ludzi pod kątem ich predyspozycji do służby. Dlatego każdy, kto stanie przed komisją, otrzyma tzw. kategorię zdolności do służby. Najwyższa – A – oznacza, że kandydat nadaje się do czynnej służby wojskowej (wymagana jest też niekaralność sądowa), kategoria E całkowicie ją wykluczy. Przedstawiciel wojskowego komendanta uzupełnień wyda także książeczki wojskowe. Osoby uznane za zdolne do czynnej służby wojskowej zostaną przeniesione do rezerwy i będą miały uregulowany stosunek do służby. Osoby z kategorią D i E zostaną skreślone z ewidencji wojskowej.

Corocznie termin ogłoszenia kwalifikacji wojskowej, czas jej trwania oraz roczniki i grupy osób podlegających wymogowi stawienia się do kwalifikacji ustalają ministrowie spraw wewnętrznych oraz obrony narodowej. Ostatnie rozporządzenie w tej sprawie zostało wydane w listopadzie 2014 roku. PG/PZ ■

2.

Doradztwo zawodowe

Jeśli planujesz odejść z armii, możesz liczyć na porady specjalistów i bezpłatne warsztaty, które pomogą ci w znalezieniu zatrudnienia na cywilnym rynku pracy.

Z doradztwa zawodowego w resorcie obrony narodowej można skorzystać na terenie całego kraju. Usługi są świadczone dla uprawnionych żołnierzy zawodowych i byłych żołnierzy zawodowych oraz dla rodzin tych, którzy zaginęli lub ponieśli śmierć w związku z wykonywaniem zadań służbowych.

Nie tylko żołnierze żegnający się z armią mogą skorzystać z porad. Są one oferowane każdemu wojskowemu z minimum trzyletnią wysługą, także temu, który planuje zdjąć mundur dopiero za jakiś czas, ale chce wiedzieć, w jakim kierunku rozwijać swoje umiejętności czy predyspozycje.

Porady indywidualne opierają się na bezpośrednim kontakcie doradcy zawodowego z osobą uprawnioną. Dzięki rozmowie ze specjalistą żołnierz uzyska między innymi informacje o zawodach, rynku pracy i możliwościach przekwalifikowania. Doradca pomoże mu w przygotowaniu dokumentów aplikacyjnych, takich jak życiorys i list motywacyjny.

Spotkań z doradcą może być nawet kilka. Co ważne, każda porada indywidualna może zostać poszerzona o badania diagnostyczne, które pozwolą określić predyspozycje psychoosobowe żołnierza i w ten sposób ukierunkować go zawodowo. Do tych badań pracownicy ośrodków aktywizacji zawodowej stosują najczęściej kwestionariusz zainteresowań zawodowych (KZZ) oraz testy Thomas International, które pomagają określić potencjał i zdolności badanej osoby.

W 2014 roku z porad indywidualnych skorzystało ponad 3 tys. osób. Tylko w grudniu 2014 roku pracownicy rekonwersji udzielili byłym i czynnym żołnierzom zawodowym 263 takich porad. Żołnierze zasięgali informacji także telefonicznie i drogą elektroniczną (361). Z danych Centralnego Ośrodka Aktywizacji Zawodowej wynika, że ta forma pomocy rekonwersyjnej cieszy się dużym zainteresowaniem. Od kilku już lat liczba udzielonych porad kształtuje się na poziomie średnio ponad 4 tys. rocznie.

OSOBY KORZYSTAJĄCE Z PORAD W LATACH 2013–2014

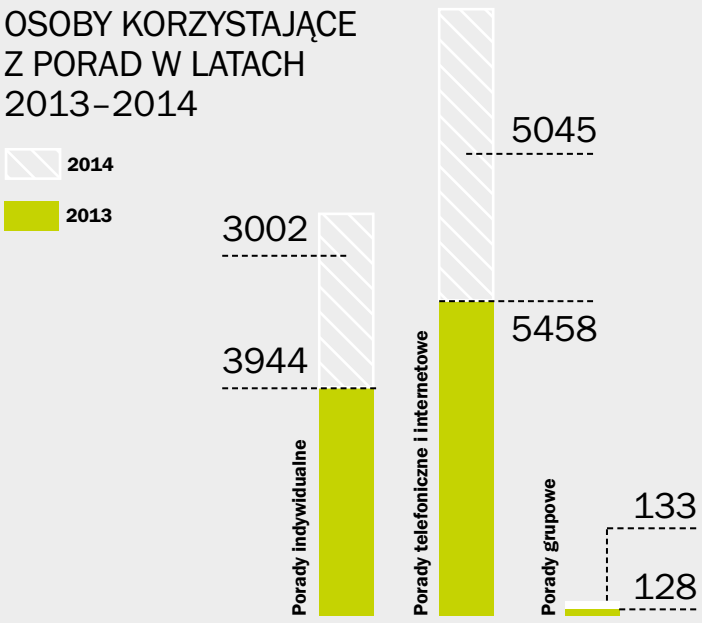

Źródło: dane statystyczne COAZ.

ZAJĘCIA GRUPOWE

W ramach doradztwa można też skorzystać z grupowych zajęć szkoleniowo-warsztatowych. Program jest bogaty i obejmuje wszelkie aspekty poszukiwania zatrudnienia. Oprócz informacji o resortowym systemie pomocy rekonwersyjnej, prawnych i finansowych aspektach zwolnienia ze służby, w trakcie zajęć można poznać też praktyczne metody poszukiwania pracy oraz nauczyć się korzystnie prezentować przed pracodawcą. Tematyka zajęć obejmuje też przygotowanie do zakładania, uruchamiania i prowadzenia własnej działalności gospodarczej, badanie predyspozycji psychoosobowych do pracy na rynku cywilnym czy negocjowanie warunków zatrudnienia. Zajęcia trwają zazwyczaj trzy dni i odbywają się w kilkuosobowych grupach. W dowolnym momencie można zrezygnować z udziału. Wtedy jednak wymagane jest pisemne oświadczenie, które potem zostanie dołączone do akt personalnych żołnierza. ■

EKSTREMALNE KULINARIA

ŁATWE

Zupa z pałki wodnej

20–30 pędów pałki wodnej, litr bulionu warzywnego lub drobiowego, trzy spore ziemniaki, garść zielonego groszku, sól, pieprz, zielona pietruszka.

Pałkę dokładnie myjemy i kroimy na kilkucentymetrowe kawałki, ziemniaki obieramy i kroimy w kostkę. Wrzucamy warzywa razem z groszkiem do wody i gotujemy około pół godziny. Doprawiamy solą i pieprzem, przed podaniem posypujemy zieloną pietruszką.

W Polsce rosną dwa gatunki pałki wodnej – szerokolistna i wąskolistna. Obie mają te same właściwości i zastosowanie. Znajdziemy je na brzegach stawów i jezior oraz w rowach melioracyjnych. Wszystkie części pałki są jadalne, a na wiosnę najsmaczniejsze są jej młode pędy, wyglądające jak duże pory. Pałkę wyrywamy z wody, obrywamy zewnętrzne liście, a potem odłamujemy biały lub jasnozielony rdzeń w miejscu, w którym sam pęka w rękach. Pędy można jeść na surowo, ale lepsze są ugotowane, smakują wtedy jak młode szparagi. Można je też smażyć, piec i dusić. Pałka wodna ma działanie przeciwskurczowe, moczopędne, przeciwzapalne i antyseptyczne. AD ■

Z ŻOŁNIERSKIEGO KOTŁA

PIOTR BERNABIUK

Dorsz z wody

Długi świąteczny weekend, nadmorski kurort, od kilku dni szalony wiatr zacinał deszczem. Typowy zimowy dzień nad Bałtykiem. W zatłoczonej tego dnia restauracji, słynącej z dań rybnych, zamówiłem ulubionego dorsza z wody, nadto z kaszą gryczaną i zestawem surówek.

Starsi, ale na pierwsi rzut oka sympatyczni państwo, którzy z braku miejsc dosiedli się do mojego stolika, zamówili schabowy z kapustą zasmażaną i pieczonymi ziemniakami.

Pan, jakby tonem usprawiedliwienia, rozkrawając panierkę, rzucił bardziej w przestrzeń niż do mnie: „Na wakacjach człowiek może sobie pofolgować”.

Pani, patrząc w leżącą na moim talerzu rybkę, niemalże skarciła swojego towarzysza: „Kochanie, nie wszyscy tak mogą”. Następnie, już zdecydowanie do mnie skierowała pełne troski, ale zaskakująco bezpośrednie pytanie: „Co panu dolega?”.

„Nostalgia, droga pani, przy takiej pogodzie, nostalgia…”.

Nie pozwoliła mi jednak się rozwinąć: „Bo wie pan, na wątrobę…”.

„Narządy, droga pani mam zdrowe, w wojsku robią nam badania okresowe, tylko dusza skowyczy wraz z wichrem”.

„Sądząc po menu, źle z panem, panie majorze”, zapewnił mężczyzna, po czym, nie słysząc sprostowania, że jestem chorążym, zwrócił się do swej towarzyszki: „W wojsku to dają im grochówkę z kiełbasą. Jak już zszedł na dorsza z wody…”.

Pani się uśmiechnęła życzliwie: „Widać jednak, że prawdziwy żołnierz. W wojsku przecież dają im kaszę”. Następnie, nie tracąc uśmiechu, sięgnęła do torebki: „Proszę zażyć, to znakomicie działa na wątrobę. Wiem, że służba wojskowa jest ciężka, ciągle ta grochówka i kasza”. ■

TRUDNE

Syrop klonowy

Cztery litry soku z klonu.

Sok wlać do garnka o grubym dnie i gotować na małym ogniu, mieszając i zbierając tworzące się szumowiny. Syrop będzie gotowy, kiedy odparuje większość wody. Z tej ilości soku otrzymamy około 100 ml słodkiego gęstego syropu. Wlewamy go do butelki. Nadaje się do naleśników, owsianki czy deserów.

W Ameryce Północnej sok uzyskuje się z klonu cukrowego. W Polsce trudno o ten gatunek, ale soki z naszych klonów – jesionolistnego i zwyczajnego – są równie słodkie. Drzewa rosną na terenie całego kraju w lasach i parkach. Nie wolno z nich zbierać soku bez zgody leśniczego lub właściciela terenu. Można też wykorzystać drzewa rosnące na własnej posesji lub u znajomych. Zbioru dokonuje się w pierwszej połowie marca, przed rozwojem liści. Nawiercamy pień na głębokości 1–2 cm. Wkładamy do niego rurkę, przez którą sok spływa do pojemnika. Na koniec w otwór wbijamy drewniany kołek, który zabezpieczy drzewo przed infekcjami. Prawidłowe zbieranie jest nieszkodliwe dla drzew. Z jednego nacięcia uzyskamy 1–2 l płynu. Sok klonowy w większości składa się z wody, ma też cukry i sole mineralne. W lodówce przetrwa od czterech do sześciu dni, syrop nawet rok lub dłużej. ■

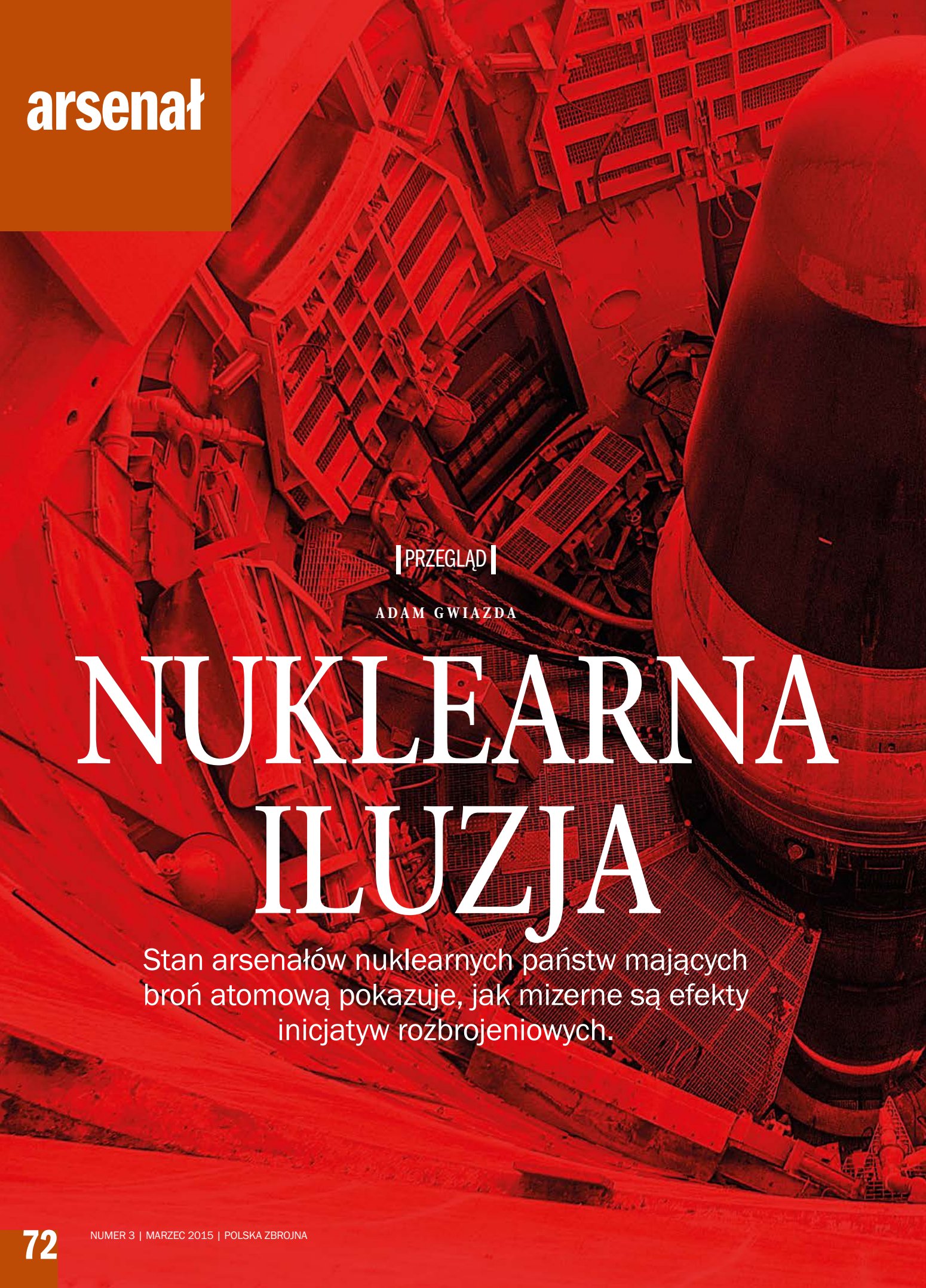

PRZEGLĄD

ADAM GWIAZDA

NUKLEARNA ILUZJA

Stan arsenałów nuklearnych państw mających broń atomową pokazuje, jak mizerne są efekty inicjatyw rozbrojeniowych.

TITAN MISSILE MUSEUM

Żadne z państw mających broń atomową nie chce z niej zrezygnować, bo jest uważana za jedyny skuteczny instrument odstraszania. Niektórzy politycy utrzymują, że jest to także swoisty gwarant utrzymania bezpieczeństwa międzynarodowego i istniejącego układu sił we współczesnym świecie. Dlatego raczej niewielkie są dotychczasowe efekty wszystkich inicjatyw rozbrojeniowych wielkich mocarstw i różnych organizacji międzynarodowych. Potwierdza to obecny stan arsenałów nuklearnych, który w ostatnich paru latach znacząco się nie zmienił.

W połowie 2014 roku tzw. państwa atomowe posiadały około 16,3 tys. bomb i różnego rodzaju pocisków nuklearnych zlokalizowanych w 97 miejscach w 14 krajach świata. Około 10 tys. tych ładunków nuklearnych to pociski i bomby atomowe w arsenałach wojskowych. Pozostałą ich część stanowiły przestarzałe głowice lub pociski przeznaczone do zniszczenia na mocy uprzednio zawartych porozumień między mocarstwami atomowymi. Z wspomnianych 10 tys. pocisków nuklearnych tylko 4 tys. są w stanie gotowości operacyjnej, a 1,8 tys. w stanie podwyższonej gotowości bojowej, czyli są gotowe do użycia w bardzo krótkim czasie od chwili otrzymania rozkazu.

ATOMOWI POTENTACI

Najwięcej, bo aż 93% globalnych zapasów broni nuklearnej mają dwa państwa: Rosja i Stany Zjednoczone. W USA znane są miejsca składowania tej broni, ale na przykład Moskwa i Pekin nie ujawniają takich informacji. Amerykańskie bomby i pociski atomowe znajdują się nie tylko na terytorium USA, w 11 stanach w 12 miejscach, lecz także w bazach wojskowych w Belgii, Niemczech, we Włoszech, w Holandii i Turcji. W połowie 2014 roku znajdowało się tam łącznie 180 bomb i pocisków nuklearnych.

W sumie więc amerykańska broń nuklearna jest rozmieszczona w 18 miejscach (12 z nich znajduje się w USA i sześć w Europie). Należy przypomnieć, że pod koniec zimnej wojny USA miały tysiące bomb i pocisków nuklearnych poza granicami swojego kraju, głównie w swoich bazach w Europie lub na pokładach okrętów wojennych. Od 2009 roku jednak skoncentrowano składowanie tego typu broni w kilku wybranych miejscach w kraju i za granicą.

Stany Zjednoczone są jedynym mocarstwem atomowym, które rozmieściło około 180 bomb i pocisków nuklearnych w swoich bazach wojskowych na terytorium innych państw. Pozostałe przechowują broń atomową wyłącznie na swoim terytorium. Ponadto nie podają one zbyt wielu informacji o stanie i miejscach jej składowania. Brakuje na przykład wielu wiarygodnych danych o liczbie rosyjskich pocisków nuklearnych w stanie gotowości operacyjnej i tych wycofanych już z arsenałów militarnych i składowanych w nieujawnionych przez rząd Rosji rejonach.

Na podstawie danych wywiadu amerykańskiego szacuje się, że Rosja w 2014 roku rozmieściła swoje bomby i pociski nuklearne w 40 punktach na terenie całego kraju. Dla porównania: w 1991 roku takich lokalizacji z bronią nuklearną było na terytorium Rosji aż 500, w połowie lat dziewięćdziesiątych – 250, a w 2001 roku „tylko" 100. Z lakonicznych wypowiedzi na ten temat przedstawicieli władz w Moskwie można wywnioskować, że od 1991 roku państwo to zredukowało ponadczterokrotnie liczbę swoich magazynów, w których składowano broń nuklearną. Dane te nie są jednak potwierdzone. Nie bardzo wiadomo również, jaką część broni nuklearnej Rosjanie traktują jako „niestrategiczną", czyli niepodlegającą redukcji zgodnie z podpisanym nowym porozumieniem START. Do takiej właśnie kategorii zaliczają oni na przykład bombowce średniego zasięgu Tu-22M3.

Władze Rosji na własnym terytorium utrzymują 12 baz z bronią nuklearną w operacyjnej gotowości bojowej, w tym dwie bazy dla okrętów podwodnych z napędem atomowym i dwie bazy dla ciężkich bombowców. Brakuje informacji na temat kilku innych baz, w tym także zawartości magazynów istniejących przy zakładach wytwarzających różnego rodzaju broń nuklearną.

TAJEMNICE ZBROJENIOWE

Inaczej wygląda sytuacja w Wielkiej Brytanii, która ma broń nuklearną jednego typu – wystrzeliwane z okrętów podwodnych rakiety balistyczne Trident II (SLBM). Pociski znajdują się w dwóch bazach w Szkocji, a dwa zakłady zajmujące się ich serwisem mieszczą się na południowy zachód od

MILITARIUM STUDIO/MD

SZACOWANA WIELKOŚĆ ARSENAŁÓW NUKLEARNYCH W POŁOWIE 2014 ROKU

*Z tego około 4300 głowic nuklearnych w gotowości operacyjnej, pozostałe 3700 jest prawdopodobnie przeznaczonych do zniszczenia.
**Z tego około 4760 głowic nuklearnych w gotowości operacyjnej i podwyższonej gotowości bojowej, 1980 wycofanych, a 2540 przestarzałych przeznaczonych do zniszczenia.

Źródło: „Bulletin of the Atomic Scientists" 2014, November/December, nr 70, s. 97.

Londynu. Francja z kolei dysponuje dwoma rodzajami broni nuklearnej: pociskami balistycznymi SLBM w bazie okrętów podwodnych w Bretanii i pociskami powietrze–ziemia, które są w wyposażeniu lotnictwa (samolotów startujących z konwencjonalnych lotnisk, jak również z lotniskowców). Duży kompleks produkcyjny, w którym wytwarza się oba te rodzaje broni atomowej, znajduje się w Valduc. Oprócz tego pociski nuklearne są przechowywane w sześciu innych miejscach na terytorium Francji, ale dokładne dane na ten temat nie są ujawniane.

Najbardziej tajemnicze jednak są władze Chin, które nie informują o wielkości i lokalizacji swojego arsenału nuklearnego. Kraje zachodnie próbują go oszacować, głównie na podstawie zdjęć dostarczanych przez satelity oraz różnych publikacji w czasopismach fachowych i w internecie. Wiado- →

mo zatem, że Chińczycy przechowują znaczną część tego typu broni w 12 różnych miejscach, głównie w schronach podziemnych. Około 250 nuklearnych pocisków w operacyjnej gotowości bojowej znajduje się w miejscu znanym jako Baza 22. Nuklearne pociski artyleryjskie są z kolei zlokalizowane na obszarze prawie całych Chin w 25 bazach, podporządkowanych organizacyjnie sześciu kwaterom głównym, przy których zresztą znajdują się także regionalne magazyny broni nuklearnej. Chińska marynarka wojenna dysponuje dwiema bazami z okrętami podwodnymi wyposażonymi w pociski nuklearne, a siły powietrzne mają kilka podobnych, tyle że operują z nich bombowce średniego zasięgu mogące przenosić ładunki nuklearne. Chiny mają ponadto pewną liczbę odpalanych z ziemi rakiet średniego zasięgu z pociskami nuklearnymi, które – według danych wywiadu amerykańskiego – znajdują się w stanie gotowości operacyjnej.

Państwa sąsiadujące z Chinami, czyli Pakistan i Indie, także stale rozbudowują swoje arsenały nuklearne. Przy czym oba te kraje nie są sygnatariuszami układu o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej. Państwa zachodnie dysponują raczej niepełnymi danymi dotyczącymi miejsc produkcji i magazynowania broni nuklearnej w Pakistanie. Wiadomo jedynie, że w tym kraju jest siedem miejsc, gdzie łącznie znajduje się od 100 do 120 pocisków nuklearnych. Tamtejsze władze w ostatnim czasie sporo inwestują w budowę systemów przenoszenia tej broni, która, zdaniem wielu zachodnich ekspertów, nie jest w stanie pełnej gotowości operacyjnej. Są to jednak tylko przypuszczenia, bo większość pakistańskiej broni nuklearnej jest składowana w głębokich tunelach, których – zdaniem byłego prezydenta tego państwa Perveza Musharrafa – nie może zniszczyć nawet bomba atomowa.

Indie również nie ujawniają informacji na temat miejsc składowania swojej broni nuklearnej. Nie chwalą się także liczbą bomb i pocisków atomowych. W odróżnieniu od Pakistanu, trzymają prawie cały arsenał nuklearny w jednym rejonie. Kraj ten szybko rozbudowuje pierwszą bazę dla okrętów podwodnych niedaleko Rambilli na wschodnim wybrzeżu i okręty te mają wkrótce zostać wyposażone w pociski nuklearne.

Największą niewiadomą wśród państw dysponujących bronią nuklearną jest jednak Izrael. Jego arsenał nuklearny szacuje się na 80–85 pocisków atomowych. Przy czym kraj ten stale modernizuje i rozbudowuje swój potencjał atomowy. Dotyczy to także magazynów, gdzie broń ta jest składowana. Państwo to zapewne zignoruje kolejną już rezolucję ONZ z 2 grudnia 2014 roku, wzywającą do zrzeczenia się broni atomowej.

O ile Izrael nie afiszuje się z bronią atomową, o tyle rząd Korei Północnej przy byle okazji demonstruje próby kolejnych rakiet średniego zasięgu, rzekomo uzbrojonych w ładunki nuklearne i zdolnych do zaatakowania Japonii czy nawet zachodnich wybrzeży USA. Amerykański wywiad nie potwierdza jednak informacji, że Korea Północna ma w stanie gotowości bojowej rakiety balistyczne mogące przenosić pociski nuklearne. Przy czym samych pocisków Koreańczycy mają zaledwie kilka, mniej niż dziesięć. Nie oznacza to jednak, że można lekceważyć zagrożenie dla bezpieczeństwa międzynarodowego w tym regionie, jakie stwarza agresywna polityka władz w Pjongjangu.

KONTRA IRAŃSKA

Inną niewiadomą jest potajemnie rozbudowywany potencjał nuklearny Iranu. Pod koniec listopada 2014 roku jego przedsta-

NATO

TYLKO **USA** ROZMIEŚCIŁY OKOŁO **180 BOMB I POCISKÓW** NUKLEARNYCH W SWOICH BAZACH WOJSKOWYCH W INNYCH PAŃSTWACH

WIZYTÓWKA

PROF. DR HAB. ADAM GWIAZDA

Jest ekonomistą i politologiem, pracownikiem naukowym Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy. Zajmuje się problematyką międzynarodowych stosunków politycznych i gospodarczych, polityką zagraniczną i bezpieczeństwa USA, Chin, Japonii, Rosji i Indii oraz „nowymi" wojnami o zasoby surowców, słodkiej wody i żywności.

wicielom znowu udało się wynegocjować z USA i pięcioma innymi państwami (czterema pozostałymi stałymi członkami Rady Bezpieczeństwa i Niemcami) kolejne kilkumiesięczne przedłużenie obowiązywania tymczasowego porozumienia zawartego w Genewie 24 listopada 2013 roku. Nakłada ono na Iran obowiązek stopniowego ograniczania rozwoju programu atomowego i zaprzestania wzbogacania uranu do ponad 5% zawartości izotopu 235U w zamian za częściowe zniesienie sankcji ekonomicznych. Dopiero po zawarciu trwałego porozumienia nastąpi pełna normalizacja stosunków politycznych i gospodarczych państw zachodnich z Iranem. Początkowo termin zawarcia takiego porozumienia wyznaczono na lipiec, następnie na listopad 2014 roku. Dyplomacji Iranu udało się jednak uzyskać kolejne przedłużenie tego terminu do końca czerwca 2015 roku. Według niektórych ekspertów Iran potrzebuje właśnie siedmiu miesięcy na wyprodukowanie bomby atomowej. Niewątpliwie irański program jądrowy stanowi poważne zagrożenie dla bezpieczeństwa nie tyle globalnego, ile na Bliskim Wschodzie.

Przedłużenie negocjacji z Iranem w dużym stopniu wynika z realizowanej przez prezydenta Baracka Obamę strategii dyplomatycznego załatwiania wszystkich spornych kwestii, które, jego zdaniem, można rozwiązać bez użycia siły militarnej. Trudno przewidzieć, czy sprawdzi się ona w wypadku Iranu.

Ugodowa polityka USA wobec tego państwa nie podoba się przede wszystkim Izraelowi. Także Arabia Saudyjska, od dawna rywalizująca z Iranem o przywództwo na Bliskim Wschodzie, zdecydowanie sprzeciwia się temu, aby kraj ten dołączył do grupy mocarstw nuklearnych. Podobnie myślą Turcja, Irak i Egipt. Rosja zaś z pewnością poprze ewentualne, czwarte już przedłużenie tych rozmów pod koniec czerwca 2015 roku, aby jak najdłużej móc uczestniczyć w tych ważnych dla bezpieczeństwa międzynarodowego negocjacjach z Iranem. Kolejne przedłużenie negocjacji może natomiast sprowokować Izrael do samodzielnego ataku na irańskie instalacje atomowe i zakłady wzbogacania uranu.

Władze Iranu wykorzystują to, że mocarstwa nuklearne nie zdołały zapanować nad rozprzestrzenianiem się broni atomowej. Innymi słowy, nuklearne rozbrojenie świata okazało się iluzją już wtedy, kiedy nie udało się powstrzymać Indii, Pakistanu, a także Izraela i ostatnio Korei Północnej przed skonstruowaniem broni atomowej. Czy zatem w obecnej sytuacji geopolitycznej można powstrzymać Iran? Pewnie tak, o ile wszystkie mocarstwa nuklearne będą ściśle współpracować.

Możliwa jest jednak inna opcja – w zamian za dalszą pomoc w walce z Państwem Islamskim oraz za udzielenie koncesji firmom zachodnim zarówno Stany Zjednoczone, jak i ich europejscy sojusznicy, a także Chiny i Rosja złagodzą stanowisko wobec irańskiego programu atomowego. Byłoby to sygnałem dla wszystkich mocarstw atomowych i innych państw do dalszego rozbudowywania i modernizacji arsenałów nuklearnych. A wywołany w ten sposób kolejny wyścig zbrojeń bardzo poważnie zagroziłby istniejącemu systemowi bezpieczeństwa międzynarodowego. Są jednak duże szanse na to, że nigdy nie dojdzie do realizacji takiego scenariusza i mocarstwa odpowiedzialne za utrzymanie pokoju na świecie wybiorą drogę stałego zmniejszania, a nie zwiększania arsenałów nuklearnych. ■

ROYAL NAVY

WIELKA BRYTANIA

Ambicje wyspiarzy

Królewska Marynarka Wojenna wzbogaci się o kolejne nowe okręty.

Podczas wizyty w Portsmouth 30 stycznia kanclerz skarbu George Osborne przedstawił działania rządu zmierzające do zbudowania „najnowocześniej floty wojennej na świecie". Jeszcze przed końcem tego roku ma zostać złożone zamówienie na pierwszą transzę nowych fregat typu 26 Global Combat Ship. Royal Navy otrzymała już dwa nowe atomowe okręty uderzeniowe typu Astute. Pięć następnych dołączy do nich w najbliższych dziesięciu latach. Budowane są dwa lotniskowce typu Queen Elizabeth. Nowe okręty będą stacjonować w bazach w Portsmouth i Plymouth. Osborne zapowiedział wyasygnowanie prawie 100 mln funtów szterlingów na dostosowanie infrastruktury pierwszej z nich do nowych lotniskowców. T W ■

FILIPINY

Dary i zakupy

Na początku lutego ministerstwo obrony Filipin ogłosiło, że kupi od Australii za 16,5 mln dolarów trzy używane jednostki desantowe (heavy landing craft – LCH) typu Balikpapan. Kilka dni wcześniej australijski minister obrony Kevin Andrews poinformował, że władze w Canberrze przekażą w darze Filipinom dwie LCH wraz z pakietem części zamiennych. Na HMAS „Tarakan" i HMAS „Brunei", które wycofano ze służby 19 listopada 2014 roku, zostaną odnowione sprzęt ratowniczy i wyposażenie nawigacyjne. Oficjalne przekazanie okrętów jest planowane w maju tego roku.

Jako że wcześniej HMAS „Labuan" podarowano Papui-Nowej Gwinei, do filipińskiej floty trafią, oprócz jednostek już wymienionych, barki desantowe wycofane ze służby w 2012 roku: HMAS „Balikpapan", „Betano" i „Wewak". Jednostki te mają 345 t wyporności i 45 m długości. T E D ■

BRAZYLIA

Blisko kontraktu

Ambasador Brazylii w Rosji Antonio José Vallim Guerreiro wyraził 28 stycznia nadzieję, że do końca pierwszego kwartału tego roku zostanie podpisany kontrakt na system przeciwlotniczy Pancyr-S1.

W grę wchodzi sprzedaż trzech baterii, razem 18 zestawów, za około 1 mld dolarów. Pancyr-S1 jest samobieżnym zestawem artyleryjsko-rakietowym, który składa się z dwóch dwulufowych armat automatycznych 2A38M kalibru 30 mm oraz 12 przeciwlotniczych pocisków rakietowych 57E6.

Na pojeździe zamontowano też radar i głowicę optoelektroniczną. Pancyr-S1 zwalcza cele w odległości od 200 m do 20 km i na wysokości od 5 m do 10 km. W R ■

MO ROSJI

SUKHOI

ROSJA

Obietnice producenta

Zjednoczona Korporacja Lotnicza dostarczy w 2016 roku rosyjskim siłom powietrznym myśliwce piątej generacji Suchoj PAK FA T-50.

Informację tę podała na początku lutego agencja TASS, powołując się na służbę prasową firmy. Samoloty będą produkowane w Komsomolsku nad Amurem.

Kilka dni wcześniej zapowiedziano, że na ten rok są planowane dostawy przeznaczonego dla PAK TA F-50 szybkostrzelnego działka 9A1-4071K kalibru 30 mm. Jest to zmodernizowane działko GSz-30-1, którego produkcję rozpoczęto w latach osiemdziesiątych dwudziestego wieku. WR ■

EKWADOR

Kłopoty z Dhruv

Ekwador ograniczył wykorzystanie zakupionych w Indiach lekkich śmigłowców Dhruv po kolejnych dwóch incydentach.

Pierwszy z nich zdarzył się 13 stycznia 2015 roku w rejonie jeziora zaporowego Chongon, kolejny 27 stycznia, kiedy maszyna rozbiła się koło miasta Tena. W obu wypadkach nie było ofiar śmiertelnych.

W ramach podpisanego w 2008 roku kontraktu o wartości około 45 mln dolarów Ekwador otrzymał w skrzyniach siedem maszyn, które następnie zostały zmontowane w miejscowych zakładach lotniczych. Śmigłowce trafiły do 2211 Eskadry Bojowej z 22 Skrzydła Bojowego, stacjonującego w Bazie Lotniczej Simon Bolivar.

Pierwszy z siedmiu Dhruv Ekwadorczycy utracili już 28 października 2009 roku. Maszyna rozbiła się podczas parady wojskowej w Quito, ranni zostali dwaj piloci. W katastrofie, do której doszło 22 lutego 2014 roku w regionie Chimborazo, zginęły trzy z czterech lecących śmigłowcem osób.

ECUADOR AIR FORCE

Kłopoty z Dhruv mają również indyjskie siły zbrojne. 25 lipca 2014 roku w katastrofie w Sitapur w stanie Uttar Pradeś zginęło siedmiu wojskowych. W maju 2013 roku śmigłowiec tego typu rozbił się w rejonie lodowca Sijaćen-Saltoro. Dwa wypadki lotnicze z udziałem Dhruv miały miejsce w 2011 roku. Zginęło wtedy siedem osób. W R T ■

MILITARIUM STUDIO PK
GOVERNMENT OF CANADA

KANADA

Arktyczne patrolowce

W ostatniej dekadzie stycznia stocznia Irving Shipbuilding Inc. z Nowej Szkocji podpisała z kanadyjskim rządem kontrakt o wartości 2,3 mld dolarów na budowę sześciu arktycznych patrolowców. Wstępne prace nad pierwszą jednostką rozpoczną się latem, a pełną parą ruszą we wrześniu. Dostawa HMCS „Harry DeWolf" jest zaplanowana na 2018 roku. T E D ■

ROSJA

Wielki plan zakupów

Rosyjskie ministerstwo obrony zamierza złożyć w tym roku wielkie zamówienia na uzbrojenie i sprzęt wojskowy dla sił zbrojnych.

Dla wojsk lądowych zostanie zakontraktowanych 701 czołgów, bojowych wozów piechoty i kołowych transporterów opancerzonych oraz 1545 innych pojazdów. Z myślą o wojskach rakietowych zostaną zamówione dwa kolejne systemy pocisków ziemia–ziemia Iskander-M. Wiele kontraktów ma dotyczyć sprzętu lotniczego, w tym 126 samolotów i 88 śmigłowców. Dla naziemnej obrony powietrznej jest planowany zakup sprzętu wystarczającego do wyposażenia brygady uzbrojonej w systemy S-300W4 i trzech pułków z systemami S-400.

Najważniejsze zakupy dla marynarki wojennej to pięć okrętów nawodnych i cztery podwodne, w tym dwa o napędzie atomowym. Z kolei dla sił strategicznych przewidziano między innymi 50 międzykontynentalnych pocisków balistycznych. TED ■

MO ROSJI

ARMEE DE L'AIR

KOLUMBIA

Francuska oferta

Rząd Kolumbii otrzymał z Francji propozycję zakupu 18 wielozadaniowych samolotów Dassault Aviation Mirage 2000-5F.

W grę wchodzą używane maszyny, zbędne francuskim siłom powietrznym. Samoloty są w bardzo dobrym stanie technicznym. Francuzi wyrażają też gotowość dostarczenia ich z wszystkimi systemami wymaganymi przez Kolumbię, w tym systemem walki elektronicznej. Portal Infodefensa.com podał, że według kolumbijskich pilotów, którzy mieli okazję zapoznać się z Mirage 2000-5F, są one lepsze od amerykańskich F-16C/D. Jako ich atut wskazali radar z syntetyczną aperturą. Wartość potencjalnej transakcji, według źródeł w przemyśle lotniczym, to 500 mln dolarów. Przy czym same samoloty kosztowałyby 350 mln. Reszta kwoty to koszty wstępnego pakietu logistycznego. TW ■

BRAZYLIA

Blisko finału

Siły powietrzne Brazylii podały w końcu stycznia, że nowy kierowany pocisk rakietowy powietrze–powietrze A-Darter jest niemal gotowy i w 2016 roku może rozpocząć się jego produkcja. Nowa broń jest opracowywana we współpracy z Republiką Południowej Afryki. A-Darter przewidywany jest jako uzbrojenie przyszłego brazylijskiego myśliwca Gripen NG. W ■

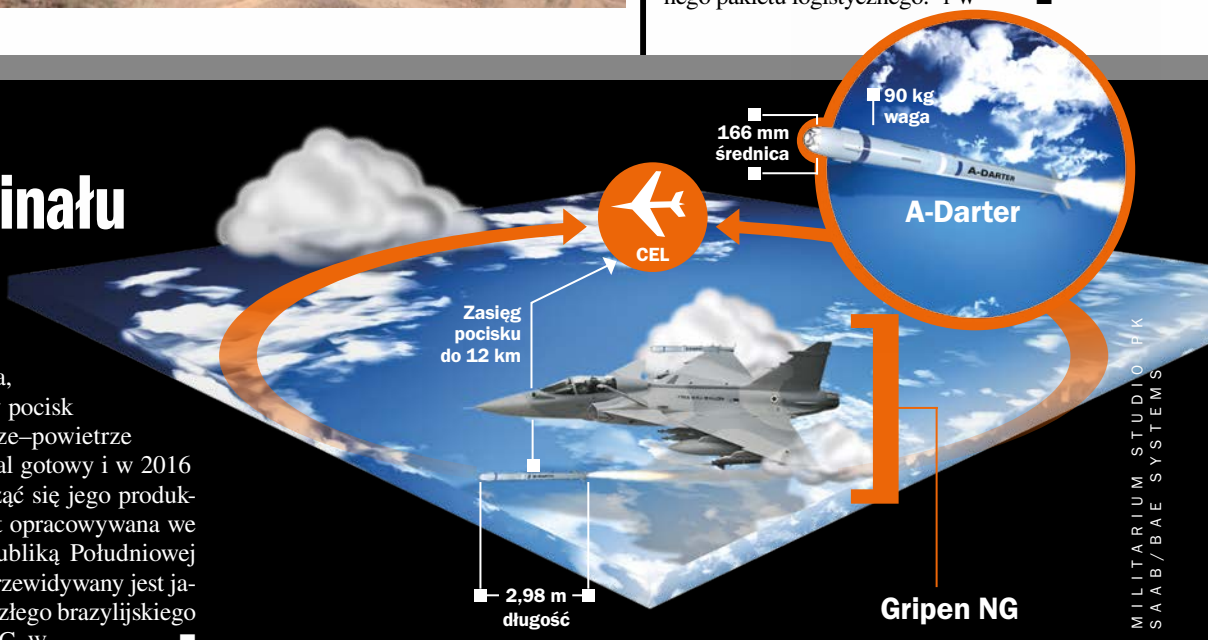

MILITARIUM STUDIO PK
SAAB/BAE SYSTEMS

nr 15.

Żołnierz Polskiego Kontyngentu Wojskowego w Afganistanie – ubiór polowy

rys. Monika Rokicka

Nr 15.

Ubiór polowy

ŻOŁNIERZ POLSKIEGO KONTYNGENTU WOJSKOWEGO W AFGANISTANIE (2014 ROK)

Przedstawiamy żołnierza PKW Afganistan w ubiorze polowym. Wojskowy nosi mundur polowy tropikalny w kamuflażu pustynnym wzór 2010 – 123UT/MON, który składa się ze spodni i bluzy. Jego charakterystycznym elementem są duże kieszenie na rękawach z naszytymi rzepami, które umożliwiają szybkie przypięcie lub odpięcie oznaki rozpoznawczej. Na głowie żołnierz ma hełm kompozytowy wzór 2005, bez pokrowca, z podstawą do montażu noktowizora. Wojskowy używa okularów balistycznych i rękawiczek taktycznych. Ubioru dopełniają trzewiki taktyczne. Na mundurze żołnierz ma kamizelkę kuloodporną z systemem przenoszenia MOLLE z podpiętymi kieszeniami i ładownicą na magazynek 30-nabojowy. Jego bronią jest karabinek automatyczny Beryl wzór 96C kalibru 5,56 mm w kamuflażu ochronnym, wykonanym za pomocą farb do maskowania broni.

nr 16.

Snajper, 17 Wielkopolska Brygada Zmechanizowana (2008 rok)

PKW Afganistan

Polscy żołnierze pełnią służbę w Afganistanie od 2002 roku. Do początku 2007 roku uczestniczyli w operacji „Trwała wolność". W tym czasie polski kontyngent liczył około 120 wojskowych i był rozmieszczony w bazie lotniczej Bagram. Jednym z wykonywanych przez Polaków zadań było jej rozminowywanie. Wiosną 2007 roku zwiększony PKW wszedł w skład Międzynarodowych Sił Wsparcia Bezpieczeństwa (ISAF) w Afganistanie. Pododdziały jego grupy bojowej były w trzech prowincjach: Ghazni, Paktika i Paktija, żołnierze wojsk specjalnych w Kandaharze, a sztabowcy z Wielonarodowego Korpusu Północno-Wschodniego w dowództwie misji w Kabulu.

Jesienią 2008 roku Polacy przejęli odpowiedzialność za prowincję Ghazni, gdzie swą działalność operacyjną zakończyli 27 kwietnia 2014 roku. Ostatnia, XV zmiana wykonywała zadania związane z zakończeniem udziału Wojska Polskiego w ISAF i przygotowaniem naszego uczestnictwa w nowej natowskiej misji w Afganistanie „Resolute Support", która rozpoczęła się 1 stycznia 2015 roku. ■

OPRACOWAŁ TADEUSZ WRÓBEL

|DWAJ ZGRYŹLIWI SCEPTYCY...|

...O PŁYWAJĄCYM **BORSUKU**

Owca Dolly

– Widziałeś borsuka?

– Jasne, w ZOO.

– Ale ja mówię o programie nowego bojowego wozu piechoty. Na razie jest na papierze, tudzież na monitorze.

– A, tego! Widziałem jakieś modele, bo realnie to go zobaczymy za jakieś trzy lata. Wyrośnięty ten borsuk, może ważyć nawet 30 ton.

– I ma pływać.

– Pływający borsuk wiosny nie czyni.

– Tak, raczej zimę. Na poziomie koncepcji znaczy.

– Dziś w Europie już chyba tylko Rosjanie i my stawiamy wymóg pływalności. Bo jak coś pływa, to nie będzie za bardzo odporne na miny i ostrzał.

– No, Koreańczycy, oczywiście ci „słuszni", też chcieli, aby ich bewupe pływał…

– Na razie głównie się topi… no i jest problem z programem.

– K-21, ksywa „topielec". Wiesz, ale mamy w Polsce trochę rzek i jezior, a żeby natarcie prowadzić płynnie…

– To może trzeba mieć więcej saperów i dobry sprzęt przeprawowy. Jak kupuję samochód, to dla mnie jest najważniejsze, jak będzie jeździł, a nie jak parkował. Jak ma pływać kosztem ochrony czy siły ognia, to po co komu taki borsuk?

– Rzucasz piach w koła dobrze rozpędzonej maszyny planistycznej naszej armii. To się nazywa dywersja intelektualna.

– Czasem trzeba trochę zwolnić, bo się można nie wyrobić na zakręcie.

– Czepiasz się. A przecież nasz borusk będzie i silny, i sprawny, i spławny, i nasz, polski

– Jak ten miś. I to nie będzie nasze ostatnie słowo.

– Tylko jeśli już na poziomie koncepcji borsuk ma mieć cechy pingwina, to co z tego wyjdzie?

– Owca Dolly?

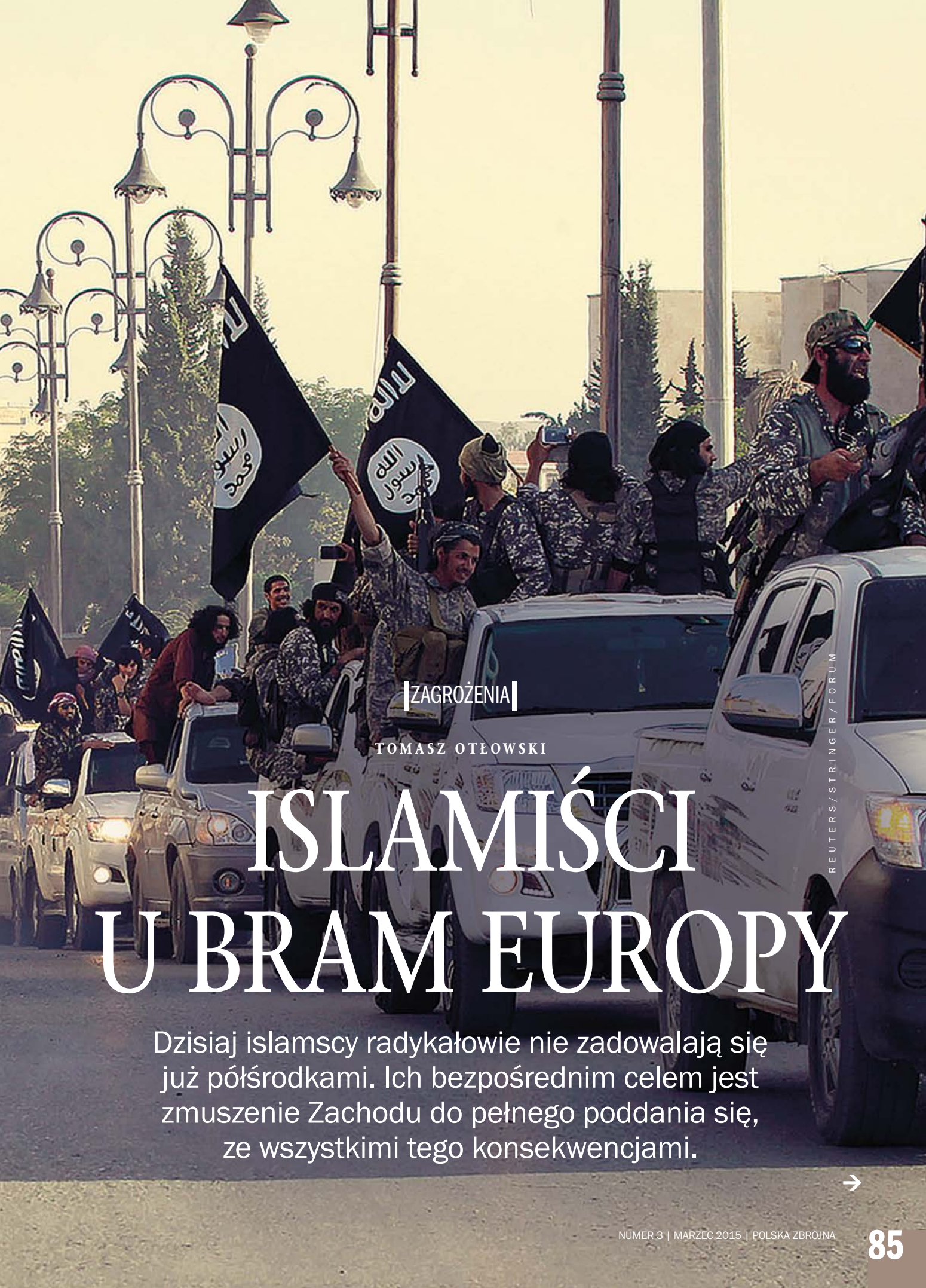

REUTERS/STRINGER/FORUM

ZAGROŻENIA

TOMASZ OTŁOWSKI

ISLAMIŚCI U BRAM EUROPY

Dzisiaj islamscy radykałowie nie zadowalają się już półśrodkami. Ich bezpośrednim celem jest zmuszenie Zachodu do pełnego poddania się, ze wszystkimi tego konsekwencjami.

Krwawe wydarzenia, jakie rozegrały się w Paryżu i na jego przedmieściach w styczniu 2015 roku, przypomniały Europejczykom, że walka z islamskim ekstremizmem i terroryzmem to nie tylko problem odległych zakątków świata. Brutalna egzekucja w redakcji tygodnika „Charlie Hebdo" była najkrwawszym atakiem dżihadystycznym na Starym Kontynencie od pamiętnych zamachów w Londynie z 2005 roku. Tym samym wiele wskazuje na to, że dobiegł właśnie końca trwający niemal dekadę czas swoistego europejskiego détente w wojnie z islamizmem, toczonej od 11 września 2001 roku.

Te dziesięć lat to okres, w którym zaledwie kilkakrotnie pojedynczy islamscy „boży szaleńcy" podejmowali niewielkie w skali i formie ataki w imię swej religii. To jednocześnie czas, w którym większość europejskich liderów i społeczeństw chyba naprawdę uwierzyła, że ich państwa są impregnowane na islamistyczne zagrożenia, głównie z racji liberalnej polityki imigracyjnej, otwartości i tolerancji dla „obcych". Tym większy był szok wywołany wydarzeniami w Paryżu, które nijak nie pasowały do tego sielskiego wyobrażenia. Niepokój sięgnął zenitu, gdy niespełna półtora miesiąca po atakach paryskich do kolejnego islamistycznego zamachu doszło w Kopenhadze.

Tymczasem już od pewnego czasu pojawiały się wyraźne symptomy narastającego zagrożenia ze strony muzułmańskich radykałów. Liczne ataki i incydenty terrorystyczne o podłożu islamistycznym, do których doszło ostatnio na całym świecie (od Kanady po Australię), sugerują, że zamach paryski nie jest wyjątkowy. Przeciwnie – to kolejny element (jeden z wielu) większej całości, jaką jest narastająca w minionym półroczu aktywność muzułmańskich ekstremistów, mająca już wręcz globalny zasięg i charakter.

Niemal na całym świecie mamy do czynienia z aktywizacją zarówno różnych islamskich grup ekstremistycznych, jak i indywidualnych zwolenników idei dżihadu. Ale zwłaszcza na Zachodzie nasilają się działania islamskich fundamentalistów, mających na celu przeprowadzenie coraz bardziej wyrafinowanych ataków. W państwach zachodnich rośnie też liczba incydentów, które – choć oficjalnie nie są klasyfikowane przez władze bezpieczeństwa jako terroryzm – bez wątpienia mają taki właśnie charakter. Chodzi na przykład o wyjątkowo liczne przypadki celowego potrącania przechodniów samochodem czy też incydenty związane z zastraszaniem i napastowaniem w miejscach publicznych kobiet ubranych „niezgodnie z duchem islamu".

Udaremnione przez służby bezpieczeństwa islamistyczne operacje i planowane ataki na Zachodzie w ostatnich miesiącach można liczyć już w setkach. Są to zarówno amatorskie plany snute przez „samotnych strzelców" dżihadu, jak i profesjonalne operacje, przygotowywane przez komórki Al-Kaidy lub grupki związane z Państwem Islamskim. Warto pamiętać, że większość z tych spisków wykryto w państwach Europy Zachodniej, między innymi w Niemczech. To tuż za naszą zachodnią granicą, która w zasadzie nie istnieje dla osób podróżujących czy przemieszczających się w ramach układu z Schengen.

Przyczyn tego ożywienia wśród radykałów islamskich jest z pewnością wiele, warto się więc skupić na tych najważniejszych: reperkusjach rewolucji w krajach arabskich z lat 2011–2012, powstaniu kalifatu, rywalizacji dwóch nurtów współczesnego islamskiego ekstremizmu oraz działalności zachodnich ochotników dżihadu, powracających do domu po odbyciu swej „tury" na jednym z frontów „świętej wojny".

POWIEW DŻIHADU

Wiele bliskowschodnich i północnoafrykańskich państw arabskich po rewoltach Arabskiej Wiosny w 2011 roku stoczyło się w odmęty anarchii i chaosu. W warunkach rozpadu dotychczasowych struktur władzy państwowej, zapewniających relatywne bezpieczeństwo i stabilność życia na danym obszarze, pojawiły się przestępczość i zagrożenia kryminalne o niespotykanej wcześniej skali. W krajach takich jak Libia, Jemen czy Syria, a także na sporych obszarach Iraku i Egiptu powstałą próżnię bezpieczeństwa publicznego potrafiły zapełnić jedynie struktury islamistyczne, narzucając swój porządek, oparty na tradycyjnych wartościach i normach (szariat). Dało to w rezultacie tym siłom impuls do dalszego rozwoju oraz umacniania pozycji i lokalnego znaczenia, zarówno politycznego, rozumianego jako faktyczne sprawowanie władzy nad określonym

Siedziba ONZ w Genewie (UNOG). Spotkanie poświęcone ofiarom ataku terrorystycznego na redakcję francuskiego magazynu „Charlie Hebdo".

NIEMAL NA CAŁYM ŚWIECIE **MAMY DO CZYNIENIA Z AKTYWIZACJĄ** ZARÓWNO ISLAMSKICH GRUP, JAK I INDYWIDUALNYCH ZWOLENNIKÓW IDEI DŻIHADU

terytorium wraz z jego zasobami materialnymi i ludzkimi, jak i militarnego.

Kontrola nad rozległymi nierzadko terenami pozwoliła z kolei na rozbudowę sieci obozów szkoleniowych, baz logistycznych, werbunek nowych ochotników (także z zagranicy, w tym z Zachodu), a w efekcie umocnienie potencjału bojowego. W wielu rejonach Maghrebu (Libia) czy Bliskiego Wschodu (Syria, Irak, Jemen, egipski Synaj) ten mechanizm stworzył dogodne warunki do powstania i rozwoju islamistycznych struktur quasi-państwowych, czego najlepszym przykładem jest kalifat, powołany do życia w 2014 roku przez Państwo Islamskie.

Również tam, gdzie upadek dawnych reżimów nie przerodził się w anarchię i rozpad państwa, rozwój wydarzeń politycznych znacząco wzmocnił siły islamistyczne, optymistycznie uznawane na Zachodzie za „umiarkowane". Salafici w Tunezji czy Bracia Muzułmanie w Egipcie osiągnęli w latach 2012–2013 pozycję polityczną i wpływy, o jakich jeszcze kilka lat temu nawet nie marzyli. Egipskie Bractwo Muzułmańskie, w drodze demokratycznych wyborów, na krótko sięgnęło nawet po niepodzielną władzę w państwie i choć ostatecznie zostało zepchnięte przez wojskowy pucz do konspiracji, to nadal jest siłą społeczno-polityczną, z którą musi się liczyć każdy rząd w Kairze.

POWRÓT DO ŹRÓDEŁ

Momentem przełomowym dla rozwoju i umacniania struktur islamistycznych okazało się wspomniane wcześniej odtwo- →

POWSTANIE PAŃSTWA ISLAMSKIEGO SPOTKAŁO SIĘ Z ŻYWYM ODZEWEM WIELU **SUNNICKICH MUZUŁMANÓW**

rzenie kalifatu. Stało się tak głównie ze względu na jego duże znaczenie religijne (duchowe) dla sunnickich muzułmanów, który to aspekt jest zresztą wciąż niedoceniany i nierozumiany na Zachodzie. Fakt ponownego powstania w samym sercu Bliskiego Wschodu islamskiego państwa, nawiązującego wprost do symboliki i mistyki pierwszego okresu istnienia islamu, spotkał się z bardzo żywym, pozytywnym odzewem wielu sunnickich muzułmanów na świecie, i to niezależnie od kontrowersji związanych z brutalnymi działaniami Państwa Islamskiego. Dla radykałów ziściła się natomiast idea powołania państwa rządzonego według „czystych", pierwotnych zasad islamu – od tej chwili ich walka nabiera nowego wymiaru, a punktem odniesienia staje się już nie tyle sama abstrakcyjna koncepcja „świętej wojny", ile konkretny twór polityczny i administracyjny, którego terytorium należy bronić i rozszerzać.

W tym sensie kalifat Państwa Islamskiego to także duże wyzwanie dla Al-Kaidy, dotychczas niekwestionowanego lidera globalnego ruchu dżihadu. Kolejni przywódcy tej organizacji – zarówno Osama bin Laden, jak i Ajman az-Zawahiri – nie zdecydowali się na ogłoszenie powstania islamskiego państwa, w zamian koncentrując się po 2001 roku na bezskutecznych próbach zaatakowania Zachodu na jego własnym terytorium. Dzisiaj ten strategiczny błąd mści się na Al-Kaidzie, która z dnia na dzień traci na rzecz Państwa Islamskiego oraz kalifatu wpływy i zwolenników wśród islamistów.

DWIE GENERACJE

Narastająca między Al-Kaidą a Państwem Islamskim – dwiema generacjami ruchu dżihadu – rywalizacja to kolejna przyczyna obserwowanej ostatnio eskalacji działań islamistów, zarówno na Bliskim Wschodzie, w Afryce czy Azji Południowej, jak również w państwach zachodnich. Każda z tych struktur próbuje dowieść, że to właśnie ona ma lepsze zdolności organizacyjne, polityczne i militarne. Stawką w tej rywalizacji jest przede wszystkim pierwszeństwo w wyścigu o miano wiodącej siły globalnego dżihadu, ale także aspekty bardziej konkretne, takie jak dostęp do źródeł finansowania (co ma znaczenie szczególnie dla pozbawionej własnych dochodów Al-Kaidy) czy zagranicznych ochotników. Jednym z najlepszych sprawdzianów zdolności operacyjnych Państwa Islamskiego i Al-Kaidy stają się ataki terrorystyczne na Zachodzie.

W tym sensie państwa zachodnie, szczególnie europejskie, zaczynają odgrywać rolę głównej areny rywalizacji dla współczesnych filarów dżihadu. Każda z tych struktur ma swe mocne i słabe strony, jeśli chodzi o działania terrorystyczne na Zachodzie.

Al-Kaida jest tam obecna od kilkunastu lat. Dysponuje rozbudowaną siecią zakonspirowanych komórek i „uśpionych" operatorów. Wciąż nie jest jednak w stanie przygotować i przeprowadzić skutecznego ataku na miarę, jeśli już nie tego z 11 września 2001 roku, to choćby Madrytu lub Londynu. Skuteczność zachodnich służb i instytucji odpowiedzialnych za bezpieczeństwo antyterrorystyczne sprawia, że każda uaktywniająca się komórka Al-Kaidy prędzej czy później zostaje wykryta.

Państwo Islamskie z kolei zdaje się podążać zupełnie inną drogą. Dla kalifa i jego zwolenników istotna jest nie tyle skala jednego zamachu i jego spektakularność, ile samo tempo działań, mierzone dużą ilością i częstotliwością pozornie małych ataków, najczęściej dokonywanych przez pojedynczych zamachowców, niekoniecznie nawet związanych organizacyjnie z Państwem Islamskim. Według strategii tej organizacji to właśnie masowość takich „aktów dżihadu" ma w rezultacie „zmęczyć" społeczeństwa Zachodu i zmusić je do uległości wobec żądań islamistów. A te nie dotyczą już, jak jeszcze kilka lat temu, wyłącznie kwestii czysto technicznych (np. wycofania zachodnich wojsk z Bliskiego Wschodu). Dzisiaj bezpośrednim celem radykałów jest zmuszenie Zachodu do pełnego poddania się islamowi, ze wszystkimi tego konsekwencjami.

KOŃ TROJAŃSKI

W strategii Państwa Islamskiego ważną rolę odgrywają bojownicy cudzoziemscy, szczególnie obywatele (lub rezydenci) państw zachodnich, którzy zasilają szeregi jego oddziałów w Syrii lub Iraku, a potem wracają do swych „ojczyzn". Także i w tym wypadku niechlubny prym wiedzie Europa Zachodnia. A wiadomo, że chodzi tu już co najmniej o 10 tys. ludzi – fanatycznych i zdeterminowanych zwolenników radykalnej i brutalnej ideologii dżihadystycznej w wydaniu kalifatu Państwa Islamskiego. Spośród tej liczby co najmniej kilkuset już znalazło się z powrotem w Europie, stanowiąc forpocztę Państwa Islamskiego i jego bezwzględnej walki o prymat islamu na Starym Kontynencie. Powroty kolejnych ekstremistów są tylko kwestią czasu. Bojownicy ci – w sporej części konwertyci, czyli rdzenni Europejczycy, którzy przyjęli islam – stanowią prawdziwą „piątą kolumnę" dżihadu w swych krajach. Agitują i konspirują, organizując wokół siebie podobnie myślących młodych muzułmanów, sfrustrowanych brakiem perspektyw i szans życiowych w warunkach liberalnego świata Zachodu. W ten właśnie sposób tworzy się w Europie ogniwa ruchu, który – o ile nie zostanie powstrzymany – może już wkrótce zrodzić islamistyczny terror na masową wręcz skalę. ■

ROBERT CZULDA

W imię Dżundallah

Iran zmaga się z sunnickimi bojówkami terrorystycznymi nie tylko na terytorium Iraku, lecz także na swych wschodnich rubieżach, gdzie starcia przybierają na sile.

Granica wschodnia Iranu, z Afganistanem na odcinku północnym i Pakistanem na południowym, mało kiedy przyciąga uwagę mediów, a przecież obszar ten od wielu lat stanowi arenę dwóch wojen. Pierwszą z nich jest zakrojona na szeroką skalę operacja irańskich służb bezpieczeństwa, które starają się zwalczyć przemyt narkotyków do Iranu (a następnie do Europy) z Afganistanu (około 70% światowego opium transportuje się tym szlakiem). O skali zagrożenia świadczy fakt, że od momentu wybuchu rewolucji muzułmańskiej w 1979 roku życie straciło na tym obszarze około 3 tys. irańskich policjantów i żołnierzy.

W ostatnich latach do problemu handlarzy narkotyków dołączył kolejny. Terenem walk jest irańska prowincja (ostan) Sistan i Beludżystan nad Zatoką Omańską, która na wschodzie graniczy z pakistańską prowincją Beludżystan. Zamieszkują tam Beludżowie – lud pochodzenia irańskiego, wyznający islam sunnicki, który nie posługuje się językiem perskim, lecz beludżi. To jeden z najbiedniejszych i najmniej rozwiniętych terenów Iranu. Jego mieszkańcy czują się w tym kraju dyskryminowani pod względem religijnym, politycznym i gospodarczym, co zwiększa ich niechęć do władzy centralnej i wzmacnia poczucie odmienności. Część z nich postanowiła chwycić za broń.

DEKLARACJA WOJNY

Początek ostatniej odsłony tej wojny można datować na rok 2003. Wtedy to dała o sobie znać organizacja o nazwie Dżundallah (Żołnierze Boga), która za oficjalny cel obrała walkę o równe prawa dla sunnitów w Iranie (w większości zamieszkiwanego przez szyitów). O ile pierwsze ataki miały ograniczoną skalę, o tyle w 2005 roku Dżundallah trafiła na usta wszystkich Irańczyków. Wtedy to członkowie tej salafickiej partyzantki zaatakowali w Beludżystanie konwój prezydenta Mahmuda Ahmadineżada. Rok później w zasadzce zabito 21 cywilów. W 2007 roku w eksplozji zginęło 18 irańskich żołnierzy z Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej.

W odpowiedzi na erupcję przemocy Iran zainicjował operację wojskową – do Beludżystanu wysłano dodatkowe jednostki policji, a także siły wojskowe. Irańskie służby specjalne przeprowadziły działania mające na celu schwytanie przywódców organizacji. Sukces odniesiono w 2010 roku, kiedy to w nieznanych okolicznościach został aresztowany Abdolmalek Rigi, stojący na czele Dżundallah. Ten 27-letni wówczas Beludż przyznawał, że bezpośrednim powodem zbrojnego oporu przeciwko Iranowi były jego osobiste i traumatyczne doświadczenia. Był bowiem świadkiem egzekucji ośmiu Beludżów, których – co typowe w Iranie – powieszono publicznie na dźwigu. W 2007 roku Rigi stwierdził w wywiadzie dla mediów zachodnich, iż celem organizacji jest ochrona miejscowej ludności przed „despotycznymi rządami religijnymi". Takie tłumaczenie nie spotkało się ze zrozumieniem irańskiego sądu – zarówno Abdolmalek Rigi, jak i jego brat Abdolhamid zostali w krótkim procesie skazani i następnie powieszeni.

W tym właśnie czasie Dżundallah stała się znana na tyle, że zainteresowali się nią eksperci. Według niektórych źródeł powstała ona z inicjatywy Al-Kaidy, a więc również organizacji sunnickiej. Wiele informacji wskazuje na jej współpracę ze Stanami Zjednoczonymi – o bycie agenturą Waszyngtonu Dżunadallah była wielokrotnie oskarżana przez Iran. Sam Rigi, tuż po zatrzymaniu, powiedział w irańskiej telewizji, że organizację od dawna wspierał Waszyngton. Nie wiadomo jednak, czy ta wypowiedź była zgodna z prawdą, podobnie jak doniesienia prasowe, jakoby agenci Mosadu – udając funkcjonariuszy amerykań- →

Granica pakistańsko-irańska jest silnie strzeżona

TWITTER/INSTAGRAM (2)

Żołnierze pojmani przez członków organizacji Dżundallah

KONFLIKT W BELUDŻYSTANIE TRWA, Z RÓŻNYM NATĘŻENIEM, OD KILKUDZIESIĘCIU LAT.

Do sztucznego podziału tego biednego i zacofanego obszaru doprowadzili Brytyjczycy, którzy w 1871 roku wyznaczyli tam granicę. Podzieliła ona wiele wsi i rodzin.

W latach dwudziestych i trzydziestych XX wieku lokalne bojówki zwalczał Iran, a od 1947 roku także Pakistan. W okresie zimnej wojny w Beludżystanie dochodziło do wielu starć z siłami rządowymi. Do 1979 roku Iran aktywnie współpracował z Pakistanem w zwalczaniu beludżyjskich partyzantów. Po obaleniu szacha Iranu (1979 rok) ograniczono represje, ale w 1994 roku doszło do nowych protestów i walk, kiedy to w Meszhedzie władze wycofały projekt budowy meczetu sunnickiego. Wielu duchownych zostało wówczas zmuszonych do wyjazdu z kraju. Wtedy zrodziła się kolejna fala beludżyjskiego oporu zbrojnego. Partyzanci działają nie tylko w Iranie, lecz także Pakistanie. Niektóre grupy walczą o równouprawnienie, inne o niepodległość, a jeszcze inne, jak chociażby pakistańska Dżundallah, zwalczają szyitów i chrześcijan.

skiej Centralnej Agencji Wywiadowczej (CIA) – rekrutowali członków Dżundallah do atakowania celów w Iranie. Władze w Teheranie niezmiennie utrzymują, że Dżundallah to nie ruch oddolny, lecz spisek Amerykanów, Izraelczyków oraz Brytyjczyków. Niektóre media irańskie winą obarczają innych wrogów Teheranu – Katar i Arabię Saudyjską.

NOWA ODSŁONA

Irańskich oskarżeń nie sposób zweryfikować jednoznacznie, ale wiadomo, że egzekucja przywódcy sunnickiego oporu w Beludżystanie nie zakończyła przemocy. Po rozbiciu ugrupowania powołano Dżaisz ul-Adl (Armia Sprawiedliwości), która kontynuuje walkę. Działania zbrojne przybrały na sile. Podobnie jak Dżundallah, również Dżaisz ul-Adl wykorzystuje to, że wschodnia granica Iranu ma 900 km, co umożliwia tworzenie baz w Pakistanie i Afganistanie. Siły bezpieczeństwa tych państw są zbyt słabe, aby zwalczyć partyzantów. By przeciwdziałać zarówno przemytnikom, jak i grupom zbrojnym, Iran zbudował pas umocnień wzdłuż granicy (zasieki, kanały, punkty obserwacyjne), ale nie przynosi to oczekiwanego efektu.

Za swój główny cel Dżaisz ul-Adl stawia, podobnie jak Dżundallah, walkę o prawa obywatelskie i religijne sunnitów, którzy – jej zdaniem – są w Iranie dyskryminowani przez szyitów. Irańskie wojsko jest oskarżane o „okrucieństwo i barbarzyństwo". W związku z tym są atakowane irańskie posterunki graniczne, kolej, infrastruktura, budynki użyteczności publicznej, a także meczety. Ugrupowanie stosuje takie metody, jak zamachy z użyciem samochodów-pułapek, terrorystów samobójców oraz porwania. O skali problemu świadczy atak z ubiegłego roku, kiedy to partyzanci sunniccy dokonali zuchwałego szturmu na przygraniczną bazę wojskową. Wymiana ognia trwała kilka godzin i do odwrotu na terytorium Pakistanu zmusił atakujących dopiero ostrzał z irańskich śmigłowców. Jak każde nowoczesne ugrupowanie terrorystyczne, także Dżaisz ul-Adl wykorzystuje w swojej działalności media społecznościowe – informacje (w tym zdjęcia) są publikowane w internecie.

WZAJEMNE OSKARŻENIA

Wzmagający się konflikt zbrojny wpływa nie tylko na sytuację wewnętrzną Iranu, lecz także na jego polityczne i gospodarcze relacje z Pakistanem, które można określić jako chłodne (chociażby dlatego, że Pakistan utrzymuje bliskie stosunki z wrogami Teheranu – Stanami Zjednoczonymi i Arabią Saudyjską). Iran od dawna oskarża rząd w Islamabadzie o przymykanie oka na działalność na swym terytorium sunnickich bojówek. Pakistan zaś wskazuje na rajdy irańskiego wojska na swój obszar oraz cykliczny ostrzał, w którego wyniku giną pakistańscy policjanci, żołnierze i cywile. Sporem dyplomatycznym i wzajemnymi oskarżeniami zakończyło się porwanie w lutym 2014 roku pięciu irańskich pograniczników.

Wojna w Beludżystanie uniemożliwia realizację projektu budowy międzynarodowej sieci przesyłowej LNG. Iran ukończył już swój odcinek – w odróżnieniu od Islamabadu, który nie ma na to pieniędzy. Beludżowie są projektowi przeciwni, postrzegają go jako kolejny dowód wykorzystywania ich przez władzę centralną w Teheranie. Szansa na szybką realizację projektu, który mógłby stać się wielkim sukcesem prezydentury Hasana Rouhaniego, jest niewielka, nie tylko z powodu aktywności grup zbrojnych i braku źródeł finansowania ze strony Pakistanu, lecz także w związku z pogorszeniem się kondycji rosyjskich firm energetycznych (Gazprom), które wyrażały zainteresowanie udziałem w projekcie. ■

ROSYJSKI OKSYMORON

Z Wiktorem Baterem

o strachu przed Rosją, ojczyźnianych mitach i marzeniach o imperium rozmawia Małgorzata Schwarzgruber.

Fascynacja i strach – z taką mieszanką uczuć Zachód patrzy dziś na Rosję. Dlaczego Europa nie rozumie Rosji?

Rosji nie znamy, dlatego się jej boimy. Strachem powodowanym niewiedzą są podszyte nasze spojrzenie na Rosję i nasza polityka zagraniczna. Gdybyśmy wiedzieli, jacy – wbrew stereotypom – są Rosjanie, strach, w moim przekonaniu bezsensowny, byłby znacznie mniejszy. Ten niedźwiedź wcale nie jest ani tak bardzo pazurzasty, ani zębaty, jak nam się wydaje.

Nie znamy Rosji, więc ją mitologizujemy. Mitem jest wojna ojczyźniana, Trzeci Rzym, imperialne posłannictwo.

Te mity tkwią głęboko w rosyjskich genach: Rosja jako wielkie imperium, Trzeci Rzym – po Rzymie i Bizancjum – jako nowe centrum prawosławia, wojna ojczyźniana, czyli II wojna światowa, którą wygrała Armia Czerwona. Pomija się wkład aliantów w zwycięstwo nad faszyzmem, w szkołach nauczyciele zaledwie wspominają o pakcie Ribbentrop–Mołotow. Jest czarny faszystowski potwór, którego zdławił czerwony niedźwiedź. Gdzieś daleko w tle byli jacyś alianci, Amerykanie na Pacyfiku, Francuzi i Brytyjczycy w północnej Afryce. Ale Europę i świat wyzwoliła Armia Czerwona. Ten mit jest do dziś żywy, trudno, aby było inaczej, skoro II wojna światowa pochłonęła w ZSRR najwięcej ofiar, mówi się nawet o 40 mln. Owszem, wiele z nich to rozstrzelani dezerterzy i tchórze, cofający się z pierwszej linii, na którą posyłano najczęściej byłych skazańców z więzień i łagrów – ale o tym się nie wspomina. W Rosji nie ma rodziny, w której ktoś by nie zginął. To była dla Związku Radzieckiego niewiarygodna hekatomba. Dlatego wojna ojczyźniana jest dla Rosjan sacrum, a jej ofiary są traktowane niczym ikony. 9 maja, rocznica zwycięstwa nad faszyzmem, jest w Rosji najważniejszym świętem państwowym. To „prazdnik so sliezami na głazach", czyli święto ze łzami w oczach. Na ulice wychodzą i starzy, i młodzi. Gdy wieczorem niebo rozświetlają fajerwerki, wszyscy płaczą.

Wróćmy do 9 maja.

Tego dnia Moskwa tonie w kwiatach, głównie tulipanach i goździkach. Dzieci wręczają je weteranom. I ci staruszkowie, w wojennych mundurach z rzędami medali przypiętych do piersi, trzymają całe naręcza kwiatów i płaczą. Nie ma w tym cienia obłudy ani fałszu. Te gesty płyną z potrzeby serca, z dumy, że zwyciężyliśmy i chcemy, aby najmłodsze pokolenie pamiętało o tych, którzy walczyli. Obiegowe hasło tego dnia brzmi „spasibo dziedu za pabiedu" – dziękuję dziadkowi za zwycięstwo. Niewiarygodna jest świadomość tego zwycięstwa, ale też wielkiej straty z lat 1941–1945. To największy rosyjski mit. Żadne inne święto w Rosji nie ma takiego znaczenia.

W kulturze rosyjskiej szczególne miejsce zajmuje niedźwiedź, a od czasu, gdy William Szekspir porównał Rosję do „niedźwiedzia z północy", stał się on jej symbolem.

Niedźwiedź jako symbol Rosji jest zachodnim wynalazkiem, chętnie przejętym przez Rosjan. W zachodniej cywilizacji symbolizuje barbarzyństwo, agresję, okrucieństwo, ale także lenistwo. Taki wizerunek Rosji-niedźwiedzia kształtuje europejskie myślenie o tym kraju: budząc strach, uzasadnia taką, a nie inną politykę wobec dawniej ZSRR, a teraz Rosji. Z kolei dla Rosjan niedźwiedź to symbol siły i wolności – mówią o nim czule „miszka", jest bohaterem wielu bajek dla dzieci, →

Niechęć do zgłębiania własnej historii to jedna z podstawowych różnic między Polakami i Rosjanami

był symbolem olimpiady w 1980 roku. XIX-wieczne obrazy Iwana Szyszkina najlepiej oddają stosunek Rosjan do tego zwierzęcia. Na rogu każdej ulicy można kupić koszulki z jego wizerunkiem i napisem „Rossija". Także Putin w swojej retoryce bawi się symbolem rosyjskiego niedźwiedzia. Podczas ostatniej, dorocznej konferencji dla dziennikarzy zagranicznych zarzucił Zachodowi, że traktuje Rosję jak niedźwiedzia, którego chce przykuć na łańcuchu, żeby nie pokazywał zębów i pazurów, zamiast pozwolić mu biegać po lesie. Ten niedźwiedź żyje w zachowaniu ludzi, szczególnie na prowincji – jest to brutalna siła, za którą dopiero idzie myśl.

Porozmawiajmy o rosyjskiej duszy, choć niektórzy twierdzą, że coś takiego nie istnieje.

Wiele napisano o rosyjskiej duszy – nikt chyba nie wnikał w nią tak głęboko jak rosyjscy pisarze. Pisali o niej Puszkin, Tołstoj, Dostojewski, Gogol, Niekrasow, Czechow, Jesienin, Sołżenicyn, Bułhakow, a ballady Wysockiego i Okudżawy niosą się jak Ruś długa i szeroka. Takie „duszeszczipatielnyje", rozdzierające duszę – powiedzieliby Rosjanie. Czuła to także nasza Anna German. To tragedia rosyjskiego człowieka: brutalność niedźwiedzia i wrażliwość dziecka. Rosyjski człowiek może się upić i kogoś zabić, a na drugi dzień usiądzie i szczerze nad tym zapłacze.

W tysiącletniej rosyjskiej historii były różne okresy: Ruś Kijowska, jarzmo mongolsko-tatarskie, księstwo moskiewskie, Rosja carów ze stolicą w Petersburgu, ZSRR. Teraz mamy Rosję postkomunistyczną. Czy jest ona częścią Europy, czy przedsionkiem Azji?

Ani Azji, ani Europy. Rosja jest sama sobie sterem, żeglarzem, okrętem. Europa jej nie akceptuje, a na identyfikowanie się z Azją Rosjanie są zbyt dumni. Teraz jednak nie mają wyjścia – tam właśnie muszą szukać sojuszy. Staje się to niebezpieczne dla świata, bo blok rosyjsko-azjatycki będzie o wiele mniej przewidywalny niż sojusz europejsko-rosyjski. Szczególnie w obliczu chińskiej ekspansji migracyjnej i hinduskiej – gospodarczej.

A mit imperialny? Zachodni komentatorzy mówią o tendencjach do odrodzenia się Rosji jako piątego imperium, po minionych czterech: Rusi Kijowskiej i Moskiewskiej oraz imperiach Romanowów i Stalina?

To prawda, Rosjanie wciąż marzą o imperium. Za każdą cenę. W czasach caratu i ZSRR prosty obywatel był biedny, ale miał poczucie przynależności do wielkiej potęgi, z którą liczy się świat. Liczy się, bo się boi. O szacunku nikt nie myślał. Gdy runął komunizm, w Rosji ludzie musieli nauczyć się samodzielności, spadała stopa życiowa, było już po Armii Czerwonej, rozpadł się ZSRR. Rosjanin nie był już dla Zachodu nieobliczalnym i groźnym Iwanem z głowicą jądrową w dłoni – rakietę zastąpiła flaszka, czapka uszanka oklapła, narzucone na bary futro wyleniało, a i same bary stały się jakieś wiotkie. Ale taki stan nie trwał długo:

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

arsenał jądrowy ocalał, w Rosji zaroiło się od milionerów i rosyjskich obywateli znów zaczęto na świecie szanować. Potęga pieniądza. Potem na scenę wkroczył Putin, który nieustępliwą polityką wobec Czeczenii, Gruzji, a teraz Ukrainy przywrócił poddanym poczucie siły i godności. To nic, że kraj ponownie pogrąża się w kryzysie: Rosji znów się boją, a to jest ważniejsze niż suto zastawiony stół. Chociaż… jakkolwiek narzekaliby Rosjanie na biedę, zawsze będzie „polana" (czyli uginający się stół). Tak więc ten niedźwiedzi, imperialny zew do stworzenia własnego barłogu wciąż istnieje. Ale Rosja nie musi budować imperium kosztem sąsiednich terytoriów, jak się to u nas obecnie przedstawia, bo ona sama w sobie jest imperium.

Jak więc wytłumaczyć zajęcie Krymu i terenów na wschodniej Ukrainie?

Putin jest wytrawnym graczem. Wykorzystał sytuację na Majdanie, destabilizację władzy w Kijowie, aby zagarnąć Krym, na którym znajdowały się rosyjskie bazy wojskowe. Strategicznym celem mogło być zajęcie całego ukraińskiego wybrzeża Morza Czarnego z Odessą włącznie, ale Putin zdał sobie sprawę z tego, że co za dużo, to niezdrowo, nawet dla niedźwiedzia. Rosja by tego nie udźwignęła. Przypomnę wydarzenia z 2008 roku. Wówczas też nie chodziło o aneksję Gruzji, przed czym ostrzegał świat, ale o abchaskie wybrzeże, o wydłużenie linii brzegowej o kilkaset kilometrów od Soczi na południe, w stronę gruzińskiej granicy. I to osiągnięto. Tymczasem na Krymie ponad 80% stanowiła ludność rosyjskojęzyczna, znajdowała się już tam potężna rosyjska infrastruktura militarna, nie była potrzebna krwawa wojna, by to terytorium przejąć. Mieszkańcy Krymu chcieli do Rosji, a Putin to wykorzystał. Prawo międzynarodowe jasno stanowi, że było to bezprawie, ale Putin się tym nie przejął. Cel został osiągnięty.

A wschodnia Ukraina?

Te wydarzenia trochę wymknęły się Putinowi spod kontroli. Gdy Krym przyłączono do Rosji, na wschodniej Ukrainie podnieśli głowy lokalni separatystyczni watażkowie. Oni też chcieli do Rosji. Nie wzięli tylko pod uwagę, że wschód Ukrainy nie jest Moskwie potrzebny. To nie jest strategiczny region, tam nie było rosyjskich baz, lecz zabiedzona rosyjskojęzyczna, postsowiecka większość, która szukała szczęścia w objęciach niedźwiedzia. Owszem, wśród najwyższych urzędników państwowych w Moskwie separatyści znaleźli poparcie, między innymi u Dmitrija Rogozina. Rosja zaczęła ich zatem finansować. Teraz widać, że było to odwrócenie uwagi od Krymu, o którym już się prawie nie mówi. Świat skupia się tylko na wojnie między tzw. separatystami a Wyzwoleńczą Armią Ukrainy; wojnie, która pochłania coraz więcej ofiar. Najważniejsze jest jednak pytanie, kto naprawdę tam walczy, skoro Kijów twierdzi, że nie ma środków na prowadzenie wojny, żebrze o pieniądze i pomoc wojskową na Zachodzie, a Rosjanie nadal się nie przyznają do wysyłania do Ługańska i Doniecka swoich wojsk. Broń tymczasem dociera na ogarnięte wojną tereny zarówno z jednej, jak i drugiej strony. Walczą tam bandy Prawego Sektora, są najemne bataliony takie jak Azow, ukraińscy oligarchowie płacą za ochronę swoich fabryk i kopalni. Podsycają tę sytuację także rosyjscy oligarchowie, którzy finansują prorosyjskich watażków, a regularne jednostki wojskowe są wysyłane na niewypowiedzianą wojnę. Linie frontu, jak niegdyś na Bałkanach, coraz bardziej się zacierają, walczących „łączy" nienawiść. Stąd brutalność i masakry. Nikt nie ma czystych rąk. Putinowi tak naprawdę nie chodzi jednak o zajęcie wschodu Ukrainy, lecz wyłącznie o jej destabilizację – starcia na tym terenie powodują, że kraj nie ma szans na wejście w struktury europejskie czy natowskie. Wojna na wschodzie Ukrainy odwraca uwagę od dalekosiężnych planów Rosji – związanych z militaryzacją północy, przygotowaniami do globalnej walki o surowce arktyczne.

„Putin żyje w innej rzeczywistości" – powiedziała wiosną 2014 roku kanclerz Angela Merkel. Co miała na myśli?

Na pewno nie stan psychiczny prezydenta. Rosyjska rzeczywistość jest po prostu inna. Rozumem tego kraju nie ogarniesz. Putinowska Rosja to stan umysłu, to odpowiedź na ciągoty wielkiego niedźwiedzia imperialnego, o których już mówiliśmy. Zapewnia on bezpieczeństwo tym obywatelom, nad którymi sprawuje pieczę. Nie chodzi o rozszerzanie barłogu, lecz o poczucie bezpieczeństwa.

Zachód wydaje się zaskoczony wydarzeniami na Ukrainie, a przecież politycy rosyjscy mówili o tym od dawna, propozycja Żyrinowskiego rozbioru Ukrainy brzmiała jak darowanie Szwedom Inflantów przez Zagłobę, a potem doszło do aneksji Krymu i zajęcia wschodniej Ukrainy.

Z niedźwiedziem jest podobnie jak z każdym innym dzikim zwierzęciem: im bardziej się boi, tym bardziej staje się agresywny. Rosyjski niedźwiedź czuje się ze wszystkich stron osaczony, więc prewencyjnie wychodzi zagrożeniom naprzeciw, anektuje kawałki terytorium, z którego będzie się mógł odbić, aby mocniej uderzyć. Wielu rosyjskich polityków wypowia- →

WIZYTÓWKA

WIKTOR BATER

Jest dziennikarzem, korespondentem polskich mediów w Rosji. Autor książki „Nikt nie spodziewa się rzezi (Notatki korespondenta wojennego)" wydanej w 2008 r.

Różnica między radziecką a dzisiejszą Rosją jest taka, że wówczas ludzie nie mieli nic do stracenia

da się w takim duchu jak Żyrinowski. Na ich tle Putin wypada niczym baranek. Jego polityka jest agresywna i nonszalancka, ale skupiona na barłogu niedźwiedzia, od którego wszystkim wara. Putin to niezwykle inteligentny i sprytny szachista. Dlatego często ogrywa swoich partnerów europejskich, którzy kierują się stereotypami.

„Przyjeżdżam do Moskwy, widzę nowoczesną architekturę, drogie samochody, dobrze ubranych ludzi, a pod spodem znajduję to samo, co było: odwieczny lęk przed prawdą", mówi Waldemar Krzystek, reżyser filmu „Fotograf", opowiadającego o seryjnym mordercy działającym we współczesnej Moskwie. Jakie znaczenie dla świadomości Rosjan ma nierozliczenie się z przyszłością?

Rozliczenie białych kart historii jest podstawą historycznej świadomości, ale w Rosji nie ma takiej chęci. Rosjanie nie wiedzą, co stało się w Katyniu, nie słyszeli o 17 września 1939 roku. Mówią: „Nie wracajmy do przeszłości, jesteśmy nową Rosją. Nie obarczajcie nowych pokoleń winą za krew naszych przodków". Niechęć do zgłębiania własnej historii to jedna z podstawowych różnic między Polakami i Rosjanami. Ich przeszłość to carskie imperium, rozbiory, prawo feudalne, nieliczenie się z ludzkim życiem, które nie ma tam żadnej wartości. Rosjanin pochyli się nad skatowanym psem czy rozjechanym kotem, ale przejdzie obok leżącego na poboczu zmasakrowanego człowieka.

Jak silna jest Cerkiew prawosławna?

Rosyjskie prawosławie ma szczególny charakter. To „święta Ruś", która wyznaje kult państwa i władzy. Duchowni byli i są blisko struktur partyjnych. Tak było w czasach sowieckich, tak jest dziś. Aż 80% społeczeństwa deklaruje się jako ludzie wierzący, a 6 stycznia w prawosławne Boże Narodzenie do cerkwi poszło 2% społeczeństwa. Taka jest ta wiara. To co było kiedyś zakazane, dziś jest legalne. Ale nadal pokutuje wiara w to, że cała władza pochodzi od Boga. Wokół takiej myśli osnuty jest film „Lewiatan" Andrieja Zwiagincewa.

Mówi się, że to antyputinowski film, że to dramat o Rosji „żywcem wyjętej z Dostojewskiego".

Film pokazuje, jak skorumpowani politycy regionalni robią interesy z cerkiewnymi dostojnikami. „Lewiatan" nie odkrywa niczego nowego, wyrywa kawałek mięsa z rosyjskiej rzeczywistości i bez retuszu pokazuje go kamerą. Jeśli minister kultury Władimir Miedinski mówi, że „Lewiatan" nie pokazuje prawdziwej Rosji, bo on nie zna nikogo, kto piłby od rana wódkę lub używał słów powszechnie uznawanych za niecenzuralne, to znaczy że wychował się nie w Rosji, ale w jakimś inkubatorze. Cerkiew jest łatką dla władzy. Putin tam bywa, bo zapalenie świeczek ładnie wygląda w telewizji. To fasada, listek figowy, bogato finansowany przez władze. „Lewiatan" został potraktowany przez władze jako antyputinowski, bo na ścianach skorumpowanych urzędników wiszą portrety Władimira Władimirowicza. Na podobnej zasadzie można potraktować na przykład filmy Smarzowskiego, gdyby działy się we współczesnej Rosji.

Gdy wojska radzieckie wtargnęły do Czechosłowacji w 1968 roku, na placu Czerwonym protestowało siedem osób, przeciwko aneksji Krymu manifestowały już tysiące. To dużo?

Przypomnę, że Rosja ma 150 mln mieszkańców. Jakim zalążkiem społeczeństwa obywatelskiego byłyby protesty nawet kilku tysięcy? Jasne, od czegoś trzeba zacząć, ale Rosjanie nie wiedzą, co znaczy demokracja. Owszem, podobnie jak w czasach ZSRR, są ludzie, którzy nie zgadzają się z polityką Kremla, ale poparcie dla Putina wynosi ponad 80%, i to bez względu na pogłębiający się kryzys ekonomiczny. Obowiązuje prosta filozofia, niemal jak w czasach II wojny: świat jest przeciwko nam, musimy zewrzeć szeregi wokół wodza, który jest twardy i bezlitosny, odeprzeć agresję, a w razie czego zaatakować. Jak osaczony niedźwiedź. Taki obraz wpaja się ludziom i oni to kupują. Antyputinowskie nastroje panują w wąskim gronie kumpli, wśród kontestatorów obecnej sytuacji. Różnica między radziecką a dzisiejszą Rosją jest taka, że kiedyś ludzie nie mieli nic do stracenia. Dzisiaj mają samochody, pracę, plazmowe telewizory i pralki automatyczne. I to jest ich szczęście. Przeciętny Rosjanin dba o to, co tu i teraz, troszczy się o dziś. Nie interesuje go przeszłość, w przyszłość nie inwestuje, bo ona jest zbyt niepewna. Z takim podejściem trudno cokolwiek zmienić.

Zachód powinien znieść sankcje?

Rosja pogrążyła się w kryzysie, ale nie z powodu sankcji, lecz spadku cen ropy – takie koszty ponosi za swoją surowcową politykę, za budżet oparty głównie na założeniu, że ropa będzie kosztowała ponad 100 dolarów za baryłkę. Jestem przekonany, że z Rosją trzeba rozmawiać, ale nie z pozycji siły. Gdy chwyci się niedźwiedzia za kłaki, można go rozdrażnić. Trzeba uśpić jego czujność, może nawet jowialnie poklepać po ramieniu, powiedzieć: Miszka, jesteś duży, masz wielkie kły i pazury. My to wiemy. Ale my też nie jesteśmy mali. Nie połkniesz nas jednym kłapnięciem. Pogadajmy. Ty chcesz żyć, my chcemy żyć – nie polujmy na siebie nawzajem, dajmy sobie szansę. ■

MICHAŁ ZIELIŃSKI, UKRAINA

Nic do stracenia

Długa seria gasi uśmiech dowódcy. Zastępuje go grymas wywołany adrenaliną i strachem. Zebrani w pomieszczeniu mężczyźni chwytają za broń i w pełnym napięcia milczeniu wybiegają na zewnątrz.

Siergiej (na zdjęciu) na początku roku, wraz z ponownym zaognieniem konfliktu, otrzymał kartę powołania. Praktycznie od razu trafił na pierwszą linię frontu, do Popasnej.

Popasna, niewielkie miasto w obwodzie ługańskim. Skrzyżowany młot i klucz, które widnieją w jego herbie, nie pozostawiają żadnych niedopowiedzeń. W czasach swojej świetności blisko 26-tysięczna społeczność położonego przy głównym szlaku komunikacyjnym między Ługańskiem a Donieckiem miasteczka czerpała zyski z transportu kolejowego. Mówi się, że przez dworzec kolejowy w Popasnej przeszedł każdy kilogram węgla pozyskany w okolicznych kopalniach. Obecnie to miasto widmo. Pośród oszronionych kikutów drzew wyrastają bloki z wielkiej płyty. Już z daleka widać, że mimo swojego dziedzictwa, jest to miejsce równie nieprzyjazne, co odległa o blisko tysiąc kilometrów Prypeć. Postępująca dewastacja jest widoczna z każdej strony. Ten obraz nie pozwala nawet na chwilę uciec przed rozgrywającym się wokół dramatem. Do tego cisza… przeszywająca, podstępna. Gotowa z wściekłym rykiem rozerwać wszystko, co naruszy jej teren.

Przez Popasną front przetoczył się kilkakrotnie. Za każdym razem zostawiał po sobie trwały ślad. W czerwcu 2014 roku wojska ukraińskie wyparły →

Zachowanie żołnierzy nie pozostawia złudzeń co do tego, jaka sytuacja panuje wokół.

Obłożone folią drzwi, z naklejką wróżącą czarną przyszłość dla Matuszki Rosiji.

z jej murów separatystów, jednak radość ze zwycięstwa trwała krótko. Już w lipcu bojówki Ługańskiej Republiki Ludowej na nowo przejęły kontrolę nad miastem. Dopiero ochotniczy batalion „Donbas" zdołał ostatecznie odbić Popasną. Niestety, nie odzyskał oczekiwanego przez mieszkańców pokoju. W wyniku memorandum podpisanego w Mińsku, Popasna znalazła się na granicy kontrolowanej przez wrogie sobie siły. Jednocześnie, przez nagłe zastopowanie ukraińskiego natarcia, stała się kluczem do zamknięcia kotła wokół Debalcewe. Jesienią 2014 roku takim scenariuszem nikt nie zaprzątał sobie głowy. Obecnie jest to jedno z największych zmartwień Kijowa i prawdziwa tragedia dla ludzi z regionu.

OSTATNIA PROSTA

„Moi żołnierze nie mogą Was zabrać, nie mam na to zasobów", mówi dowódca zmęczonym, wyrażającym autentyczną

PRZEZ POPASNĄ FRONT PRZETOCZYŁ SIĘ KILKAKROTNIE, ZOSTAWIAJĄC PO SOBIE TRWAŁY ŚLAD

MICHAŁ ZIELIŃSKI (6)

Na dawnej stacji benzynowej reklamy olejów samochodowych zastąpiły rysunki nadesłane przez dzieci. Wśród nich wielkie, żółto-niebieskie serce, z poodciskanymi drobnymi rączkami. Namacalne świadectwo, że walczą wszyscy.

troskę głosem. Postawny, o wolnych, ale zdecydowanych ruchach. Jego twarz skrywa kominiarka, z której czernią kontrastuje spokojne spojrzenie. Spojrzenie człowieka pogodzonego ze służbą. „Naprawdę nie mogę. Ale pomogę wam. Tylko czy wy wiecie, że tam strzelają? Bardzo strzelają", jakby dla podkreślenia jego słów przez blokpost (punkt kontrolny) na pełnym gazie przejeżdża wojskowa ciężarówka. Holuje za sobą drugą, z kabiną posiekaną przez odłamki. Stal, szyba, wszystko okropnie poharatane. Po kierowcy nie ma żadnego śladu. Być może w czasie ostrzału siedział w bezpiecznym schronieniu, dla dodania odwagi popijając miejscowy bimber. Pojazd niknie wśród głuchych jęków zużytego podwozia, nie dając czasu na dalszą analizę. Za nim van ze świniami i kobietą na pace. Jakaś osobówka. BTR z żołnierzami przywierającymi do pancerza. Jeszcze jedna osobówka. Wszystko gna na złamanie karku, przystając jedynie w razie kontroli.

MICHAŁ ZIELIŃSKI

Panujący wewnątrz półmrok ukazuje ściany obłożone wykładzinami, do których gdzieniegdzie przymocowano zdjęcia bliskich i obrazki z podobiznami Matki Boskiej.

CZŁOWIEK SIEDZĄCY W SCHRONIE CZUJE SIĘ ZAMKNIĘTY, ODCIĘTY OD ŚWIATA, WCHŁANIANY ŻYWCEM PRZEZ OTACZAJĄCĄ GO ZIEMIĘ

Do Popasnej prowadzi jedna, długa na kilkanaście kilometrów droga. Sięgająca po horyzont, pokryta grubą warstwą lodu. Zależą od niej losy mieszkańców i żołnierzy. Separatyści doskonale wiedzą, że przejmując nad nią kontrolę, znacząco przybliżą się do zwycięstwa. Wiedzą, więc strzelają. Z gradu, z moździerzy, z artylerii, jak leci, na chybił trafił. Pomiędzy jednym a drugim ostrzałem przemyka wojskowa kolumna albo zdezelowana, dla wojska nic nieznacząca łada. Bywa, że wiezie zapas jedzenia na parę najbliższych dni albo leki dla czekającej w domu żony. Za kółkiem jednej z nich Siergiej, mężczyzna około siedemdziesiątki, w czapce żywcem wyciągniętej z filmu o płatnym zabójcy. Na przedniej szybie swojego samochodu umieścił wielką, niebieską naklejkę inwalidy.

„Ja już swoje przeżyłem, dzieci stąd wywiozłem, nie mam nic do stracenia. Nie ewakuowałem się, na miejscu mam chorą żonę", mówi ze swobodą człowieka patrzącego w przyszłość bez strachu. „Ot, walnie to walnie, a jak nie, to też dobrze". Podobną zasadę wyznaje kilkudziesięciu mieszkańców miasta, którzy odmówili opuszczenia swoich domów. I rzeczywiście, na widok staruszka chyłkiem przekradającego się w cieniu zniszczonych budynków nie trzeba długo czekać. Wielkiej, powstałej w wyniku wybuchu rakiety dziury, która zieje tuż nad jego głową, wydaje się zupełnie nie zauważać. Trudno określić, co kieruje tymi ludźmi – przywiązanie do dobytku czy fatalizm. Jeszcze ciężej stwierdzić, skąd biorą siły, by trwać w takich warunkach.

A zachowanie żołnierzy nie pozostawia złudzeń co do tego, jaka sytuacja panuje wokół. Ukraińcy biegają pomiędzy umocnieniami, aby jak najkrócej wystawiać się na ostrzał artyleryjski i ogień prowadzony przez snajperów. Opuszczona stacja benzynowa, którą przerobili na posterunek, wita porozrywanymi dystrybutorami i nadpalonym dachem. Na podjeździe wala się gruz, grudki ziemi, elementy osprzętu. A to wszystko jedynie efekt działań z ostatnich 24 godzin. Pozostałe zniszczenia zostały uprzątnięte.

PRZYSTANEK STACJA

Do niedawna wypełnione półkami pełnymi przekąsek i opiętymi czerwonymi fartuszkami kasjerkami pomieszczenie zostało przerobione na lokalne centrum dowodzenia. Reklamy olejów samochodowych i serwowanych zza lady hot dogów zastąpiły rysunki nadesłane przez dzieci. Wśród nich wielkie, żółto-niebieskie serce, z poodciskanymi drobnymi rączkami. Namacalne świadectwo, że walczą wszyscy, jedni między wódką a zakąską, inni między matematyką a lekcją kaligrafii. Nad frontową mapą, na którą naniesiono epopeję ostatnich dni, wisi wycięty z papieru aniołek. Tuż obok obłożone folią drzwi, z naklejką wróżącą czarną przyszłość dla Matuszki Rosiji. Całość ekspozycji, bez wyjątku, faluje w rytm głuchych tąpnięć, raz za razem stawiając opór eksplozjom. Odciśnięte łapki, mapy, symbole narodowe, głowa w rękach wojaka z naklejki. Tylko ludzie w pomieszczeniu reagują różnie, każdy na swój sposób.

„Cisza, cisza", rozkazuje wysoki, starszy mężczyzna w panterce. Przez chwilę nasłuchuje odgłosów dochodzących z zewnątrz. Na jego twarzy maluje się skupienie, w zmarszczki wokół ust wkracza napięcie. Po chwili opuszcza uniesioną rękę: „Już dobrze, możemy rozmawiać dalej".

„Walą od nas i w nas, na zmianę. I tak przez prawie całą dobę", mówi siedzący przy ścianie dowódca posterunku. Na mundur zarzucił gruby, wełniany sweter, który falami opada mu na kolana. Każde kolejne zdanie mężczyzna przegryza szprotką: „Siadajcie, częstujcie się, napijcie. U nas skromnie, ale wystarczy dla wszystkich".

Gdyby nie metodyczne dudnienie, atmosferę można by uznać za wigilijną. Synowie i ojcowie zebrani przy jednym, ustawionym centralnie stole. Wyrwani przez wojnę ze swojej codzienności, stworzyli społeczność, którą zastępują zostawiony za sobą dom. Wszyscy pochodzą z zachodniej lub centralnej Ukrainy, większość z rejonu Winnicy. Wśród nich młody chło-

pak Siergiej. Na początku roku, wraz z ponownym zaognieniem konfliktu, otrzymał kartę powołania. Praktycznie od razu trafił na pierwszą linię frontu, do Popasnej. Swój los przyjmuje spokojnie, z nieśmiałym uśmiechem. Jest ciekawy tego, co o jego służbie myślą na Zachodzie, jak wygląda sytuacja w Polsce. Szuka bardziej wsparcia niż sensu.

W tym momencie zza drzwi dobiega odgłos długiej serii z kałasznikowa. Wszyscy łapią za broń, wybiegają na zewnątrz. W eterze niesie się komunikat: „Kto strzelał, kto strzelał?". Praktycznie od razu z głośników dobiega krótka, chłodna odpowiedź: „Separatyści". Wszyscy od paru dni spodziewają się szturmu. Ługańska Republika Ludowa skoncentrowała swoje siły na przedmieściach, przygotowując się do głównego uderzenia. Jeżeli przejdą przez ukraińskie umocnienia, jeżeli Siergiej i jego towarzysze nie zdołają ich odeprzeć, to droga na Artiomowsk stanie przed nimi otworem. A stamtąd na Kramatorsk, Słowiańsk, Dzierżyńsk, na Konstantynówkę. Na zamknięte w śmiertelnym potrzasku Switłodarśk i Debalcewe.

BILET DO DOMU

W wejściu pojawia się Siergiej. Oddycha ciężko, z opuszczoną głową. Na ustach ma uśmiech, choć po szczerym rozbawieniu sprzed paru minut nie został żaden ślad. Grupki separatystów podchodzą coraz bliżej. Może to być zwiad, mogą być zespoły snajperskie, zwykli prowokatorzy. Każdy taki kontakt wiąże się jednak z budowaniem napięcia. Ostrzał, wymiana ognia, kolejny ostrzał.

Tak wygląda codzienność żołnierzy, którzy swój czas dzielą między pilnowaniem stanowisk a nasłuchiwaniem głuchych eksplozji z wnętrz ciasnych, wykopanych w ziemi schronów. Umocnienia są solidne, bez trudu wytrzymują uderzenie rakiety czy pocisku artyleryjskiego. Mimo tego człowiek siedzący w środku czuje się zamknięty, odcięty od świata, wchłaniany żywcem przez otaczającą go ziemię. Musi walczyć z pokusą, by nie wyrwać się z bezpiecznego schronienia, nie ulec instynktom ciągnącym na powierzchnię. Niektórzy przegrywają tę walkę, płacąc za to najwyższą cenę. Reszta szuka oparcia w przedmiotach, które kojarzą się im z domem. Panujący wewnątrz półmrok ukazuje ściany obłożone wykładzinami, do których gdzieniegdzie przymocowano zdjęcia bliskich i obrazki z podobiznami Matki Boskiej. Zza krawędzi wiszącego przy legowisku koca wystaje wetknięty, napisany odręcznie list. Obok, przy stercie ubrań, leży obdrapany laptop. Po chwili sterta się porusza, odsłaniając śpiącego mężczyznę.

Ponieważ jest chwila spokoju, kierowca cywilnego samochodu korzysta z okazji i przejeżdża przez pozycję. W środku dwóch mężczyzn, jadą do Artiomowska. Ryzykując dostanie się pod ostrzał, zatrzymują się na posterunku i bez wahania zgadzają się zabrać ze sobą obcych ludzi. Nie przeszkadza im buntujący się silnik, sprzęt wystający ponad klapę od bagażnika i ciasnota panująca w szoferce. Nie zwracają uwagi na to, że jeden z nich ostatecznie musiał położyć się na nogach kierowcy. Najważniejsze, żeby pomóc i jak najszybciej, cało, wyrwać się ze strefy rażenia. Nagle z pobliskiego okopu wybiega młody żołnierz, wali pięścią w przednią szybę.

„Wy z Polski, wy z Polski? Jest taka dziewczyna, pozdrówcie ją ode mnie, Magdalena Libenza. Z Barlinka. Koniecznie ją pozdrówcie. Magda z Barlinka. Dzięki!" – ze skrytymi myślami znika w rozoranej ziemi Popasnej. Pośród lejów, zdewastowanych bloków i nadpalonych kikutów drzew. ■

CENTRALNA BIBLIOTEKA WOJSKOWA
im. Marszałka Józefa Piłsudskiego
Regulaminy Instrukcje
BIBLIOTEKA CYFROWA
KSIĄŻKI
BIBLIOGRAFIE
UDOSTĘPNIANIE
BAZY DANYCH
Pocztówki
Rękopisy
INFORMACJA NAUKOWA
fotografie
PLAKATY
MAPY
WYSTAWY
CZASOPISMA
KONFERENCJE
www.cbw.pl

ARCH. P. ANDRUSIECZKI

NA PIERWSZEJ LINII

Z Piotrem Andrusieczką

o pracy reportera na pierwszej linii frontu, księżycowym krajobrazie na przedmieściach Doniecka i wnioskach, które powinniśmy wyciągnąć z historii, rozmawia Małgorzata Schwarzgruber.

W jednym z tekstów o Ukrainie napisał Pan: „Pojechałem tam, by zobaczyć wojnę z bliska".

Obserwuję ją od kilku miesięcy i widzę, jak się zmieniała. Dziś coraz bardziej przypomina opisy, które czytałem w książkach poświęconych II wojnie światowej. Myślałem, że taka wojna odeszła już do przeszłości. Tymczasem na Ukrainie na szeroką skalę używa się artylerii, broni pancernej, transporterów opancerzonych – całego klasycznego arsenału wojennego. Te działania zbrojne przypominają klasyczną wojnę pierwszej połowy XX wieku.

Gdy czyta się Pana teksty, niemal słychać, jak świszczą spadające pociski.

Staram się być ostrożny. Na pierwszą linię frontu jeżdżę razem z moimi ukraińskimi kolegami, którym ufam. To niezależni dziennikarze. Zawsze przygotowujemy się do takiego wyjazdu. Na tyle, na ile jest to możliwe, staramy się minimalizować ryzyko, choć zawsze pozostaje margines błędu. Mamy hełmy i kamizelki, sprawdzamy dokładnie trasy, bo nie chcielibyśmy niespodziewanie znaleźć się na terytorium kontrolowanym przez bojowników, a front często się zmienia. Staram się unikać ryzykownych sytuacji, ale muszę zebrać informacje do tekstu. Jeżeli nie napiszę artykułu, mój wyjazd traci sens. Pociski spadają bliżej czy dalej. Kilka razy zdarzyło się, że uciekaliśmy przed ostrzałem albo leżeliśmy na podłodze domku, a wokół eksplodowały pociski gradu. Tak jest na każdej wojnie.

Często wyjeżdża Pan na pierwszą linię?

Jadę zawsze, gdy coś się dzieje. Uważam, że skoro jestem na Ukrainie, to nie mogę pisać o wydarzeniach na froncie, siedząc w Kijowie. W styczniu wyjeżdżałem dwa razy na kilka dni. Pierwszy raz pojechałem po Nowym Roku w okolice Debalcewa w obwodzie donieckim. Chciałem zobaczyć, jak żołnierze świętują prawosławne Boże Narodzenie. Było dość spokojnie. Nie pomyślałem wówczas, że za dwa i pół tygodnia może w tym miejscu dojść do ostrych walk, choć gdy spojrzeć na mapę, widać, że jest to teren wcinający się w pozycje separatystów. Podczas ofensywy chcieli go zająć i wyrównać linię.

Skąd Pan wie, kto atakuje i jakimi siłami?

Na front jeżdżę tylko od strony ukraińskiej. Nie do końca ufam separatystom. Zachodni dziennikarze mają tam ograniczony dostęp do frontu, nie wszystkich separatyści dopuszczają do pierwszej linii. Po stronie ukraińskiej wykorzystujemy nasze kontakty, nawiązane dawno, w poszczególnych oddziałach regularnej armii i batalionach ochotniczych. Zazwyczaj jedziemy w konkretne miejsce, aby porozmawiać z żołnierzami oraz z ludnością cywilną.

Początkowo przebywał Pan po stronie separatystów.

Gdy w kwietniu 2014 roku po raz pierwszy pojechałem do Doniecka, na wschód Ukrainy, znalazłem się na obszarze, który zaczęli kontrolować separatyści i przez pierwsze miesiące stamtąd relacjonowałem wydarzenia. Przyjechałem do Słowiańska w połowie kwietnia, kiedy pojawiły się tam „zielone ludziki". To była początkowa faza konfliktu. Do 2 maja nie było aktywnych walk, a dopiero potem rozpoczęła się operacja antyterrorystyczna – ta wojna przez cały czas jest na Ukrainie tak nazywana. Spotykałem się z dużą nieufnością. Jeździłem wówczas z Pawłem Pieniążkiem oraz z Tomasem Rafą, słowackim fotoreporterem. Często na posterunkach bojowników wiele emocji wywoływał sprzęt naszego kolegi – duży lustrzany aparat, którym kręcił także filmy. Zarzucano nam, że filmujemy posterunki. Wyciągali nas z samochodu, ale wtedy udawało się dość szybko rozładować sytuację.

A teraz?

Z czasem było coraz gorzej. 3 maja musiałem uciekać ze Słowiańska, bo na rosyjskich portalach społecznościowych pojawiła się moja fotografia z nazwiskiem i informacją, że piszę nieprawdę. Były też sugestie, co można ze mną zrobić.

Zabić?

To pojawiło się w komentarzach – z adnotacją, że ktoś przekazał tę informację na posterunki bojowników. Nie sądzę, aby doszło do tak drastycznej sytuacji, ale mogli mnie zatrzymać. Zarzucano mi na przykład, że nazywam bojowników terrorystami. Nigdy tak o nich nie pisałem, chyba że był to cytat. Za takie pisanie dostaje mi się i na Ukrainie, i w Polsce. Z mojego punktu widzenia epatowanie takimi terminami niewiele zmienia. Gdy w lipcu, po zestrzeleniu malezyjskiego samolotu, pojechałem do Doniecka, przypadkowo zostałem aresztowany na ulicy przez patrol. Nie podobało się, że robię zdjęcie jednego z budynków administracyjnych – powiewały na nim flagi Donieckiej Republiki Ludowej. Odwieziono mnie do siedziby byłej służby bezpieczeństwa Ukrainy, gdzie znajdowało się ministerstwo spraw wewnętrznych. Po krótkim przesłuchaniu i sprawdzeniu dokumentów zostałem wypuszczony. Nasi dziennikarze nie mają łatwo. Zarzuca się nam, że polscy najemnicy walczą po stronie ukraińskiej. Bojownicy, którzy mnie aresztowali, twierdzili, że Polacy ostrzeliwali ich w Słowiańsku, że zabijali ludność cywilną. W listopadzie 2014 roku taksówkarz w Doniecku tłumaczył mi, dlaczego tak trudno zdobyć lotnisko w tym mieście: bo bronią go polscy najemnicy, którzy używają amerykańskich czołgów Abrams.

Spotkał Pan jakiegoś Polaka walczącego na Ukrainie?

Słyszałem o dwóch, którzy walczyli w jednym z ochotniczych batalionów, ale się z nimi nie zetknąłem. Spotykałem Gruzinów, ale oni od lat mieszkają na Ukrainie, a także dwóch Szwedów w batalionie Azow oraz jednego Białorusina. Cudzoziemców jest pewnie więcej. Po stronie ukraińskiej walczy sporo Czeczeńców – to emigranci, którzy uciekli przed obecnym reżimem, mają obywatelstwa różnych krajów europejskich. O wiele więcej cudzoziemców walczy po stronie przeciwnej. Wśród bojowników w Doniecku widziałem wielu Rosjan, Osetyńców i Abchazów. Są też Czeczeńcy, a słyszałem o grupie czetników serbskich wspierających separatystów.

Czy dziennikarz na wojnie może być bezstronny?

Każdy ma jakieś osobiste sympatie, ale one nie mogą przesłaniać wydarzeń. Nawet jeśli żywię większą sympatię do Ukraińców, nie mogę ukrywać pewnych faktów, piszę także o negatywnych zjawiskach, jakie zauważam, na przykład o nadużywaniu alkoholu w niektórych oddziałach czy o maruderstwie żołnierzy w jednym z ochotniczych batalionów. Współpracuję z ukraińskimi dziennikarzami, którzy również zwracają na to uwagę.

Jakie jest Pana główne źródło informacji?

Materiały frontowe oparte są na rozmowach, które przeprowadzam z walczącymi żołnierzami i mieszkańcami. Od lat znam osobiście wielu ukraińskich ekspertów, aktywistów i niektórych polityków. Korzystam też z tych portali społecznościowych, które prowadzą zaufane osoby. Dziś wojna toczy się również w sieci. Duża część informacji jest tak spreparowana, że nie mają one nic wspólnego z rzeczywistością. Staram się też sprawdzać te pochodzące od niezależnych ekspertów i dziennikarzy. Nieufnie natomiast podchodzę do powszechnie powtarzanych.

Jak dziś wygląda życie na wschodzie Ukrainy?

W strefie operacji antyterrorystycznej, czyli jak się tu mówi, w strefie ATO, jest różnie. Słowiańsk był pierwszym wyzwolonym miastem, więc zniszczenia są tam niewielkie. Ucierpiały gównie przedmieścia, a właściwie okoliczne wioski, które przylegały do miasta. Dziś działają kawiarnie i restauracje, są otwarte sklepy. Życie toczy się normalnie, może tylko na ulicach widać więcej ludzi w mundurach. Słowiańsk leży jednak dość daleko od linii frontu. Zupełnie inaczej wyglądają takie miasta jak Donieck. Tam jest milion mieszkańców, więc i obraz jest różny. Centrum jest spokojne, zaledwie kilka razy doleciały tu pociski. Życie toczy się mniej więcej normalnie. Ostatni raz byłem tam w listopadzie 2014 roku, działały wówczas nawet opera i filharmonia, ale spektakle odbywały się tylko w niedziele, w godzinach wczesnopopołudniowych – w Doniecku obowiązuje godzina policyjna. Na ulicach widać mniej ludzi, ale funkcjonuje miejski transport.

A na przedmieściach?

To całkiem inny świat. Księżycowy krajobraz. Większość budynków jest zniszczona, ale nadal żyją tam ludzie. To największa tragedia tej wojny. Od lipca osiedla znajdują się pod ostrzałem, mieszkańcy uciekają do schronów. Przeżyłem taki ostrzał ostatniego dnia pobytu w Doniecku. W schronie z czasów stalinowskich zmieściło się około 100 osób, były nawet kilkumiesięczne dzieci. Podobnie →

jest w całej strefie przyfrontowej. Gdy w styczniu trwały zacięte walki o lotnisko w Doniecku, obserwowałem, jak Ukraińcy starali się wykrywać nadlatujące pociski wystrzelone z moździerzy, haubic czy gradów. Często słyszałem komunikaty podawane przez krótkofalówki: „nora, nora, nora" – to znaczyło, że trzeba natychmiast schować się do nory, zanim spadną i eksplodują. Byłem także w wiosce Triochizbinka w obwodzie ługańskim, w której stacjonowały oddziały ukraińskie, więc codziennie spadały tam pociski artyleryjskie. Mieszkańcy ukrywają się w piwnicach, odważniejsi wychodzą na zewnątrz. Nie bardzo wiedzą, co ze sobą zrobić, dokąd wyjechać. Nie wiedzą, kto im może pomóc. Do tej wioski prowadzi jedna droga, więc często można na niej spotkać wyrwy po pociskach Grad. Na polach, znajdujących się kilka kilometrów od Triochizbinki, można zobaczyć, jak ukraińscy żołnierze odpalają grady. Później może tam przylecieć odpowiedź. Ludność cywilna cierpi po obu stronach frontu.

Jak zmienia się linia frontu?

We wrześniu 2014 roku zostało podpisane zawieszenie broni między Kijowem a Moskwą, które w żadnym z punktów nie jest przestrzegane. Choć mogę potwierdzić, że strona ukraińska starała się wypełniać to zobowiązanie. Nie prowadziła działań ofensywnych, jedynie się broniła, do grudnia artyleria odpowiadała tylko na ostrzał własnych pozycji. Potem, gdy bojownicy przypuścili atak na lotnisko w Doniecku, to się zmieniło. Obecnie w okolicach Debalcewe artyleria z obu stron strzela na tzw. wyprzedzenie, czyli wówczas gdy zostanie wykryte zgrupowanie bojowników po drugiej stronie. Linia frontu przesuwa się o kilka kilometrów.

Na co dzień mieszka Pan w Kijowie.

Tak, choć gdyby podliczyć, w 2014 roku więcej dni spędziłem na froncie. W Kijowie wojny zupełnie nie widać. Pamiętam, że w czasach protestów na Majdanie było podobnie. Nie wszyscy walczyli, wystarczyło przejechać dwie stacje metra, żeby zobaczyć, że tam toczy się normalne życie. Wojna nie jest widoczna na ulicach – funkcjonuje w przestrzeni medialnej i społecznościowej, na spotkaniach eksperckich, konferencjach prasowych.

Jak wygląda pobór do ukraińskiej armii?

Zostało rozesłanych około 75 tys. wezwań, aby mężczyźni zgłaszali się do komisji poborowych. 46 tys. osób przeszło już badania lekarskie i zostało wysłanych na przeszkolenie. Niektórzy uciekają przed poborem. W ostatnich tygodniach ci, którzy mają wizy państw strefy Schengen, podobno dość masowo – choć trudno to zweryfikować – wyjeżdżali na zachód. Niektórzy jechali do Rosji, bo Moskwa zmieniła przepisy i wydłużyła dla młodych osób bezwizowy pobyt na terytorium Federacji. To prezent dla tych, którzy chcieli uciec przed poborem do armii ukraińskiej.

W społeczeństwie czuć zmęczenie tą wojną?

Eksperci zwracają uwagę, że ukraińscy politycy popełnili wiele błędów, między innymi nie potrafią jasno określić swoich celów – z jednej strony mówią o wojnie, a oficjalnie nazywają ją operacją antyterrorystyczną. Skoro jest to operacja, to po co powszechna mobilizacja? Są jednak również tacy, którzy zgłaszają się do wojska na ochotnika. Według oficjalnych statystyk, każdego dnia do 300 osób chce się zaciągnąć do Gwardii Narodowej lub batalionów ochotniczych.

W jakim stopniu korzenie ukraińskie ułatwiają Panu pracę?

Nie mają one tutaj specjalnego znaczenia – jestem traktowany jako obywatel polski. Pracę ułatwia mi znajomość języka ukraińskiego i rosyjskiego, a dobre kontakty wśród ekspertów czy dziennikarzy pomagają w zdobywaniu informacji. Na Ukrainę przyjeżdżam od lat, bo wcześniej zajmowałem się tą tematyką naukowo.

Porzucił Pan pracę na uczelni dla dziennikarstwa?

Mam roczny bezpłatny urlop. Lubię to, co robię, choć pewnie wolałbym pisać znowu o ukraińskiej polityce, a nie o wojnie. Ale dzisiaj nie sposób tutaj nie być i nie pisać o tym, co się dzieje. Jestem świadkiem ważnych wydarzeń.

Powstanie książka?

Pracuję nad książką, na którą podpisałem umowę w 2013 roku. W wydawnictwie czeka na druk mój doktorat, choć teraz wymaga on pewnej korekty. Nie ukrywam, że w kolejnej publikacji książkowej będę chciał także wykorzystać wiedzę zdobytą w czasie ostatniego roku.

Jak Pan ocenia szanse na pokój?

Trzeba przypomnieć, jak zaczął się ten konflikt. Mamy wschodniego sąsiada, zainteresowanego tym, aby sytuacja na Ukrainie była niestabilna. Jak długo Moskwa będzie wspierała siły walczące po stronie rosyjskiej, tak długo będzie trwał ten konflikt. Dwie separatystyczne republiki nie mają szans na samodzielną egzystencję. Uważam, że ten konflikt wyszedł poza granice wschodniej Ukrainy. Zagraża on bezpieczeństwu w Europie, od czasu zakończenia zimnej wojny nie było takiego starcia między Zachodem a Rosją. Jest to także pytanie o politykę Moskwy, jak ona będzie rozwiązywać wewnętrzne problemy: czy będzie szukać wroga zewnętrznego, aby odwracać od nich uwagę? To także pytanie o brak zdecydowania i konsekwencji ze strony Zachodu, który po zakończeniu zimnej wojny zaczął żyć w poczuciu komfortu. Ciężko przejść teraz na „tryb wojenny". Trzeba jednak zaznaczyć granicę, poza którą nie można się cofnąć. Nie widzę w Europie liderów, którzy ufaliby obecnej wierchuszce na Kremlu. Czy znajdą się jednak politycy, którzy potrafią spojrzeć dalej w przyszłość? Wyciągnąć wnioski z historii, która pokazuje, czym kończą się nadmierne ustępstwa? ■

WIZYTÓWKA

PIOTR ANDRUSIECZKO

Korespondent „Gazety Wyborczej" na Ukrainie, redaktor naczelny „Ukraińskiego Zurnału", współpracownik „Nowej Europy Wschodniej". Relacjonuje wydarzenia na Ukrainie również dla Tok FM, Polskiego Radia, TVP Info, Polsatu, TVN-u, „Polityki" i „Tygodnika Powszechnego". Od drugiej połowy lat dziewięćdziesiątych zajmował się naukowo transformacjami politycznymi na Ukrainie. W 2003 roku obronił doktorat poświęcony problemom narodowościowym na Ukrainie po rozpadzie ZSRR.

MICHAŁ STANIUL

Lokalna masakra

Boko Haram dorównuje bestialstwem Państwu Islamskiemu. Z perspektywy Waszyngtonu czy Londynu wydarzenia w Nigerii są jednak tylko konfliktem lokalnym.

Wieści o problemach w Badze pojawiły się już w pierwszy weekend stycznia 2015 roku. Były co najmniej skąpe. Ot, zdanie lub dwa rzucone na Twitterze przez dziennikarzy z oddalonego o 160 km Maiduguri. Nikogo też raczej nie dziwiły. Tuż obok 10-tysięcznej mieściny znajdowała się ostatnia w stanie Borno baza, w której trzymali się jeszcze nigeryjscy żołnierze. Uderzenie islamistów z Boko Haram było więc tylko kwestią czasu.

Parę dni później do okolicznych miast zaczęły docierać jednak tysiące przerażonych wysiedleńców. Ich historie nie pozostawiały złudzeń: w Badze doszło do czegoś znacznie gorszego niż atak na koszary. „Partyzanci natarli ze wszystkich stron, strzelali i zabijali na ślepo. Nie mieliśmy wyboru, musieliśmy uciekać. Po drodze widzieliśmy mnóstwo ciał", mówił nigeryjskiemu „Premium Times" 25-letni Ibrahim Gambo. Inni świadkowie opowiadali o ludziach zamkniętych w płonących budynkach i wypadających z podziurawionych kulami łodzi na jeziorze Czad. Mordercy mieli nie okazywać litości nawet kobietom w ciąży.

MIMO BUDŻETU SIĘGAJĄCEGO **6 MLD DOLARÓW**, NIGERYJSKIE SIŁY ZBROJNE NIE SĄ ANI LICZNE, ANI NOWOCZESNE

Skrawki informacji pozwalały stopniowo odtworzyć przebieg wydarzeń. Bojownicy rozbili rządowe oddziały 3 stycznia, po czym zaczęli równać z ziemią Bagę i oddalone o 2 km Doron Gowon. W połowie miesiąca na podstawie zdjęć satelitarnych badacze Amnesty International wyliczyli, że w cztery dni z dymem poszło ponad 3700 budynków; ucierpiało też 16 sąsiednich wiosek. Dalsze zniszczenia to niewiadoma, bo region jest odcięty od świata – rebelianci wysadzili większość wież telekomunikacyjnych w okolicy, a dziennikarze i organizacje humanitarne na razie nie odważą się zbliżyć do miejsca masakry. Nieznana jest też liczba ofiar; niezależne szacunki wahają się od kilkuset do przeszło 2 tys. Armia twierdzi, że „zginęło nie więcej niż 150 osób, wliczając islamistów", ale nikt nie traktuje tych słów poważnie. Nigeryjscy dowódcy regularnie zawyżają straty wroga i zaniżają własne. Szczególnie po porażkach.

OBOJĘTNOŚĆ WIELOSTRONNA

Media zachodnie ignorowały horror w Nigerii przez tydzień. Gdy go dostrzegły, uderzyły we wręcz przepraszające tony. „Dlaczego poświęcamy więcej uwagi »Charlie Hebdo« niż atakom Boko Haram?", pytały w internetowych nagłówkach serwisy Guardian, Time czy CNN. Podawały różne tłumaczenia: od praktycznych (brak reporterów w terenie) po psychologiczne (większe poczucie wspólnoty z Francuzami niż Nigeryjczykami). Ale choć w samokrytyce nie ma nic złego, warto odnotować to, co zauważył Ethan Zuckerman, analityk medialny z Massachusetts Institute of Technology. Korzystając z narzędzi do śledzenia słów kluczowych, wyliczył on, że po 7 stycznia nawet „nigeryjskie media przez trzy kolejne dni częściej wspominały o masakrze w Paryżu niż o znacznie większej, lokalnej tragedii".

Podobnie do sprawy podeszli czołowi politycy w kraju. Minister finansów Ngozi Okonjo-Iweala „łączyła się z Francją w bólu" za pośrednictwem Twittera, a prezydent Goodluck Jonathan grzmiał o „łajdackim zamachu na wolność słowa". Żadne z nich przez wiele dni nie zająknęło się o wydarzeniach w Badze. Jonathan odwiedził poupychane w obozach ofiary 15 stycznia, po opublikowaniu przez Amnesty International zdjęć spalonych miast.

Choć Boko Haram zyskało globalny rozgłos dopiero po zeszłorocznym porwaniu 276 uczennic z liceum w Chibok, organizacja działa już od ponad dekady. Na początku wieku była religijną wspólnotą skupioną wokół wygadanego kaznodziei z Maiduguri, Mohammeda Yusufa. Mimo że używała ostrej retoryki – nieustannie oskarżała rządzących o dyskryminowanie muzułmańskiej północy kraju i moralne zepsucie – nie uważano jej za zagrożenie. Z czasem zaczęła się jednak radykalizować, tak w sferze ideologicznej (żądała wprowadzenia szariatu w całej Nigerii i likwidacji świeckich szkół), jak i w podejściu do przemocy. W 2009 roku służby bezpieczeństwa prewencyjnie wybiły kilkuset jej członków. Z rąk policji zginął także Yusuf. Ocalali islamiści poprzysięgli zemstę.

Pod wodzą nowego emira, Abubakara Shekau, Boko Haram dokonało serii zamachów na dyskoteki, instytucje państwowe, kościoły i meczety. Terroryści atakowali zazwyczaj w trzech rozległych stanach północno-wschodniej Nigerii, ale zdarzało się im uderzać i w leżącej w centrum Abudży. →

AFP/EAST NEWS

NIGERYJSKIE SŁUŻBY BEZPIECZEŃSTWA NIE PRZEBIERAJĄ W ŚRODKACH, STOSUJĄC TAKTYKĘ SPALONEJ ZIEMI I ODPOWIEDZIALNOŚĆ ZBIOROWĄ

Specjalnie utworzone siły antyterrorystyczne nierzadko odpowiadały na ślepo, sięgając po tortury, stosując zasadę odpowiedzialności zbiorowej i taktykę spalonej ziemi. Gdy rząd zastąpił je wojskową 7 Dywizją i wprowadził stan wyjątkowy, a cywile zaczęli formować oddziały samoobrony, terroryści zmienili taktykę. Wycofawszy się na prowincję, skupili się na podbijaniu osamotnionych wiosek, by w końcu zagarnąć wiele miast, w tym ćwierćmilionową Gwozę. Kontrolują je do dzisiaj, rządząc nimi jak średniowiecznym kalifatem. Coraz częściej sieją zniszczenie również po kameruńskiej stronie granicy.

Według amerykańskiego think tanku CFR (Council on Foreign Relations), tylko w 2014 roku konflikt pochłonął 11 tys. ofiar. Miesiąc po miesiącu opisy masakr z setkami zabitych wrastały w rubryki nigeryjskich dzienników. „Zobojętnieliśmy na wiadomości o śmierci", pisał po rzezi w Badze Eli Ekhator, dziennikarz lokalnej „Naija Center News". Znieczulicę wzmacnia to, że niemal wszystko dzieje się w najbiedniejszym i najbardziej odizolowanym zakątku państwa. „Dla mieszkańców Lagos północno-wschodnie regiony mogłyby leżeć równie dobrze i na Księżycu. To wiele, wiele godzin podróży", tłumaczył w telewizji ABC John Campbell, ekspert CFR i były ambasador USA w Nigerii. Najludniejsze nigeryjskie miasto dzieli od Maiduguri ponad 1500 km – więcej niż Warszawę i Moskwę.

Prezydent Jonathan, który zawsze był lakoniczny w kwestii Boko Haram, teraz tym bardziej nabrał wody w usta. „Po-

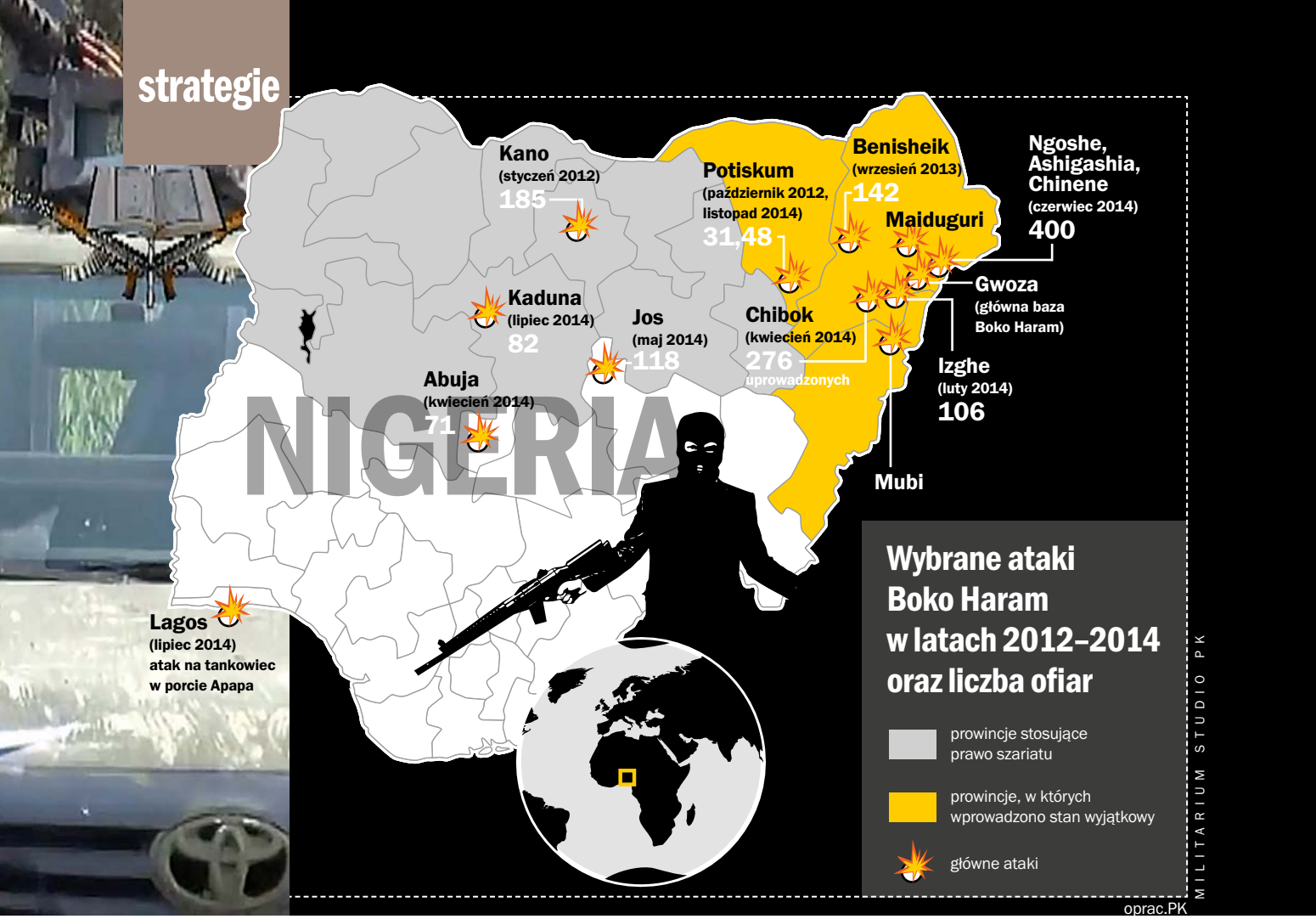

twierdzając skalę przemocy, w pewnym stopniu przyznałby się, że zawiódł jako prezydent. Nie będzie więc rozmawiał o bezpieczeństwie na kilka tygodni przed wyborami" [przesuniętymi na 28 marca], tłumaczyła Manji Cheto, analityczka do spraw Afryki Zachodniej z firmy doradczej Teneo Intelligence. Nie bez znaczenia jest też fakt, że w skrajnie skorumpowanej Nigerii demokracja opiera się na zasadzie „zwycięzca bierze wszystko". Pochodzący z chrześcijańskiego południa Jonathan wie, że na północy nie znajdzie poparcia dla siebie i Ludowej Partii Demokratycznej (People's Democratic Party – PDP). Przywrócenie porządku w Borno, Adamawie i Yobe – potencjalnych bastionach opozycji – nie jest więc na liście jego przedwyborczych priorytetów. A nawet gdyby było, problemem pozostałaby potęga Boko Haram… lub słabość nigeryjskiej armii.

BEZZĘBNY GIGANT

Mimo budżetu sięgającego 6 mld dolarów, nigeryjskie siły zbrojne nie są ani liczne, ani nowoczesne. Kraj, w którym jest ponad 160 mln obywateli, dysponuje zaledwie 130 tys. żołnierzy. To nie przypadek: w ciągu pierwszych czterech dekad niepodległości wojsko przeprowadziło dziesięć zamachów stanu. Gdy zatem w 1999 roku władza wróciła w ręce cywilów, politycy woleli nałożyć mundurowym kaganiec. „Od 14 lat nasz aparat bezpieczeństwa jest niedofinansowany, ma zbyt mały personel, a nawet brakuje mu broni", opisywał w „Al-Dżazirze" nigeryjski politolog Bawa Abdullahi Wase.

Nastroje wśród frontowych żołnierzy są tak złe, że wielu po prostu dezerteruje. W połowie grudnia wojskowy trybunał w Lagos skazał na śmierć 54 komandosów, którzy odmówili udziału w rządowej kontrofensywie. Oskarżeni tłumaczyli, że dowództwo chciało ich wysłać do boju bez amunicji i jedzenia. Według nigeryjskich mediów, na proces czeka jeszcze 118 żołnierzy, w tym generał brygady i 14 wysokich rangą oficerów.

Morale oddziałów cierpi dodatkowo przez skandale korupcyjne. Lokalni dziennikarze regularnie oskarżają komendantów o konszachty z islamistami. W ostatnich miesiącach skarżą się na to też wojskowi z Kamerunu, którzy co rusz mają trafiać na skrzynie pochodzące z nigeryjskich zbrojowni. Strach przed tym, że broń dostanie się w ręce dżihadystów, zdecydowanie ogranicza hojność obcych rządów. Mimo że USA podrzucają Nigeryjczykom wiele informacji wywiadowczych, nie mają zamiaru sprzedawać im śmiercionośnego sprzętu. Ale to tylko część prawdy.

Nawet gdyby nigeryjska armia cieszyła się krystaliczną reputacją, nie mogłaby liczyć na szerszą pomoc Zachodu. Choć Boko Haram dorównuje bestialstwem Państwu Islamskiemu, a Abubakar Shekau wyraźnie wzoruje się na Abu Bakrze al-Baghdadim, z perspektywy Waszyngtonu czy Londynu pożoga w Borno jest tylko kolejnym afrykańskim konfliktem o bardzo ograniczonym zasięgu. Jeśli sami Nigeryjczycy nie potrafią na nią spojrzeć inaczej, tym bardziej nie zrobi tego reszta świata. ■

TADEUSZ WRÓBEL

Malijski klincz

Trzy lata po rebelii ludu Tuaregów Mali pozostaje krajem głęboko podzielonym politycznie.

Przed dwoma laty Mali było na czołówkach światowych mediów w związku z wielką francuską ofensywą wojskową przeciwko islamskim ekstremistom, którzy rozpanoszyli się w północnej części tego kraju. Francuzi wraz z sojusznikami odzyskali kontrolę nad tym obszarem, wyparłszy terrorystów spod znaku Al-Kaidy w Islamskim Maghrebie (Al-Qaïda au Maghreb islamique – AQMI) z miast. Ci zaś zaszyli się w trudno dostępnych górach na pograniczu z Algierią. Francuzi odnieśli sukces militarny, ale problemy polityczne, które ściągnęły do Mali zwolenników dżihadu, pozostały nierozwiązane. Otóż zanim pojawili się tam islamiści, wybuchła kolejna w historii tego kraju rewolta Tuaregów. Bojownicy separatystycznego Narodowego Ruchu Wyzwolenia Azawadu (Mouvement National pour la Libération de L'Azawad – MNLA) zamierzali stworzyć tam własne państwo – Azawad.

LINIE PODZIAŁÓW

Sytuacja polityczna na terenie północnego Mali jest niezwykle skomplikowana, gdyż działa tam bardzo wiele różnych grup, które wzajemnie się zwalczają i ciągle dzielą. Część byłych rebeliantów stała się teraz sojusznikami rządu malijskiego. W stolicy kraju Bamako 17 września 2013 roku, na kilka dni przed inauguracją rządów nowego prezydenta Ibrahima Boubacara Keïty, podpisano deklarację w sprawie stworzenia komórki

UN – MARCO DORMINO

umożliwiającej wypracowanie wspólnych stanowisk przed negocjacjami z rządem. Jej sygnatariuszami były, oprócz MNLA, Wysoka Rada na rzecz Jedności Azawadu (Haut Conseil pour l'unité de l'Azawad – HCUA), Koordynacja Ruchów i Frontów Patriotycznych Oporu (Coordination des Mouvements et Fronts Patriotiques de Résistance – CMFPR) oraz Arabski Ruch Azawadu (Mouvement arabe de l'Azawad – MAA). Ich reprezentanci zaakceptowali zapis z aktu założycielskiego Unii Afrykańskiej mówiący o nienaruszalności granic, jak też potwierdzili chęć zachowania jedności narodowej i integralności terytorialnej Republiki Mali. Radość z podpisania tej deklaracji szybko się skończyła, bo liderzy części z tych ugrupowań ogłosili, że ich przedstawiciele nie mieli prerogatyw do podejmowania tak daleko idących zobowiązań politycznych.

Rozdźwięki w kręgach przywódczych północnomalijskich rebeliantów co do dalszych strategicznych celów spowodowały, że w ciągu następnych 12 miesięcy doszło do rozłamów w niektórych z tych grup. I tak 18 marca 2014 roku z MNLA wyodrębniła się nowa rebeliancka grupa – Koalicja Ludowa Azawadu (Coalition du peuple pour l'Azawad – CPA), pod przywództwem Ibrahima ag Mohameda Assaleha. W jej władzach oprócz Tuaregów znaleźli się reprezentanci innych społeczności zamieszkujących północ Mali – Arabów, Fulbe i Songhai. Z kolei część działaczy MAA powołała 26 sierpnia 2014 roku Ruch Lu- →

dowy Ocalenia Azawadu (Mouvement populaire pour le salut de l'Azawad – MPSA). W sierpniu ubiegłego roku powstała również lojalistyczna milicja – Grupa Samoobrony Tuaregów Imghad i Sojuszników (Groupe autodéfense touareg Imghad et alliés – GATIA). Główną rolę odgrywają w nim przeciwni niepodległości Azawadu członkowie tuareskiego plemienia Imghad. Organizacje domagające się oderwania regionu od Mali utworzyły z kolei platformę koordynującą ich działania – Coordination des mouvements de l'Azawad (CMA).

Liczebność poszczególnych ugrupowań zbrojnych na północy Mali jest zróżnicowana. Niektóre mają po kilka tysięcy zaprawionych w walce ludzi, inne zaledwie kilkuset. Regularnie dochodzi do zbrojnych starć między nimi, gdyż zarówno separatyści, jak i lojaliści walczą o przejęcie kontroli nad miejscowościami o znaczeniu strategicznym. Na północy Mali powstała bowiem polityczno-militarna próżnia, gdy po przegranej trzeciej bitwie o Kidal w maju 2014 roku z terenów tych wycofała się armia rządowa.

TRUDNA MISJA

Napięcie na północy wzrosło 20 stycznia 2014 roku, gdy holenderski śmigłowiec Apache z misji pokojowej w Mali (United Nations Multidimensional Integrated Stabilization Mission in Mali – MINUSMA) ostrzelał bojowników MNLA w rejonie miejscowości Tabankort. Zginęło 11 osób, a 21 odniosło rany. Przedstawiciele ONZ stwierdzili, że była to reakcja na wcześniejsze strzały ze strony rebeliantów tuareskich. Ci natomiast utrzymują, że to śmigłowiec otworzył ogień jako pierwszy. 21 stycznia w Kidal doszło do protestów ulicznych. Ich uczestnicy skandowali hasło: „Azawad tak, MINUSMA nie". Wrogość do sił międzynarodowych wzrosła po 27 stycznia. Separatyści oskarżyli je, że podczas protestów przeciwko misji ONZ w Gao zastrzeliły trzy osoby. Padły żądania, by MINUSMA opuściła Mali. Przedstawiciele ONZ zaprzeczyli, że był wydany rozkaz użycia broni przeciwko protestującym, a wojskowi oddali tylko strzały ostrzegawcze. Zgodnie z mandatem misja Narodów Zjednoczonych ma zapewnić między innymi bezpieczeństwo ludności cywilnej.

Styczniowe incydenty utrudniły i tak niełatwe zadanie żołnierzy w błękitnych hełmach (są oni celem ataków islamskich terrorystów), którzy bywają postrzegani jako strona konfliktu wewnątrzmalijskiego. Ostrzelani przez śmigłowiec członkowie MNLA byli częścią sił pragnących od miesięcy zdobyć Tabankort, który utrzymują milicjanci z GATIA i lojaliści z MAA. Z drugiej strony jego mieszkańcy podjęli szturm na bazę MINUSMA z powodu pogłosek, że jest planowane stworzenie wokół tej miejscowości strefy buforowej, która miałaby faworyzować separatystów. ONZ zaprzeczyła, by istniał takowy plan.

Położone 200 km na północ od Gao Tabankort ma strategiczne znaczenie dla walczących stron. Jego posiadanie zapewnia kontrolę nad drogami prowadzącymi na południe Mali i na północ, do Kidal. Położenie Tabankortu sprzyja też nielegalnemu handlowi oraz przemytowi i niewykluczone, że jest to główny powód walk o tę miejscowość. Innym zapalnym punktem było w styczniu miasto Bamba, 280 km na północ od Gao, które także kontrolują milicje sprzymierzone z władzami Mali.

Jednym z bardziej niepokojących zdarzeń podczas styczniowych starć był samobójczy atak bombowy przeciwko MNLA, który przeprowadziła GATIA w rejonie Tabankortu. Dwaj samobójcy zdetonowali ładunki, trzeciego udało się zastrzelić wcześniej. Bomby zabiły od kilku do 12–13 osób. Ataki samobójcze były do tej pory metodą walki stosowaną w Mali jedynie przez islamistów, dlatego pojawiły się obawy, że mogli oni zinfiltrować prorządową milicję.

ISLAMIŚCI NADAL GROŹNI

W tej skomplikowanej sytuacji politycznej na północy Mali, oprócz MINUSMA, działają też francuscy wojskowi w ramach operacji „Barkhane". Obejmuje ona kilka państw Sahelu. Francuzi starają się zachować neutralność i być mediatorami. Ich głównym zadaniem jest zwalczanie islamskich terrorystów, którzy ukrywają się na górskim pograniczu z Algierią.

W nocy z 30 na 31 stycznia 2015 roku wojska francuskie przeprowadziły operację w rejonie płaskowyżu Adrar des Ifoghas. Jak poinformowano, zabito 12 islamistów, a dwóch lub trzech schwytano. Kilka tygodni wcześniej, w grudniu 2014 roku, Francuzi zabili Ahmeda al-Tilemsiego, lidera salafickiej grupy Al-Murabitum i współzałożyciela Ruchu na rzecz Jedności i Dżihadu w Afryce Zachodniej (Mouvement pour l'unicité et le jihad en Afrique de l'Ouest – MUJAO). Oficjalnie podano, że w trakcie tej akcji „zneutralizowano" dziesięciu islamistów, co oznacza, że zostali oni zabici lub aresztowani. Niebezpiecznie jest też w stolicy kraju. W styczniu w wyniku zamachu został ranny doradca szefa sztabu armii malijskiej gen. bryg. Mohamed Ould Abderrahmane Meydou. Ten oficer arabskiego pochodzenia był lojalny wobec władz centralnych w czasie tuareskiej rewolty na początku 2012 roku, za co dostał generalskie szlify.

Pomimo obecności Francuzów terroryści z Al-Kaidy w Islamskim Maghrebie próbują powrócić na południe Mali. Ponownie pojawili się w środkowej części kraju, w rejonie nazywanym lasem Wagadou. Jest to obszar o długości 80 km i szerokości 40 km, oddalony o 70 km od granicy z Mauretanią. 5 stycznia dżihadyści przeprowadzili stamtąd zaskakujący atak na miejscowość Nampala, który kosztował życie kilkunastu żołnierzy malijskich. W nocy z 6 na 7 stycznia uderzyli z kolei na miasto Djoura, a 8 i 16 stycznia celem ich ataków było miasto Tenenkou. W trakcie drugiego rajdu wymiana ognia z malijską armią trwała kilka godzin. Zginęło od dwóch do pięciu osób. Część uczestników napadu zabito lub schwytano.

Nadzieje na ostateczne zakończenie wewnętrznego konfliktu w Mali dają rozmowy między rządem a rebeliantami, prowadzone od połowy ubiegłego roku w stolicy Algierii. Jednak efekty dotychczasowych kilku rund negocjacyjnych nie są oszałamiające. Wiele czasu zajmują spory formalne o poszczególne słowa w oficjalnych dokumentach, takie jak chociażby „Azawad". Jednak najważniejsza jest kwestia tego, czy Mali przekształci się w państwo federalne, co stanowi minimum oczekiwań separatystów, a na co nie godzą się z kolei władze w Bamako. Porozumienia nie ułatwia też wrogość między niektórymi zbrojnymi grupami działającymi na malijskiej północy, szczególnie silna między dawnymi towarzyszami broni.

Inne utrudnienia to przetasowania we władzach państwowych Mali. W styczniu tego roku zmienił się rząd. Ze stanowiska ustąpił premier Moussa Mara. Prezydent Ibrahim Boubacar Keïta mianował na nowego szefa rządu Modibo Keïtę, który wcześniej zajmował to stanowisko przez niecałe trzy miesiące 2002 roku. Jego wypowiedź, że Azawad nigdy nie zostanie uznany w Mali za „podmiot polityczny", nie rokuje dobrze negocjacjom pokojowym. ■

WOJCIECH
LORENZ

Strategiczna cierpliwość

Opublikowana 5 lutego 2015 roku strategia bezpieczeństwa narodowego nie zmienia głównych kierunków polityki zagranicznej USA wyznaczonych w poprzednim dokumencie, z 2010 roku. Głównym celem administracji prezydenta Baracka Obamy pozostaje odzyskanie zdolności do światowego przywództwa, kontynuacja strategicznego zwrotu w kierunku regionu Azji i Pacyfiku oraz walka z terroryzmem. Strategia została jednak uaktualniona o nowe wyzwania, które pojawiły się w ostatnich latach. Uwzględniono w niej między innymi zagrożenie ze strony Państwa Islamskiego, powracających na Zachód zagranicznych bojowników oraz Rosji.

Administracja USA podkreśla, że skuteczne reagowanie na nagłe zmiany w środowisku bezpieczeństwa wymaga „strategicznej cierpliwości". Ważniejsze od szybkich korzyści są bowiem długofalowe skutki podejmowanych decyzji. Dlatego jednostronne działania wymagające użycia siły będą zarezerwowane tylko do ochrony żywotnych interesów Stanów Zjednoczonych, priorytetem zaś w budowaniu bezpieczeństwa pozostaje współpraca z sojusznikami. W taki właśnie sposób USA zamierzają reagować na działania Rosji na Ukrainie, zagrażające bezpieczeństwu Europy. Amerykanie będą zwiększać koszty rosyjskiej agresji poprzez sankcje. Zdolność do odstraszania i poczucie bezpieczeństwa sojuszników mają być wzmocnione przez „dynamiczną" obecność sił USA w Europie i ich gotowość do działania. Waszyngton zapowiada też zwiększanie bezpieczeństwa energetycznego Europy i rozwijanie narodowego potencjału obronnego Ukrainy, Gruzji i Mołdawii. Jednocześnie drzwi do współpracy z Rosją, opartej na wspólnych interesach, pozostaną otwarte, pod warunkiem zmiany kursu przez rosyjskie władze. USA sygnalizują w przeciwnym wypadku możliwość udzielenia wsparcia sojusznikom i partnerom w długiej perspektywie. Administracja amerykańska zapewnia też, że zobowiązanie do kolektywnej obrony członków NATO w ramach artykułu 5 pozostaje niezmienne, ale równie istotne jest rozwijanie dwóch pozostałych funkcji tej organizacji, czyli gotowości do reagowania kryzysowego i budowania kooperatywnego bezpieczeństwa. Polska z nazwy została wymieniona wśród państw, które przyczyniły się do wzmocnienia spójności sojuszu.

Nowa strategia nie tylko nie zmienia głównych celów w polityce zagranicznej USA, lecz także nie wpłynie w znaczącym stopniu na sposoby ich osiągnięcia. Amerykanie kontynuują restrukturyzację swoich sił zbrojnych tak, aby zachować zdolność do obrony interesów strategicznych mimo znacznie ograniczonego budżetu na obronę. Na straży bezpieczeństwa w Europie ma stać przede wszystkim NATO, a amerykańskie siły będą zapewniać głównie możliwość przerzutu strategicznego oraz wzmacniania potencjału obronnego sojuszników i partnerów poprzez ćwiczenia.

Zaktualizowana strategia może jednak otwierać drogę do korekty amerykańskiej obecności w Europie. Administracja Baracka Obamy kierując się zasadą strategicznej cierpliwości będzie oczekiwać od NATO zwiększenia wydatków na obronność i większej samodzielności we wzmacnianiu bezpieczeństwa.

Jednocześnie w krótkiej perspektywie można spodziewać się wstrzymania redukcji amerykańskich sił w Europie i przesunięcia istniejących zasobów w stronę państw granicznych NATO. Gdyby zdaniem USA działania te okazały się nieadekwatne do potencjalnego zagrożenia ze strony Rosji, możliwe będą decyzje o charakterze strategicznym, ale dopiero po objęciu władzy przez nowego prezydenta USA w 2017 roku. ■

NOWA STRATEGIA BEZPIECZEŃSTWA NARODOWEGO USA PODKREŚLA ROLĘ NATO W REAGOWANIU NA WSPÓŁCZESNE ZAGROŻENIA

WOJCIECH LORENZ JEST ANALITYKIEM DO SPRAW BEZPIECZEŃSTWA I PRZEMYSŁU OBRONNEGO W POLSKIM INSTYTUCIE SPRAW MIĘDZYNARODOWYCH.

II WOJNA ŚWIATOWA

TADEUSZ WRÓBEL

SPISANI NA STRATY

Upadek Bataanu był największą klęską wojsk amerykańskich podczas II wojny światowej.

EXTRA
Oakland Tribune
HOME EDITION
36,000 U.S. MEN FEARED LOST IN FALL OF BATAAN
Corruption In Defense
THUR. WAR CABINET ARE COUNTER-DRIVE
Two British Cruisers Sunk
AGREEMENT REPORTED
Retreat to Corregidor
JAPS TRAP 36,800 AS BATAAN FALLS
HOME EDITION
THE POST ENQUIRER
2 Ally Cruisers, 1 Axis Ship Sunk
NIPPON PLANES INDIA OCEAN
Gasoline
Base in Ceylon Bombed
Efforts to Send Help
BATAAN COLLAPSES!
Japs Crush American Defenders
San Francisco Examiner
6 AM EXTRA
IN THE NEWS
New Orders Issued To Rush Dock Work
Unions Back Longshore Program
War Styles For Women Stay Smart
CEYLON NAVAL BASE BOMBED BY JAPANESE
Foe Overcomes Exhausted Forces in Philippines
Axis Raid in Libya; Suez Push Seen
U.S. Chief of Staff Meets Churchill
U. S. Flank Enveloped by Enemy; Attack Fails, Wain t Reveals

NARA

Przed południem 8 grudnia 1941 roku czasu lokalnego japońskie bombowce zaatakowały północ Luzonu. Rozpoczął się nalot na lotniska, gdzie amerykańskie bombowce czekały na rozkaz ataku na Formozę. Japończycy zniszczyli wiele maszyn stojących na ziemi. Amerykanie w ten sposób stracili ponad połowę z 35 sztuk B-17, 53 ze 107 P-40E, trzy P-35A i około 30 innych samolotów. Japończycy regularnie ponawiali ataki na filipińskie lotniska, niszcząc infrastrukturę naziemną i maszyny. Lotnictwo amerykańskie zostało zdruzgotane i po kilku dniach do użycia nadawały się 22 samoloty F-40E, od pięciu do ośmiu F-35A i kilka leciwych P-26 oraz 16 sztuk B-17. Tymczasem przeciwnicy dysponowali około 500 maszynami bojowymi. 10 grudnia 1941 roku japońskie bomby poczyniły też wielkie spustoszenie w bazie morskiej Cavite. Amerykanie utracili wówczas ponad 200 torped, czyli połowę ich zapasu dla Floty Azjatyckiej. Po tym ataku jej dowódca adm. Thomas C. Hart uznał, że Cavite nie może być dalej wykorzystywana jako port i ocalałe okręty odesłał na południe.

Obrona Luzonu spoczęła wówczas na barkach żołnierzy jednostek lądowych. Głównodowodzący wojskami filipińsko-amerykańskimi gen. Douglas MacArthur w listopadzie 1941 roku podzielił je na dwa zgrupowania. Północy broniły cztery rezerwowe dywizje filipińskie, mające wsparcie oddziałów regularnych. Siłami liczącymi 28 tys. ludzi dowodził gen. mjr Jonathan Wainwright. Na południu zaś znajdowały się dwie rezerwowe dywizje, czyli ogółem 15 tys. ludzi, którymi dowodził gen. mjr George M. Parker Jr. Rezerwę stanowiły: dywizja filipińska złożona z Amerykanów i filipińskich skautów oraz filipińska 91 Dywizja Piechoty (DP). Na wyspie były też dwa bataliony lekkich czołgów ze 108 wozami M3.

Pierwsze japońskie oddziały wylądowały 10 grudnia 1941 roku na północy Luzonu, w Gonzaga, Vigan i Aparri. Celem desantu było opanowanie istniejących już lotnisk i budowa nowych. Główne siły 14 Armii (43 tys. żołnierzy wspartych przez 80–100 czołgów) wylądowały natomiast 22 grudnia 1941 roku w Zatoce Lingayen na północno-zachodnim wybrzeżu Luzonu. Te wojska szybko przełamały opór filipińskiej 11 DP i nawiązały kontakt z oddziałami japońskimi, idącymi z północy.

Wkrótce na Luzonie wylądował kolejny desant. 7 tys. żołnierzy z 16 DP wysiadło na brzeg w Zatoce Lamon, w cienkim przesmyku, rozdzielającym Luzon na dwie części (tym samym wrogie oddziały znalazły się zaledwie 80 km od Manili). MacArthur, który szacował, że w Zatoce Lingayen wylądowało 80–100 tys. żołnierzy wroga, wydał rozkaz wycofania wszystkich wojsk na półwysep Bataan, między Zatoką Manilską a Morzem Południowochińskim. Oddziały MacArthura starały się opóźnić marsz wroga. Na północy zaplanowano pięć linii obronnych, na południe od Zatoki Lingayen. Również na południu wojska amerykańsko-filipińskie cofały się przed Japończykami i w końcu grudnia połączyły się z wojskami broniącymi Mani-

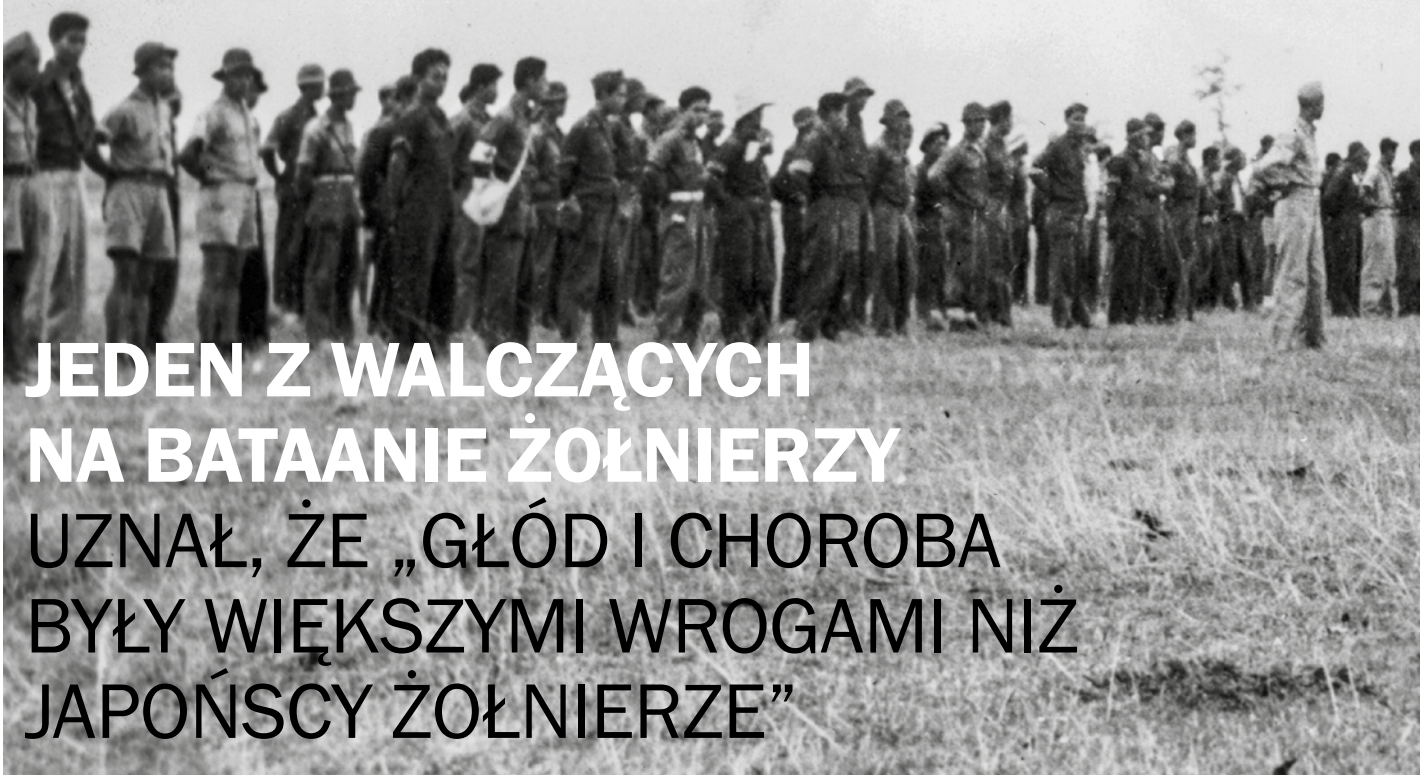

JEDEN Z WALCZĄCYCH NA BATAANIE ŻOŁNIERZY UZNAŁ, ŻE „GŁÓD I CHOROBA BYŁY WIĘKSZYMI WROGAMI NIŻ JAPOŃSCY ŻOŁNIERZE”

li od północy. Stolica Filipin, którą ogłoszono miastem otwartym, została 2 stycznia 1942 roku zajęta przez Japończyków.

POCZĄTEK HORRORU

Obrona Bataanu rozpoczęła się 7 stycznia 1942 roku. Na półwysep dotarło 16 tys. ludzi z sił północnych i 14 tys. z południowych. Górzysty, porośnięty dżunglą półwysep miał około 40 km długości i 32 km szerokości. MacArthur urządził nową kwaterę główną na wyspie Corregidor, podzielił swe wojska na dwa korpusy i dowództwo tyłów. Główna pozycja obronna półwyspu Bataan, linia Abucay–Mauban, miała 32 km. Jej zachodniego sektora bronił 1 Korpus gen. Wainwrighta, a wschodniego 2 Korpus gen. Parkera. Nie było ciągłej linii obrony, bo granicą obu sektorów był wulkaniczny szczyt Natib o wysokości 1287 m.

Pierwsze uderzenie na Bataan Japończycy przeprowadzili 9 stycznia 1942 roku. Najpierw zaatakowali 91 DP, a po kilku dniach 41 i 51 DP. I chociaż wówczas nie odnieśli większych sukcesów, to zdobyli wiedzę o pozycjach amerykańsko-filipińskich.

Oddziały amerykańsko-filipińskie musiały opuścić główną linię obrony i od 26 stycznia 1942 roku wojska MacArthura zajmowały nowe pozycje – na linii Bagac–Orion, liczącej 25,6 km długości. W ich rękach pozostała połowa półwyspu, czyli około 518 km^2. Japończycy, nie mogąc przełamać oporu obrońców, próbowali wysadzić desanty na tyłach ich wojsk. Dwa bataliony żołnierzy wylądowały w trzech miejscach na wybrzeżu od strony →

GRAF: MILITARIUM STUDIO/MD

NARA

Morza Wschodniochińskiego. Amerykanie i Filipińczycy jednak zniszczyli wrogie przyczółki. Tymczasem tysiąc japońskich żołnierzy przedarło się przez amerykańsko-filipińską obronę, ale szybko zostali okrążeni przez przeciwnika.

Gen. por. Masaharu Homma, dowódca 14 Armii, uznał pierwszą fazę bitwy o półwysep za zakończoną i 8 lutego rozkazał swym wojskom przejść do obrony. Japończyk czekał na posiłki. Dwa dni później japońskie najwyższe dowództwo postanowiło wysłać z Chin na Luzon 4 DP, w zamian za zabraną 14 Armii 48 DP. Armia Hommy potrzebowała wsparcia, bo między 6 stycznia a 1 marca 1942 roku wśród żołnierzy odnotowano 2700 zabitych i ponad 4 tys. rannych. 65 Brygada Piechoty (BP) w ciągu kilkunastu dni straciła na przykład w walce 1472 z 6651 żołnierzy. Około 10–12 tys. Japończyków zostało wyeliminowanych z walki przez malarię, beri-beri, dyzenterię i choroby tropikalne. W połowie lutego 14 Armia miała zatem tylko trzy zdolne do działania bataliony piechoty, a racje żywnościowe na Bataanie były zredukowane prawie o dwie trzecie. Homma po wojnie stwierdził, że w tym momencie Amerykanie i Filipińczycy bez problemu mogli odzyskać Manilę.

GŁÓD I CHOROBY

Obrońcy Bataanu byli w równie złej kondycji jak Japończycy, między innymi ze względu na braki w zaopatrzeniu. Zasoby żywności, paliwa, leków i amunicji zgromadzono z założeniem, że na półwyspie będzie się bronić 43 tys. żołnierzy. Tymczasem było ich około 80 tys. i 26 tys. cywilów. Zapasy żywności wystarczały dla 100 tys. osób tylko na 30 dni. A przedwojenne plany przewidywały, że odsiecz dla Bataanu nadejdzie dopiero po sześciu miesiącach. Co prawda na Corregidorze znajdował się prowiant na pół roku dla 10 tys. ludzi, ale nie można go było dostarczyć na półwysep. Już na początku stycznia obniżono zatem racje żywnościowe obrońców Bataanu o połowę, do 2 tys. kalorii. W warunkach pokojowych amerykański żołnierz dostawał dzienną porcję jedzenia o masie 2014 g, a Filipińczyk około 1814 g. Od 17 lutego taki przydział ważył 785,3 g, w tym 113,4 g mięsa.

W lutym 1942 roku podjęto próby przełamania japońskiej blokady, wysyłając statki z zaopatrzeniem z Australii i Jawy, ale tylko trzy dotarły do portów na południu Filipin. Niektóre zostały zatopione przez Japończyków, część zawróciła ze względu na niebezpieczeństwo. Trasa z południa była niedostępna, gdy Japończycy zajęli Holenderskie Indie Wschodnie, i ostatnią szansą na kontakt z Filipinami, zwłaszcza z Bataanem i Corregidorem, stały się okręty podwodne. W jedną stronę wiozły zaopatrzenie (w ten sposób dostarczono 53 t żywności oraz kilkadziesiąt ton amunicji i paliwa), a w drodze powrotnej ewakuowały wybrane osoby. Na Corregidorze lądowały też małe samoloty z zaopatrzeniem wysyłane z południa Filipin. I tak na przykład z ogromnych wojskowych magazynów na wyspie Cebu udało się dostarczyć na Corregidor trochę żywności i amunicji niewielkimi statkami i łodziami, ale wiele jednostek wykonujących te ryzykowne misje utracono.

Ze względu na problemy z wyżywieniem 15 marca 1942 roku na Bataanie zabito ostatnie konie kawaleryjskie. Jedzono też psy, muły i bawoły. Filipińscy rybacy dostarczali obrońcom świeże ryby. Żołnierze polowali na iguany, małpy i węże oraz poszukiwali dziko rosnących warzyw i owoców. Tyle że niezbyt dobrze znali się na roślinach, więc zdarzały się zatrucia, a nawet zgony. Z dnia na dzień zasoby w magazynach topniały i wartość kaloryczna racji spadła w marcu do tysiąca kalorii. Tymczasem według lekarza wojskowego z Luzonu człowiek w takich warunkach powinien otrzymywać jedzenie mające 3500–4000 kalorii. Pod koniec walk o Bataan dzienna racja zmniejszyła się nawet do 547,7 g dla każdego Amerykanina i 549,4 g dla Filipińczyka (w tym po 34 g mięsa). Wraz ze spadkiem przydziałów coraz częściej dochodziło do okradania ciężarówek przewożących żywność.

Żołnierzom dokuczał także brak papierosów. Oddziały frontowe dostawały tytoń tylko od czasu do czasu i dopiero na początku marca ustanowiono, że w tym wypadku przydział wyniesie pięć papierosów dziennie. Dla pozostałych był o wiele mniejszy. Szybko zatem zaczął rozwijać się czarny rynek i paczka papierosów osiągała cenę kilku dolarów. Tymczasem na Corregidorze było pełno wyrobów tytoniowych.

Na półwyspie niewystarczające były również zapasy umundurowania, które w tropikalnych warunkach szybko się niszczyło. Brakowało odpowiednich hełmów, koców, pałatek i moskitier. Buty Amerykanów nie pasowały na przykład na stopy Filipińczyków.

Na Bataanie żołnierze mieli kłopoty z medykamentami, zwłaszcza z chininą (potrzeby miesięczne szacowano na 3 mln tabletek). Nic dziwnego zatem, że zaczęli chorować na malarię. W pierwszym tygodniu marca odnotowywano po 500 przypadków zachorowania dziennie, a później jeszcze więcej. Zmęczeni, zestresowani i niedożywieni ludzie (niektórzy z Amerykanów stracili ponad 10 kg masy ciała) zapadali też na dengę, beri-beri, szkorbut czy dyzenterię. Brak środków medycznych i klimat sprzyjały rozwojowi gangreny u rannych. Jeden z walczących na Bataanie żołnierzy uznał, że „głód i choroba były większymi wrogami niż japońscy żołnierze".

PIEKIELNE UDERZENIE

W oczekiwaniu na posiłki siły japońskie kontynuowały ostrzał artyleryjski i lotnicze bombardowania półwyspu Bataan oraz znajdującego się w pobliżu jego wybrzeża silnie ufortyfikowanego Corregidoru. 12 marca 1942 roku MacArthur opuścił tę wyspę na pokładzie ścigacza, a później z Mindanao odleciał na pokładzie B-17 do Australii. Jego następcą został gen. mjr Jonathan Wainwright, ale MacArthur powierzył mu tylko oddziały broniące Bataanu i Corregidoru, bo zamierzał z Australii dowodzić całością sił na Filipinach. Później jednak Wainwright dostał trzecią gwiazdę i przejął dowodzenie wszystkimi wojskami na archipelagu.

Na początku kwietnia siły Luzonu (Luzon Force), którymi dowodził gen. mjr Edward P. King, liczyły 79,5 tys. żołnierzy, w tym 12,5 tys. Amerykanów. W tym czasie najliczniejsza z filipińskich dywizji (31 DP) miała 6,4 tys. ludzi, a najmniejsza (91 DP) zaledwie 2,5 tys. W 1 Korpusie było 32,6 tys. ludzi z 50 działami, a w 2 Korpusie około 28 tys. ludzi i 100 dział. Oba dysponowały jeszcze 31 działami morskimi, służącymi do obrony wybrzeża. Na poziomie armii było 27 armat polowych i artyleria przeciwlotnicza.

Tymczasem wzmocnieni przez 4 DP, 1 Brygadę Artylerii i grupę pułkową z 21 DP Japończycy szykowali ofensywę lądową na półwysep. Gen. Homma uważał, że 14 Armia będzie musiała przełamać trzy linie obrony obsadzone przez 40 tys. żołnierzy, co potrwa około miesiąca. Japoński dowódca sądził, że poza umocnieniami wzdłuż góry Samat znajduje się drugi

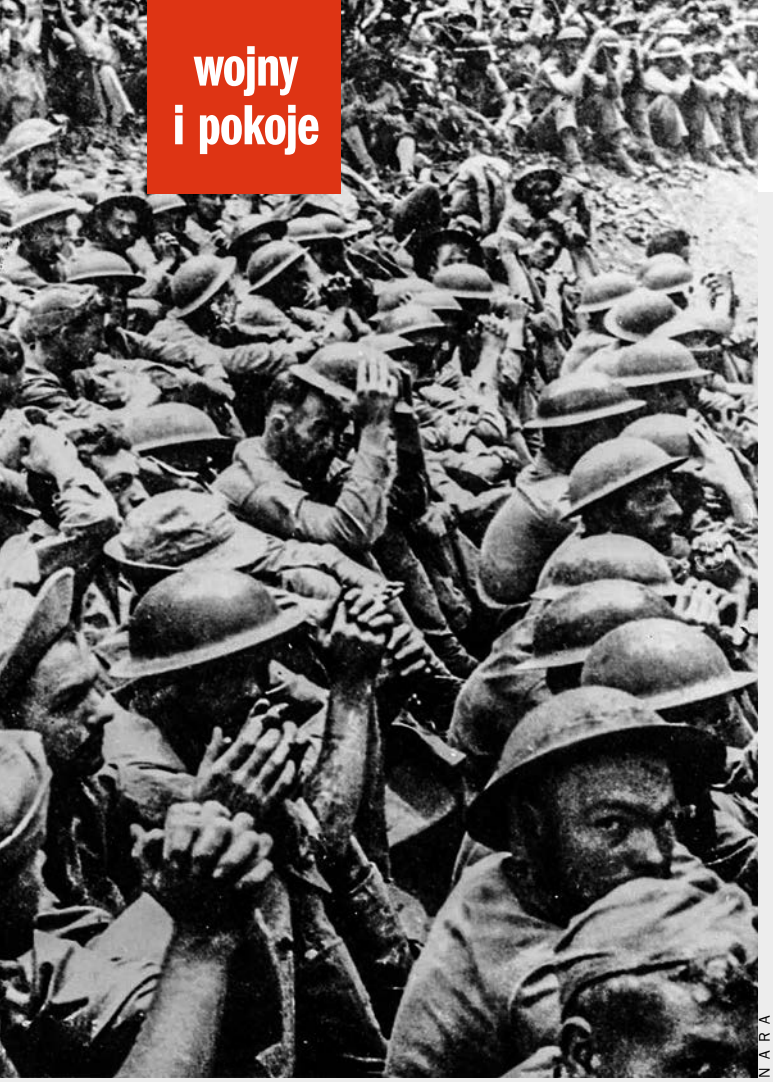

NARA

Z POWODU PROBLEMÓW Z WYŻYWIENIEM 15 MARCA 1942 ROKU NA BATAANIE ZABITO **OSTATNIE KAWALERYJSKIE KONIE**

pas obronny w rejonie góry Limay, a trzeci w pobliżu Mariveles na krańcu półwyspu.

3 kwietnia 1942 roku (Wielki Piątek) o godzinie 10.00 rozgrzmiały japońskie działa i moździerze. Nawała artyleryjska trwała, z jedną krótką przerwą, do 15.00. Jednocześnie nad Bataanem operowały japońskie samoloty, które tego dnia zrzuciły 60 t bomb. Główne uderzenie wymierzone w sektor obronny D, zajmowany przez filipińskie 21 i 41 DP z 2 Korpusu, przeprowadziły 4 DP i 65 BP, wsparte przez 7 Pułk Czołgów. Niebawem załamała się dyscyplina w 41 DP i żołnierze rozpoczęli bezładny odwrót na południe, ignorując rozkazy oficerów. Dowódca korpusu gen. Parker próbował ratować lewe skrzydło, rzuciwszy do walki ostatnie rezerwy. Kolejnego dnia znowu natarcie piechoty i czołgów 14 Armii poprzedził ostrzał artyleryjski i bombardowania. Ze swych pozycji obronnych została wyparta 21 DP i Japończycy weszli w głąb półwyspu. Następnie ich oddziały niespodziewanie podeszły pod stanowisko dowodzenia filipińskiej dywizji. W chaotycznej walce do niewoli dostał się dowódca, gen. bryg. Mateo M. Capinpin. Po trzech dniach walk 21 i 41 DP zostały rozbite.

6 kwietnia obrońcy Bataanu podjęli próbę kontrataku, by odzyskać utracone pozycji. Do walki rzucono ostatnie rezerwy. Japończycy kontynuowali ofensywę i uderzyli na sektor obronny C 2 Korpusu. Okrążyli i zniszczyli resztki 21 DP oraz przecięli na pół sektor D. Po czwartym dniu walk sytuacja obrońców była katastrofalna. Japońskie wojska były już 6,5 km na południe od głównej ich pozycji. Część jednostek filipińskich została rozbita. Japończycy wbili się klinem między 1 i 2 Korpus. Zagrożone okrążeniem oddziały musiały wycofać się na południe.

W następnych dniach gen. Wainwright i dowódca sił na półwyspie Bataan gen. mjr Edward P. King szukali sposobu na powstrzymanie Japończyków. Wśród obrońców, będących pod ciągłym ogniem, coraz bardziej spadało morale. Żołnierze dezerterowali, porzucali broń i wyposażenie. 2 Korpus przestał istnieć jako jednostka bojowa. Wainwright 8 kwietnia rozkazał 1 Korpusowi nacierać w kierunku Olongapo. Jego dowódca, gen. mjr Albert Jones, odmówił jednak. Powiedział gen. Kingowi, że stan jego żołnierzy nie pozwala na ruszenie do natarcia. Zwrócił też uwagę, że oddziały wykonują właśnie wcześniejszy rozkaz odwrotu. Gen. Wainwright 8 kwietnia poinformował MacArthura, że „sytuacja taktyczna szybko się pogarsza, a ludzie są tak osłabieni przez głód i choroby, że nie mają siły stawiać oporu".

Gen. King rozpoczął rozmowy z Japończykami o kapitulacji. 9 kwietnia 1942 roku poddał się wraz z 71 tys. żołnierzy, w tym 11 tys. amerykańskich. Kilkanaście tysięcy jeńców było rannych, a większość chorowała. Japończycy zaś urządzili im – w upale, bez wody i jedzenia – dziewięciodniowy przemarsz do obozów. Na około 100-kilometrowej trasie zmarło lub zostało zamordowanych 710 tys. jeńców. Wcześniej Japończycy zabili kilkuset filipińskich oficerów i podoficerów.

Ostatnim punktem oporu w rejonie Luzonu pozostał Corregidor, gdzie udało się przedostać 2 tys. obrońców Bataanu, ale jego los też był przesądzony. Co prawda gen. MacArthur zabiegał o jak najszybszą odsiecz dla żołnierzy na Filipinach, ale z Waszyngtonu nadeszła odpowiedź, że jest to niewykonalne. Zresztą już w planach sprzed 7 grudnia 1941 roku Departament Wojny brał pod uwagę taką możliwość, że terytoria amerykańskie na Pacyfiku, takie jak wyspy Guam i Wake czy Filipiny, znajdą się pod japońską okupacją. ■

LIBRARY OF CONGRESS (3)

ANDRZEJ FĄFARA

Przypadki generała Pershinga

Legenda o bohaterze Stanów Zjednoczonych, który został pogromcą terrorystów.

Amerykański prezydent Barack Obama, wygłaszając niedawno orędzie noworoczne, powiedział, że większe kraje nie mogą zastraszać mniejszych. Miał głównie na myśli postępowanie Rosji wobec Ukrainy. Był jednak czas w historii USA, że podobne stwierdzenie nigdy by nie przeszło amerykańskiemu przywódcy przez usta. Gdy ponad 100 lat temu lokatorami Białego Domu byli William McKinley, a potem Theodore Roosevelt, Stany Zjednoczone podejmowały działania całkowicie odwrotne do tego, o czym mówił obecny prezydent USA.

PRZYJACIEL WROGIEM

Doświadczyli tej polityki między innymi Filipińczycy, którym na przełomie XIX i XX wieku przyszło walczyć o wolność z potężnymi Amerykanami. Skąd obecność Stanów Zjednoczonych w tej części świata? Wojska USA zajęły Filipiny w wyniku zwycięskiej, prowadzonej od kwietnia do sierpnia 1898 roku, wojny z Hiszpanią, która władała dalekowschodnim archipelagiem od XVI wieku. W efekcie tej batalii, która toczyła się głównie na morzu, Amerykanie uzyskali dominację nie tylko na Filipinach, lecz także na Kubie. Filipińczycy w tym samym mniej więcej czasie ogłosili niepodległość. Stany Zjednoczone nie chciały jednak tak łatwo tracić nowo pozyskanego terytorium. 4 lutego 1899 roku rozpoczęły więc wojnę z Filipinami.

Starcie amerykańsko-filipińskie było o tyle zaskakujące, że do niedawna władze USA wspierały wyspiarzy w dążeniu do niezawisłości. Pomagały filipińskiemu przywódcy Emiliowi Aguinaldo, Amerykanie dostarczali partyzantom broń. Wspólnym przeciwnikiem była wtedy Hiszpania. W nowej sytuacji punkt widzenia Jankesów zmienił się jednak diametralnie. Teraz nie chcieli już wolnych Filipin, lecz skolonizowanych. Emilio Aguinaldo z przyjaciela stał się wrogiem.

Pierwszym nieprzyjaznym krokiem było zablokowanie filipińskich oddziałów zmierzających do Manili. Zaraz potem rozgorzały walki. Argumentacja Amerykanów była taka sama, jaką stosowało wielu agresorów od zarania dziejów. Twierdzili, że chcą zaprowadzić spokój w ogarniętym anarchią kraju. Pierwsze ważne starcie miało miejsce nad rzeką San Juan w pobliżu Manili. Emilio Aguinaldo dysponował 12 tys. żołnierzy. Popełnił błąd, gdy stanął do otwartej bitwy z Amerykanami. Filipińczycy ponieśli sromotną klęskę – zginęło około 1500 ludzi. Amerykanie doliczyli się zaledwie 50 poległych.

Pierwsza faza wojny zakończyła się w drugiej połowie marca 1899 roku wraz z nastaniem pory deszczowej. Trzy miesiące później Amerykanie wysłali na Filipiny olbrzymi kontyngent, liczący 60 tys. żołnierzy. 10 czerwca rozpoczęli nową ofensywę. Będący w odwrocie Filipińczycy cały czas ponosili duże straty. Pod koniec 1899 roku Emilio Aguinaldo doszedł do wniosku, że tylko wojna partyzancka daje szanse na sukces w starciu z amerykańską potęgą. Filipiński przywódca chciał ponadto przeciągnąć walki do listopada 1900 roku, kiedy to miały się odbyć w USA wybory prezydenckie. Jednym z kandydatów był William Jennings Bryan, przeciwnik kolonizacji Filipin.

Plany te wzięły w łeb na całej linii. Nowym prezydentem został Theodore Roosevelt, a Aguinaldo 22 marca 1902 roku dostał się w ręce Amerykanów. Dziesięć dni później filipiński przywódca podpisał w Manili akt kapitulacji i uznał zwierzchnictwo Stanów Zjednoczonych. Wiele filipińskich oddziałów nie podporządkowało się jednak tym ustaleniom. Walki wciąż trwały. Dopiero 4 lipca 1902 roku prezydent Roosevelt mógł ogłosić oficjalnie zakończenie wojny z Filipinami.

Trwająca ponad trzy lata batalia była bardzo krwawa. Obie strony uciekały się do sposobów daleko wykraczających poza międzynarodowe konwencje. Amerykanie palili filipińskie wioski, zabijali mieszkańców. Tworzyli tzw. strefy bezpieczeństwa, w których gromadzili ludność cywilną i zmuszali ją do rozmaitych rygorów, w tym przestrzegania godziny policyjnej. Niesubordynację karali śmiercią. Wobec pojmanych żołnierzy filipińskich stosowali tortury, między innymi osławioną kurację wodną, polegającą na wtryskiwaniu wody do ust przesłuchiwanego.

Gdy trwała wojna, nikt o tych okrucieństwach nie wiedział. Dowództwo amerykańskie nie wpuszczało przedstawicieli Czerwonego Krzyża i dziennikarzy na tereny, gdzie toczyły się walki. Informacje o łamaniu prawa przeciekały w listach żołnierzy do rodzin. Dowództwo kontrolowało jednak korespondencję i rzadkie przypadki niedyskrecji karało z całą stanowczością.

Filipińczycy wcale nie byli Amerykanom dłużni. Oni też traktowali jeńców bez ceregieli. Głodzili ich i torturowali. Okaleczali wrogów, zdarzało się, że odcinali żołnierzom US Army genitalia. To oczywiście powodowało potworne represje ze strony Jankesów. Nie tylko wobec partyzantów, lecz także w stosunku do mieszkańców miast i wsi. W wojnie amerykańsko-filipińskiej straciło życie około 200 tys. cywilów.

POGROMCA TERRORYSTÓW

Oficjalnym obwieszczeniem Theodore'a Roosevelta dotyczącym zakończenia wojny nie przejęli się zupełnie muzułmanie zwani Moro, którzy zamieszkiwali wyspę Mindanao. Stali się na tyle dokuczliwi dla Amerykanów, że zadanie ostatecznego rozprawienia się z nimi otrzymał jeden z najwybitniejszych wojskowych USA, gen. John Pershing. Miał on chlubną przeszłość. Ukończył West Point, najsłynniejszą amerykańską uczelnię wojskową, gdzie przez pewien czas był instruktorem strategii. To z tamtego okresu pochodzi jego przydomek „Black Jack". Gwoli ścisłości, słuchacze West Point nazywali go pierwotnie „Nigger Jack" (Jack Czarnuch). Nie miało to związku z kolorem skóry – John Pershing był biały. Wynikało z niechęci do piekielnie wymagającego wykładowcy. Z biegiem czasu otoczenie złagodziło pseudonim i zaczęło nazywać generała „Black Jack".

Oddelegowanie Pershinga do walki z muzułmanami Moro nie było przypadkową decyzją. Generał był już wcześniej na wyspach, wziął udział w wojnie w latach 1899–1902. Wtedy jeszcze w stopniu majora. Wyróżnił się męstwem w bitwie nad rzeką Cagayan w 1901 roku. Wspomniany powrót na Filipiny miał miejsce w 1909 roku. Pershing został komendantem Fortu McKinley w pobliżu Manili. Spacyfikowanie walecznych muzułmanów Moro zajęło mu aż cztery lata.

OD JEGO NAZWISKA POCHODZĄ NAZWY CZOŁGU ORAZ POCISKÓW RAKIETOWYCH

To tamtego okresu dotyczy nieprawdziwa od początku do końca opowieść przedstawiająca Pershinga jako „pogromcę terrorystów". Generał miał ponoć powiedzieć, że „aby zniszczyć terrorystę, trzeba najpierw stać się terrorystą". Przed egzekucją 50 partyzantów Moro Pershing rozkazał rzekomo, by pociski, mające uśmiercić Filipińczyków, zostały zamoczone w świńskiej krwi. To miało uniemożliwić zabitym wyznawcom islamu trafienie do raju. Wykonano wyrok na 49 partyzantach, a jednego puszczono wolno, by opowiedział o tym, co się wydarzyło. Wśród muzułmanów Moro zapanowało podobno przerażenie. Od tamtej pory Amerykanie nie mieli już z nimi kłopotów.

OBALANIE MITU

Legenda zyskała ogromną popularność wśród bezkrytycznych internautów na całym świecie. To nic, że poważni historycy amerykańscy, a także biografowie Johna Pershinga stanowczo zaprzeczali jakoby takie wydarzenie miało kiedykolwiek miejsce. Internet się tym nie przejmuje, internet ma swoją wersję historii. Co ciekawe, powyższa opowieść pojawiła się po tragedii, do której doszło 11 września 2001 roku w Nowym Jorku. Wcześniej nie była znana, a może po prostu nie istniała.

John Pershing zrobił wielką karierę w armii USA. Miał ogromne dokonania podczas I wojny światowej. To głównie jemu armia amerykańska zawdzięcza sukcesy w Europie. Za swoje liczne zasługi został awansowany do stopnia pięciogwiazdkowego generała. Od jego nazwiska pochodzą nazwy czołgu oraz pocisków rakietowych.

W Polsce nie wszystkie skojarzenia ze słynnym generałem są aż tak pozytywne. Pseudonim „Pershing" nosił jeden z bossów gangu pruszkowskiego. Taką nazwę nadano też taniemu winu owocowemu. A na Filipinach? Tam John Pershing na pewno nie jest postacią stawianą na świeczniku. Jego działania sprawiły, że Filipińczycy czekali na niepodległość aż do 4 lipca 1946 roku, czyli dokładnie przez 44 lata od momentu ogłoszenia przez prezydenta Theodore'a Roosevelta końca wojny ze Stanami Zjednoczonymi. ■

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

ANNA DĄBROWSKA

Arteria armii

Dobra łączność stała się niezbędnym warunkiem dowodzenia.

Już przed wojną światową kierownictwa armii różnych państw zdawały sobie sprawę z ważnej roli oddziałów łączności przy prowadzeniu wojen", pisał płk Zygmunt Lenart 3 marca 1925 roku na łamach „Polski Zbrojnej". Jak przypominał, przed rokiem 1914 istniały w każdym państwie oddzielne formacje łączności pod nazwą baonów telegraficznych.

MELDUNKI I ROZKAZY

Oficer wyliczał, że po jednym takim pułku miały armia austriacko-węgierska, francuska, włoska, a dziewięć baonów wchodziło w skład armii niemieckiej. Wyjątek stanowiły wojska rosyjskie, których oddziały łączności były wcielone w baony saperskie – po dwie kompanie telegraficzne w każdym baonie, ogółem 76 kompanii telegraficznych.

„Doświadczenia pierwszych miesięcy wojny pokazały, że jedną z głównych przyczyn niepowodzeń był brak dostatecznej łączności między dowództwami a oddziałami walczącymi, skutkiem czego nie mogły one na czas otrzymać meldunków o położeniu oddziałów walczących na froncie oraz przesyłać szybko swych rozkazów", wyjaśniał płk Lenart.

Dlatego zaczęto wszędzie pomnażać ilość i stany oddziałów telegraficznych, ich wyposażenie, a także wciągać do pomocy wszelkie możliwe środki łączności. Liczba ludzi odkomenderowanych do oddziałów telegraficznych do roku 1917 zwiększyła się prawie dziesięciokrotnie – w Niemczech do 250 tys. ludzi, w Austrii do 180 tys.

„Stany te były za wielkie, by można je było wcielić do istniejących już innych rodzajów broni, wyłoniła się więc konieczność utrzymania wojsk łączności jako oddzielnego rodzaju broni tym bardziej, że różnorodność sprzętu technicz-

PITAWAL

Spór o rewolwer

Nadmierne przywiązanie do własności wpędziło szeregowego w kłopoty.

Szer. Stanisław Borkowski słynął z porywczego charakteru i ogromnego przywiązania do swojej własności. Miał z tego powodu zatargi w wojsku, ale kończyły się one najczęściej bez poważnych dla niego konsekwencji.

Po opuszczeniu armii Borkowski wrócił do rodzinnej wsi i został stangretem na folwarku pod Białą Podlaską. Niedługo potem poznał piękną dziewczynę z sąsiedztwa i postanowił się ożenić. Z tej okazji zaczął remontować i urządzać nowy dom dla rodziny. Niektóre meble zamówił u lokalnego rzemieślnika i sąsiada, niejakiego Stanisława Niedziałka.

Zapłacił mu część ceny, ale ponieważ nie miał całej sumy, był jeszcze dłużny stolarzowi 50 zł. Na poczet długu wręczył mu w zastaw swój rewolwer.

Po pewnym czasie Niedziałek, który nie mógł doczekać się zwrotu pieniędzy, chciał wyegzekwować należność, sprzedając zastawioną u niego broń. Dowiedział się o tym Borkowski i ze strachu, że straci rewolwer, postanowił zapobiec sprzedaży.

Najprostszym sposobem rozwiązania problemu byłby zwrot należnych pienię-

nego i osobny tabor wymagały odrębnej organizacji", czytamy w gazecie wojskowej. Tę oddzielność zachowały po zakończeniu wojny wszystkie armie. Nawet Rosja wyłączyła kompanie telegraficzne z dawnych baonów saperskich.

BROŃ POMOCNICZA

„Teraz jednak w polskiej armii pojawił się inny pogląd na zadanie i organizację wojsk łączności. Zdaniem części wojskowych nie należy utrzymać ich jako samodzielnego rodzaju wojsk, ale złączyć z pułkami saperów, kolejowymi i samochodowymi w jeden wspólny korpus techniczny", pisano w „Polsce Zbrojnej". Głównym argumentem zwolenników takiej organizacji była kwestia szkolenia. „Uważają oni, że za systemem centralnym przemawia ekonomia sił i środków oraz kwestia zachowania jedności szkolenia", wyjaśniał mjr Ignacy Niepołomski.

Jego zdaniem braki te można było uzupełnić w inny sposób, szczególnie pomocne miało być w tym centralne szkolenie oficerów. „Konieczne jest też stworzenie centrów szkolenia dla podnoszenia wiedzy technicznej i pogłębiania wiadomości kadry. Można wykorzystać do tego istniejące politechniki, szkoły przemysłowe, laboratoria i zakłady fabryczne na przykład w Warszawie czy Lwowie", pisał oficer.

„Wojska łączności z natury swojego zadania nie mogą pozostawać na uboczu, muszą stać się żywotną arterią wojska", popierał go płk Marian Jastrzębski. Jak dodawał, wymagają one zżycia się z innymi rodzajami wojska i ze sztabami dowództw, poznania zasad współdziałania podczas ćwiczeń i manewrów. „Ponadto dowódcom należy umożliwić praktyczne poznanie oddziałów łączności, przekonać ich, że aczkolwiek są one bronią pomocniczą, jednak konieczną i niezbędną, która może ułatwić im dowodzenie", stwierdzał płk Jastrzębski.

WOJSKOWA SPECJALIZACJA

Zdaniem oficera niewłaściwe jest skupienie wojsk łączności tylko w pewnych centrach. „Należy je dawać jak najbliżej jednostek dyspozycyjnych i dążyć do równomiernego podziału tych wojsk na poszczególne okręgi korpusów", popierał go mjr Niepołomski. Dlatego, jak uważał, należy utworzyć po jednym baonie łączności w każdym okręgu korpuśnym.

Płk Lenart dodawał z kolei, że w złączonych wojskach technicznych każdy ich rodzaj musi mieć swoje fachowe kierownictwo do spraw szkolenia i uposażenia. „Każda gałąź wiedzy wojskowej wymaga specjalizacji. Dlatego samo życie stworzyłoby we wspólnym korpusie wojsk technicznych oddzielne grupy oficerów i podoficerów w danej fachowej grupie", tłumaczył w wojskowym dzienniku.

Jak wyjaśniał, każda zmiana organizacji zmniejsza sprawność armii i powoduje zmiany w szkoleniu, a nasze wojsko nie może sobie pozwolić na żadne straty czasu. Także mjr Niepołomski uważał, że utrzymanie wojsk łączności jako samodzielnego rodzaju jest warunkiem zapewnienia im rozwoju.

„Jeśli jeszcze dla koordynacji spraw łączności w dziedzinie szkolenia i przygotowania mobilizacyjnego utworzymy stanowisko inspektora wojsk łączności przy generalnym inspektorze armii, to będzie to najbardziej celowa organizacja", stwierdzał oficer. ■

POLSKA ZBROJNA
10 groszy
WARSZAWA
ORGAN POŚWIĘCONY SPRAWOM OBRONY PAŃSTWA

POLSKA ZBROJNA
20 MARCA 1936 ROKU

GEN. DYW. GUSTAW ORLICZ-DRESZER, INSPEKTOR ARMII:

Już na kilka lat przed wybuchem wojny światowej ludzie przenikliwiej patrzący zdawali sobie sprawę z jej nieuchronnego zbliżania się. Licząc się z tym i przewidując, że tylko w czasie powszechnej wojny interesy polskie będzie można popchnąć na tory niepodległości Józef Piłsudski stworzył związki wojskowe, które w nadchodzącej wojnie w interesie wolnej Polski wzięły udział.

Ogłoszenia retro:

dzy. Widocznie jednak Borkowski nie miał gotówki, gdyż wzbraniał się przed oddaniem długu swojemu wierzycielowi. „Zamiast tego zdecydował się na krok nie licujący z godnością uczciwego człowieka. Wtargnął mianowicie do mieszkania Niedziałka zabierając mu rewolwer siłą", opisywano w marcu 1938 roku w „Polsce Zbrojnej".

Opanowany uczuciem nienawiści, a nade wszystko chęcią zemsty Niedziałek doniósł policji, że jego sąsiad przechowuje broń bez zezwolenia. Policja przeprowadziła rewizję w mieszkaniu Borkowskiego i znalazła rewolwer, na który nie miał on pozwolenia.

Zdenerwowany pozbawieniem swej własności Borkowski poszedł na obchodzone tego dnia hucznie na folwarku dożynki. „Z rozpaczy pił, a na poprawiny po opuszczeniu zabawy udał się do kumów, gdzie również za kołnierz nie wylewano", podawano w dzienniku wojskowym.

Była już późna godzina, gdy postanowił rozliczyć się ostatecznie z Niedziałkiem. Wraz z przyjaciółmi udał się w kierunku jego domu. Gdy się zbliżyli, zawołał „Choć do sieni to się porachujemy".

Ponieważ jednak Niedziałkowi wcale nie było spieszno do bijatyki, zniecierpliwiony Borkowski wyciągnął kolejny pistolet, którego policja u niego nie znalazła, i strzelił doń dwukrotnie, kładąc go trupem na miejscu. Sąd skazał mściwego szeregowego na cztery lata ciężkiego więzienia, a sąd apelacyjny wyrok zatwierdził. ■

POLSKA
ZBROJNA

PRENUME-RATA: 9 WYDAŃ (OD NR 4 DO 12)

ZAMÓW PRENUMERATĘ NA 2015 ROK

e-mailem: prenumerata@zbrojni.pl
listownie: Wojskowy Instytut Wydawniczy, 00-909 Warszawa, Aleje Jerozolimskie 97
telefonicznie: +4822 684 04 00

Warunkiem rozpoczęcia wysyłki jest wpłata 58,50 zł do 10 kwietnia 2015 roku
na konto: 23 1130 1017 0020 1217 3820 0002

ANDRZEJ FĄFARA

Święto olbrzymów

Żołnierze wyklęci" to nazwa spopularyzowana całkiem niedawno, już w wolnej Polsce. Upowszechnił ją były redaktor naczelny „Polski Zbrojnej" Jerzy Ślaski, który tak właśnie zatytułował jedną ze swoich książek. W czasach PRL-u władza uważała żołnierzy podziemia za bandytów, ludzi wyjętych spod prawa. Na słynnym plakacie z 1945 roku zostali „poetycko" nazwani zaplutymi karłami reakcji.

Autorem tego dzieła był Włodzimierz Zakrzewski, artysta urodzony w Petersburgu i wykształcony w Moskwie. Gdy tworzył wspomniany plakat, miał 29 lat. Ciekawe swoją drogą, czy sam wpadł na pomysł z zaplutym karłem, czy podsunął mu go jakiś ówczesny propagandzista. Źródłem inspiracji mogło być – o ironio – przemówienie Józefa Piłsudskiego z 1923 roku, który zaplutym karłem nazwał jednego ze swoich politycznych przeciwników, Stanisława Strońskiego, człowieka rzeczywiście mikrej postury.

Tak czy inaczej plakat stał się początkiem szybkiej kariery Włodzimierza Zakrzewskiego, który przez pewien czas był nawet profesorem Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Wsławił się ponadto dziełem pod znamiennym tytułem „Towarzysz Bierut wśród robotników". Po październikowej odwilży w 1956 roku Zakrzewski z socrealisty przekwalifikował się na postimpresjonistę. Jeździł po Europie i malował pejzaże. Zmarł w 1992 roku w Warszawie.

Tuż po zakończeniu wojny „zaplutych karłów" było, wedle różnych szacunków, 120–180 tys. Należeli do Armii Krajowej, Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość", Narodowych Sił Zbrojnych i wielu innych organizacji, które nie chciały uznać sowieckich wpływów w Polsce. Byli przez komunistyczne władze ścigani, więzieni i zabijani. Jako ostatni poległ sierż. Józef Franczak pseudonim „Lalek", zastrzelony jesienią 1963 roku – a zatem 18 lat po wojnie! – we wsi Majdan Kozic Górnych na Lubelszczyźnie.

Minęło trochę czasu, zanim wolna Polska na trwałe uhonorowała sierż. Franczaka oraz jemu podobnych. O ustanowienie święta żołnierzy wyklętych zabiegały organizacje kombatanckie od 2009 roku. Z inicjatywą ustawodawczą wystąpił prezydent Lech Kaczyński, podtrzymał ją jego następca, Bronisław Komorowski. Co ciekawe, podczas głosowania w Sejmie ośmiu posłów było przeciw, trzech się wstrzymało.

Pierwszy Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych pojawił się w kalendarzu 1 marca 2011 roku. Mało kto z uhonorowanych dożył tej chwili. Jeśli nie rozprawiła się z nimi władza ludowa, to zniszczenia dokonała biologia. Data 1 marca nie jest przypadkowa. Tego dnia w 1951 roku wykonano w więzieniu na Rakowieckiej w Warszawie wyrok na siedmiu żołnierzach WiN, między innymi na ppłk. Łukaszu Cieplińskim, o którym w „Polsce Zbrojnej" pisano w 2012 roku.

Pełna nazwa plakatu Włodzimierza Zakrzewskiego brzmiała: „Olbrzym i zapluty karzeł reakcji". W roli olbrzyma artysta obsadził żołnierza ludowego Wojska Polskiego, który na rysunku biegnie z gotową do strzału bronią i przytłacza mikrego przedstawiciela podziemia. Historia odmieniła artystyczną wizję Zakrzewskiego o 180 stopni. ■

MAŁO KTÓRY Z ŻOŁNIERZY WYKLĘTYCH DOŻYŁ SWOJEGO ŚWIĘTA. JEŚLI NIE ROZPRAWIŁA SIĘ Z NIMI WŁADZA LUDOWA, TO ZNISZCZENIA DOKONAŁA BIOLOGIA

Wraz z pojawieniem się koncepcji wojsk spadochronowych desantowanych w głębi wrogiego terytorium pojawiło się pytanie, jak dostarczyć im broń ciężką. Jeden z pomysłów na rozwiązanie tego problemu przedstawił w 1932 roku amerykański wynalazca John Walter Christie. Otóż zaproponował on, by do czołgu, który był modyfikacją wozu M.1932, podpiąć skrzydła wraz z silnikiem. Christie chciał, aby układ bieżny składał się z czterech podwójnych dużych kół nośnych, koła kierunkowego i napędowego oraz gąsienicy. Po odpięciu tej ostatniej konstrukcja amerykańskiego inżyniera stawała się pojazdem kołowym. Głównym uzbrojeniem latającego czołgu Christiego miała być zamontowana z przodu kadłuba krótkolufowa armata kalibru 75 mm, dodatkową bronią – karabin maszynowy. Według pisma „Modern Mechanics" z lipca 1932 roku w maszynie przewidywano miejsce dla dwuosobowej załogi. Najbardziej niezwykłymi osiągami M.1932 była prędkość – 96 km/h na gąsienicach i aż 160 km/h na kołach. Koncepcja latającego czołgu Christiego nie została jednak przetestowana w powietrzu.

Amerykanin miał też inne pomysły na desantowanie ciężkich maszyn z powietrza, jak na przykład M.1933 (układ bieżny z dwoma kołami nośnymi) podwieszony pod kadłubem bombowca. Inne podobne pojazdy Johna W. Christiego skończyły na poziomie prototypów czy jedynie rysunków.

PIERWSI – ROSJANIE

Ani zawieszenie, ani czołgi projektu Christiego nie zyskały większego zainteresowania rodaków. Znacznie bardziej doceniono pomysły amerykańskiego konstruktora w Związku Sowieckim, Wielkiej Brytanii i Polsce. W pierwszym z państw już w 1932 roku uruchomiono seryjną produkcję lekkich czołgów szybkobieżnych z serii BT. Sowieci mogli to zrobić, bo nielegalnie, bez zgody władz Stanów Zjednoczonych, kupili od Christiego dwa eksperymentalne kołowo-gąsienicowe czołgi M.1930.

Ponadto jako pierwsi zaczęli w okresie międzywojennym rozwijać wojska powietrznodesantowe, więc zainteresowali się nie tylko zawieszeniem projektu Christiego, lecz także jego pomysłem na przerzut ciężkiego uzbrojenia drogą lotniczą. Pierwszym rozwiązaniem, które postanowili wypróbować, był transport pojazdów bojowych podwieszonych pod kadłubem bombowca. Testowano zatem zrzuty takiego sprzętu do wody – na spadochronach i bez nich.

Prawdopodobnie jedyny przypadek zrzutów pojazdów pancernych z samolotów bez spadochronów podczas II wojny światowej miał miejsce przy okazji zajmowania przez Związek Sowiecki rumuńskiej Besarabii między 28 czerwca i 4 lipca 1940 roku. Wtedy z wysokości kilku metrów bombowce TB-3 (według niektórych publikacji też starsze TB-1) zrzuciły lekkie czołgi pływające T-37. Użycie bojowe obnażyło kluczową słabość takiego rozwiązania. Otóż maszyny zrzucano bez załóg. Żołnierze skakali oddzielnie i potem musieli dotrzeć do swych pojazdów.

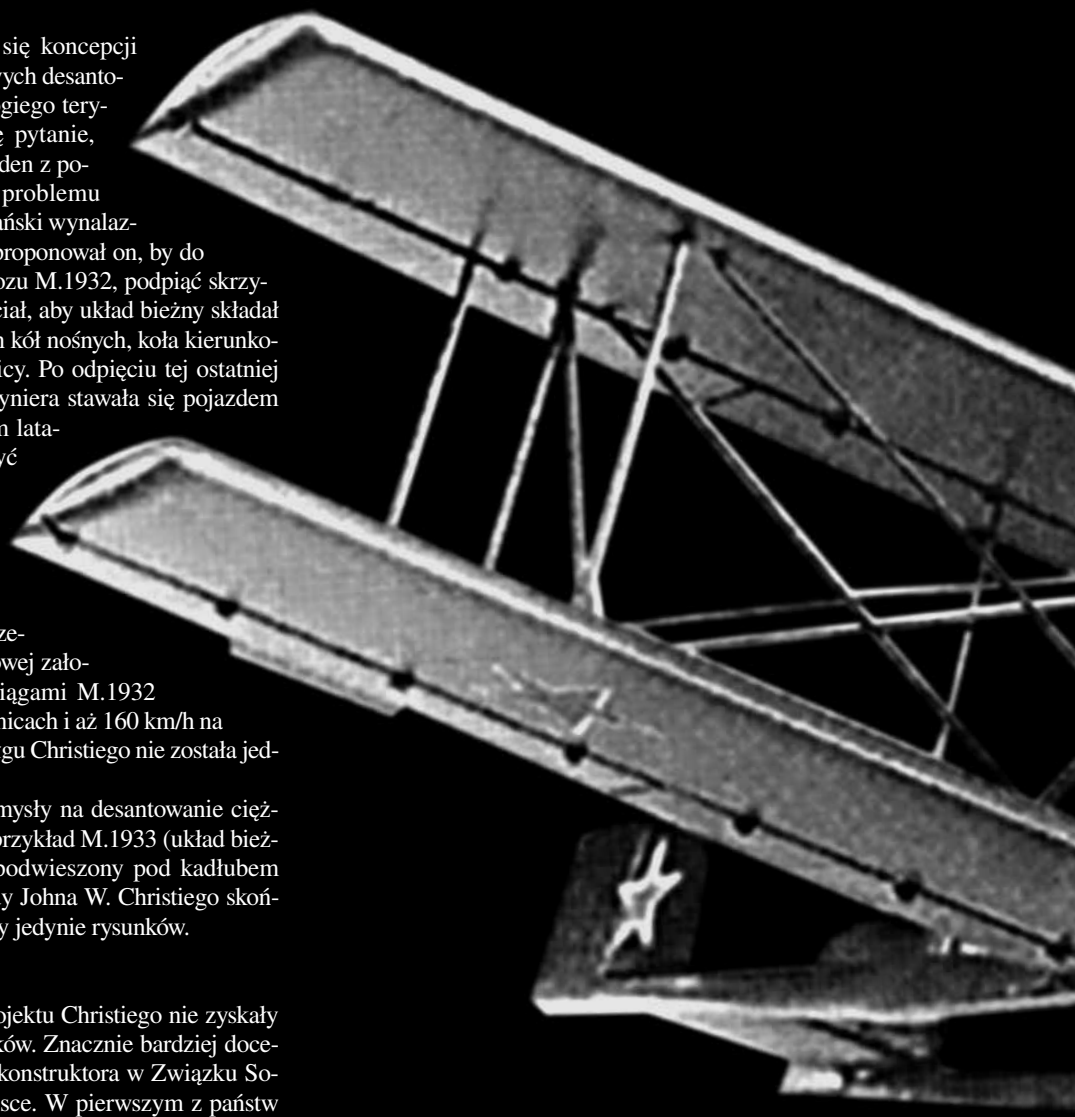

Płatowiec powstał w kwietniu 1942 roku w Związku Radzieckim, w Tiumeniu.

Antonow A-40 KT

Dlatego już w trakcie wojny z Niemcami, w grudniu 1941 roku, Sowieci odkurzyli pomysł Johna Waltera Christiego – postanowili dodać czołgom skrzydła. Podstawą konstrukcji był nowy lekki czołg T-60. Dwuosobowy wóz, uzbrojony w 20-milimetrową armatę i karabin maszynowy, ważył 5,8 t. Projektujący latający czołg Oleg Antonow postanowił dopiąć do T-60 dwupłatowe skrzydła z dwubelkowym ogonem i podwójnym usterzeniem. Zestaw ten miał konstrukcję drewnianą pokrytą płótnem. W odróżnieniu od zamysłu Christiego, sowiecki konstruktor nie przewidział silnika. Jego skrzydlaty czołg (krylia tanka), który otrzymał oznaczenie A-40, miał być szybowcem

TADEUSZ WRÓBEL

USKRZYDLONE OLBRZYMY

Potężny śmigłowiec desantowo-szturmowy Mi-24 nazywano latającym czołgiem. Kilkadziesiąt lat wcześniej próbowano jednak przypiąć skrzydła prawdziwym czołgom.

wyciąganym w powietrze przez bombowiec TB-3, a następnie – po odpięciu się od holującego go samolotu w rejonie desantu – lądowałby na ziemi jak szybowiec. Po demontażu skrzydeł T-60 w ciągu kilku minut miał być gotowy do walki.

Płatowiec powstał w kwietniu 1942 roku w Tiumeniu, gdzie ewakuowano biuro projektowe. Jeszcze przed pierwszym lotem pojawił się problem, jakim była zbyt duża masa zestawu z czołgiem. Udało się obniżyć ją do 6,7 t, ale kosztem zmniejszenia ilości amunicji i paliwa, a nawet usunięcia wieży. Problem jednak powrócił w trakcie pierwszego startu 2 września 1942 roku z lotniska w okolicach Moskwy. Okazało się, że bombowiec TB-3 ma niewystarczającą siłę, by móc holować A-40 KT. Przy pełnej mocy silników prędkość wyniosła 130 km/h i maszyna zdołała wznieść się na wysokość tylko 40 m. Z powodu przeciążenia, które groziło katastrofą, latający czołg odłączono. Wtedy A-40 KT, pilotowany przez sowieckiego eksperymentalnego pilota wojsk powietrznodesantowych Siergieja Nikołajewicza Anochina, wylądował na polu obok lotniska. Po odpięciu skrzydeł i ogona czołg powrócił do bazy lotniczej. Brak odpowiednich samolotów do holowania A-40 KT zaważył na jego dalszych losach. Co prawda, uważa się, że mogły temu podołać nowocześniejsze niż TB-3 bombowce Petlakow Pe-8 (wcze- →

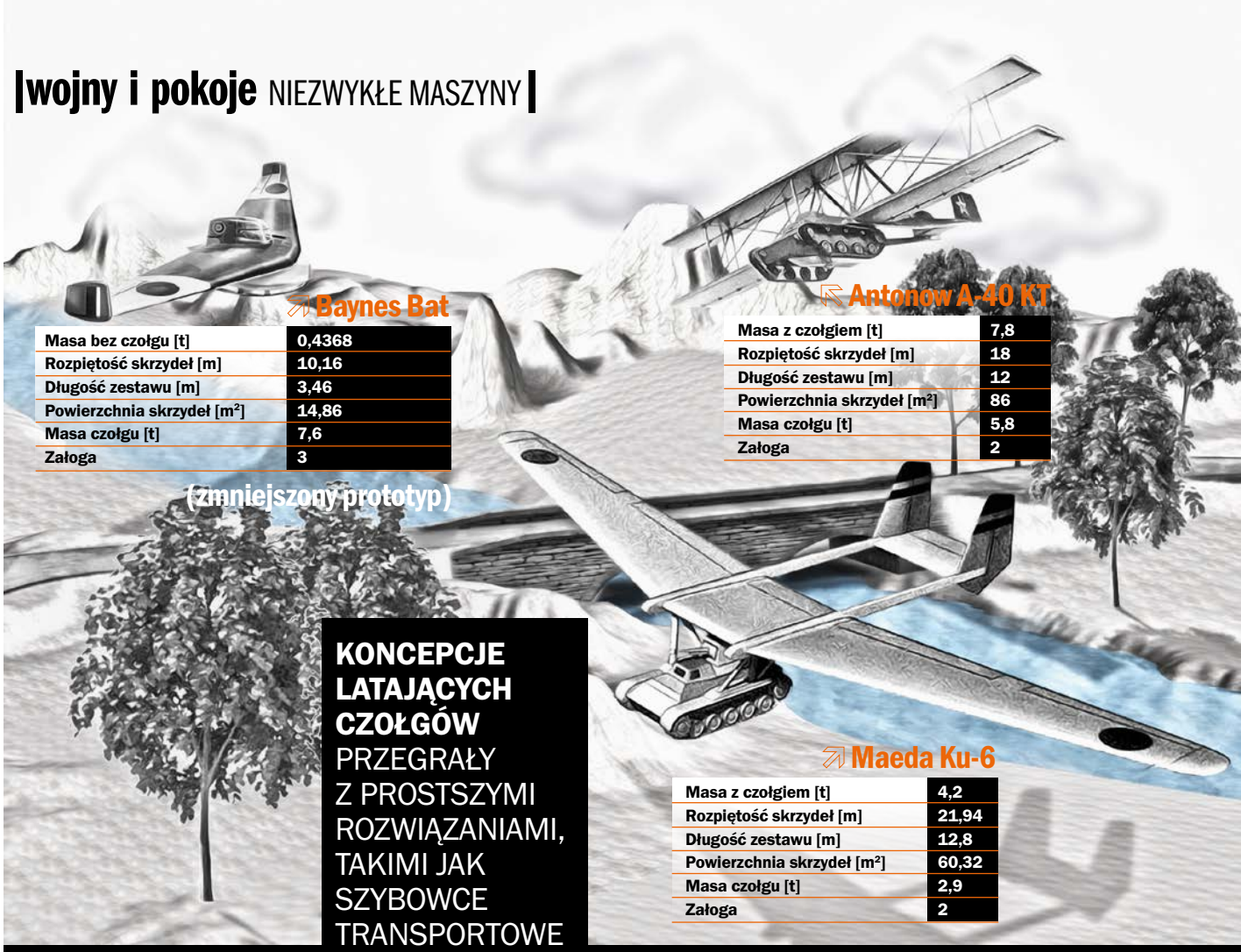

MILITARIUM STUDIO PK/TUPOLEV/MAEDA

KONCEPCJE LATAJĄCYCH CZOŁGÓW PRZEGRAŁY Z PROSTSZYMI ROZWIĄZANIAMI, TAKIMI JAK SZYBOWCE TRANSPORTOWE

śniej noszące oznaczenie TB-7), ale lotnictwo sowieckie miało zbyt mało tych maszyn. Do tego zaprzestano produkcji T-60. Projekt został zatem anulowany w lutym 1943 roku.

ANGIELSKI NIETOPERZ

W trakcie II wojny światowej uskrzydlić czołgi próbował angielski konstruktor szybowców Leslie Everett Baynes, który w tym czasie był doradcą firmy Alan Mutz & Co. na lotnisku w Heston. W 1941 roku również zaproponował skonstruowanie skrzydeł o rozpiętości 30 m, które przekształciłyby czołg w szybowiec. Owa koncepcja jest znana jako Baynes Bat (Nietoperz Baynesa). Latające skrzydło miało pozwolić dostarczyć na pole bitwy pojazd o masie do 8,5 t. Warunki te spełniał lekki czołg Mark VII Tetrarch. Ważył 7,6 t, a jego uzbrojenie składało się z 40-milimetrowej armaty i karabinu maszynowego. Podobnie jak A-40 KT, powstał tylko jeden prototyp Baynes Bat, zbudowany przez Slingsby'ego Sailplanesa, i to w trzy razy mniejszej skali niż docelowa maszyna. W odróżnieniu od sowieckiej konstrukcji, wykonał on wiele lotów próbnych, podczas których za sterami w większości zasiadał kpt. Robert Kronfeld. Pierwszy taki lot miał miejsce w lipcu 1943 roku z lotniska Sherburn-in-Elmet w Yorkshire. Niestety jeden z członków załogi musiałby być równocześnie pilotem. To było trudne i kosztowne rozwiązanie.

Brytyjczycy postawili ostatecznie na bardziej klasyczną formę dostarczenia na pole bitwy czołgów i innego ciężkiego uzbrojenia wojsk powietrznodesantowych. Otóż wykorzystali duży szybowiec General Aircraft Limited GAL.49 Hamilcar, w którego wnętrzu umieszczono Tetrarcha. Tymi maszynami przerzucono podczas lądowania w Normandii 6 czerwca 1944 roku 20 czołgów należących do pułku rozpoznawczego 6 Dywizji Powietrznodesantowej. Także Niemcy postawili na potężne szybowce, jak Me 321 Gigant, w których mieściły się ciężkie pojazdy.

OSTATNIA PRÓBA

Poza Europą prace nad latającym czołgiem prowadzono na zlecenie Cesarskiej Armii w Japonii. Ich początek sięga 1939 roku. Niestety nie przetrwało zbyt wiele informacji o tym programie. Według koncepcji japońskiej, do czołgu postanowiono doczepić skrzydła i belkę ogonową. Ogon miał mieć kształt litery T. Sporym ograniczeniem był udźwig. Dlatego na potrzeby tego projektu zakłady Mitsubishi zaprojektowały specjalny lekki czołg Ku-Ro nr 3 o masie poniżej 3 t. Była to zatem raczej słabo opancerzona tankietka. Alternatywnie Ku-Ro mógł być uzbrojony w armatę kalibru 37 mm, miotacz ognia i ciężki karabin maszynowy. Pierwszy i ostatni prototyp latającego czołgu Maeda Ku-6 był gotowy w styczniu 1945 roku, ale nie został przetestowany w powietrzu. W tym czasie Japonia przegrywała wojnę na Pacyfiku i nie była w stanie prowadzić zaczepnych operacji powietrznodesantowych, w których mógłby być wykorzystany Ku-6.

Koncepcje latających czołgów okazały się bardzo skomplikowane w realizacji i przegrały z prostszymi rozwiązaniami, takimi jak szybowce transportowe. Te z kolei z czasem zostały zastąpione przez potężne samoloty transportowe. ■

WŁODZIMIERZ KALETA

Kara nagrodą

Jarosław Więckowski zakończył służbę wojskową w 2000 roku w stopniu kaprala. Zostałby najpewniej żołnierzem zawodowym, gdyby miał dobrą opinię. A byłoby tak, gdyby nie pewien absurd, którego nawet Szwejk by nie wymyślił.

Po latach Więckowski postanowił opowiedzieć swoją historię. Dotyczy ona czasów, w których armia nie cieszyła się sympatią młodych ludzi. W koszarach wiało nudą, bo z braku pieniędzy żołnierze rzadko wychodzili na strzelnice i wyjeżdżali na poligony. Służbę wypełniało im najczęściej robienie porządków. W wojsku w tym czasie gwałtownie wzrosła liczba samowolnych oddaleń. Dowódcy czuli się wobec tej plagi bezradni. Najczęściej, aby uniknąć „opeeru" za brak dyscypliny w pododdziale, starali się nie dostrzegać samowolek.

Robił tak również Więckowski. On jednak, w przeciwieństwie do kadry, znał przyczynę żołnierskich ucieczek z koszar i rozumiał ich motywy. Zgodnie ze starym powiedzeniem, że kto ma miękkie serce, ten musi mieć twardą inną część ciała, Więckowski odpokutował za tolerowanie braku dyscypliny w drużynie. Kiedy pod koniec służby szedł do raportu karnego do dowódcy batalionu, miał już na koncie dwie nagany za lewizny swoich żołnierzy. Aby uniknąć trzeciej, postanowił podzielić się z „wodzem" sekretem związanym z samowolkami. Niewiele to dało, ale, jak wspomina, mina oficera była bezcenna.

Żołnierze uciekali z koszar, bo im się to opłacało. Taki absurd. Zawiniło prawo. Służba z poboru była systematycznie skracana. Za czasów Więckowskiego trwała tylko dziewięć miesięcy. Problem tkwił w tym, że zgodnie z ówczesnymi przepisami zasiłek dla bezrobotnych, słynną „kuroniówkę", mogła otrzymać osoba, która przepracowała wcześniej co najmniej rok. W urzędach służba była traktowana tak samo jak praca. Odmawiano zatem „kuroniówki" rezerwistom, którzy służyli w wojsku tylko dziewięć miesięcy. Tymczasem dla odchodzących do cywila zasiłek wypłacany przez pół roku, a często nawet przez rok, był ważnym wsparciem na początku nowego życia. Pozwalał przetrwać trudny czas poszukiwania pracy.

Prawo regulujące zasady odbywania skróconej służby zawierało zapis, że żołnierzom niezdyscyplinowanym, karanym aresztem dowódca może przedłużyć służbę do pełnych 12 miesięcy. Wielu z nich zdecydowało się skorzystać z tej furtki, by po zdjęciu munduru nie mieć problemów z zasiłkiem. Uciekali z koszar z absurdalną wręcz w normalnej służbie nadzieją na karę.

I tak Więckowski wrócił od dowódcy batalionu z kolejną karą. Na kontrakt pozwalający mu pozostać w służbie nie miał już szans. W pierwszy piątek po raporcie wyjechał do domu. Bez przepustki. ■

W CIĄGU KILKU MIESIĘCY Z DOBREGO ŻOŁNIERZA STAŁ SIĘ JEDNYM Z NAJGORSZYCH PODOFICERÓW W KOMPANII

PPŁK W ST. SPOCZ. WŁODZIMIERZ KALETA SŁUŻYŁ W 7 ŁUŻYCKIEJ DYWIZJI DESANTOWEJ.

Lekkie czołgi 7 TP brały udział w kampanii wrześniowej w 1939 roku. Obok tankietek TK-3 i TKS były podstawową bronią pancerną polskiej armii.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

HISTORIA BEZ KOMPLEKSÓW

Chociaż teren, na którym powstaje Muzeum II Wojny Światowej, przypomina plac budowy, w jego zbiorach znajduje się już ponad 30 tys. eksponatów.

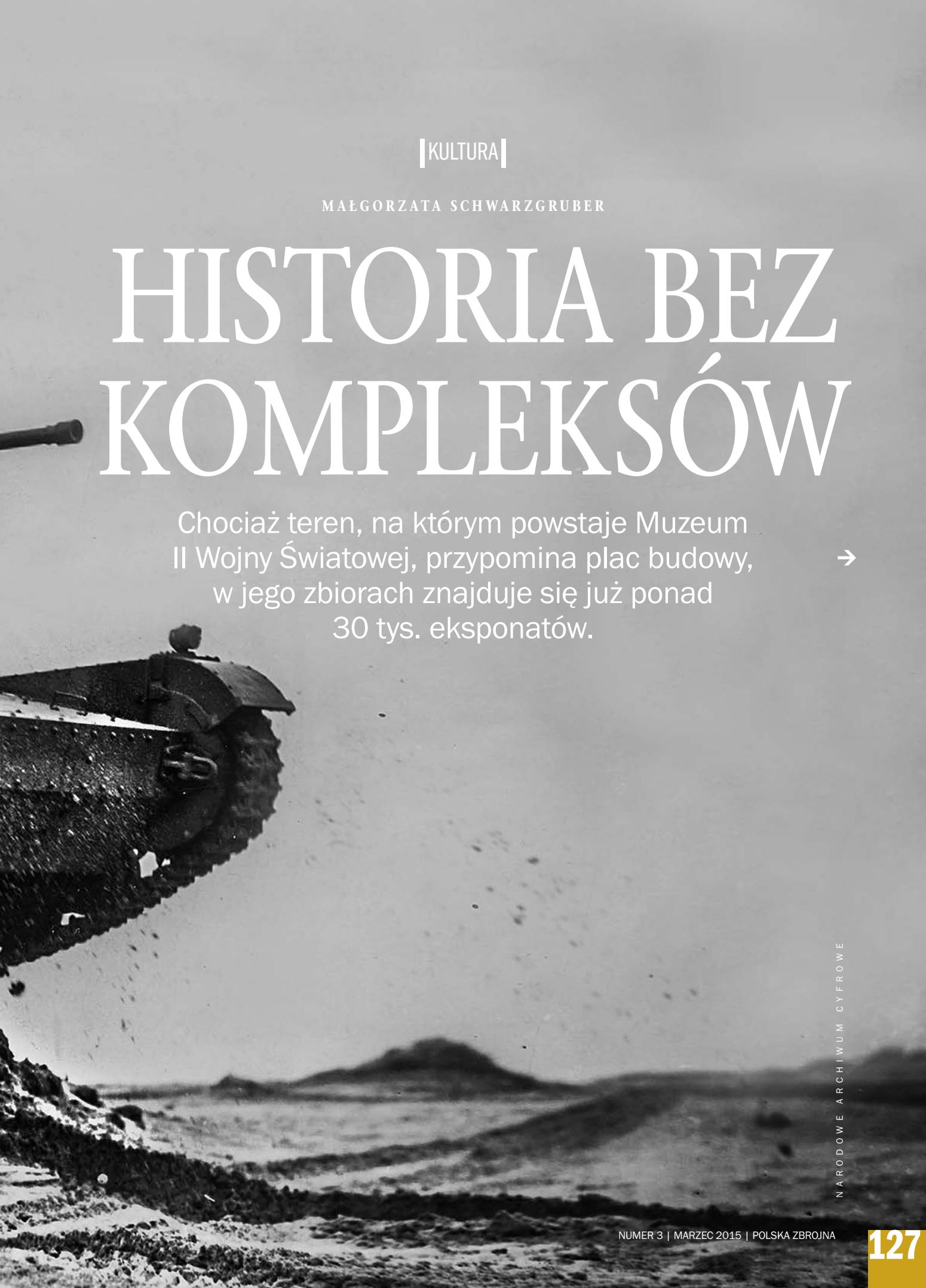

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

To nie był przypadkowy wybór. W Gdańsku, blisko historycznego centrum miasta nad Motławą, powstaje Muzeum II Wojny Światowej. Niedaleko stąd do Westerplatte, gdzie rozpoczęła się II wojna światowa, zaledwie 300 m do gmachu Poczty Polskiej – symbolu polskiego oporu w pierwszym dniu wojny. W pobliskiej miejscowości Stutthof już 2 września 1939 roku utworzono nazistowski obóz koncentracyjny, którego pierwszymi więźniami byli Polacy z Gdańska.

PODZIEMNA OPERACJA

Teren, na którym powstaje muzeum, przypomina dziś plac budowy. W miejsce, gdzie wyrośnie z ziemi 40-metrowy budynek, do betonowego wykopu trafiły pierwsze duże eksponaty. Na fundamentową płytę umieszczoną 14 m pod ziemią dźwigi przeniosły dwa czołgi – amerykański Sherman oraz sowiecki T-34/85 (każdy z nich waży po około 26 t), niemiecką torpedę typu G7a (około tony) i towarowy wagon kolejowy produkcji niemieckiej (10 t). Taki zabieg był konieczny, bo pod ziemią znajdzie się licząca 5 tys. m^2 powierzchni wystawa główna muzeum. Eksponaty trzeba było umieścić już teraz, bo w ciągu roku potężny wykop zostanie zamknięty stropem, na którym znajdzie się muzeum", tłumaczył dr Janusz Marszalec, zastępca dyrektora muzeum.

Sherman to brytyjska modyfikacja amerykańskiego czołgu z czasów II wojny światowej. Przekazało go w darze Królewskie Muzeum Sił Zbrojnych i Historii Wojskowości w Brukseli. Takich maszyn używała między innymi 1 Dywizja Pancerna gen. Maczka. Egzemplarz, który przyjechał do Gdańska, był wykorzystywany do ćwiczeń na jednym z belgijskich poligonów, wymagał więc zarówno konserwacji, jak i rekonstrukcji. Nad tymi pracami czuwali specjaliści z Muzeum Broni Pancernej w Poznaniu. Odświeżony czołg został pomalowany w barwy 24 Pułku Ułanów (wchodził w skład 1 Dywizji Pancernej). Wsławił się walkami we Francji, Belgii, Holandii i Niemczech w latach 1944–1945. Na wystawie Sherman będzie dokumentował wkład Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie w zwycięstwo nad Niemcami. „Będzie też przyczynkiem do opowieści o tym, że w czasie wojny, w przemyśle ciężkim, w tym przy budowie czołgów, masowo pracowały kobiety", wyjaśnia kierownik działu wystawienniczego Marcin Westphal.

Czołg T-34/85 przyjechał do Gdańska z Muzeum Wojska Polskiego (w zamian do Warszawy przekazano brytyjską armatohaubicę). Wyremontowała go Fundacja Ochrony Zabytków Militarnych z Chrcynna. Nieznane są jego wcześniejsze losy, ale to podstawowy czołg armii radzieckiej, znany z „Czterech pancernych i psa". T-34/85 znajdzie się w części wystawy o radzieckiej do-

MUZEUM II WOJNY ŚWIATOWEJ (2)

WSPOMNIENIA WIĘCEJ NIŻ GUZIK WARTE, POD TAKIM HASŁEM W 2011 ROKU MUZEUM ZORGANIZOWAŁO ZBIÓRKĘ PAMIĄTEK ZWIĄZANYCH Z II WOJNĄ ŚWIATOWĄ

minacji nad Europą Środkowo-Wschodnią w końcowym okresie II wojny światowej oraz po jej zakończeniu.

Wyprodukowany w Niemczech towarowy wagon kolejowy muzeum kupiło od PKP, a wyremontował go Klub Sympatyków Kolei we Wrocławiu. Takimi wagonami wywożono ludzi do obozów koncentracyjnych. Eksponat stanie w części wystawy poświęconej wywózkom do miejsc zagłady i deportacjom dokonywanym przez hitlerowskie Niemcy oraz ZSRR.

Niemiecką torpedę typu G7a o napędzie parogazowym (długość ponad 7 m, waga przeszło 1000 kg) saperzy Marynarki Wojennej wydobyli z dna Zatoki Gdańskiej. Trafiła do Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni, które wypożyczyło ją gdańskiej placówce. Przeszła gruntowną konserwację i częściowo została zrekonstruowana. Na wystawie głównej będzie symbolizowała wojnę mocarstw na morzach i znajdzie się w części poświęconej bitwie o Atlantyk.

WSPÓLNOTA PAMIĘCI

W Europie nie ma muzeum, które pokazywałoby historię II wojny jako największego kataklizmu XX wieku. „Nie prze- →

NORMAN DAVIES:

Nieprawdą jest, że historycy wiedzą wszystko o II wojnie światowej. Nieprawdą jest, że wszystkie problemy tego okresu zostały już rozwiązane. Duża część społeczeństwa nie jest świadoma opinii przyjętych przez historyków. Dlatego potrzebujemy nie tylko opracowań dotyczących II wojny światowej, lecz także wystaw, multimediów, środków, które pozwoliłyby na przekazanie tego, co wiemy o tym kataklizmie. Dlatego potrzebujemy Muzeum II Wojny Światowej".

konamy do naszych racji ani turysty z Londynu, ani z Wiednia, tworząc kolejną ekspozycję wyłącznie o martyrologii narodu polskiego lub ku chwale polskiego oręża", pisali historycy, Piotr Machcewicz i Piotr M. Majewski, autorzy koncepcji takiego muzeum. Historia militarna ma być tylko tłem opowieści o życiu codziennym cywilów i żołnierzy, terrorze okupacyjnym, ludobójstwie, oporze wobec okupanta. „Pokażemy to, co działo się poza frontem, oczami cywilów, jeńców, rannych czy więźniów", mówi kierownik działu wystawienniczego Marcin Westphal.

Historyk Tomasz Szarota, znawca niemieckiej polityki okupacyjnej w całej Europie, uznał koncepcję muzeum za „mądre i odważne przedsięwzięcie, które z jednej strony pokaże światu losy Polaków podczas II wojny światowej, z drugiej zaś przybliży nam, Polakom, cierpienia i martyrologię innych narodów, uzmysłowi istnienie wspólnoty losu ludzi na terenach okupowanych, a także funkcjonowanie międzynarodowego ruchu oporu. W tym sensie Muzeum II Wojny Światowej może odegrać także rolę swoistego antidotum na, jakże dla nas typowe, połączenie megalomanii z kompleksem niższości".

POCHYLONY GRANIASTOSŁUP

Siedzibę muzeum zaprojektowało Studio Architektoniczne Kwadrat z Gdyni, które w 2010 roku wygrało międzynarodowy konkurs. Na powierzchni stanie wysoki na około 40 m budynek w kształcie pochylonego graniastosłupa o podstawie trójkąta. Znajdą się w nim między innymi zaplecze administracyjne, biblioteka, sale wykładowe i kawiarnia. Najniższa kondygnacja sięga 14 m pod ziemią. Na podziemnych piętrach będzie wystawa główna. Nowoczesna scenografia uzupełniona o multimedia (urządzenia audiowizualne, trójwymiarowe mapy, elementy interaktywne, instalacja wydzielająca zapachy) stanie się tłem dla autentycznych przedmiotów związanych z II wojną światową.

Ekspozycja główna będzie się składać z trzech bloków tematycznych: „Droga do wojny", „Groza wojny" oraz „Długi cień wojny". Projekt wystawy przygotowała belgijska firma Tempora SA, która wygrała konkurs na koncepcję ekspozycji. „Będziemy także zorganizować wystawy czasowe. Muzeum ma odgrywać również rolę ośrodka edukacji, kultury i nauki oraz centrum spotkań krajowych i międzynarodowych. Już dziś prowadzimy badania naukowe i działalność wydawniczą, a także zajęcia edukacyjne", mówi Marcin Westphal

Do końca 2014 roku w zbiorach muzeum zarejestrowano ponad 32 tys. eksponatów. Sporo jest fotografii, druków i gazet z lat 1939–1945. Są także elementy umundurowania i wyposażenia żołnierzy służących w armiach walczących na różnych frontach. „Wspomnienia więcej niż guzik warte", pod takim hasłem w 2011 roku muzeum zorganizowało ogólnopolską zbiórkę pamiątek związanych z II wojną światową. „Trafiło do nas blisko 1800 różnych eksponatów. Do dziś ludzie przynoszą nam rodzinne relikwie, mówią, że nasza misja jest potrzebna, bo ocali te przedmioty od zapomnienia", dodaje Marcin Westphal. Około 1600 eksponatów znajdzie się na wystawie głównej muzeum, inne zostaną wykorzystane do prac naukowych, publikacji i wystaw okolicznościowych.

SZTANDAR ZE LWOWA

Jednym z najcenniejszych eksponatów jest sztandar 6 Pułku Artylerii Ciężkiej. Jak wyjaśnia Marcin Westphal, znajdował się w podziemiach Ossolineum we Lwowie. Przekazał go anonimowy darczyńca. Kolekcjonerskim rarytasem jest czapka ułana z 2 Pułku Szwoleżerów Rokitiańskich ze Stargardu Gdańskiego. Nie brakuje eksponatów militarnych, jak karabin przeciwpancerny wzór 1935 (Ur) produkcji polskiej, zaprojektowany w 1935 roku przez inż. Józefa Maroszka. W czasie kampanii wrześniowej 1939 roku broń ta okazała się niezwykle skuteczna – z odległości mniejszej niż 100 m mogła przebić pancerz niemieckiego czołgu.

MUZEUM II WOJNY ŚWIATOWEJ ZOSTANIE OTWARTE 1 WRZEŚNIA 2016 ROKU

Wśród rodzinnych pamiątek, które trafiają do Muzeum II Wojny Światowej, znalazły się między innymi dokumenty i zdjęcia pozostałe po Władysławie Szykule (rocznik 1901), który z gen. Władysławem Andersem przeszedł prawie cały szlak bojowy. Ranny pod Monte Cassino nie wrócił do Polski. Jego wojskową mogiłę na cmentarzu pod Liverpoolem odnalazły po 58 latach dwie najmłodsze córki. Niezwykle cenna jest też legitymacja członkowska Polskiej Armii Ludowej, należąca do Mariana Błaszczaka pseudonim „Sokół". Znalazł się on wśród kilkuset członków tej lewicowej formacji walczących w powstaniu warszawskim wraz z żołnierzami Armii Krajowej. Do zbiorów muzeum trafił także futrzany kożuszek pilota Luftwaffe. Stanisław Adamowicz kupił go kilka miesięcy po wojnie od wracających spod Berlina żołnierzy Armii Czerwonej. Zapłacił szczególnie wówczas pożądanym środkiem płatniczym – spirytusem.

Gdy zakończą się prace budowlane (a przebiegają zgodnie w planem), w ciągu dziewięciu miesięcy zostanie przygotowana wystawa główna. 1 września 2016 roku muzeum ma zostać otwarte. ■

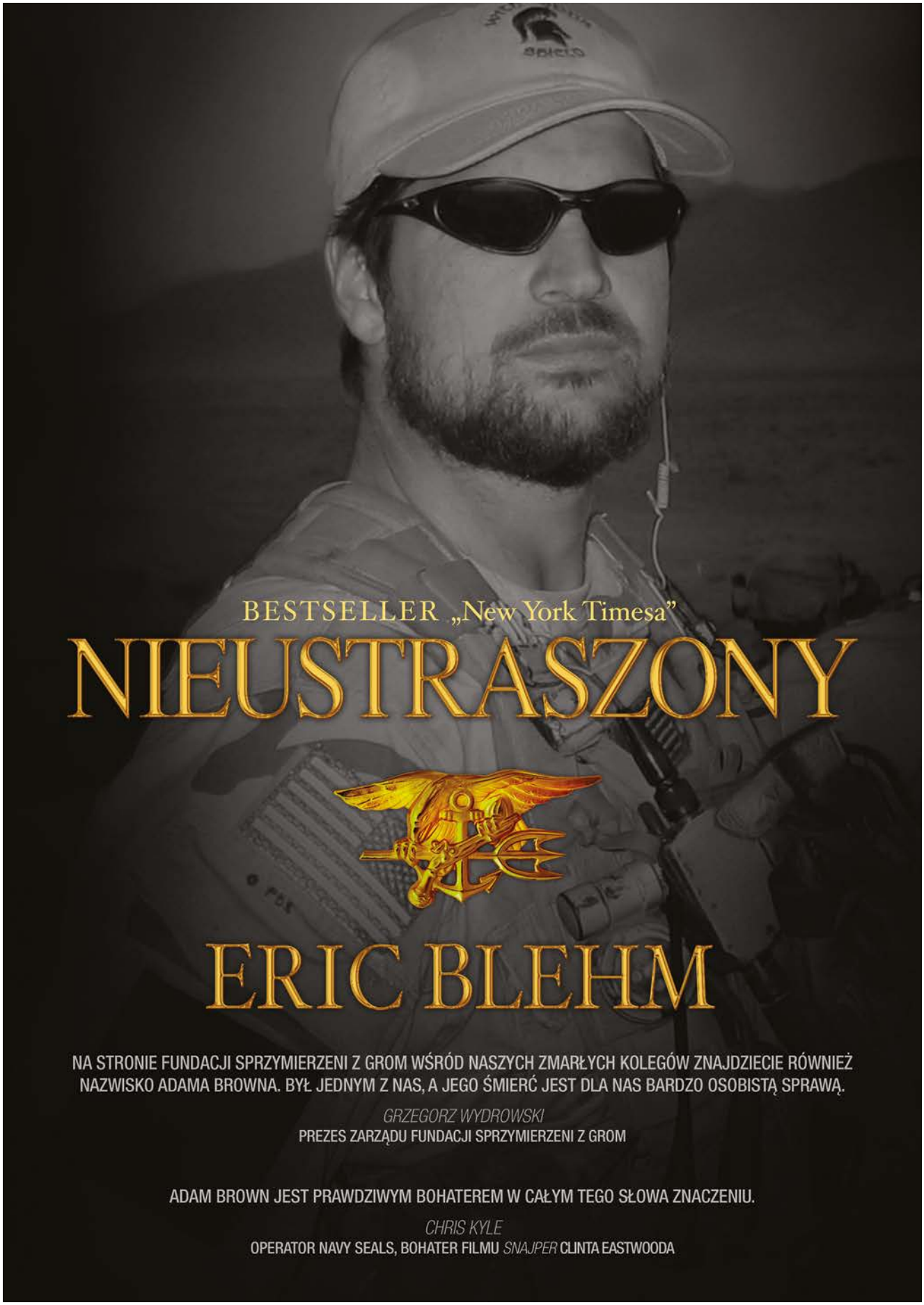
BESTSELLER „New York Timesa"
NIEUSTRASZONY
ERIC BLEHM
NA STRONIE FUNDACJI SPRZYMIERZENI Z GROM WŚRÓD NASZYCH ZMARŁYCH KOLEGÓW ZNAJDZIECIE RÓWNIEŻ NAZWISKO ADAMA BROWNA. BYŁ JEDNYM Z NAS, A JEGO ŚMIERĆ JEST DLA NAS BARDZO OSOBISTĄ SPRAWĄ.
GRZEGORZ WYDROWSKI
PREZES ZARZĄDU FUNDACJI SPRZYMIERZENI Z GROM
ADAM BROWN JEST PRAWDZIWYM BOHATEREM W CAŁYM TEGO SŁOWA ZNACZENIU.
CHRIS KYLE
OPERATOR NAVY SEALS, BOHATER FILMU SNAJPER CLINTA EASTWOODA

BARTEK SYTA

ZDOBYWCY STRATOSFERY

Z operatorem Jednostki Wojskowej GROM

o przygotowaniach do najważniejszego skoku w życiu i 10-kilometrowym locie w dół z zamkniętym spadochronem rozmawia Ewa Korsak.

Jak wygląda stratosfera?

Pytasz o widoki? W dniu bicia rekordu wszystko zasłoniły chmury. Było absolutnie biało, można było się poczuć jak na biegunie. Przeszkadza temperatura – minus 55°C i bardzo niskie ciśnienie – około 200 hPa. Ciężko oddychać w takich warunkach.

Jak to się stało, że akurat Ty się tam znalazłeś?

Kolega, który jest pomysłodawcą bicia rekordu, zaproponował mi jako pierwszemu udział w projekcie. Mam doświadczenie w skokach wysokich. Od dziesięciu lat służę w JW GROM, jestem instruktorem spadochronowym AFF [Accelerated Free Fall] i pilotem tandemu. Ale żeby ustanowić rekord w skoku formacją, musieliśmy mieć w teamie minimum trzy osoby. Takie są przepisy Międzynarodowej Federacji Lotniczej [FAI]. Zaprosiliśmy więc jeszcze jedną osobę oraz dwóch pilotów balonowych.

Do skoku przygotowywaliście się dwa lata. To długo.

Sporo czasu zajęło nam szukanie sponsora, potrzebowaliśmy pieniędzy na zakup specjalistycznego sprzętu, na próby i treningi. Jednocześnie obmyślaliśmy plan skoku: jak to zrobić, jakiego sprzętu użyć, kiedy, gdzie… Ustalaliśmy harmonogram i budżet. Pierwszy rok poświęciliśmy planowaniu i zgrywaniu zespołu. Odbyliśmy mnóstwo skoków treningowych ze standardowej wysokości 4000 m. Korzystaliśmy z tunelu aerodynamicznego w Lesznie. Wszyscy jesteśmy doświadczonymi skoczkami i wcześniej w ten sposób nieraz trenowaliśmy. Chodziło jednak o to, żeby sprawdzić nasze kombinezony oraz przećwiczyć procedury awaryjne. Mogliśmy też ćwiczyć spadanie formacją w kombinezonach, których zamierzaliśmy użyć w trakcie skoku ze stratosfery w czasie dłuższym niż ze standardowej wysokości 4000 m. Wykonaliśmy oprócz tego dwa skoki wysokie – z 5800 m i z 7800 m.

Z balonu?

Nie. Z samolotu. Z balonu skoczyliśmy tylko raz – 11 listopada, na Święto Niepodległości. Za to sporo trenowaliśmy w koszu balonu. Chcieliśmy przećwiczyć samo wyjście z niego. Chodzi o odpowiednie ustawienie się do skoku oraz oddzielenie od kosza w odpowiednim momencie. Bo nie używaliśmy specjalnego antypoślizgowego podestu, który znajdował się na jednej ze ścian kosza – oczywiście od zewnętrznej strony. Musieliśmy się tak ustawić, by skoczyć razem, jednocześnie. Inaczej prawdopodobnie nie utrzymalibyśmy chwytów i formacji. Chcieliśmy opracować taktykę, dzięki której to zgranie będzie perfekcyjne. Ja byłem odpowiedzialny za tzw. timeing, podawałem komendę do skoku: „Polska Stratosfera, ready, set, go…". I na „go" wykonywaliśmy skok.

Czy można na ziemi sprawdzić swoją reakcję na niskie ciśnienie i temperaturę, które panują w stratosferze?

Tak. Mieliśmy próby w komorze niskich ciśnień i niskich temperatur. W tej pierwszej, znajdującej się w Wojskowym Instytucie Medycyny Lotniczej, przeszliśmy dwie próby do wysokości 12 tys. m. Sprawdziliśmy reakcję naszych organizmów na ekspozycję niskiego ciśnienia oraz potwierdziliśmy, ile tak naprawdę będziemy potrzebować tlenu. Próby przechodziliśmy pod okiem mjr. Roberta Drozdowskiego, lekarza z Wojskowego Instytutu Medycznego. Z kolei w komorze niskich temperatur chcieliśmy sprawdzić, czy nasze ubrania zapewnią komfort i czy nie zamarznie nam aparatura tlenowa. Spędziliśmy więc ponad godzinę w temperaturze poniżej minus 20°C. Dobrze, że to zrobiliśmy, bo postanowiliśmy dokupić jeszcze specjalne buty puchowe.

Nie skoczyliście w tradycyjnych kombinezonach…

Garderobę trzeba było dopasować do warunków atmosferycznych. Żeby przeżyć w minus 55°C, mieliśmy na sobie aż cztery warstwy ubrań. Pierwsza to bielizna termoaktywna, którą można kupić w każdym sklepie. Z kolejnymi rzeczami nie było tak prosto – bielizna elektryczna, cztery obwody: skarpetki, dolna część bielizny, bluza i rękawiczki. Ta bielizna oryginalnie została zaprojektowana dla motocyklistów i nurków, a my ją nieco udoskonaliliśmy, tak by spełniała nasze wymagania. To była druga warstwa. Trzecia to kombinezon puchowy. Czwarta – kombinezon wierzchni, bardzo duży, tak aby mógł pomieścić wszystko, co mieliśmy na sobie. Niełatwo było nauczyć się sterować ciałem w tak wielkim kombinezonie. Przy dobieraniu ubrania przydało się wcześniejsze doświadczenie himalaistyczne jednego z uczestników projektu oraz moje z GROM-u.

Ubrania to jedno, ale bez odpowiedniego sprzętu nie da się tam przecież oddychać?

Potrzebowaliśmy sprzętu tlenowego. Korzystaliśmy z trzech różnych instalacji. Z pierwszej jeszcze na ziemi, przed skokiem.

Dlaczego?

Musieliśmy się pozbyć z organizmu azotu, żeby zapobiec chorobie dekompresyjnej. Oddychać czystym tlenem przez 75 min do wysokości 3050 m. Większość saturacji odbyła się na ziemi, ostatnia część już w czasie wznoszenia w balonie, żeby nie tracić czasu, bo o tej porze roku dzień jest krótki. Druga aparatura tlenowa była w koszu balonowym. Musieliśmy tak naprawdę zbudować ją sami, bo żadna z istniejących nie dawała możliwości oddychania przez tak długi czas: dwie godziny podczas wznoszenia dla całej załogi i godzina dla pilotów balonowych. Przecież my wyskoczyliśmy, a oni musieli jeszcze wylądować, co przy takiej wielkości balonu nie było prostym zadaniem. Trzeci układ aparatury tlenowej to osobiste wyposażenie – butla i maska, które pozwalały nam przetrwać po wyskoczeniu z balonu. Korzystaliśmy z doświadczeń osób, które biły wcześniejsze rekordy, oraz himalaistów. To oni podpowiedzieli nam, żeby okleić miejsca połączeń maski tlenowej z twarzą taśmami stosowanymi u osób przechodzących rehabilitację, chroniącymi między innymi przed bólem i leczącymi stany zapalne. Dzięki temu mieliśmy tylko drobne odmrożenia na twarzy, które zniknęły po kilku dniach.

Baliście się czegoś?

Do 8000 m występuje tzw. tolerancja tlenowa. Jeśli wysiądzie ci aparatura, masz trochę czasu, żeby wykonać skok i znów znaleźć się w strefie bezpiecznej. Powyżej 8000 m człowiek jest w stanie wytrwać tyle, ile może wytrzymać na bezdechu. Było więc ryzyko, że gdy pójdzie coś nie tak z aparaturą tlenową, to może być duży problem… Zdawaliśmy sobie sprawę z większości niebezpieczeństw. Chociażby ryzyka choroby dekompresyjnej. Jeśli pojawi się ból w stawach czy kościach, →

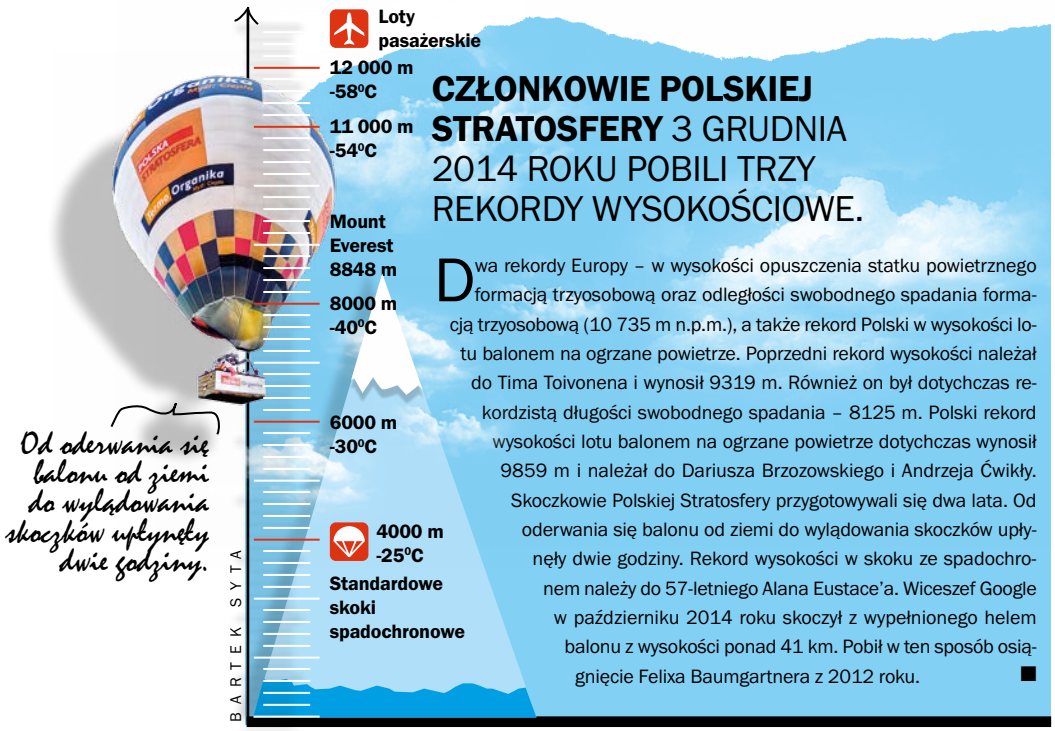

CZŁONKOWIE POLSKIEJ STRATOSFERY 3 GRUDNIA 2014 ROKU POBILI TRZY REKORDY WYSOKOŚCIOWE.

Dwa rekordy Europy – w wysokości opuszczenia statku powietrznego formacją trzyosobową oraz odległości swobodnego spadania formacją trzyosobową (10 735 m n.p.m.), a także rekord Polski w wysokości lotu balonem na ogrzane powietrze. Poprzedni rekord wysokości należał do Tima Toivonena i wynosił 9319 m. Również on był dotychczas rekordzistą długości swobodnego spadania – 8125 m. Polski rekord wysokości lotu balonem na ogrzane powietrze dotychczas wynosił 9859 m i należał do Dariusza Brzozowskiego i Andrzeja Ćwikły. Skoczkowie Polskiej Stratosfery przygotowywali się dwa lata. Od oderwania się balonu od ziemi do wylądowania skoczków upłynęły dwie godziny. Rekord wysokości w skoku ze spadochronem należy do 57-letniego Alana Eustace'a. Wiceszef Google w październiku 2014 roku skoczył z wypełnionego helem balonu z wysokości ponad 41 km. Pobił w ten sposób osiągnięcie Felixa Baumgartnera z 2012 roku. ■

nie można lecieć wyżej. Trzeba skoczyć. Życie i bezpieczeństwo są najważniejsze, nie rekord. Założyliśmy, że jeśli ktoś z nas będzie miał objawy choroby dekompresyjnej – skacze. Reszta leci dalej i rekordu już nie bije. Jedynym celem byłoby wówczas dotarcie do stratosfery.

Czego jeszcze spodziewaliście się już na dole?

Niskiego ciśnienia. Na wysokości 11 tys. m wynosi ono około 200 hPa. Ale i na to się przygotowaliśmy. Nad naszym zdrowiem czuwał mjr Robert Drozdowski, również zapalony spadochroniarz. Powiedział, co nam grozi i ustalił granice, których nie mogliśmy przekroczyć. Kiedy byłem w stratosferze, wszystko się sprawdziło. Pierwszy raz w życiu czułem, że nie mogę pobrać tyle tlenu, ile chcę. Nawet pytałem chłopaków, czy na pewno mamy wszystko odkręcone na maksa (śmiech).

Skok musiał wyglądać w określony sposób?

Biliśmy dwa rekordy wysokościowe skoku ze spadochronem formacją. Musieliśmy mieć jeden chwyt od samego początku, od wyskoku do momentu rozejścia się formacji przed otwarciem spadochronów. Cała trudność polega na tym, że na wysokości 11 tys. m powietrze jest rzadsze, a prędkość opadania zdecydowanie większa, więc łatwiej o puszczenie chwytu albo inne komplikacje, które nie pozwoliłyby pobić rekordu. Nie sprzyja też to, że skok z balonu to skok w tzw. studnię. Nie ma strug powietrza, wytwarzanych przez lecący samolot, na których, jak mawiają skoczkowie, można się oprzeć. My nie mieliśmy tego „podparcia". Ustaliliśmy, że będziemy skakać w sposób, w jaki to robią instruktorzy AFF z uczniami-skoczkami, ponieważ jest to najbardziej stabilna formacja. Uczeń znajduje się w środku, dwóch instruktorów po prawej i lewej stronie. Wydaje się proste? Ale nie na wysokości stratosfery!

W standardowym skoku jest tak, że skoczek po opuszczeniu statku powietrznego rozpędza się i po około 10 s osiąga tzw. prędkość graniczną (siła ciężkości skoczka zrównuje się z siłą oporu czołowego), jest ona stała i wynosi około 50 m/s, czyli mniej więcej 180 km/h. Gdy powietrze jest tak rzadkie, jak na wysokości 11 tys. m, tę prędkość osiąga się szybciej, po około 7 s, i jest ona znacznie większa, wynosi ponad 300 km/h, co powoduje, że trudniej jest utrzymać chwyty. Ale zrobiliśmy wszystko, żeby się udało, dopilnowaliśmy szczegółów. Na przykład tych dotyczących naszej wagi. Przed skokiem bardzo się pilnowaliśmy, żeby nie przytyć, ani nie schudnąć. Każdy z nas ważył około 82 kg. Jeśli różnica między naszym ciężarem ciała byłaby zbyt duża, mielibyśmy większe trudności, żeby utrzymać rekordową formację.

Do skoku była wam potrzebna idealna pogoda.

Tak! Zresztą z tego powodu trzeba było przesunąć datę skoku. Pierwsza próba miała się odbyć w listopadzie, ale padał deszcz, wiał wiatr, a chmury były zbyt nisko. Musieliśmy mieć bardzo dokładną prognozę pogody. Korzystaliśmy ze specjalistycznych analiz. Mieliśmy pomiar wia-

Do tej pory granicę troposfery i stratosfery mogłem oglądać z okna samolotu pasażerskiego. ***Była we mnie ciekawość, jak tam jest***

trów ze wszystkich warstw – co 100 m, aż do wysokości 11 tys. m. Mieliśmy również program komputerowy, który symulował lot balonu w określonych warunkach pogodowych. Po skoku porównywaliśmy dane rzeczywiste z tymi z programu – niewiele się różniły.

Z kim jeszcze musieliście współpracować, żeby się udało?

Z Polską Agencją Żeglugi Powietrznej, bez niej to przedsięwzięcie nie mogłoby się odbyć. Ponieważ znajdowaliśmy się na wysokości lotów samolotów pasażerskich, trzeba było wydzielić nam przestrzeń powietrzną. Bardzo ściśle współpracowaliśmy też z Wojskowym Instytutem Medycyny Lotniczej – tylko tam mogliśmy przetestować nasze organizmy w warunkach, w których mieliśmy się wkrótce znaleźć.

Co przeżywa ktoś, kto skacze z 11 tys. m? Przekracza granice i wyznacza nowe?

Zdziwisz się, ale wielkich emocji nie odczuwałem. Byłem bardziej ciekawy niż zestresowany. Do tej pory granicę troposfery i stratosfery mogłem oglądać z okna samolotu pasażerskiego. Była więc we mnie ciekawość, jak tam jest. Czy rzeczywiście tak zimno? Czy wieją tam silne wiatry, które będą na przykład bardzo bujać balonem? Jak odczuję ciśnienie? My, skoczkowie, troszkę inaczej patrzymy na to wszystko niż piloci czy pasażerowie. Oni bezpiecznie czują się w samolotach, my natomiast – gdy wyskoczymy. I to, co się działo po wyskoku, było niezwykłe, dlatego że swobodne spadanie było zdecydowanie dłuższe niż zazwyczaj. Mój przyrząd zarejestrował opóźnienie 2 min i 38 s, tak więc to jest prawdopodobnie najdłuższe zarejestrowane w Polsce swobodne spadanie. Właściwie to było jak latanie. Z zamkniętym spadochronem przeleciałem prawie 10 km. Gdybym nie miał na twarzy maski, na pewno byłoby widać, jak bardzo się cieszyłem.

Ale dla mnie nie była to tylko próba ustanowienia rekordu, ale także skok doświadczalny z dużej wysokości, możliwość przetestowania ubiorów, maksymalnego pułapu sprzętu tlenowego i oczywiście organizmu w warunkach ekstremalnych.

Skakanie ze stratosfery kojarzy się z szaleństwem. Tymczasem jesteś człowiekiem niezwykle opanowanym.

Można powiedzieć, że jestem doświadczonym skoczkiem. To doświadczenie przychodzi z liczbą skoków. Szaleństwo nie. Nie porywam się na coś, jeśli wiem, że nie dam rady tego zrobić. Lubię ryzyko, ale kontrolowane. Chodzi o dojrzałe, odpowiedzialne podejście. Ale jeśli chcesz mieć element szaleństwa, to powiem tak: kiedy spadochrony od dawna są twoim sposobem na życie, a tak jest w moim wypadku, to decyzja o wzięciu udziału w takim przedsięwzięciu staje się nie problemem, lecz wyzwaniem, któremu musisz sprostać.

Twoja rola była w tym projekcie szczególnie ważna.

Tak. W naszym teamie miałem największe doświadczenie spadochronowe, byłem odpowiedzialny za przygotowanie treningów i metodykę skoku. Ponadto już w czasie rekordu to ja otwierałem spadochron najniżej z naszej trójki i decydowałem o tym, gdzie lądujemy. To było niezwykle trudne, bo kiedy skaczę ze standardowych wysokości, nawet przy pełnym zachmurzeniu, bez widoczności ziemi, nie mam problemu z określeniem, gdzie wyląduję – oczywiście używam nawigacji GPS – i w 99% udaje mi się trafić tam, gdzie zamierzałem. Tutaj było inaczej. Nie było wyznaczonego punktu, do którego miałem nawigować i nie do końca mogłem przewidzieć, czy wylądujemy na jakiejś łące, polanie, czy w lesie. Ale wszystko poszło okej. Po wylądowaniu – olbrzymia satysfakcja, że się udało. Bo nie zawiedliśmy nie tylko osób, które sporo zainwestowały, by nam pomóc, lecz także samych siebie. No i pobiliśmy dwa wysokościowe rekordy Europy. Zapisaliśmy się w historii światowej aeronautyki!

Kiedy oficjalnie zostanie to ogłoszone?

Rekordy czekają na zatwierdzenie – Międzynarodowa Federacja Lotnicza ma na to 120 dni. Skok obserwowało pięciu niezależnych międzynarodowych sędziów – obserwatorów, przedstawicieli Aeroklubu Polskiego i FAI (trzech spadochronowych, dwóch balonowych). Byliśmy wyposażeni w rejestratory parametrów skoku i pięć kamer typu GoPro. Wszystkie wskaźniki, takie jak: wysokość skoku, prędkości maksymalna, minimalna i średnia, wysokość otwarcia spadochronu itp., zostały zapisane przez komputer za pomocą specjalnych programów. Musieliśmy przekazać też nagrania z naszych kamer umieszczonych na kaskach.

Zdradzisz, czy podczas lotu i skoku coś poszło nie tak?

Jedną z trudności bicia rekordu było to, że skakaliśmy z balonu na ogrzane powietrze. W skrócie działa to tak, że musi być płomień, który nagrzewa powietrze znajdujące się wewnątrz powłoki balonu i dzięki różnicy gęstości powietrza balon leci do góry. Ale żeby był płomień – musi być tlen. Ciężko jednak o tlen w stratosferze. Zwykłe palniki zaczynają szwankować na wysokości około 8000 m. Kupiliśmy więc palnik do lotów wysokościowych. To była nasza tajna broń! (Śmiech) Tylko że wówczas był to drugi taki planik wyprodukowany na świecie. Pierwszy został wypróbowany do wysokości 7000 m. Producent zapewniał, że jest przeznaczony do zastosowania w locie nad Mount Everestem. My zdecydowaliśmy użyć go wyżej.

Było wyjście awaryjne?

Coś tam planowaliśmy. Na szczęście palnik zadziałał bardzo dobrze i wyniósł nas na wysokość ponad 11 tys. m, i to w czasie o połowę krótszym, niż zakładały obliczenia inżynierów. Ale zgasł na wysokości 11 125 m. Było zagrożenie, że nie będzie rekordów. Padł sygnał do skoku, ale potrzebowaliśmy chwili, żeby odpiąć się od aparatury tlenowej, która znajdowała się w koszu balonowym, wyjść na zewnątrz, ustawić się i skoczyć. Straciliśmy ponad 400 m i ostatecznie skoczyliśmy z 10 600 m nad gruntem. Ale do rekordu wpisuje się wysokość nad poziomem morza, czyli ostatecznie skok odbył się z 10 735 m. I to jest to, co poszło nie tak. Tak naprawdę podczas prób przygotowywaliśmy się do wszystkiego. Mieliśmy procedury awaryjne na każdą ewentualność. Wiedzieliśmy jak postępować. Wcześniejsze próby dały nam odpowiedz na 90% pytań, które nas nurtowały na początku projektu. Ale zawsze coś się może zdarzyć. Te pozostałe 10% to był ten palnik!

Komu dedykowaliście rekord?

Cichociemnym, patronom Jednostki Wojskowej GROM. Nie mogło być inaczej, bo to od nich wszystko się zaczęło. Ale chcę też podziękować dowództwu GROM-u za zaufanie i wsparcie oraz kolegom z jednostki za pomoc w przygotowaniach do rekordu, a także w czasie samego skoku. ■

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Spełniona obietnica

Fundacja „Dorastaj z Nami" przyznaje stypendia dzieciom poległych żołnierzy.

Od lewej Małgorzata Murkowska z córkami, po prawej rodzina Jurgielewiczów, w głębi dyrektor Centrum Weterana ppłk Leszek Stępień

Dzieci, które spotkały się w Pałacu Prezydenckim, aby uroczyście odebrać stypendia przyznane przez Fundację „Dorastaj z Nami", łączyło jedno: były sierotami. „Pomagamy rodzinom osób, które zginęły lub poniosły trwały uszczerbek na zdrowiu podczas pełnienia służby publicznej. Pod opieką mamy dzieci żołnierzy, policjantów, strażaków, ratowników górskich", wylicza prezes fundacji Magdalena Pawlak.

Wśród osób, które otrzymały pomoc, znaleźli się między innymi 20-letni Michał, student stosunków międzynarodowych, syn żołnierza, który poległ w Iraku w 2007 roku, oraz jego siostra – 15-letnia Michalina, uczennica drugiej klasy gimnazjum. „Oprócz pieniędzy, które są bardzo ważne, syn korzysta z programu tutoringowego. To olbrzymie wsparcie", mówi ich mama Natalia Posadzy.

Od 2010 roku fundacja pomogła już 170 osobom, z których 44 to dzieci weteranów. Dla nich, oprócz finansowego wsparcia, ważna jest także pamięć. „Naszym celem jest pokazanie, że patriotyzm to nie pusty frazes, że mamy bohaterów nie tylko w przeszłości", podkreśla Jan Wróbel z rady fundacji.

Mąż Małgorzaty, st. sierż. Tomasz Murkowski, zginął w 2006 roku w wyniku ataku na konwój, który wracał do bazy po rozminowaniu starych składów broni i amunicji. Została sama z dwiema córkami. Jest wdzięczna fundacji za okazaną pomoc, bo dzięki niej obie dziewczyny mogą rozwijać swoje pasje i zainteresowania. 20-letnia Laura studiuje dziś bezpieczeństwo narodowe, 15-letnia Agnieszka jest uczennicą trzeciej klasy gimnazjum. Stypendium przeznaczają głównie na opłaty za kursy językowe. „Szkoła językowa kosztuje 2 tys. zł za semestr. Nie byłoby mnie stać na taki wydatek, gdyby nie pomoc fundacji", mówi Małgorzata. Laura poznała już język angielski na tyle dobrze, że mogłaby być tłumaczem, a dzięki sportowym kursom jest dziś także instruktorką fitness. Młodsza, Agnieszka, przeznaczała stypendium na rozwijanie swojej pasji fotograficznej, marzą się jej studia na tym kierunku.

AKCJA „SEMPER FI"

Zanim stypendia zostały wręczone, przez rok trwała akcja „Semper Fi", którą honorowym patronatem objął prezydent Bronisław Komorowski („Semper Fi" – od łacińskiego „semper fidelis", czyli „zawsze wierny", to maksyma amerykańskiej piechoty morskiej). Celem było wsparcie edukacji dzieci żołnierzy polskiego kontyngentu wojskowego poległych na misjach w Iraku i Afganistanie.

Jednym z ambasadorów projektu był Marcin Gortat, koszykarz NBA, dobrze znany ze wspierania środowiska weteranów. Do akcji włączył się też między innymi gen. dyw. rez. Roman Polko, który stanął na czele drużyny Semper Fi. Weszli do niej także: Piotr Pogon – maratończyk i triathlonista bez płuca, Bogdan Bednarz – ratownik GOPR, opiekun górski osób niepełnosprawnych, Ryszard Tyc – biznesmen-darczyńca pomagający między innymi polskim misjonarzom w Afryce, Krzysztof Michalski – były prezes Agencji Mienia Wojskowego.

W październiku 2014 roku team Semper Fi wystartował w organizowanym przez marynarkę wojenną USA Marine Corps Marathon w Waszyngtonie, elitarnym i jednym z największych maratonów. Miesiąc później, 11 listopada, drużyna wzięła udział w warszawskim Biegu Niepodległości.

Udało się już zebrać 312 tys. zł. Z pieniędzy tych ufundowano 29 stypendiów dla dzieci weteranów. „To nie jest jednorazowa pomoc. Będziemy wspierać dzieci poległych żołnierzy do ukończenia 25. roku życia. Warunek jest jeden – muszą się w tym czasie uczyć", wyjaśnia Magdalena Pawlak, prezes Fundacji „Dorastaj z Nami".

Fundacja stara się, by pomoc była nie tylko wieloletnia, ale także systematyczna. „Przyznajemy stypendia, pomagamy w znalezieniu stażu i praktyk w firmach, które z nami współ-

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER (2)

Fundacja „Dorastaj z Nami" powstała w 2010 roku. Założyło ją 27 największych polskich firm. Potrafiły one zjednoczyć się w solidarnej misji społecznej, aby wspierać dzieci z rodzin osób, które straciły życie, pełniąc służbę publiczną. Najważniejszym polem działania fundacji jest szeroko pojęta pomoc edukacyjna. Stara się również o umacnianie etosu polskiego żołnierza.

pracują, wspieramy także rozwój dziecka przez tutoring oraz zapewniamy pomoc psychologiczną", wylicza Magdalena Pawlak. „Pomagamy rozwijać umiejętności i talenty, mamy do tego specjalny program", dodaje. W ramach programów stypendialnych fundacja współfinansuje zakup podręczników, wyjazdy edukacyjne, kursy, dopłaca do czesnego.

PODZIĘKOWANIA Z SERCA

„Gdyby nie pomoc fundacji, na wyprawienie we wrześniu dzieci do szkoły musiałabym oszczędzać przez cały rok", przyznaje Agnieszka Jurgielewicz, mama trójki dzieci. 18-letnia Jola i 13-letnia Ula, uczennica szóstej klasy, korzystają ze wsparcia fundacji od kilku lat. W tym roku dołączył do nich najmłodszy członek rodziny – 6-letni Darek.

Fundacja pokrywa dużą część wydatków szkolnych całej trójki: zakup podręczników, koszt obiadów, opłatę na komitet rodzicielski, wycieczki, pomoce naukowe. „Same tylko książki do nauki dla Joli, uczennicy drugiej klasy technikum, kosztują 700 zł. To duże odciążenie dla domowego budżetu", mówi Agnieszka. Jej mąż, sierż. Franciszek Jurgielewicz, stracił w 2010 roku w Afganistanie nogę. Był dowódcą rosomaka, gdy kolumnę pojazdów rebelianci ostrzelali silnym ogniem z karabinów maszynowych. Dziś jest na rencie, stan zdrowia nie pozwala na podjęcie pracy. Do niedawna głównym źródłem utrzymania rodziny była renta Franciszka Jurgielewicza, od niedawna Agnieszka podjęła pracę. „Cóż z tego, że za najniższą krajową pensję, i że na razie mam umowę na pół roku. Cieszę się, bo bezrobocie w Gołdapi jest wysokie. A o nieprzewidziane wydatki nietrudno. Sporo kosztują dojazdy męża do lekarzy. W ubiegłym roku zepsuła mu się część protezy, naprawa kosztowała 2600 zł, a to spore nadszarpnięcie domowego budżetu", opowiada Agnieszka. Dzięki fundacji zyskała poczucie bezpieczeństwa. Nie musi martwić się o edukacyjną przyszłość swoich dzieci. Dopóki będą się uczyć, fundacja będzie je wspierać finansowo.

Franciszek Jurgielewicz wspomina, że gdy w 1992 roku dostał powołanie do wojska, wiedział już, że chce zostać żołnierzem zawodowym. Niewykluczone, że wojskową tradycję w rodzinie będzie kontynuować Jola. Od roku należy do grupy rekonstrukcyjnej odwzorowującej marines, działającej przy jednostce wojskowej w Gołdapi. „Stypendium fundacji przeznaczyliśmy między innymi na zakup militarnego wyposażenia – munduru i butów", opowiada Agnieszka Jurgielewicz. Jola jest zdecydowana związać swoją przyszłość z wojskami lądowymi. „Wybieram się do szkoły wojskowej", przyznaje. „Nigdy nie potrafiłam wyrazić słowami wdzięczności za okazaną nam przez fundację pomoc. To wiele dla nas znaczy", mówi Agnieszka.

Pod tymi podziękowaniami podpisuje się także Katarzyna Filipek. Jej mąż sierż. Andrzej Filipek zginął w 2007 roku w Iraku podczas ataku na patrol. Została sama z dwójką dzieci i kredytem we frankach. Dziś 9-letnia Nicola jest uczennicą trzeciej klasy, 13-letni Eryk chodzi do pierwszej klasy gimnazjum. „Dzięki stypendium z fundacji kupiliśmy komputer i drukarkę, Eryk może pojechać zimą na obóz narciarski do Wisły, który kosztuje 1500 zł, a latem na pływacki do Janowa Lubelskiego, za 1200 zł", wylicza Katarzyna Filipek. Nie wspomina już o kosztach wyprawienia dzieci do szkoły 1 września: dzięki stypendium może kupić za ponad 1000 zł szkolne podręczniki oraz stroje i obuwie na zajęcia sportowe.

„Czasem sytuacja finansowa rodziny nie jest najgorsza, ale dzieciom brakuje ojca. Najważniejsze, że ktoś o nich pamięta", mówi gen. Roman Polko, były dowódca GROM-u. Opowiada, że wielokrotnie przed rozpoczęciem trudnych operacji bojowych zapewniali się z kolegami: „Gdyby coś ci się stało, pomogę twojej rodzinie". Fundacja „Dorastaj z Nami" spełnia tę obietnicę. ■

AMBASADA RP W BAGDADZIE

ANNA DĄBROWSKA

Mogiły na piaskach

W Iraku jest kilkaset polskich cmentarzy wojskowych i grobów wojennych.

Jednym z etapów bojowego szlaku armii gen. Władysława Andersa z ZSRR do Włoch był Irak, gdzie w latach 1942–1943 żołnierze przygotowywali się do walki z hitlerowskimi Niemcami. Niestety część z nich i towarzyszących im cywilów zmarła i została tam pochowana. „Irak jest przesiąknięty polską tradycją żołnierską oraz usiany polskimi grobami jak mało który kraj arabski", podkreśla na stronie Ministerstwa Spraw Zagranicznych były polski ambasador w Iraku Roman Chałaczkiewicz.

ARMIA OCALONYCH

Polską armię w Związku Radzieckim zaczęto formować po zawarciu w lipcu 1941 roku układu Sikorski–Majski oraz podpisaniu miesiąc później polsko-sowieckiej umowy wojskowej. Dzięki tym dokumentom władze sowieckie ogłosiły amnestię dla obywateli polskich, zaczęły zwalniać ich z obozów, otwarto też punkty rekrutacyjne.

Formowanie oddziałów rozpoczęło się we wrześniu w Buzułuku, Kołtubance, Tatiszczewie i Tockoje. Do punktów werbunkowych przybywali Polacy z całego Związku Radzieckiego. Na czele wojsk stanął zwolniony z wiezienia na Łubiance gen. dyw. Władysław Anders. Stan armii ustalono na 30 tys. ludzi, jednak już w październiku wynosił on blisko 40 tys.

Na początku 1942 roku żołnierzy przeniesiono na południe ZSRR, do środkowoazjatyckich republik: uzbeckiej, kirgiskiej i Kazachstanu. Głównym ośrodkiem formowania sił zbrojnych był Guzar niedaleko Buchary, gdzie trafiły też tysiące polskich uchodźców cywilnych.

Niedługo potem gen. Anders zaczął zabiegać o ewakuację wojsk polskich z ZSRR. Wiosną 1942 roku Józef Stalin zgodził się na ich wyjazd do Iranu. Statkami do portu Pahlawi ewakuowano blisko 45 tys. osób, w tym około 11 tys. cywilów. Druga tura ewakuacji, z sierpnia 1942 roku, objęła około 75 tys. osób, w tym 25 tys. osób cywilnych. W sumie ponad 120 tys. Polaków, żołnierzy i ich rodzin, opuściło Związek Radziecki.

ZABÓJCZE KOMARY

Po rekonwalescencji w Iranie ochotników przeniesiono do Iraku. Jednocześnie dotarła tam 3 Dywizja Strzelców Karpackich, która się wsławiła w walkach w Tobruku. Żołnierze połączonych oddziałów zamieszkali w obozowisku namiotowym w pobliżu Khanaqin i Qizil Ribat. „We wrześniu wyjechałem do Iraku, do nowego miejsca postoju sztabu armii. Kilka domków, a właściwie prymitywnych ścian, otoczonych morzem namiotów", opisywał Władysław Anders w „Bez ostatniego rozdziału".

Żołnierzom dokuczały upał, ulewne deszcze, plagi skorpionów i komarów. „Okazało się, niestety, że wielu ludzi nosiło w sobie zarodki malarii nabytej w Rosji sowieckiej. Przyszła epidemia tej groźnej choroby", czytamy we wspomnieniach gen. Andersa. Utworzono duży szpital polowy, ale mimo to wielu Polaków, osłabionych pobytem w sowieckich obozach i forsownym marszem, zmarło z wycieńczenia lub na skutek chorób.

W maju 1943 roku przeniesiono polskie oddziały w rejon Kirkuk–Mosul. Ich zadaniem była ochrona pól naftowych w tym zagłębiu przed niemiecką dywersją lub rebelią miejscowej ludności. Jednocześnie żołnierze przechodzili intensywne szkolenie, przygotowując się do walk w terenach gó-

WIELU POLAKÓW, OSŁABIONYCH POBYTEM W SOWIECKICH OBOZACH I FORSOWNYM MARSZEM, ZMARŁO

rzystych. Zdobyte w Iraku umiejętności wykorzystali po wylądowaniu pod koniec 1943 roku we Włoszech. Jako 2 Korpus Polski wzięli tam udział w walkach na Półwyspie Apenińskim, gdzie zdobyli Monte Cassino i Bolonię.

SZUKANIE ŚLADÓW

Nie wiadomo dokładnie, ilu Polaków zmarło w czasie pobytu w Iraku. Według szacunków resortu spraw zagranicznych, na terenie tego kraju jest około 470–500 polskich miejsc pamięci. Część z nich to samodzielne cmentarze wojskowe, inne to pojedyncze polskie mogiły znajdujące się w nekropoliach, którymi zajmuje się Commonwealth War Graves Commission, instytucja opiekująca się miejscami pamięci Brytyjskiej Wspólnoty Narodów.

„Od roku 2003, czyli inwazji na Irak i zapoczątkowaniu operacji »Iracka wolność«, nie jest znany stan cmentarzy i nie wiadomo, czy ucierpiały w wyniku działań wojennych", podaje polskie MSZ. Dlatego ambasada w Bagdadzie i Agencja Konsularna w Irbilu w irackim Kurdystanie stara się odnaleźć i skatalogować polskie miejsca pamięci na tym terenie. Szukają informacji, zdjęć i map dotyczących pobytu armii Andersa w Iraku.

W zbieraniu danych o lokalizacji polskich grobów bardzo pomocna okazała się współpraca nawiązana pomiędzy ambasadorem Lechem Stefaniakiem i Armanem Ahmedem Muhammadem, ministrem martyrologii i anfalu (zagłady) irackiego Kurdystanu. Nowe informacje udało się zdobyć także dzięki pracownikom Centralnej Biblioteki Wojskowej. Odnaleźli oni niepublikowane dotychczas materiały dotyczące cmentarzy i grobów polskich żołnierzy oraz osób cywilnych pochowanych na terenie Iraku, szczegółowe dane osobowe, a także mapy szlaku bojowego jednostek Armii Polskiej na Wschodzie.

Akcje MSZ wspiera Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. Dzięki współpracy tych instytucji, polskich dyplomatów z przedstawicielami rządu Iraku powstaje lista nazwisk poległych Polaków. Została ona umieszczona w internetowym serwisie ambasady. Cennym źródłem informacji jest także wydana w latach dziewięćdziesiątych publikacja Zbigniewa Dunina-Wilczyńskiego „Wojsko Polskie w Iraku 1942–1943".

ŚLADY PO GROBACH

Według informacji MSZ, jednym z największych polskich miejsc pamięci w Iraku jest cmentarz Khanaqin. Na kilku tysiącach metrów kwadratowych ulokowano 438 grobów. Spoczywa tam między innymi Józef Smolicz, 17-latek zmarły 17 sierpnia 1942 roku, oraz 64-letni żołnierz o nazwisku Welz, który umarł trzy miesiące po nim. Jak podaje Wilczyński, cmentarz powstał w latach 1969–1970. Nad jego bramą umieszczono orła w koronie i napis „Polish Forces", a na białych kamiennych tablicach dane żołnierzy. Obok Polaków w wyodrębnionej kwaterze spoczywa 98 żołnierzy hinduskich.

Niestety, jak podaje MSZ, ze względu na napiętą sytuację w Iranie oraz usytuowanie nekropolii na terenie rafinerii jest ona niedostępna dla turystów. Nie można odwiedzić także położonego na terenie bazy irackich sił powietrznych cmentarza w Al-Habbanijja, gdzie spoczywa dziesięciu polskich żołnierzy.

Z kolei w Kirkuk w Autonomicznym Regionie Irackiego Kurdystanu, wśród grobów angielskich i nowozelandzkich znajdują się też mogiły trzech polskich żołnierzy: 26-letniego strzelca Władysława Garguła, urodzonego w Truskawcu, szer. Józefa Jankiewicza z Wilna i plut. pchor. Kazimierza Nowaka. Wszyscy zmarli latem 1943 roku.

Co do kilku nekropolii wiadomo, że są w bardzo złym stanie. Należy do nich Basra, położona około 600 km na południowy wschód od Bagdadu. Na obszarze około hektara ulokowano tam nagrobki 22 żołnierzy gen. Andersa, którzy zmarli podczas epidemii cholery. Nie wiadomo też, czy ocalała zbiorowa mogiła czterech polskich żołnierzy w oazie Abu Ghar, oddalonej około 90 km od miasta An-Nasirijja.

Według ambasady w Bagdadzie, także cmentarz w Mosulu praktycznie nie istnieje. Kiedyś teren położony w północnej części miasta był ogrodzony, groby rozmieszczono po obu stronach alei, a centralne miejsce zajmował kamienny obelisk. Groby polskich żołnierzy znajdowały się wśród innych mogił poległych, a na ich płytach widniały polskie orły. Choć Dunin-Wilczyński podaje, że pochowano tam 29 żołnierzy, wymienia nazwisko tylko jednego: pchor. Stanisława Jakubowskiego, urodzonego 22 czerwca 1917 roku we Lwowie, a zmarłego 22 stycznia 1943 roku w Iraku.

„Niewiele pozostało fotografii, relacji prasowych i opracowań dotyczących tych właśnie mogił pośród pustynnych piasków zniszczonego kolejnymi wojnami Iraku. Dlatego też należy otoczyć je opieką, jako wyraz naszej pamięci o tych, którzy szli ku Wolnej Rzeczypospolitej", napisał w liście do polskich placówek w Iraku historyk dr Jan Tarczyński, dyrektor Centralnej Biblioteki Wojskowej. ■

POŻEGNANIA

26 stycznia 2015 roku po długiej i ciężkiej chorobie
zmarł nasz wspaniały kolega i przyjaciel

płk w st. spocz. dr Jerzy Brzeski,

kierownik Ośrodka Aktywizacji Zawodowej
w Szczecinie, zasłużony oficer Dowództwa 12 Dywizji
Zmechanizowanej, wyróżniony wieloma odznaczeniami
państwowymi i resortowymi.

Z Żoną, Synami, Synowymi
i Wnuczętami oraz wszystkimi
Najbliższymi Zmarłego

łączą się w żalu i bólu pracownicy rekonwersji
Sił Zbrojnych RP.

Z głębokim żalem i smutkiem
przyjęliśmy wiadomość o śmierci

płk. w st. spocz. dr. Jerzego Brzeskiego,

kierownika Ośrodka Aktywizacji Zawodowej
w Szczecinie.

Wyrazy głębokiego współczucia

Rodzinie

składają pracownicy Ośrodka Aktywizacji Zawodowej
w Szczecinie.

Wyrazy szczerego współczucia oraz głębokiego żalu

Żonie, Córkom oraz Rodzinie

zmarłego 21 stycznia 2015 roku

pułkownika rezerwy Jana Zydronia,

byłego szefa Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego
we Wrocławiu,
składają szef płk Waldemar Bartłomiejczak,
kadra zawodowa oraz pracownicy wojska
WSzW we Wrocławiu.

Łącząc się w bólu i żalu z powodu tragicznej śmierci
naszego Przyjaciela

st. szer. pchor. Mateusza Łukasiaka

składamy

Rodzinie

wyrazy współczucia i otuchy w tych trudnych chwilach.

Kadra oraz podchorążowie Wyższej Szkoły Oficerskiej
Sił Powietrznych

Wyrazy szczerego i głębokiego współczucia

Adamowi i Beacie Łamejka

z powodu śmierci

Ojca i Teścia

składają koledzy i koleżanka z Placówki Żandarmerii
Wojskowej w Morągu.

Naszym kolegom

mł. chor. Krzysztofowi Rysiowi
oraz st. sierż. Robertowi Rysiowi

słowa wsparcia i szczere kondolencje w trudnych
chwilach po nagłej śmierci

brata Kazimierza

składają dowódca, kadra oraz pracownicy wojska
Centrum Operacji Lądowych Dowództwa Komponentu
Lądowego w Krakowie.

Wyrazy współczucia i szczere kondolencje

mł. chor. Krzysztofowi Rysiowi
oraz st. sierż. Robertowi Rysiowi

z powodu nagłej śmierci

brata Kazimierza

składa zastępca dowódcy Centrum Operacji Lądowych
Dowództwa Komponentu Lądowego w Krakowie
gen. bryg. Andrzej Knap.

Wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia

chor. Adamowi Łamejce
i jego żonie Beacie

z powodu śmierci

Ojca

składają komendant, żołnierze i pracownicy wojska
Oddziału Żandarmerii Wojskowej w Elblągu.

Kpr. Markowi Hryniewiczowi

wyrazy głębokiego żalu oraz współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają żołnierze 4 „Krośnieńskiej" Kompanii
Transportowej.

POŻEGNANIA

Wyrazy szczerego współczucia i żalu w trudnych chwilach po śmierci

Matki

panu płk. Zbigniewowi Winiarskiemu

składa kierownictwo Zarządu Organizacji i Uzupełnień P1.

Panu płk. Zbigniewowi Winiarskiemu,

szefowi Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego w Rzeszowie,
wyrazy głębokiego współczucia i żalu z powodu śmierci

Mamy

składają kadra zawodowa i pracownicy wojska Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego w Rzeszowie oraz podległe wojskowe komendy uzupełnień.

Panu płk. Andrzejowi Siudzie

wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu z powodu śmierci

Teściowej

składają dyrektor, kadra i pracownicy Departamentu Strategii i Planowania Obronnego MON.

Panu płk. Marianowi Smolidze oraz Jego Rodzinie i Najbliższym

wyrazy szczerego żalu i głębokiego współczucia z powodu śmierci

Żony

składają koleżanki i koledzy ze Związku Żołnierzy Wojska Polskiego.

Wyrazy głębokiego współczucia i szczere kondolencje

Panu chor. Krzysztofowi Dargaczowi

z powodu śmierci

Mamy

składają komendant, kadra zawodowa i pracownicy wojska Komendy Portu Wojennego w Gdyni.

Wyrazy głębokiego współczucia i szczere kondolencje

Panu st. chor. Przemysławowi Koślińskiemu

z powodu śmierci

Ojca

składają komendant, kadra zawodowa i pracownicy wojska Komendy Portu Wojennego Gdynia.

Drogiej koleżance

Beacie Badowskiej

serdeczne wyrazy współczucia z powodu śmierci

Matki

składają koleżanki i koledzy z SJO Akademii Obrony Narodowej.

Z głębokim żalem przyjęliśmy wiadomość, że 29 stycznia 2015 roku odszedł na wieczną wartę

ppłk rez. Zygmunt Nanowski.

Wyrazy głębokiego żalu i szczere kondolencje

Rodzinie oraz Najbliższym

składają dowództwo, żołnierze i pracownicy wojska Pułku Ochrony w Warszawie.

Pani prorektor ds. studenckich Akademii Obrony Narodowej

dr Anecie Nowakowskiej-Krystman

wyrazy głębokiego współczucia i żalu z powodu śmierci

Teścia

składają pracownicy Instytutu Zarządzania Akademii Obrony Narodowej.

Panu ppłk. Tomaszowi Ciechackiemu

oraz Jego Rodzinie i Bliskim

wyrazy serdecznego współczucia z powodu śmierci

Żony Joanny

składają szef Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego w Olsztynie płk Andrzej Szczołek wraz z żołnierzami i pracownikami wojska.

POŻEGNANIA

Słowa wsparcia oraz głębokiego współczucia

Panu ppłk. Tomaszowi Ciechackiemu

z powodu tragicznej śmierci

Żony

składają wojskowy komendant uzupełnień,
kadra i pracownicy Wojskowej Komendy Uzupełnień
w Lidzbarku Warmińskim.

Wyrazy głębokiego współczucia i szczere kondolencje

Panu st. chor. Krzysztofowi Rackiemu

z powodu śmierci

Ojca

składają komendant, kadra zawodowa
i pracownicy wojska
Komendy Portu Wojennego Gdynia.

Pani prorektor ds. studenckich
Akademii Obrony Narodowej

dr Anecie Nowakowskiej-Krystman

wyrazy głębokiego współczucia
oraz szczere kondolencje z powodu śmierci

Teścia

przekazują rektor–komendant,
kadra i pracownicy Akademii Obrony Narodowej.

Panu kpr. Marcinowi Weremczukowi

wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci

Brata

składają dowódca, żołnierze i pracownicy wojska
1 Ośrodka Radioelektronicznego w Grójcu.

Panu mjr. Romualdowi Żotkiewiczowi

oraz Jego Rodzinie

wyrazy najgłębszego współczucia i szczere kondolencje
z powodu śmierci

Teściowej

składają dowódca oraz żołnierze i pracownicy wojska
3 Brygady Radiotechnicznej.

Panu Ireneuszowi Chudzikowi

wyrazy szczerego żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Matki

składają koleżanki i koledzy
z Szefostwa Geografii Wojskowej.

Panu płk. Markowi Hinczowi

oraz Jego Rodzinie

wyrazy najgłębszego współczucia
i szczere kondolencje
z powodu śmierci

Ojca

składają koleżanki i koledzy
z Departamentu Administracyjnego.

Panu ppłk.
Mirosławowi Smerdzyńskiemu

wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają żołnierze i pracownicy
Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego w Kielcach.

Wyrazy najgłębszego współczucia

płk. Tomaszowi Szoplikowi

z powodu śmierci

Ojca

składają żołnierze i pracownicy Oddziału Specjalnego
Żandarmerii Wojskowej w Mińsku Mazowieckim.

Pułkownikowi Tomaszowi Szoplikowi

wyrazy głębokiego współczucia i szczerego żalu
z powodu śmierci

Ojca

składają szef, zastępca szefa, szef logistyki,
główny księgowy – szef finansów
Oddziału Zabezpieczenia Żandarmerii Wojskowej.

POŻEGNANIA

Panu płk. Tomaszowi Szoplikowi,
komendantowi Oddziału Specjalnego Żandarmerii Wojskowej w Mińsku Mazowieckim,

oraz Jego Najbliższym
wyrazy głębokiego współczucia i szczere kondolencje z powodu śmierci

Ojca
składają komendant główny, żołnierze i pracownicy wojska Żandarmerii Wojskowej.

Panu płk. rez.
Antoniemu Zygmuntowi Bugowskiemu,
prezesowi Międzynarodowego Stowarzyszenia Oficerów Rezerwy Krąg Mars i Merkury Polska,

oraz Jego Rodzinie
wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

Matki
składają koledzy ze Stowarzyszenia Krąg Mars i Merkury Polska.

Chor. Piotrowi Kontnikowi

oraz Jego Najbliższym
najszczersze kondolencje i wyrazy współczucia w trudnych chwilach po śmierci

Mamy
składają dyrekcja, kadra i pracownicy Centralnego Wojskowego Ośrodka Metrologii.

Panu chor. Kazimierzowi Płonka

oraz Jego Rodzinie
wyrazy współczucia oraz słowa wsparcia w trudnych chwilach z powodu śmierci

Ojca
składają kadra i pracownicy sztabu 8 Bazy Lotnictwa Transportowego.

Panu płk. Markowi Truszkiewiczowi
wyrazy głębokiego współczucia oraz wsparcia w trudnych chwilach po śmierci

Ojca
składają dyrektor, żołnierze i pracownicy wojska Biura Ewidencji Osobowej WP.

Panu płk. Markowi Truszkiewiczowi
wyrazy szczerego współczucia i żalu w trudnych chwilach po śmierci

Ojca
składają szef, żołnierze i pracownicy Zarządu Organizacji i Uzupełnień – P1.

Panu pułkownikowi
Janowi Myszczyńskiemu,
attaché obrony wojskowemu i lotniczemu przy Ambasadzie RP w Kiszyniowie,
wyrazy głębokiego współczucia i żalu z powodu śmierci

Ojca
składają kierownictwo, kadra zawodowa i pracownicy Departamentu Wojskowych Spraw Zagranicznych MON.

Szefowi Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego w Rzeszowie

Panu płk. dypl.
Zbigniewowi Winiarskiemu
wyrazy głębokiego współczucia i szczere kondolencje z powodu śmierci

Matki
składają szefowie wojewódzkich sztabów wojskowych wraz z podległą kadrą i pracownikami wojska.

Panu mjr. Romualdowi Żotkiewiczowi

oraz jego Rodzinie
najszczersze wyrazy żalu i współczucia z powodu śmierci

Teściowej
składają dowództwo oraz żołnierze i pracownicy wojska 8 Szczycieńskiego Batalionu Radiotechnicznego.

Panu Pawłowi Markusowi
wyrazy głębokiego współczucia i najszczersze kondolencje z powodu śmierci

Matki
składają dyrektor generalny MON i współpracownicy.

US NAVY

Morski strażak

Robot będzie gasić pożary na okrętach.

Shipboard Autonomous Firefighting Robot (SAFFiR) to robot-strażak przeznaczony do walki z ogniem na okrętach. Opracowali go inżynierowie z Virginia Tech, pracujący dla US Navy. Maszynę zaprezentowano na targach Naval Future Force Science & Technology EXPO. Jak podaje portal Engadget.com, robot został wyposażony w systemy pozwalające mu poruszać się po nierównym i chwiejnym podłożu, otwierać drzwi i obsługiwać sprzęt gaśniczy. Ma też zestaw sensorów, dzięki którym może się poruszać w gęstym dymie i to bez stałej kontroli operatora. SAFFiR waży 65 kg, mierzy około 180 cm i w przyszłości całkowicie wyręczy marynarzy w walce z ogniem na morzu. A D ■

MUZEUM WP

Bitwa nad Pacyfikiem

Stołeczne muzeum wojskowe zaprasza na nową wystawę.

Kolekcję umundurowania, oporządzenia i wyposażenia amerykańskich pilotów, a także żołnierzy japońskiej piechoty i członków US Marine Corps obejrzymy na nowej czasowej wystawie Muzeum Wojska Polskiego „Pacyfik w ogniu 1941–1945". Jest ona poświęcona walkom pomiędzy Cesarstwem Japonii a USA oraz ich sojusznikami na Pacyfiku, w Azji Wschodniej i Południowo-Wschodniej w czasie II wojny światowej. Podczas tych zmagań po stronie alianckiej zginęło około 4 mln żołnierzy i ponad 17 mln cywilów, Japończycy zaś stracili blisko 2 mln żołnierzy i ponad 400 tys. cywilów. Zwiedzający ekspozycję obejrzą na niej egzemplarze broni armii amerykańskiej i japońskiej oraz kilkadziesiąt modeli samolotów, pojazdów wojskowych i okrętów używanych w walkach na Pacyfiku. Wystawa opowiada również o Polakach walczących przeciwko Japonii, między innymi o asie myśliwskim mjr. Witoldzie Urbanowiczu, latającym pod koniec 1943 roku nad Chinami w 75 Eskadrze Myśliwskiej „Tiger Sharks". Wystawa będzie czynna do 8 marca. A D ■

Amerykanie w Centrum Weterana

PIOTR JASIŃSKI

O systemie opieki nad poszkodowanymi żołnierzami w Polsce i USA dyskutowali w warszawskim Centrum Weterana Działań poza Granicami Państwa polscy i amerykańscy żołnierze. Delegacja Gwardii Narodowej stanu Illinois przyjechała do Warszawy z kilkudniową wizytą, której celem była wymiana doświadczeń dotyczących wsparcia weteranów i rodzin żołnierzy uczestniczących w misjach poza granicami państwa.

Kpt. Eric Huges, który jest równocześnie kapelanem Gwardii Narodowej w stanie Illinois, opowiedział, jak Amerykanie pomagają rannym żołnierzom w powrocie do zdrowia – temu służy między innymi program „Wounded warrior" (Ranny wojownik), z kolei powrót do pracy wspiera program „Soldier for life" (Żołnierz dla życia).

O polskich rozwiązaniach w opiece medycznej nad poszkodowanymi weteranami oraz o wspierających to środowisko organizacjach pozarządowych opowiedzieli amerykańskim gościom eksperci z Departamentu Spraw Socjalnych MON oraz Centrum Weterana.

Z jakich amerykańskich doświadczeń możemy skorzystać? „Chciałbym przenieść na grunt polski zwolnienia podatkowe dla firm, które zatrudniają weteranów. Amerykanie budowali swój system przez wiele lat. Przed nami długa droga", mówi ppłk Leszek Stępień, dyrektor Centrum Weterana.

Delegacja gwardzistów, której przewodniczył płk Paul Fanning, odwiedziła także Dowództwo Operacyjne i Dowództwo Generalne Rodzajów Sił Zbrojnych. Wizyta w 25 Brygadzie Kawalerii Powietrznej w Tomaszowie Mazowieckim była z kolei okazją do rozmowy z opiekunami poszkodowanych weteranów. M S ■

Pancerna strażnica

Zabytkowy schron trafił do muzeum marynarki.

Jednoosobowy poniemiecki bunkier wartowniczy z czasów II wojny został wykopany z nabrzeża przy ulicy Wiosny Ludów w Gdańsku. Schron był częścią konstrukcji fortecznych w mieście, a teraz, po remoncie nabrzeża Motławy, groziło mu zniszczenie. Budowlę uratowali pasjonaci z Fundacji „Kulturalne Pomorze" i przekazali ją Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni. Na stronie internetowej placówki wyjaśniono, że schron Einmannbunker ma formę walca ze szczelinami obserwacyjnymi i jest przykryty stożkowatym dachem. Tego typu żelbetonowe obiekty, w polskiej terminologii fortyfikacyjnej nazywane „ołówek", były produkowane masowo w III Rzeszy w latach 1938–1945. Konstrukcje stawiano w pobliżu obiektów chronionych, takich jak bazy wojskowe, zakłady przemysłowe czy węzły komunikacyjne, między innymi na Oksywiu, jako element infrastruktury obronnej portu wojennego. Miały chronić wartownika w razie nalotu i ostrzału. Do dziś w Trójmieście zachowało się tylko kilka takich budowli. A D ■

MUZEUM MW W GDYNI

REVELL

W Elblągu budowana jest replika wiosłowo-żaglowej łodzi z XI wieku

Okręt Wikingów

Będzie miał 12 m długości, maszt z żaglem i pomieści dziesięciu wioślarzy.

W Elblągu miłośnicy historii ze Stowarzyszenia „Elbląg Europa" budują replikę wiosłowo-żaglowej łodzi z XI wieku. Będzie to pierwsza kopia zabytku znalezionego w Bągarcie, wsi na Pomorzu Gdańskim. Wrak kadłuba wykonanego z drewna dębowego odkryto tam w 1894 roku. Niestety znalezisko zaginęło w czasie II wojny. Ponieważ oryginał jednostki się nie zachował, członkowie stowarzyszenia odtwarzają ją na podstawie archiwalnych dokumentów i szkiców. Jak podają na Facebooku, łódź będzie gotowa na wiosnę, a wycieczki nią staną się atrakcją turystyczną miasta. Jednostkę będzie też wykorzystywać grupa rekonstrukcyjna odtwarzająca tradycję pobliskiego emporium wikińskiego Truso, stanie się ona także wizytówką festiwalu Wikingów na Wyspie Spichrzów. Stowarzyszenie uzyskało 140 tys. zł dotacji z programu „Litwa – Polska – Rosja" na budowę jeszcze jednej, mniejszej repliki łodzi, przeznaczonej do skansenu w obwodzie kaliningradzkim. Łódź dla Rosjan jest kopią XII-wiecznej skandynawskiej jednostki znalezionej podczas wykopalisk w 1993 roku w Gislinge. A D ■

Świadkowie historii

Henryk Krystek, dyrektor Archiwum Państwowego w Poznaniu, Jarosław Łożyński, wydawca „Sierakowskich Zeszytów Historycznych", Andrzej Nowotny, badacz i popularyzator historii, oraz poznańskie Kino Rialto otrzymali tegoroczne Nagrody Honorowe Prezesa Instytut Pamięci Narodowej „Świadek Historii". „W ten sposób chcemy wyrazić naszą wdzięczność dla tych środowisk, osób i instytucji, które wspierają nas w naszej misji. To też forma zachęty dla osób, które dotąd nie angażowały się w taką współpracę", mówił podczas uroczystości dr Łukasz Kamiński, prezes IPN. Jak informuje instytut, nagroda jest przyznawana w poszczególnych regionach polskim stowarzyszeniom, instytucjom, organizacjom i osobom fizycznym zasłużonym w upamiętnianiu naszej historii z lat 1939–1989. W Poznaniu w ciągu pięciu lat otrzymało ją 38 osób i instytucji, między innymi Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej Okręg Wielkopolska, Stowarzyszenie „Katyń" w Poznaniu i Stowarzyszenie „Poznański Czerwiec 1956". A D ■

Bój na Facebooku

Twitter, YouTube czy Facebook staną się polem walki nowego oddziału armii brytyjskiej. Jednostka powstanie w wyniku przekształcenia 15 Grupy Operacji Psychologicznych i będzie prowadzić walkę psychologiczną oraz informacyjną, wykorzystując media społecznościowe. 77 Brygada zostanie powołana w kwietniu i ma liczyć 1500–2000 żołnierzy. Nabór będzie prowadzony wśród wojskowych, rezerwistów i cywilów. Zadaniem żołnierzy będzie też szerzenie dezinformacji i zbieranie danych wywiadowczych. Jednostka ma kontynuować tradycje 77 Brygady Piechoty z czasów II wojny światowej. Oddział ten, utworzony w 1942 roku w Indiach, służył do prowadzenia działań na tyłach wojsk japońskich w Birmie. A D ■

ZAMKI

Duch potępionego setnika

Zamek Kliczków to jedna z najbardziej znanych atrakcji Dolnego Śląska.

ROBERT SIEMASZKO

Za czasów Bolesława Krzywoustego warownią w Kliczkowie rządził dzielny rycerz. Kiedy król wezwał go na wyprawę, zostawił zamek i młodą żonę pod opieką swojego dowódcy – czeskiego setnika. Pod nieobecność pana setnik zakochał się z wzajemnością w jego pięknej żonie i postanowił pozbyć się rywala. Urządził na wracającego z wyprawy rycerza zasadzkę i uwięził go w lochach zamku. Potem przekonał króla i biskupa, że jego pana zabili zbójnicy. Dzięki temu wziął ślub z rzekomą wdową i został panem warowni. Po kilku latach rycerzowi udało się uciec z więzienia. Zebrał drużynę i wtrącił do lochów wiarołomną żonę i jej kochanka. Zrozpaczony Czech zagłodził się na śmierć, a jego duch podobno do dziś straszy w zamkowych murach.

Czy ta legenda jest prawdą, nie wiadomo. Pewne jest zaś, że zamek w Kliczkowie powstał pod koniec XIII wieku. Ufundował go najprawdopodobniej książę Bolko I Surowy, jako jedną z warowni strzegących granicy księstwa świdnicko-jaworskiego przed Czechami. Fortyfikację ulokowano na

KSIĄŻKA

Polscy szahidzi rewolucji

Na początku XX wieku terroryzm na ziemiach polskich zyskał złą sławę u władz carskich i... dobrą markę w świecie rewolucji.

Gdy w 1904 roku na terytorium imperium carskiego rozpoczęły się rozruchy na szeroką skalę, a w końcu wybuchła rewolucja socjalistyczna, również na ziemiach polskich doszło do licznych wystąpień przeciw urzędnikom i władzy rosyjskiej. Wielu przyszłych przywódców II Rzeczypospolitej w latach 1904–1908 prowadziło żywot terrorysty. Józef Piłsudski (marszałek i premier) napadł na pociąg z pieniędzmi, Walery Sławek (premier) dowodził grupami bojowymi PPS, wykonującymi wyroki śmierci na policjantach, żołnierzach i urzędnikach carskich, a Ignacy Mościcki (prezydent RP) konstruował bomby domowej produkcji, służące do zamachów na dostojników rosyjskich.

Książka Wojciecha Lady „Polscy terroryści" rzuca nowe światło na mało dziś znane czasy, gdy Europą wstrząsały hasła rewolucji socjalistycznej – jeszcze bez jej komunistycznego i bolsze-

Vademecum

Kliczkowo leży na Dolnym Śląsku, 12 km od Bolesławca. Można tu dotrzeć autobusem z Wrocławia. Dla zmotoryzowanych przed zamkiem jest darmowy parking. Warownię można zwiedzać w weekendy w wyznaczonych godzinach. Oprowadza po niej przewodnik, a koszt spaceru to 15 zł. W zamku na początku maja jest organizowany doroczny turniej rycerski o Przyłbicę Kasztelana, połączony z pokazami walk pieszych i łuczników, dawnymi tańcami, zapasami rycerskimi i bitwą o zamek. Przenocować można w hotelu, który oferuje kryty basen, korty tenisowe i klub jeździecki.

wysokiej skarpie na prawym brzegu rzeki Kwisy.

100 lat później warownia została włączona do korony czeskiej jako lenno i utraciła znaczenie obronne. Panami na zamku zostawały kolejne rody rycerskie. Jednym z pierwszych była rodzina Rechenbergów, która władała tutaj do 1631 roku. Za ich rządów przebudowano zamek na pałac renesansowy. Potem majątek przechodził z rąk do rąk, między innymi był własnością rodów von Schellendorf, von Frankenberg i von Promnitz.

Od 1767 roku w warowni panowała rodzina zu Solms-Baruth. W XIX wieku jej przedstawiciele przebudowali posiadłość w stylu eklektycznym, łącząc elementy włoskiego renesansu i angielskiego gotyku. Powstała wówczas wieża, nazwana od imienia córki właściciela Jenny, nowe portale i klatki schodowe. Zamek przeżywał czas świetności, o czym świadczą kilkukrotne wizyty niemieckiego cesarza Wilhelma II.

Rodzina zu Solms-Baruth zadbała też o otoczenie dworu. Znany architekt krajobrazu Eduard Petzhold zaprojektował wokół pałacu na ponad 80 ha romantyczny park w stylu angielskim. Do dziś zachowało się w nim kilkadziesiąt gatunków drzew i krzewów, w tym daglezje i choiny kanadyjskie. Unikatową atrakcją parku jest też jeden z nielicznych w Europie cmentarzy koni i psów dawnych właścicieli.

Podczas II wojny światowej majątek rodziny został skonfiskowany przez nazistów po nieudanym zamachu na Hitlera. Sam pałac przetrwał jednak bez większych zniszczeń i dopiero w 1945 roku został doszczętnie rozgrabiony przez żołnierzy Armii Czerwonej. Zniszczeń dopełnił wielki pożar z 1948 roku, który strawił dwa skrzydła budowli.

W kolejnych latach zamkiem zarządzało wiele instytucji. Mieściła się tu między innymi siedziba nadleśnictwa i komenda poligonu w Żaganiu. Pod koniec XX wieku zniszczoną ruinę kupiła od gminy Osiecznica prywatna firma wrocławska. Po kilkuletnim remoncie i konserwacji uruchomiono tutaj hotel z centrum konferencyjnym i SPA.

Pod koniec zeszłego roku XIII-wiecznemu zamkowi znów zagroził pożar. Od komina zapalił się dach budynku, który gasiło prawie 100 strażaków z ponad 20 zastępów straży. Na szczęście ogień udało się opanować i spłonęła tylko część dachu i poddasza. ■

ANNA DĄBROWSKA

KSIĄŻKA

Czerwony dom wariatów

Jörg Baberowski w swojej książce „Stalin. Terror absolutny" przedstawia kraj i jego tyrana, dla którego życie ludzkie nie miało najmniejszego znaczenia. Autor szczegółowo ukazuje historię bolszewickiej Rosji od czasów rewolucji po śmierć Józefa Stalina, przy czym skupia się na władzy i podłożu psychologiczno-społecznych zachowań despoty. Z lektury wyłania się obraz człowieka ogarniętego dwiema rządzami: władzą i samouwielbieniem.

Stalin, który był panicznie nieufny, by utrzymać w ryzach swoje niewolnicze państwo, mordował miliony obywateli według własnego uznania, nie liczył się z nikim i niczym. Poznając jego życie i styl władzy, można dojść do wniosku, że drugi obłąkany psychopata – Adolf Hitler – był „niewielkim amatorem ludobójstwa", bo nic i nikt nie mógł pod tym względem „przebić" Czerwonego Cara.

Książka Baberowskiego, ukazująca świat Stalina i mentalność jego pretorian, poraża niczym „Archipelag Gułag" Aleksandra Sołżenicyna czy „Opowiadania kołymskie" Warłama Szałamowa. ■

JAKUB NAWROCKI

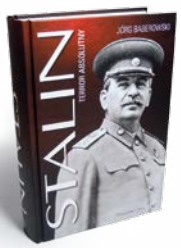

Jörg Baberowski, „Stalin. Terror absolutny", Prószyński i S-ka, 2014

wickiego zabarwienia – i gdy próbowano przypomnieć sprawę polską na arenie międzynarodowej. Na początku XX wieku na ziemiach polskich niemalże codziennie dochodziło do strzelanin, zabójstw i innych aktów terrorystycznych. Samorzutnie tworzyły się grupy i organizacje terrorystyczne, od skrajnie anarchistycznych po wyraźnie niepodległościowe. ■

JAKUB NAWROCKI

Wojciech Lada, „Polscy terroryści", Wydawnictwo Znak, 2014

WYSTAWA

Gallipoli nieznane

O jednej z najkrwawszych bitew I wojny światowej.

W Muzeum Oręża Polskiego w Kołobrzegu można od 19 lutego obejrzeć wystawę „Po bitwie – Turcja, Gallipoli". Na półwyspie tym odbyła się jedna z najkrwawszych bitew I wojny światowej. W 2011 roku pojechała tam pierwsza polska wyprawa, badająca wraki leżące w wodach otaczających Gallipoli. Zebrany wówczas materiał pozwolił stworzyć wyjątkową wystawę, pokazującą ten rejon świata. Zaprezentowano na niej również zabytki z kolekcji muzeum kołobrzeskiego, a także ze zbiorów Muzeum Narodowego w Szczecinie oraz z kolekcji Fabryki Umundurowania Hero Collection i Studia Historycznego Huzar. Wystawę można oglądać do 19 kwietnia 2015 roku, od wtorku do niedzieli w godzinach 9.00–16.00.

MOP K ■

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Rozmowy o wojnie

Teatr Powszechny w Warszawie angażuje się w bieżące sprawy społeczne i polityczne. Po „Dziennikach Majdanu" wystawił spektakl „Wojna i pokój" – drugie przedstawienie z cyklu „O co się zabijać? Wojna. Pokój. Ukraina".

Rosjanie są zainteresowani wyłącznie wojną i władzą. Tak brzmi główna teza spektaklu „Wojna i pokój" w reżyserii Marcina Libera, który można obejrzeć w warszawskim Teatrze Powszechnym im. Zygmunta Hübnera. Epopeja Lwa Tołstoja posłużyła twórcom inscenizacji do przedstawienia własnych impresji na temat Rosji.

Teatr Powszechny przyjął hasło swego patrona Zygmunta Hübnera „Teatr, który się wtrąca", więc spektakl miał się stać teatralnym i artystycznym komentarzem do obecnego konfliktu na Ukrainie oraz kryzysu stosunków rosyjsko-europejskich. Opublikowana w 1869 roku powieść Tołstoja opowiada o XIX-wiecznej Rosji i wojnach napoleońskich, widzianych oczyma arystokracji. Twórcy spektaklu (adaptacja jest dziełem Pawła Sztarbowskiego) wybrali tylko niektóre wątki, a wydarzenia historyczne stały się okazją do przyjrzenia się współczesnej Rosji. Car przypomina Władimira Putina, a Rosja z czasów napoleońskich – współczesną federację. Rosjanie w spektaklu Marcina Libera kochają ojczyznę, są bezkrytycznie poddani władzy, targają nimi skrajne emocje i wciąż „przeglądają się" w bohaterach Tołstoja.

Dzieło tego pisarza stało się punktem wyjścia do opowieści o okrucieństwach wojny i rosyjskich tęsknotach mocarstwowych. Jednocześnie skłania do zastanowienia się nad wyobrażeniami o potężnym sąsiedzie ze Wschodu. „Rosyjska tożsamość jest budowana na poczuciu bycia narodem wybranym", mówił przed premierą Marcin Liber. „Tołstoj opisuje szlachetnych Rosjan, idealnych rycerzy walczących o kraj, podczas gdy my pamiętamy, że Polska była wtedy pod rosyjską okupacją. Jednak dla większości Rosjan każda wojna broniąca imperialistycznych interesów jest wojną sprawiedliwą. Mamy do

KSIĄŻKA

Ile jest warte życie nr 4859?

Czyny Witolda Pileckiego powracają do świadomości narodowej.

Na temat życia i działalności rotmistrza Pileckiego, a przede wszystkim jego dobrowolnego „dostania się" do obozu w Auschwitz, opublikowano w Polsce i na świecie wiele pozycji. Najnowsza książka Adama Cyry „Rotmistrz Pilecki. Ochotnik do Auschwitz" to napisana świetnie, lekkim językiem, historia życia i działalności rotmistrza – od harcerstwa, wojny obronnej 1920 i 1939 roku, przez pobyt w Auschwitz jako numer 4859 i ucieczkę stamtąd, powstanie warszawskie, po pierwsze lata powojenne, kiedy to aresztowany przez komunistów, sądzony jako „szpieg Andersa", został zamordowany w majestacie prawa w 1948 roku. Wyjątkowość tej pozycji wydawniczej podkreśla fakt, że dzieli się ona na dwie części. Pierwsza to biografia rotmistrza, druga – przerażające wspomnienia Pileckiego z pobytu w Auschwitz, spisane przez niego

„Wojna i pokój" – drugie przedstawienie z cyklu „O co się zabijać? Wojna. Pokój. Ukraina"

MAT. TEATRU POWSZECHNEGO (3)

PAWEŁ SZTARBOWSKI, DRAMATURG, ZASTĘPCA DYREKTORA DO SPRAW PROGRAMOWYCH W TEATRZE POWSZECHNYM:

Wykorzystaliśmy XIX-wieczną powieść, aby opowiedzieć o naszych wyobrażeniach i lękach, które biorą się z historii. Szukaliśmy materiału literackiego, poprzez który moglibyśmy pokazać lęk przed wojną. Mam wrażenie, że na wiele lat ten lęk zniknął z naszej świadomości, a w ostatnim roku, w związku z wydarzeniami na Ukrainie, powrócił. Sięgnęliśmy po „Wojnę i pokój", bo jest to powieść, w której Lew Tołstoj pokazał, jak wojna niszczy życie i marzenia ludzi. Dość kąśliwie zobrazował salonowe towarzystwo uczestniczące w niekończących się balach, które nasłuchuje informacji o wojnie, nawet nie zauważając, kiedy wkracza ona do ich pałaców. Tołstoj opisał salon z widokiem na wojnę. Najpierw jest ona daleko, gdzieś tam w Austrii. Mikołaj Rostow wraca z niej i wie, że nie może powiedzieć prawdy o tym, co się wydarzyło podczas przegranej dla Rosjan bitwy. Pierwszą ofiarą wojny jest prawda.

Salon z widokiem na wojnę przypomina sytuację współczesnych rosyjskich elit, które mieszkają w eleganckich osiedlach i są oderwane od życia prostych ludzi – pod tym względem niewiele się zmieniło. A jednocześnie cała Europa jest dziś takim salonem z widokiem na wojnę: niby patrzymy na Ukrainę, piszemy o niej w gazetach, rozmawiamy na ten temat, bo, podobnie jak u Tołstoja, „jest to modne", ale tak naprawdę niewiele możemy zrobić. Nie chcemy wręcz już o tym słuchać.

czynienia z piętrową spekulacją: będziemy sobie wyobrażać Rosjan, którzy wyobrażają sobie, że są ofiarami Europy".

Przedstawienie składa się z dwóch części. Pierwsza odnosi się do XIX-wiecznej Rosji. Jesteśmy w salonie, w którym trwa bal. W oddali słychać odgłosy bitwy. Goście prowadzą rozmowy o wojnie. „Rosjanie mogą albo umrzeć, albo zwyciężyć. Za cara!", mówi Mikołaj Rostow. W takiej atmosferze giną głosy rozsądku Pierre'a Bezuchowa i Ilji Rostowa. W ich postaciach niektórzy krytycy dopatrywali się próby pokazania statusu współczesnych rosyjskich intelektualistów, sceptycznych wobec władzy, niesłyszanych z powodu społecznej apatii i prorządowego nastawienia elit. Na koniec pierwszego aktu Natasza pokryta krwawiącymi ranami zwraca się wprost do widowni: „Nie ma wojny i pokoju. Jest tylko wojna".

Druga część rozgrywa się w Moskwie w roku 2021, gdy „Wojna i pokój" znalazła się na indeksie lektur zakazanych w Unii Europejskiej. Rosja jest pogrążona w chaosie. Moskwę okupują żołnierze z zachodniej Europy. To świat po apokalipsie, w którym upadły wszelkie nadzieje.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że nie do końca udało się zgłębić fenomen kraju, który od lat uwodzi i przeraża Zachód, oraz pojąć mistyczne piękno i siłę rosyjskiego ducha. ■

po ucieczce w 1945 roku. Te relacje z miejsca, w którym życie ludzkie nie przedstawiało żadnej wartości, nazwano „Raportem Pileckiego". Znajdziemy tam osobiste przemyślenia na temat konspiracji wojskowej w obozie śmierci, niepoznanej ludzkiej natury, instynktu przetrwania czy wreszcie Boga. ■

JAKUB NAWROCKI

Adam Cyra „Rotmistrz Pilecki. Ochotnik do Auschwitz", Wydawnictwo RM, 2014

WYSTAWA

Frontowe fotografie

W Domu Spotkań z Historią w Warszawie do 29 marca można zobaczyć wystawę unikatowych zdjęć czeskich fotografów Gustava Broža, Jana Myšičkí i Jendy Rajmana z czasów I wojny światowej, którzy walczyli na froncie w szeregach armii austro-węgierskiej i rosyjskiej. Ich fotografie dokumentują głównie życie codzienne żołnierzy na froncie. Kuratorem ekspozycji jest znany czeski fotograf Jaroslav Kučera. DSH ■

JENDA RAJMAN

JAKUB NAWROCKI

Czterech pancernych i człowiek

To prawdziwe kino wojenne bez cenzury.

DVD

Od pierwszych minut film Davida Ayera wciąga widza w świat wojny, gdzie jedyna zasada brzmi: albo ja zabiję wroga, albo on mnie. Jest kwiecień 1945 roku. Alianckie wojska są już w głębi III Rzeszy. Niemcy, mimo świadomości zbliżającej się nieuchronnie klęski, nie poddają się i za wszelką cenę próbują zatrzymać nacierających Amerykanów. Po jednej z bitew, miejsce zabitego strzelca – pomocnika kierowcy zajmuje młody rekrut, który nigdy wcześniej nawet nie siedział w czołgu. I jakoś nie pasuje do załogi, między innymi dlatego, że jeszcze wierzy w pewne zasady prowadzenia wojny. Pozostała czwórka to weterani niejednej kampanii. Film pokazuje, jak pod wpływem dramatycznych wydarzeń wojennych chłopak się zmienia – zostaje brutalnie pozbawiony złudzeń i zaczyna przyjmować twarde reguły gry obowiązujące w jego załodze.

„Furia" to film bardzo realistyczny, wręcz brutalny. Reżyser wiernie odwzorował frontowy świat wiosny 1945 roku – pełen błota i zmęczonych, zniechęconych żołnierzy. Walorem produkcji jest też świetna gra Brada Pitta, który wciela się w dowódcę tytułowego czołgu. Do wad natomiast należy zaliczyć to, że ten film nie ma… fabuły! „Furia" opiera się na pojedynczych sekwencjach złożonych w dwugodzinną całość. Pancerniacy atakują baterię dział. Przerwa na uzupełnienie. Załoga czołgu zdobywa niemieckie miasto. Przerwa na posiłek i grę na fortepianie u nieznajomych Niemek. Obrona nieokreślonego skrzyżowania… I tak dalej. Niejeden widz, obejrzawszy ten film z zapartym tchem, zada sobie pytanie: o czym on jest?

Mimo tych mankamentów jest to obraz godny polecenia. To prawdziwe kino wojenne pozbawione cenzury i dobitnie ukazujące nieludzki wymiar wojny. Film idealnie plasuje się między efektownością „Szeregowca Ryana" czy „Stalingradu" a psychologicznym ujęciem „Cienkiej czerwonej linii". Jest już dostępny na DVD. ■

„Furia", reż. David Ayer

KSIĄŻKA

Wróżenie z fusów

Zdrowie psychiczne? A co to takiego?

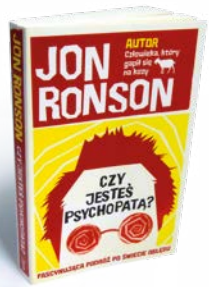

Czytanie książki Jona Ronsona przypomina trochę zabawę w kotka i myszkę. Gdy już mamy wrażenie, że myszka jest nasza, okazuje się, że stoimy na środku pokoju z pustymi rękami. Myszka to w tym wypadku wiedza, świadomość cudzego szaleństwa, którą Ronson podsuwa nam w dużych dawkach. Już, już czujemy, że mamy władzę, pewność, że poznaliśmy najgłębsze tajniki psychiatrii, a nagle okazuje się, że to tylko pozór.

Pytanie zawarte w tytule książki, po jej przeczytaniu wydaje się jak najbardziej sensowne, choć raczej nie oddaje w pełni całego spektrum zagadnień, którymi zasypuje nas autor. Nie jest to rozprawa o psychopatii jako takiej, lecz rodzaj dziennikarskiego śledztwa w poszukiwaniu wyraźnej granicy między szaleństwem a normalnością… z założeniem, że i tak się jej nie znajdzie. Wszystkie metody rozpoznawania chorób psychicznych, takie jak kilkudziesięciopunktowa skala Here'a czy biblia psychiatrów DSM-III i kolejne, są podejmowanymi od lat próbami stworzenia systemu, który pomógłby diagnozować i leczyć chorych. Jak pokazuje jednak Ronson, zawsze przychodzi moment, gdy system zawodzi. Podstawowym błędem tych, którzy go tworzyli, jak i tych, którzy z niego korzystają, jest przekonanie, że nawet psychopata myśli racjonalnie. Jak to ładnie ujął William Shakespeare, „choć to szaleństwo, jest w nim metoda". Szaleństwo jednak racjonalne nie jest.

Ronson szuka psychopatów zarówno w szpitalach psychiatrycznych, jak i u szczytu władzy lub wśród ludzi mediów. Przeprowadza wywiady z ofiarami własnego szaleństwa i z tymi, którzy wykorzystują brak równowagi psychicznej innych osób. Pokazuje jednocześnie, jak łatwo przesuwamy sami granice. Z jednej strony mieścimy w normie tych, którzy sprawując władzę, deformują społeczeństwo lub dopuszczają się zbrodni, z drugiej przyczepiamy etykietkę choroby psychicznej innym z absolutnie błahych powodów – od dłubania w nosie po grę w totolotka. Społeczeństwo, według Ronsona, akceptuje szaleństwo, pod warunkiem, że nie jest ono zbyt oczywiste. A media to wykorzystują, wyłuskując z pełną świadomością tych, których działania, choć niezgodne z normą, cechuje przynajmniej w minimalnym stopniu racjonalizm. Gdy ktoś twierdzi, że samoloty, które uderzyły w World Trade Center, były jedynie hologramami i precyzyjnie swoją tezę argumentuje, dziennikarze szaleją. Milczą, gdy ten sam człowiek ogłasza, że jest mesjaszem.

Jeśli oczekujemy od Ronsona odpowiedzi na egzystencjalne pytania o granice obłędu, na pewno jej nie znajdziemy. W zamian możemy sobie zapewnić kilka godzin przyjemnej lektury. A pytanie zadane przez autora „Czy jesteś psychopatą?" czytelniku, powinno raczej brzmieć: „Skąd wiesz, że nim nie jesteś"? ■

JOANNA ROCHOWICZ

Jon Ronson, „Czy jesteś psychopatą? Fascynująca podróż po świecie obłędu", Insignis, 2014

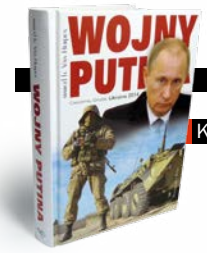

KSIĄŻKA

Imperium kontratakuje

Rosja Putina zmierza w kierunku państwa światłego, jak za czasów carów, i brutalnego, gdy krajem rządzili sekretarze generalni.

Wydarzenia na wschodzie Ukrainy, bezprawna aneksja Krymu pod lufami „zielonych ludzików", ponownie zwróciły uwagę opinii światowej na politykę prezydenta Rosji wobec państw i narodów Europy. Władimir Putin śni o powrocie rosyjskiego imperium, które nadawało ton działaniu i myśleniu ludności państw większej części Europy i Azji.

Książka Marcela H. van Herpena „Wojny Putina" w polskim wydaniu została specjalnie wzbogacona o przedmowę opisującą działania militarne i polityczne Federacji Rosyjskiej już po aneksji ukraińskiego Krymu. Autor podzielił swoją książkę na trzy bloki tematyczne. W pierwszym ukazuje, jak na przełomie dziejów powstawało imperium rosyjskie oraz jak upadł despotyzm – najpierw carski, a potem komunistyczny. W drugim przedstawia wydarzenia, które w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku wyniosły byłego czekistę, mało znanego podpułkownika KGB, na najwyższe szczyty władzy, oraz to, jak budował i umocnił swoją pozycję. Ostatnia część pokazuje wojny toczące się za czasów prezydentury Putina – czeczeńskie i gruzińską.

Ta świetnie napisana książka momentami jest wręcz wstrząsająca. Autor ukazuje podobieństwa władcy z Kremla do rządów Adolfa Hitlera i Józefa Stalina. Zabójstwa dziennikarzy, czystki etniczne w Czeczeni i Gruzji, reaktywowanie wiernych tylko Putinowi wojsk kozackich, tworzenie partyjnych, sfanatyzowanych i zmilitaryzowanych bojówek chroniących „czystość Rosjan" i prawosławia przed ludami Kaukazu oraz dziwne sojusze i pakty z państwami byłych republik radzieckich – oto ukazany w książce van Herpena świat człowieka, który dąży do tworzenia imperium, nie patrząc na koszty i ludzkie dramaty. ■

JAKUB NAWROCKI

Marcel H. van Herpen, „Wojny Putina. Czeczenia, Gruzja, Ukraina 2014 r.", Prószyński i S-ka, 2014

KSIĄŻKA

Bilans klęsk i zwycięstw

Jego życia wystarczyłoby na niejedną książkę.

Z zawodu historyk, specjalizujący się w badaniach nad średniowieczem, z przekonania współautor, z Jackiem Kuroniem, „Listu otwartego do partii" (1965), duchowy przywódca buntu studentów w marcu 1968 roku, jeden z założycieli Solidarności, aż w końcu senator RP. Za autobiografię został wyróżniony literacką nagrodą Nike 2014. To opowieść między innymi o skomplikowanej, trudnej drodze do polskości. Karol Modzelewski urodził się bowiem w Moskwie, w rodzinie żydowskich Rosjan. Jego dzieciństwo (rocznik 1937) przypadło na lata największego terroru i wielkiej czystki. Ojca prawie nie znał, gdyż ten, gdy syn miał zaledwie 17 dni, trafił na długie lata do łagru. W tym czasie matka związała się z polskim inteligentem, ówczesnym wiceministrem spraw zagranicznych, Zygmuntem Modzelewskim. To właśnie on zajął się wychowaniem swojego przybranego syna i zaważył na losach Karola.

Mimo że od najmłodszych lat Modzelewski był poddany rosyjskiej propagandzie, a po przyjeździe do Polski wychowywał się w środowisku komunistycznej nomenklatury i dzięki profitom, które dawała przynależność do niej, mógł prowadzić dostatnie życie, krytycznie oceniał sytuację w kraju. Na tym jednak nie poprzestał. I właśnie na swojej działalności publicznej skupił się w książce „Zajeździmy kobyłę historii. Wspomnienia poobijanego jeźdźca". Droga, którą przeszedł, jest świadectwem trudnej historii naszego kraju od czasów wojny po współczesność. Modzelewski daje się poznać nie tylko jako bystry i krytyczny obserwator wydarzeń, lecz także w większości aktywny ich uczestnik. Własne doświadczenia poparł głębokimi przemyśleniami, wyważoną refleksją i rzetelną wiedzą. Opisuje, analizuje i tłumaczy skomplikowane zjawiska, odnosi się do wszystkich najważniejszych okresów politycznych w Polsce po II wojnie, stawia trudne pytania, podważa stereotypy. Za swoją aktywność polityczną spędził ponad osiem lat w więzieniach – za Gomułki, za Gierka i za Jaruzelskiego, by w końcu, w wolnej Polsce, odebrać z rąk prezydenta RP Order Orła Białego. ■

RENATA GROMSKA

Karol Modzelewski, „Zajeździmy kobyłę historii. Wspomnienia poobijanego jeźdźca", Iskry, 2014

ZJAZD

Kultowa rekonstrukcja

Słowackie stowarzyszenie przygotowało scenariusz pokazujący walki w rejonie Stebnika.

Piąta edycja rekonstrukcji historycznej organizowanej przez Klub Wojennej Historii Karpaty odbędzie się 18 kwietnia 2015 roku w Stebniku na Słowacji. Jak podaje portal Dobroni.pl, w tym roku organizatorzy proponują scenariusz oparty na walkach w rejonie Stebnika 28 CK Pułku Piechoty z Pragi, podczas których Rosjanie wzięli do niewoli prawie cały pułk złożony z Czechów i Słowaków. W tej imprezie zawsze biorą udział najlepsze grupy rekonstrukcyjne ze Słowacji i państw zagranicznych, w tym z Polski. ■

KSIĄŻKA

Ostatnia zapora Hitlera

Mieli zatrzymać pochód Armii Czerwonej. Bronili się, mimo że walka dawno straciła sens.

Nadodrzańskie miejscowości wczesną wiosną 1945 roku miały być, zgodnie z goebbelsowską propagandą, „skałami, o które rozbiją się bolszewickie hordy". Współczesny Kostrzyn w tamtym czasie był świadkiem zażartej obrony miasta i twierdzy pod dowództwem fanatycznego nazisty, znanego z brutalnych metod dławienia powstania warszawskiego, generała SS Heinza Reinefartha. Walki toczące się niemalże o każdy budynek Festung Küstrin od początku lutego do końca marca były jednymi z najcięższych w ostatnich tygodniach II wojny światowej.

Książka Andrzeja Toczewskiego „Festung Küstrin 1945" to kolejna odsłona z cyklu „Historyczne bitwy". Autor w czytelny, a zarazem wnikliwy sposób przedstawił wydarzenia związane z obroną tej miejscowości, która stanowiła ostatnią barierę przed otwartym atakiem na stolicę III Rzeszy. Toczewski przytacza liczne ciekawe epizody, jak na przykład udział polskich grup zwiadowczych zrzuconych na spadochronach niedaleko miasta-twierdzy czy wspomnienia dowódcy obrony, spisane tuż po zakończeniu światowego konfliktu. Jest to obowiązkowa lektura dla każdego miłośnika i pasjonata historii walk na froncie wschodnim w trakcie II wojny światowej. ■

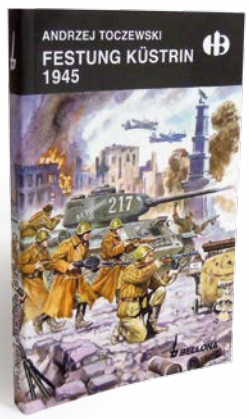

JAKUB NAWROCKI

Andrzej Toczewski, „Festung Küstrin 1945", Bellona, 2015

Ciemności skryją ziemię

Niezwykły dokument Andre Singera

Wstrząsający film o produkcji… filmu dokumentującego zbrodnie nazistów. Sidney Bernstein, Richard Crossman i Alfred Hitchcock na zlecenie brytyjskiego Ministerstwa do spraw Informacji usiłowali określić ogrom zbrodni. Wielkim atutem dokumentu są niezwykłe materiały archiwalne, nakręcone przez wojskowych operatorów alianckich armii, między innymi w Buchenwaldzie, Majdanku, Auschwitz i Dachau. Operatorzy sfilmowali esesmanów, którym nakazano zbierać zwłoki więźniów, a także cywilną ludność niemiecką sprowadzoną do obozów dla uświadomienia im skali zbrodni. ■

7 marca, godz. 21.15

TVP HISTORIA

WTC. Zwycięstwo nadziei

Oni dostali od losu szansę na drugie życie.

Opowieść o ludziach, którzy przeżyli zamach na World Trade Center. Jedną z bohaterek filmu jest Stefania Hapunik. We wrześniu 2001 roku była sprzątaczką w budynku Merrill Lynch, naprzeciwko WTC. Dorota Warchoł z kolei pracowała w World Trade Center dla firmy World Street Planning. Zawsze sumienna, prawie nigdy nie spóźniała się do pracy, za to często zostawała po godzinach. Ale właśnie 11 września przyszła do biura później niż zwykle. Przypadek czy przeznaczenie? ■

6 marca, godz. 23.20

TVP HISTORIA

W zawieszeniu

Skazany na karę śmierci

Dramat Waldemara Krzystka, ukazujący przemiany polityczne przełomu lat czterdziestych i pięćdziesiątych XX wieku. Studium miłości dwóch zdanych na siebie osób: pielęgniarki Anny Mroczyńskiej i Marcela Wysockiego, byłego oficera Armii Krajowej. W 1949 roku żołnierz został skazany na karę śmierci, ale zbiegł z więzienia i przez wiele lat ukrywał się w piwnicy ukochanej. ■

1 marca, godz. 19.35

Elegia na śmierć Roja

Film dokumentalny Jerzego Zalewskiego, przedstawiający dzieje Mieczysława Dziemieszkiewicza ps. „Rój". Słynął on z brawurowych akcji, między innymi uczestniczył w operacji odbicia 65 partyzantów z więzienia w Pułtusku, regularnej bitwie o cukrownię w Krasińcu oraz próbie porwania gen. Jaroszewicza. ■

1 marca, godz. 21.10

TVP HISTORIA

Po godzinach. Terroryzm

Czy działania terrorystów można zrozumieć? Czy terroryzm nas dotyczy? Dyskusja o tym problemie będzie oparta na dwóch filmach – „Witaj, nocy" i „Trzy pokoje melancholii" oraz na wywiadzie z dziennikarką rosyjską Anną Politkowską. ■

13 marca, godz. 23.20

TVP HISTORIA

Ukryte gniazdo dynastii

Z cyklu „Tajemnice początków Polski"

Fabularyzowany dokument Zdzisława Cozaca, opowiadający o poszukiwaniach prawdziwego miejsca narodzin Piastów. Film prezentuje najbardziej znane hipotezy dotyczące pochodzenia dynastii. Skupia się na Gnieźnie i Kaliszu – mieście nazywanym przez prof. Henryka Samsonowicza „kluczem do historii Polski". Wielkim atutem filmu są animacje komputerowe, przenoszące widzów w czasy Mieszka I. W kolejne soboty marca zostaną przypomniane też najbardziej znane produkcje Cozaca: „Wyspa władców", „Miasto zatopionych bogów", „Trzcinica – karpacka Troja". ■

7 marca, godz. 19.40.

JERZY EISLER

Kierunek głównego uderzenia

Trzecią część „Wyzwolenia" rozpoczyna sekwencja ukazująca konferencję Wielkiej Trójki w Teheranie w listopadzie 1943 roku, kończy zaś scena forsowania Bugu w lipcu 1944 roku. Przy okazji słyszymy z ekranu, że w ten sposób Armia Czerwona i żołnierze ludowego Wojska Polskiego wkraczają na terytorium Polski, chociaż w rzeczywistości przedwojenną granicę polsko-radziecką czołowe oddziały Armii Czerwonej przekroczyły w okolicach Rokitna, na wschód od Sarn, już nocą z 3 na 4 stycznia 1944 roku.

Kilkadziesiąt minut dzieła Jurija Ozierowa wypełnia zrealizowana w tonacji czarno-białej rekonstrukcja (do czasu filmu „Walkiria" bodaj najbardziej drobiazgowa) przygotowań zamachu na Adolfa Hitlera w lipcu 1944 roku oraz rozprawy ze spiskowcami. Również w wersji czarno-białej, ale z wykorzystaniem materiałów archiwalnych, przypomniano lądowanie aliantów w Normandii w czerwcu 1944 roku. Jednak z pewnością główną część produkcji wypełnia, podjęta także w czerwcu 1944 roku przez Armię Czerwoną, operacja „Bagration".

Przy okazji w filmie przedstawiono również całkowicie odmienny od rzeczywistości obraz Józefa Stalina, chociaż i tak (jak na okres breżniewowski) twórcy pozwolili sobie na wiele. Znalazła się tutaj na przykład scena, w której Stalin w czasie narady sztabowej wyrzuca za drzwi gen. Konstantego Rokossowskiego, aby w sąsiednim pokoju „zastanowił się", czy w planowanej ofensywie na pewno chce poprowadzić wojska przez bagna północnej Białorusi i w ten sposób wytracić ciężki sprzęt. Narada trwa w najlepsze dalej, a po pewnym czasie Rokossowki (były więzień łagru) zostaje ponownie wezwany. Idzie jak na ścięcie. Stalin pyta go, czy nadal chce poprowadzić swoje wojska przez podmokłe tereny. Rokossowski z uporem udziela odpowiedzi twierdzącej. W tej sytuacji Stalin bierze pióro i, podpisując mapę, stwierdza, że skoro dowódca jest aż tak przekonany o swoich racjach, to jemu jako naczelnemu wodzowi nie pozostaje nic innego niż zaakceptować całą tę ryzykowną operację.

Niezależnie od intencji twórców, którzy w żadnym razie nie pozwoliliby sobie przecież świadomie na takie zestawienie, możemy w tym samym filmie obserwować za każdym razem, zrealizowane zresztą w tonacji czarno-białej, narady u Stalina i u Hitlera. Zwraca uwagę niemal identyczny stosunek obu dyktatorów do dowódców wojskowych najwyższego szczebla. Marszałkowie i generałowie wysłuchują pokornie tyrad obu naczelnych wodzów. Ci zaś są wręcz przekonani o swoim geniuszu i nie mają żadnych zahamowań w kwestii sztorcowania i pouczania najwybitniejszych dowódców – co, gdzie, kiedy i jak mają robić.

Nie ulega jednak wątpliwości, że największym atutem filmu są zrealizowane z ogromnym rozmachem sceny batalistyczne. Tym razem szczególne wrażenie robi sekwencja przeprawy radzieckich jednostek pancernych przez bagna po prowizorycznych pomostach zrobionych z gałęzi i belek. W jej trakcie na naszych oczach toną niektóre czołgi T-34. ■

NAJWIĘKSZYM ATUTEM FILMU SĄ ZREALIZOWANE Z OGROMNYM ROZMACHEM **SCENY BATALISTYCZNE**

PROFESOR JERZY EISLER JEST HISTORYKIEM, DYREKTOREM ODDZIAŁU IPN W WARSZAWIE I KIEROWNIKIEM ZAKŁADU BADAŃ NAD DZIEJAMI POLSKI PO 1945 ROKU W INSTYTUCIE HISTORII PAN.

Organizatorzy:

COMBAT 56

FUNDACJA EDUKACJA DLA SPOŁECZEŃSTWA

Sponsorzy:

ARCTICA sports eyewear

HELIKON-TEX®

POLSKI HOLDING OBRONNY

Pomorze Zachodnie

Partnerzy:

Polska Zbrojna

NADLEŚNICTWO DRAWSKO

Fabryka reklamy pryzmat
www.pryzmat.torun.pl

POLSKA-ZBROJNA.PL

24
GODZINY
NA DOBĘ
BIEŻĄCYCH
INFORMA-
CJI Z ŻYCIA
WOJSKA

SERWIS
INFORMACYJNY

www.polska-zbrojna.pl

WIW
WOJSKOWY INSTYTUT WYDAWNICZY